

WIELKIE SERIE FANTASY

# HARRY HARRISON



Tom II trylogii EDEN

ZIMA W EDENIE

**HARRY HARRISON**

**ZIMA W EDENIE**

Przełożył

Janusz Pultyn

8 A zasadiwszy ogród  
w Eden na wschodzie  
Pan Bóg umieścił tam  
człowieka, którego ulepił.

16 Po czym Kain  
odszedł od Pana  
i zamieszkał w kraju  
Nod, na wschód od Edenu

KSIĘGA RODZAJU

## PROLOG: KERRICK

Życie nie jest już łatwe. Zbyt wiele zaszło zmian, zbyt wielu ludzi zginęło, zimy są zbyt długie. Nie zawsze tak było. Pamiętam dobrze obozowisko, w którym dorastałem, pamiętam trzy rody, długie dni, przyjaciół, dobre jedzenie. Ciepłą porę roku spędzaliśmy na brzegu wielkiego, pełnego ryb jeziora. W najdalszych wspomnieniach stoję nad tym jeziorem, patrzę nad jego spokojnymi wodami na wysokie góry, widzę, jak na ich szczytach bieleją pierwsze śniegi zimy. Gdy śnieg pokryje nasze namioty i trawy wokół nich, nadejdzie czas, by łowcy wyruszyli w góry. Chciałem szybko dorosnąć, paliłem się, by u ich boku polować na sarny i jelenie.

Prosty świat prostych radości minął bezpowrotnie. Wszystko się zmieniło, niestety, nie na lepsze. Czasem budzę się w nocy pragnąc, by nigdy nie stało się to, co nastąpiło. Ale to głupie myśli, świat jest, jaki jest, zmienia się teraz na każdym kroku. To, co uważałem za całość istnienia, okazało się zaledwie drobną cząstką rzeczywistości. Moje jezioro i góry to tylko niewielki skrawek wielkiego kontynentu, graniczącego na wschodzie z ogromnym oceanem.

Wiedziałem też o innych, o stworzeniach nazywanych przez nas murgu. Nauczyłem się je nienawidzić na długo przedtem, nim zobaczyłem je po raz pierwszy. Nasze ciało jest ciepłe, a ich zimne. Na głowach rosną nam włosy, łowcy dumnie hodują brody, a zwierzęta, na które polujemy, mają ciepłe ciała, futra lub sierść - nie odnosi się to jednak do murgu. Są zimne, gładkie i pokryte łuskami, mają pazury i zęby, by nimi rozdzierać i gryźć, są ogromne i przerażające, budzą strach. I nienawiść. Wiedziałem, że żyją w ciepłych wodach południowego oceanu i w ciepłych krajach leżących na południu. Nie znosiły zimna, więc zostawiały nas w spokoju.

Wszystko to uległo zmianie tak straszliwej, że już nigdy nic nie pozostanie takim samym. Powodem tego były murgu zwące się Yilanè, równie rozumne jak Tanu. Na swe nieszczęście wiem, że nasz świat stanowi tylko małą część świata Yilanè. Zamieszkujemy północ wielkiego kontynentu, a na południe od nas na całym lądzie roi się od Yilanè.

Jest jeszcze gorzej. Za oceanem leżą inne, jeszcze większe kontynenty - na których w ogóle nie ma łowców. Yilanè, wyłącznie Yilanè. Cały świat, poza naszym małym zakątkiem, należy do nich.

Teraz powiem wam najgorszą rzecz o Yilanè. Nienawidzą nas tak samo, jak my nienawidzimy ich. Nie miałyby to znaczenia, gdyby były jedynie wielkimi, bezdusznymi bestiami. Moglibyśmy zamieszkiwać zimną północ, unikając ich w ten sposób.

Lecz są i takie, które być może dorównują łowcom rozumem, dorównują im zaciekłością. A ich ilości nie da się ogarnąć, wystarczy stwierdzić, iż wypełniają wszystkie lądy wielkiego świata.

Wiem o tym, bo zostałem porwany przez Yilanè, dorosłem wśród nich, uczyły mnie. Pierwotne przerażenie, jakie poczułem, ujrawszy śmierć ojca i wszystkich przyjaciół, wyblakło z biegiem lat. Gdy nauczyłem się mówić jak Yilanè, stałem się jakby jednym z nich, zapomniałem, że byłem łowcą, zacząłem nawet nazywać mój lud ustuzou, istotami nieczystości. Cały porządek społeczeństwa i władza u Yilanè wznoszą się stopniowo, jak góra, dlatego dumny byłem, iż stałem blisko Vaintè, eistai miasta, jego władczyni. Uważano mnie także za jego władcę.

Żywe miasto Alpèasak od niedawna rosło na tych brzegach, zasiedlone przez Yilanè spoza oceanu, które z ich odległego miasta wygnane zostały przez zimy, z roku na rok coraz sroższe. Ten sam mróz, który zmusił mego ojca i innych Tanu do wyruszenia na południe w poszukiwaniu pożywienia, zmusił Yilanè do poszukiwań za oceanem. Wyhodowały swe miasto na naszym wybrzeżu, a gdy się dowiedziały, że przed nimi byli tam Tanu, zabiły ich. Tak jak Tanu zabijali Yilanè, gdy je zobaczyli.

Przez wiele lat nie wiedziałem o tym. Wychowałem się u Yilanè i myślałem jak one. Gdy

ruszyły na wojnę, ich przeciwnik był dla mnie ohydny ustuzou, a nie Tanu, moimi braćmi. Uległo to zmianie dopiero po zetknięciu się z więźniem, Herilakiem. Samma-dar, przywódca Tanu, rozumiał mnie dużo lepiej niż ja sam. Gdy przemówiłem doń jak do wroga, obcego, zwrócił się do mnie jak do swego pobratymca. Wraz z przypomnieniem sobie języka dzieciństwa wróciły mi wspomnienia z tego ciepłego, dawnego okresu

życia. Wspomnienia matki, rodziny, przyjaciół. U Yilanè nie ma rodzin, składające jaja jaszczury nie znają ssących pierś niemowląt, rządzą nimi zimne samice, wśród których nie ma miejsca na przyjaźń. Samce przez całe swe życie przebywają w zamknięciu.

Herilak dowiedział mi, iż jestem Tanu, a nie Yilanè, dlatego uwolniłem go i uciekliśmy. Początkowo żałowałem tego - ale nie miałem odwrotu, ponieważ zaatakowałem i omal nie zabiłem Vaintè, rządzącą Yilanè. Dołączyłem do sammadów, grup rodów Tanu, wraz z nimi uciekałem przed atakami tych, które kiedyś były moimi towarzyszami. Teraz jednak miałem innych towarzyszy, łączyła mnie z nimi przyjaźń, jakiej nigdy nie zaznałem wśród Yilanè. Miałem Armun, która przyszła do mnie i ukazała mi rzeczy, o jakich nie miałem pojęcia, obudziła uczucia, jakich nigdy bym nie poznał, żyjąc wśród obcej rasy. Armun, która urodziła mi syna.

Nadal jednak nie opuszczał nas nigdy lęk o życie. Vaintè ze swymi wojowniczkami bezlitośnie ściagała sammady. Walczyliśmy -czasem wygrywaliśmy, zdobyliśmy nawet trochę ich żywej broni, śmiercio-kijów, zabijających każde stworzenie. Mając je, mogliśmy wypuścić się daleko na południe, napełnić do syta żołądki, zabijać te nienawistne istoty, gdy nas atakowały. Po to tylko, by uciekać znowu, gdy znalazła nas Vaintè i zaatakowała napływającymi bez końca zza morza posiłkami.

Ocalałym pozostawało jedynie pójść tam, gdzie nie będą ścigani, przebyć mroźny łańcuch górski, osiągnąć leżącą za nim krainę. Yilanè nie mogą być w śniegach; myśleliśmy, że będziemy bezpieczni.

I byliśmy, długo byliśmy. Za górami spotkaliśmy Tanu, którzy nie zajmowali się jedynie łowami, lecz zbierali plony w swej ukrytej dolinie, potrafili wyrabiać dzbany, tkąć szaty i robić wiele innych zadziwiających rzeczy. To Sasku, oni są naszymi przyjaciółmi, bo czczą mastodonta jako boga. Przeprowadziliśmy im nasze mastodonty i odtąd byliśmy z nimi jakby jednym ludem. Dobrze się nam żyło w dolinie Sasku.

Póki Vaintè nie odnalazła nas znowu.

Zrozumiałem wówczas, że nie możemy dłużej uciekać. Jak zapędzone w kąt zwierzęta musimy się odwrócić i walczyć. Najpierw nikt nie chciał mnie słuchać, bo nie znali wroga tak dobrze jak ja. Pojęli jednak, iż Yilanè nie znają ognia. Poznały jego skutki, gdy przybyliśmy do ich miasta z pochodniami.

A oto czego dokonaliśmy. Spaliliśmy miasto i pozwoliliśmy kilku niedobitkom uciec do ich świata i miast za oceanem. Dobrze, że się tak stało, bo jedną z ocalałych była Enge, ongiś ma nauczycielka i przyjaciółka. W odróżnieniu od wszystkich innych nie uznawała zabijania, przewodziła małej grupce tak zwanych Cór Życia, wierzących w świętość życia. Gdybyż tylko one ocalały. Ale uratowała się i Vaintè. Ta istota pełna nienawiści przeżyła zniszczenie swego miasta, uciekła na uruketo, wielkim żywym statku używanym przez Yilanè.

To zdarzyło się w przeszłości. Teraz stoję na brzegu, owiewany przez popioły miasta i próbuję sobie wyobrazić, co stanie się teraz, co należy uczynić w nadchodzących latach.

*Tharman i ermani lasfa katiskapri  
ap naudinz modia - em bleit  
hepellin er atta, so faldar elka  
nsi hammar.*

## POWIEDZENIE TANU

Tharmy w gwiazdach mogą patrzeć  
z przyjemnością w dół, na łowcę;  
lecz jest to zimny wzrok,  
który nie wznieci ognia.

# ROZDZIAŁ I

Burza dobiegała końca, uchodziła nad morze. Strugi deszczu spadały na dalekie uruketo, zasłaniały je. Nagle pojawiło się znowu, gdy fala deszczu minęła. Jego ciemna sylwetka na tle spienionych fal była coraz dalej. Wiszące nisko wieczorne słońce przebijało się przez pękające chmury, oblewało uruketo rdzawym światłem, podkreślało sterczącą wysoko płetwę. Potem zwierzę zniknęło w gęstniejącym mroku. Herilak stał w wodzie i potrząsając włócznią, krzyczał głośno i gorzko:

- One też powinny były zginąć, wszystkie, żadne nie powinno uciec!

- Koniec z zabijaniem - odparł ze znużeniem Kerrick. - Już po wszystkim, zrobione, zakończone. Wygraliśmy. Wybiliśmy murgu, spaliliśmy ich miasto. Wskazał na dymiące w tyle drzewa. - Masz swą zemstę. Za każdego zabito go ze swego sammadu spaliłeś dwudziestkę murgu. Zrobiłeś to. Za każdego martwego łowcę, kobietę, dziecko zabiłeś murgu. To dość. Teraz musimy zapomnieć o zabijaniu i pomyśleć o życiu.

- Rozmawiałeś z jednym z nich, pozwoliłeś mu uciec. Drżała mi ręka z włócznią - nie zrobiłeś dobrze.

Kerrick świadom był jego gniewu, sam też zaczął się wściekać, lecz panował nad sobą. Wszyscy byli zmęczeni, bliscy wyczerpania po całym dniu działania. Pamiętał też, iż Herilak wypełnił jego rozkaz i nie zabił Enge, gdy z nią rozmawiał.

- Wszystkie murgu są dla ciebie takie same, wszystkie należy zabić. Ale ta jedna - była moją nauczycielką - ta jedna różni się od pozostałych. Mówi tylko o pokoju. Gdyby murgu jej posłuchały, uwierzyły jej, mogłoby to zakończyć tę wojnę...

- One wrócą, wrócą by się zemścić.

Gniew nie opuścił jeszcze wielkiego łowcy, groził lepiącą się od krwi włócznią znikającemu, zwyciężonemu nieprzyjacielowi. Oczy, podrażnione napływającym dymem, błyszczały równie czerwono jak grot jego włóczni. Obaj łowcy pokryci byli sadzą, jasne włosy i długie brody lepiły się od potu i popiołów. Kerrick wiedział, że przez Herilaka przemawia nienawiść, chęć zabijania murgu, ciągłego zabijania bez końca, ale wiedział też, z niepokojem szarpniącym mu wewnętrżności, iż łowca mówi prawdę. Murgu, Yilanè, wrogowie wrócą. Vaintè zadba o to. Żyje przecież, a póki nie umrze, nie zaznają bezpieczeństwa ni spokoju. Gdy to sobie uświadomił, uszła zeń cała siła, zachwiał się, oparł na włóczni i trząśł głową, jakby przez to mógł odegnać sprzed oczu widmo rozpacz. Musi zapomnieć o Va-intè, zapomnieć o murgu, zapomnieć o nich bez reszty. Nadeszła pora życia, minęła pora śmierci. Mroczne myśli przerwał mu czyjś krzyk. Obrócił się i ujrzał łowcę Sasku, Keridamasa, wołającego go z czarnych zgliszcz Alpèasaku.

- Tu są murgu, żywe, uwięzione!

Herilak z krzykiem okręcił się na pięcie, lecz Kerrick powtrzymał go, chwytając za rękę.

- Nie - powiedział spokojnie. - Odłóż włócznię. Sam się tym zajmę. Musi być gdzieś kres zabijania.

- Nie, nigdy, nie dla tych stworów. Zostawię jednak włócznię, bo nadal jesteś margalusem, doradcą wojennym prowadzącym nas w bitwie z murgu, nadal wypełniam twe rozkazy.

Kerrick odwrócił się ze znużeniem, wraz z Herilakiem powlókł się plażą do spalonego miasta. Był wyczerpany i znużony, pragnął tylko wypocząć, ale nie miał czasu. Yilanè żyły tam jeszcze? To chyba niemożliwe. Wraz ze śmiercią swego miasta zginęły fargi i Yilanè -było to równoznaczne z wygnaniem, odrzuceniem. W takich wypadkach u Yilanè zachodziły nieodwracalne zmiany - sam to widział -prowadzące zawsze do śmierci. Lecz były wyjątki, ktoś mógł przeżyć, na przykład Córy



Życia. Nie umierały one jak inne. Musi sam się przekonać.

- Zauważyliśmy, jak wychodzą z jednego nie do końca spalonego gaju - powiedział Keridamas.

- Zabiliśmy jedną, lecz pozostałe cofnęły się do środka. Simmacho pomyślał, że może będziesz chciał je zobaczyć, zabić własnoręcznie, margalusie.

- Tak! - zawołał Herilak. Nienawiść wykrzywiła mu usta, odsłaniając zęby. Kerrick z wyczerpaniem pokręcił głową.

- Zobaczmy kim są, nim je wyrzniemy. A jeszcze lepiej weźmy je żywe. Pomówię z nimi, bo muszę się dowiedzieć paru spraw.

Szli przez ciemne pobojuwisko, między ciągle tłącymi się drzewami i stosami ciał. Droga ich wiodła przez ambesed i Kerrick stanął tam, przerażony widokiem piętrzących się zwałów ciał Yilanè. Wydawały się nietknięte, nie spalone - a jednak wszystkie zginęły. Wszystkie też leżały wyciągnięte w jedną stronę, zwracały się ku dalekiej ścianie ambesed. Kerrick również spojrzał w tym kierunku, ku tronowi, na którym spoczywała Vaintè, pustemu teraz i nie zajętemu. Fargi i Yilanè musiały się tam pchać, trając nawzajem, w poszukiwaniu osłony eistai. Ta jednak odeszła, miejsce władzy było puste, miasto umierało. Umarły więc i one. Keridamas prowadził, mijając leżące zwłoki, a za nim szedł Kerrick, zeszywniały w szoku. Tyle zmarłych. Trzeba coś zrobić, nim zaczną się rozkładać. Za wiele ich, by pogrzebać. Musi coś wymyślić.

- To tam, przed nami - powiedział Keridamas, wskazując włócznią.

Simmacho zaglądał za rozszczerzone i nadpalone wrota, próbował coś dojrzeć w rosnących ciemnościach. Gdy spostrzegł Kerricka, wskazał na ciało Yilanè leżące na ziemi i odwrócił je nogą. Kerrick zerknął na nie - potem się nachylił, by przyjrzeć się bliżej w niknącym świetle. Nic dziwnego, że to miejsce wydało mu się znajome. To było hanalè.

- To samiec - powiedział. - W środku muszą być inne samce.

Simmacho patrzył na zwłoki ze zdumieniem. Jak i pozostali Tanu nie do końca rozumiał, iż mordercze murgu, z którym walczyli, które zabijali, to wyłącznie samice.

- Biegł - powiedział.

- Samce nie walczą - nic w ogóle nie robią. Wszystkie były tu zamknięte.

Simmacho dalej patrzył ze zdziwieniem. - Dlaczego nie umierają jak reszta?

„No właśnie, dlaczego?” - pomyślał Kerrick.

- Samice umarły, bo zginęło ich miasto, to dla nich to samo co odrzucenie. Coś się z nimi dzieje, gdy zostaną wygnane z miasta. Nie wiem dokładnie co. Jest to jednak przyczyną śmierci, widzicie wokół dowody. Wygląda na to, że samce, trzymane na uboczu i chronione, ciągle w pewien sposób odrzucone przez miasto, nie umierają wraz z pozostałymi.

- Zginą od naszych włóczni - powiedział Herilak. - Szybko, nim uciekną w ciemnościach.

- Nie chodzą nocą, wiesz o tym. A do tego miejsca nie prowadzą żadne inne drzwi. Przestańmy zabijać, gadać o zabijaniu i odpoczniemy do rana. Zjedzmy coś, napijmy się i idźmy spać.

Nikt się nie sprzeciwił. Kerrick znalazł wodo-owoc na niespalonym drzewie i pokazał reszcie, jak z niego pić. Nie mieli co jeść, ale zmęczenie pokonało głód i zasnęli niemal natychmiast.

Kerrick nie spał. Był równie zmęczony co reszta, lecz kłębiące się myśli nie pozwalały na sen. W górze odpłynęły ostatnie chmury, pokazały się gwiazdy. Wreszcie zasnął, nie wiedząc kiedy, a gdy znów otworzył oczy, świt rozjaśniał niebo.

Coś się obok niego poruszyło i w narastającym świetle ujrzał Herilaka, podkradającego się cicho z nożem w ręku do wejścia do hanalè.

- Herilaku - zawołał, wstając niechętnie. Wielki łowca obejrzał się z twarzą wykrzywioną złością, zawahał - i wsunął nóż do pętli przy pasie, a potem odwrócił się i odszedł. Żadne słowa

Kerricka nie mogły ukończyć rozdzierającego bólu. Zabijanie, zamiast zmniejszyć gniew i wściekłość Herilaka, zdawało się jedynie wzmacniać te uczucia. Może szybko mu to minie. Może. Zatraskany Kerrick zaspokoił pragnienie wodno-owocem. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Najpierw musi się jednak przekonać, czy naprawdę w hanalè zostały jakieś żywe Yilanè. Spojrzał niechętnie na swą włóczęgę. Czy jest mu jeszcze potrzebna? Mogą jednak być wewnątrz samice, nic nie wiedzące o zniszczeniu miasta. Podniósł broń i trzymając ją przed sobą, przekroczył nadpalone i wygięte wrota.

Za nimi znalazł osmalone zgliszcza. Ogień wdarł się sienią i przez wiszące u góry przezroczyste płyty. Powietrze wypełniła woń dymu i spalonych ciał. Z nastawioną włóczęgą przeszedł sieni, jedyną część hanalè, jaką dotąd widział, aż do jej krańca.

Za zakrętem osmalone drzwi wiodły do wielkiej sali - zapach zwęglonego mięsa był w niej nie do zniesienia. Przez spalony sufit dochodziło dość światła, by mógł zobaczyć przerażające wnętrze.

Niemal u stóp miał spaloną, martwą Ikemend, strażniczkę ha-nalè, leżącą z szeroko otwartymi ustami. Za nią widniały powalone ciała jej podopiecznych. Wypełniały salę, równie zwęglone i martwe, co ich opiekunka. Kerrick odwrócił się z drzeniem i wszedł głębiej do budowli.

Tworzyła ją plątanina łączących się z sobą pokoi i przejść, przeważnie pochłoniętych przez ogień i zniszczonych. W głębi jednak drewno było zieleńsze, tę niedawno wyrosłą część budowli płomień ledwo tknęły. Za ostatnim zakrętem wszedł do pomieszczenia ze zwieszającymi się ze ścian ozdobami, miękkimi poduszkami na podłodze. Pod odległą ścianą kulilo się dwóch młodych samców, mieli wybałuszone oczy i szczęki opadłe w młodzieńczym lęku.

- To śmierć - powiedzieli i zamknęli oczy.

- Nie! - krzyknął głośno Kerrick. - To głupota samców, słuchanie starszego.

Otworzyli zdumione oczy.

- Mówcie - rozkazał. - Jest tu jeszcze ktoś?

- Mówiące stworzenie kieruje ostry ząb, który zabija - jęknął jeden z samców.

Kerrick rzucił włóczęgę na wyściółkę i odsunął się od niej. - Zabijanie skończone. Jesteście sami?

- Sami! - poskarżyli się jednocześnie, a ich dłonie pokryły się młodzieńczymi barwami przerażenia i bólu. Kerrick z trudem utrzymywał na wodzy swój gniew spowodowany ich głupotą.

- Słuchajcie mnie i bądźcie cicho - rozkazał. - Jestem Kerrick, silny i ważny, siedzący przy boku eistai. Słyszeliście o mnie. - Skinęli potwierdzająco; może wiadomości o jego ucieczce nie dotarły do ich odosobnienia. - Teraz odpowiedź na moje pytania. Ilu jest was tutaj?

- Schowaliśmy się - powiedział młodszy - bawiliśmy się tak. Inni mieli nas szukać. Ja byłem tutaj, razem z Elinmanem, a Nadaske za

drzwiami. Nikt jednak nie przyszedł. Coś się stało. Było bardzo ciepło i przyjemnie, potem pojawiły się pachnące chmury, drażniące oczy i gardła. Wołaliśmy Ikemend, by nam pomogła, ale nie przyszła. Baliśmy się wyjść. Ja byłem zbyt przerażony, dlatego nazywają mnie Imehei, ale Elinman jest bardzo dzielny. Szedł pierwszy, a my za nim. Nie mogę ci powiedzieć, co zobaczyliśmy, to zbyt straszne. Chcieliśmy wyjść z hanalè, choć to zakazane. Elinman zrobił to, krzyknął i pobiegliśmy z powrotem. Co z nami będzie?

Rzeczywiście, co ich czeka? Pewna śmierć, jeśli natkną się na łowców. Zobaczą w nich jedynie murgu z pazurami i zębami, wrogów. Tylko Kerrick widział ich takimi, jakimi byli; kryjące się, głupie stworzenia, nie bardzo zdolne troszczyć się o siebie. Nie może pozwolić, by je zabito, zabijania miał już dosyć.

- Zostańcie tutaj - rozkazał.

- Jesteśmy przestraszeni i głodni - jęknął Imehei. Imię to, znaczące miękki-w-dotknięciu,

pasowało do niego. A drugiego nazwano Nadaske, wyglądający-z-zamknięcia. Byli jak dzieci potrzebujące opieki.

- Milczcie - rozkazuję warn. Macie tu wodę, jesteście też dość tłusci, by trochę popościć. Nie wychodźcie stąd. Mięso zostanie wam przyniesione. Zrozumieliście?

Uspokoił się już, okazywali pokorne posłuszeństwo, czuli się pewniej, że ktoś im rozkazuje, pilnuje ich. Samce! Podniósł włócznię i odszedł. Wrócił przez wielką budowlę, a przy wyjściu zastał czekającego na niego Herilaka. Za nim stała reszta łowców, a z boku, przy Sanone skupili się Sasku.

- Odchodzimy - powiedział Herilak. Opanował już swój gniew

- zastąpiło go zimne zdecydowanie. - To, po co tu przybyliśmy -zostało wykonane. Zniszczyliśmy murgu i ich gniazdo. Nie mamy tu już nic do roboty. Wracamy do sammadów.

- Musicie zostać. Jest jeszcze coś do zrobienia...

- Nie przez Tanu. Byłeś naszym margalusem, Kerricku, prowadziłeś nas przeciw murgu, szanowaliśmy cię za to i słuchaliśmy. Ale teraz murgu zginęły i już nami nie rządysz. Odchodzimy.

- Czy wybrano cię, mocny Herilaku, byś mówił za wszystkich?

- spytał z gniewem Kerrick. - Nie przypominam sobie takiego wyboru. Zwrócił się do łowców.

- Czy Herilak mówił w waszym imieniu - czy też macie własne zdanie?

Niektórzy cofnęli się przed jego gniewem, ale sammadar Sorli wystąpił naprzód.

- Mamy własne myśli, rozmawialiśmy. Herilak powiedział prawdę. Nic tu dla nas nie ma. Co mieliśmy zrobić, zrobiliśmy i musimy wrócić przed zimą do naszych sammadów. Ty też musisz iść, Kerricku, twój sammad jest na północy, a nie tutaj.

Armun. Na myśl o niej to miasto zmarłych przestało go interesować. Była jego sammadem, ona i dziecko. Niemal już ustąpił, chciał przyłączyć się do marszu na północ. Lecz za Sorlim był Sanone ze swymi Sasku, nie ruszali się. Kerrick zwrócił się ku nim.

- A co na to mówią Sasku?

- My też rozmawialiśmy i jeszcze nie skończyliśmy. Przybyliśmy dopiero do tego nowego miejsca, jest tu wiele rzeczy do obejrzenia i omówienia - nie spieszy nam się tak bardzo jak Tanu na mroźną północ. Rozumiemy ich, sami jednak szukamy czegoś innego.

- Poczekajmy chwilę - powiedział Kerrick, obracając się ku łowcom. - Musimy usiąść, zapalić i rozważyć wszystko. Musimy zadecydować...

- Nie - odparł Herilak. - Już postanowiliśmy. Wykonaliśmy to, po co tu przybyliśmy. Wyruszamy dzisiaj.

- Nie mogę teraz iść z wami - Kerrick dostrzegł napięcie w swym głosie, miał nadzieję, że nikt go nie dosłyszcy. - Też pragnę wracać. Jest tam Armun, mój sammad, ale nie mogę jeszcze z wami wracać.

- Zaopiekuję się Armun - powiedział Herilak. - Skoro nie chcesz iść z nami, będzie bezpieczna w moim sammadzie do twego powrotu.

- Nie mogę teraz odejść. Jeszcze nie pora, wymaga to namysłu. -Mówił do ich pleców. Decyzja została podjęta, rozmowa skończona. Bitwa została wygrana i łowcy byli znowu wolni. Szli w milczeniu za Herilakiem ścieżką wśród drzew.

Nikt się nie odwrócił, ani jeden Tanu. Kerrick stał i patrzył, aż ostatni zginął mu z oczu.

Czuł, że wraz z nimi odchodzi jakaś ważna jego część. Co zmieniło jego zwycięstwo w porażkę? Miał ochotę pójść za nimi, poprosić ich jeszcze raz, by wrócili, a jeśli nie zechcą, dołączyć do nich w drodze prowadzącej do Armun i wspólnego z nią życia.

Nie zrobił tego jednak. Coś równie mocnego trzymało go tutaj. Wiedział, że należy do Armun, do Tanu, że jest Tanu.

Mimo to rozmawiał z głupim samcem w yilanè, rozkazywał mu w yilanè, czuł moc i potęgę swej pozycji. Czy to możliwe? Czy to zrujnowane miasto jest jego domem, jakiego nigdy nie znalazł wśród sammadów na północy?

Czuł się rozrywany w dwie strony, nie potrafił się zdecydować, mógł tylko stać i patrzeć na puste drzewa, rozdierany przez uczucia, jakich nie rozumiał.

- Kerricku - rozległ się głos, jakby z bardzo daleka. Rozpoznał Sanone. - Jesteś nadal margalusem. Co nam rozkażesz?

W oczach starego człowieka było zrozumienie; mandukto Sasku znali ukryte tajemnice innych. Może lepiej rozumiał skryte uczucie Kerricka aniżeli on sam. Dość. Jest wiele do zrobienia. Musi na razie odsunąć od siebie wszelkie myśli o Armun.

- Będziemy potrzebowali jedzenia - powiedział. - Pokażę wam pola, na których są trzymane zwierzęta rzeźne. Na pewno nie wszystkie spłonęły. I te wszystkie trupy, coś trzeba z nimi zrobić.

- Do rzeki z nimi, nim zaczną się rozkładać - powiedział ponuro Sanone. - Zabierze je do morza.

- Tak, to załatwi sprawę. Wydadz rozkazy. Potem wybierz tych, którzy pójdą ze mną. Pokażę im drogę do zwierząt. Najemy się -a potem będzie wiele do zrobienia.

*belešekesse ambeiguru desguru  
kak'kusarod. murubelek murubelek.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Płynące na grzbiecie  
najwyższej fali mogą jedynie zapaść się  
w największą głębię.

## ROZDZIAŁ II

Gdy tylko uruketo wypłynęło na pełne morze, Erafnaiś nakazała wszystkim, tak członkiniom jak i pasażerom, zejść na dół. Sama jednak pozostała na szczycie płetwy, obmywanej deszczem sztormu, nasunięte na oczy przezroczyste błony chroniły przed zacinającymi kroplami. Między falami ulewy mignęło jej raz spalone miasto, dym bił wysoko w niebo, plaże pozbawione były życia. Widok ten zapadł jej w pamięć, widziała go wyraźnie mimo powrotu deszczu; nigdy go nie zapomni. Pozostała na swym stanowisku aż do zmroku, kiedy to uruketo zwolniło i pchane prądem płynęło bez wysiłku. Miało to potrwać do świtu. Dopiero o zmierzchu znużona Erafnaiś zeszła do podstawy płetwy, gdzie spędziła całą noc. Przespała ją na opustoszałym miejscu sterniczki.

Gdy światło brzasku poszarzyło krąg widokowy nad głową, Erafnaiś zdjęła płaszcz senny i z trudem wstała.

Z bólem od starej rany na plecach wspinała się powoli do stanowiska obserwacyjnego na wierzchołku płetwy. Poranne powietrze było chłodne i świeże. Wiatr przegnał już wszystkie chmury wczorajszego sztormu, zostawiając czyste, jasne niebo. Płetwa zadrzała od szarpnięcia się uruketo, z nastaniem świtu olbrzymie stworzenie zaczynało płynąć szybciej. Erafnaiś zerknęła w dół, sprawdziła, czy sterniczka jest na swoim miejscu, i ponownie spojrzała na ocean.

Bryzgi piany przed wielkim pyskiem wskazywały, iż płynęła tam para towarzyszących im enteesenatów. Wszystko było jak należy...

A jednak nie wszystko. Powstrzymywane przez Erafnais w czasie snu ponure myśli wypłynęły znowu, załaty ją. Zacisnęła mocno kciuki na grubej skórze uruketo; wbiła w nią ostre pazury stóp. Przy jej pomocy Inegban\* przybył wreszcie do Alpèasaku, miasto się wzmocniło. I zginęło w jeden dzień. Patrzyła na to, nic nie rozumiejąc; w całym swym życiu nigdy nie słyszała o ogniu. Teraz wiedziała o nim wszystko. Jest gorący, bardziej pali od słońca, trzaska, ryczy i śmierdzi, dławiąc podchodzących zbyt blisko, rozjaśnia się najpierw, by potem zmroczyć. I zabił miasto. W dole leży garstka ocalałych, cuchnących ciągle czernią dymu. Pozostałe Yilanè i fargi zmarły wraz z miastem, leżą martwe w spalonym grodzie. Zadrzała i spojrzała bystro naprzód. Bała się oglądać, aby nie ujrzeć znów tego strasznego miejsca. Gdyby była w mieście, zginęłaby z innymi, bo oczywiście te, których nie pochłonął ogień, zmarły po śmierci Alpèasaku.

Teraz jednak musi się zająć innymi problemami. W dole jest uczona Akotolp, trzymająca ciągle rękę samca, którego zawlokła na brzeg. Potem jednak przestała się ruszać, siedzi ciągle jak sparaliżowana, nie odpowiadając na pytania. Tkwi tak nieczuła na jęki i skargi samca, który chce, by go puścić. Co należy z nią zrobić? A co z innymi na dole, które nie umarły? Co trzeba uczynić? Musi wreszcie zastanowić się nad tamtą. Nad tą, której imienia nikt nie wymienia.

Erafnais wzdrygnęła się i cofnęła, gdy Vaintè wspięła się na płetwę. Wydawało się, że wezwwała ją swymi myślami - ostatnią osobę, którą pragnęłaby ujrzeć w ten jasny poranek.

Nie okazując, iż zauważyła obecność dowódczym, Vaintè przeszła na tył płetwy i spojrzała na wzburzony kilwater. Erafnais czuła, co tamta czyni, i nie bacząc na swe obawy, obejrzała się także, wpatrując w horyzont. Był ciemniejszy niż w innych kierunkach, może od resztek nocy, czy sztormu, na pewno nie był to ląd i miasto. Było za daleko, by je dojrzeć. Jedno oko Vaintè zwróciło się w stronę Erafnais; ta przemówiła:

- Wszedłaś na statek w milczeniu, Vaintè, i trwasz w nim stale. Czy one zginęły?
- Wszystkie zginęły. Podobnie jak miasto.

Pomimo tych przerażających słów Erafnais spostrzegła, jak dziwnie mówi Vaintè. Nie jak wyższa do niższej, czy nawet równa do równej, lecz głucho i bez uczuć, co było zaskakujące.

Wydawało się, że jest sama, że nie ma wokół niej nikogo, że głośno myśli.

Erafnais chciała zachować milczenie, ale mimo to odezwała się, pytanie wypłynęło z niej jakby wbrew woli.

- Ogień - skąd wziął się ogień?

Sztywna maska Vaintè zniknęła w jednej chwili, jej ciałem targnął nie ukrywany wstrząs, tak szeroko rozwarła usta, wyrażając tym nienawiść-śmierć, iż słowa jej dobiegały stłumione i splątane.

- Przyszły ustuzou... ustuzou ognia... nienawistne... nienawistny. Śmierć. Śmierć. Śmierć.

- Śmierć - padło szorstkie słowo, dłonie poruszały się w zwrotnej pozie odebrania-sobie. Do Erafnais dotarł tylko dźwięk, bo Enge wspięła się za jej plecami. Vaintè widziała ją jednak, zrozumiała dobrze znaczenie i odpowiedziała z jadem w każdym ruchu.

- Córo Śmierci, powinnaś ze swoimi zostać w tym ogniu-mieście. Najlepsze ze zmarłych Yilanè zasługiwały na to, by być na waszym miejscu.

W gniewie mówiła, jak równa do równej, jak efenselè. Gdy dorasta się w morzu z innymi, wynurza się razem ze swą grupą, efenburu, wówczas jest to równie oczywiste, co powietrze, którym oddychamy. Na całe życie jest się efenselè dla innych z efenburu. Enge jednak odrzuciła to.

- Masz słabą pamięć, niższa. - Powiedziała to w najbardziej ob-raźliwy sposób, jak najwyższa z wysokich do najniższej z niskich. Stojąca między nimi Erafnais jęknęła z przerażenia, wycofała się z piersią najpierw jaskrawo czerwoną, a potem pomarańczową. Vaintè cofnęła się jak po uderzeniu. Enge była bezlitosna.

- Wyrzekłam się ciebie. Twa hańba wisi na mnie, odrzucam cię jako efenselè. Zuchwała ambicja zabicia ustuzou Kerricka, wszystkich ustuzou spowodowała zniszczenie dumnego Alpèasaku. Rozkazałaś nędznej Stallan zabić me towarzyszkę. Od jaja czasu nie było nikogo takiego jak ty. Nie powinnaś była nigdy wynurzyć się z morza. Gdyby całe me efenburu, łącznie ze mną, zginęło tu, w mokrej ciszy, byłoby to lepsze od tego.

Skóra Vaintè rozgorzała wściekłością, lecz szybko ściemniała, gdy słowa Enge umilkły. Gniew płonął teraz wewnątrz niej, wykorzysta go w razie potrzeby - nie zmarnuje go przeciwko tej niskiej, która była kiedyś jej równa.

- Zostaw mnie - powiedziała i odwróciła się w stronę pustego morza.

Enge odwróciła się również, oddychając głęboko. Wstydziła się tego nieokiełznanego wybuchu. Nie w to wierzyła, nie tego nauczała inne. Z wielkim wysiłkiem uspokoiła ruchy swych kończyn, płonące barwy piersi i wnętrza dłoni. Dopiero gdy zastygła jak kamień, równie obojętna co Vaintè, pozwoliła sobie na słowa. W dole członkinie załogi kierowały uruketo przez morze; tuż poniżej stała ich dowódczyni. Enge wychyliła się w głąb statku i odezwała się z przyzwaniem uwagi:

- Od idącej w ślad do prowadzącej, czy Erafnais ucieszy mnie przyjsciem tutaj?

Erafnais wspięła się z wahaniem, widziała milczącą Vaintè, odwróconą plecami i wpatrującą się w morze. - Jestem tu, Enge - powiedziała.

- Moje podziękowania i wdzięczność mych towarzyszek za ocalenie nas przed zniszczeniem. Dokąd zmierzasz?

- Dokąd? - Erafnais powtórzyła pytanie i poczuła wstyd. Była dowódczynią, a dotąd nie pomyślała wcale o celu podróży. Zaskoczona, zabrała złe wrażenie z nieznacznymi ruchami przeprosin.

- Umknęłyśmy w morze przed ogniem, płyniemy jak zawsze na wschód, do Entoban\*. Zrobiłyśmy to w panice ucieczki, a nie na mądry rozkaz.

- Porzuć wstyd, bo ocaliłaś nas wszystkie i czuję wyłącznie wdzięczność. Naszym celem musi być Entoban\* Yilanè. Ale które miasto?

- Moje rodzime. Gdzie przebywa me efenburu, gdzie to uruketo po raz pierwszy wypłynęło na morze. Ikhalmenets otoczony--morzem.

Wpatrując się nadal w spienione fale, Vaintè jednym okiem spojrzała na rozmawiające. Poprosiła o uwagę, lecz tylko Erafnaís patrzyła na nią.

- Ikhalmenets - wyspy nie leżą w Entoban\*. Proszę pokornie o rejs do Mesekei.

Erafnaís okazała zrozumienie prośby, ale też zdecydowanie, choć uprzejmie potwierdziła swój wybór. Vaintè zrozumiała, że nie da się

zmienić tego celu i zamilkła. Dotrze tam w inny sposób - bo musi się tam znaleźć. Mesekei był wielkim miastem nad szeroką rzeką, bogatym, kwitnącym i leżącym daleko od chłódów północy. Co ważniejsze - bardziej niż inne miasta wsparł ją w wojnie z ustuzou. Przeszłość wydawała jej się zamglona i nieprzejrzysta, w zdrętwiąłym umyśle nie znajdowała żadnego pomysłu na życie. Musi jednak nadejść dzień, gdy mgła się podniesie i znów będzie mogła myśleć o przyszłości. Lepiej wtedy być w mieście pełnym przyjaciół. W Ikhalmenets są i inne uruketo; znajdzie jakiś sposób.

Tam ma towarzyski - tu tylko wrogów. Ciągłe żyje Enge i jej Córy Śmierci, podczas gdy zginęły wszystkie inne Yilanè tak bardzo zasługujące na życie. Nie powinno tak być - i nie będzie. Tu, na morzu, nic nie da się zrobić. Była sama przeciwko wszystkim; nie mogła oczekiwać pomocy od Erafnaís i członkiń jej załogi. Na brzegu wszystko to ulegnie zmianie. W jaki sposób tego dokona? Myśli jej zaczęły teraz krążyć żywiej, ukryła je pod sztywnością ciała.

Enge dała dowódczym z szacunkiem do zrozumienia, że odchodzi. Po osiągnięciu dna płetwy obejrzała się na nieruchomą postać Vaintè, przez moment wydało się jej, że widzi, jak pracuje umysł tamtej. Zły, mroczny i śmiertelnie groźny. Ambicja Vaintè nigdy się nie zmieni, nigdy. Myśli te tak głęboko przeniknęły Enge, iż zamarła, mimo że próbowała zapanować nad swym ciałem. Widoczne to było nawet w przytłumionym, fosforencyjnym blasku. Oderwała się od tych rozważań i ruszyła wolno przez półmrok. Minęła nieruchomą Akotolp i jej nieszczęsnego towarzysza, doszła do małej grupki tłoczącej się pod ścianą. Akel wstała i zwróciła się ku Enge - potem cofnęła się, gdy ta podeszła.

- Kierowana-do-kierującej, Enge, jakaż to troska wpływa na twoje ruchy, że aż przestraszyłam się śmiertelnie, gdyś podeszła bliżej?

Enge zatrzymała się i przeprosiła.

- Lojalna Akel, me uczucie nie jest skierowane przeciw tobie ani przeciw żadnej z was. - Spojrzała na cztery pozostałe Córy Życia i pozwoliła swemu ciału okazać, jaka jest rada z ich towarzystwa. -Kiedyś było nas wiele. Teraz zostało tylko parę, tak iż każda z was jest dla mnie droższa aniżeli tłum. Ponieważ przeżyliśmy, choć zginęły wszystkie inne, uważam, iż nakłada to na nas misję - i daje siłę jej wypełnienia. Pomówimy o tym kiedy indziej. Najpierw musimy zrobić co innego. - Trzymając kciuki przy piersi przekazała gest słuchające-uszy, patrzące-oczy. - Rozpacz, z jaką tu przyszłam, nie jest moja. Teraz zastanowię się nad przyczyną tej rozpacz.

Poszukała ciemnego kąta za pęcherzami z mięsem, gdzie trudno ją było dostrzec, potem położyła się twarzą ku żywej ścianie uruketo i zmusiła swe ciało do sztywengo bezruchu. Dopiero po dokonaniu tego pozwoliła swym myślom powrócić do Vaintè. Głęboko ukrytym myślom, które nie odbijały się w zewnętrznym zastygnięciu.

Vaintè. Ogromnie nienawidząca. Wyzwolona z uczuć do swej byłej efenselè, Enge mogła ją wreszcie ujrzeć taką, jaką była. Mroczna potęga zła. Gdy to zrozumiała, pojęła jasno, iż pierwsze jej działanie zostanie skierowane przeciw Enge i jej towarzyszkom. Żyły, podczas gdy wszystkie inne zmarły. Całe Ikhalmenets zacznie o tym mówić, co nie będzie korzystne dla Vaintè. Dlatego z równania zawierającego przyczynę i skutek wyniknie śmierć.



Nic nie może być od tego prostsze.

Znanej groźbie można zapobiec, przeciwstawić się niebezpieczeństwu. Musi ułożyć plany. Pierwszy jest najłatwiejszy. Przeżycie. Poruszyła się, wstała i poszła do innych. Akel i Efen powitały ją, lecz Omal i Satsat spały, pogrążyły się stanie letargu, w jakim spędzą długi, ciemny rejs.

- Obudźcie się, proszę, musimy pomówić - powiedziała Enge i poczekała, aż tamte się rozruszają i zaczną słuchać. - Nie możemy się spierać, dlatego proszę o ustępliwość i posłuszeństwo. Czy zrobicie to, o co poproszę?

- Mówisz za nas wszystkie, Enge - oznajmiła prosto Omal, a pozostałe skinęły potwierdzająco.

- Powiem wam więc, co uczynimy. Gdy cztery będą spały, jedna musi zawsze czuwać - bo jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie. To musimy zrobić. Gdy jedna zaśnie, drugiej nie wolno pogrążyć się w śnie. Jedna będzie zawsze siedziała obok śpiących. Patrzyła, aż wszystkie przekazały zrozumienie i zgodę.

- No to wszystko w porządku. Teraz zaśnijcie, me siostry, pozostanę rozbudzona przy waszym boku.

Enge siedziała w nie zmienionej pozycji, gdy po jakimś czasie Vaintè zeszła z płetwy. Przez jej ciało przebiegła fala nienawiści, na widok czujnych oczu Enge. Ta nie odpowiedziała na to - ale też się nie odwróciła. Łagodność jej spojrzenia jeszcze mocniej rozgniewała Vaintè, tak iż aby się uspokoić, musiała położyć się daleko, odwrócona plecami.

Rejs przebiegł szybko i bez żadnych wydarzeń, wszystkie na pokładzie były tak wstrząśnięte śmiercią Alpèasaku, iż szukały w śnie ucieczki przed przerażającymi wspomnieniami. Budziły się jedynie na posiłki, zasypiając ponownie po zaspokojeniu głodu. Jednakże zawsze czuwała bacznie jedna z piątki.

W chwili gdy dostrzegły ląd, Enge spała, zostawiła jednak odpowiednie polecenia.

- Tam są zielone drzewa wybrzeża Entoban\* - powiedziała Satsat, dotykając lekko Enge, by ją obudzić.

Enge wyraziła wdzięczność, a potem czekała w milczeniu, aż dowódczym pozostanie sama na szczycie płetwy. Wówczas podeszła do niej, razem spoglądały w milczącym podziwieniu na linię białego przyboju na tle zielonej dżungli.

- Pokorna prośba o wiedzę - zasygnalizowała Enge, a Erafnais okazała zgodę. - Patrzymy na brzeg ciepłego, wiecznego Entoban\*, czy jednak wiadomo, jaką część jego wybrzeża widzimy?

- Jesteśmy gdzieś tu - powiedziała Erafnais, trzymając mapę sztywno rozciągniętą między kciukami jednej ręki, drugą odmierzając odległość od brzegu. Enge przyjrzała się uważnie.

- Musimy płynąć wzdłuż brzegu na północ - powiedziała Erafnais - minąć Yebéisk i dotrzeć do wyspiarskiego miasta Ikhalmenets otoczonego-morzem.

- Czy zostanie to poczytane za bezczelność, jeśli poproszę dowódczynię o pokazanie Yebeisku-o-ciepłych-plażach?

- Wiadomość zostanie przekazana.

Minęły jeszcze dwa dni, nim osiągnęły miasto. Yebéisk zainteresował również Vaintè, stała na jednym końcu płetwy, a Erafnais z Enge na drugim. Przed wieczorem minęły wysokie drzewa i złote łuki piaszczystych plaż otaczające miasto. Widać było wracające po codziennym połowieniu drobne sylwetki łodzi rybackich. Mimo poprzedniej ciekawości Enge zwróciła na nie dziwnie mało uwagi. Rzuciwszy jedno długie spojrzenie, przekazała wdzięczność za informację i zeszła na dół. Gdy mijała Vaintè, ta pozwoliła sobie na wściekły, nienawistny rzut oka, a potem znów wpatrzyła się w brzeg.

Rankiem, słuchając załogantki zwracającej się do dowódczym,

nie była w stanie opanować drgawek ciała wywołanych szarpającym nią gniewem. Powinna była

sic domyśleć - powinna była.

- Odeszły, Erafnaiś, cała piątka. Gdy wstałam, zobaczyłam, że miejsce ich snu jest puste. Nie ma ich w uruketo ani na płetwie.

- Nikt nic nie dostrzegł?

- Nikt. Moim obowiązkiem jest obudzić się pierwszą, by stanąć na straży. To zagadka...

- Wcale nie! - krzyknęła głośno Vaintè, inne odsunęły się od niej. - Jediną zagadką jest to, dlaczego nie domyśliłam się, co nastąpi. Wiedziały, że w mieście Ikhalmenets nie czeka je nic dobrego. Poszukały schronienia w Yebéisku. Zawróć, Erafnaiś, popłyn tam natychmiast.

W głosie Vaintè brzmiał rozkaz, władza biła z postawy jej ciała. Erafnaiś nie okazała jej jednak posłuszeństwa, trwała w nieruchomym milczeniu. Patrząc, słuchające członkinie załogi zeszywniały, wszystkie oczy zwrócone były na jedną i drugą. Vaintè zasygnalizowała ponaglenie, posłuszeństwo i gniew, wisiała nad mniejszą dowódczynią jak niszycielska chmura burzowa.

Zgarbiona, powłócząca nogami Erafnaiś okazała swą wolę. Na pewno nie wypływało to z błahych przyczyn. Enge była dla niej miła, nigdy jej nie obraziła - mało też wiedziała o Córach Życia, jeszcze mniej o nie dbała. Była jednak przekonana, że dość już zabijania. A z każdego jadowitego ruchu Vaintè wyzierała bez osłonek śmierć.

- Popłyniemy dalej. Nie zawrócimy. Dowódczym nakazuje pasażerce oddalić się.

Potem odwróciła się i odeszła, ledwo skrywając w ruchach poczucie przyjemności i wyższości.

Vaintè stężała z gniewu, sparaliżowana niemocą. Nie dowodziła tu - nigdzie nie dowodzisz - tłukło się jej ponuro w myślach, nie mogła też użyć przemocy. Załogantki by na to nie pozwoliły. Skupiła się na milczącej, wewnętrznej walce z własnym gniewem. Musi zapanować logika; musi zwyciężyć chłodne rozumowanie. To, że teraz nie może absolutnie nic zrobić, było niezaprzeczną prawdą. Enge ze swymi zwolenniczkami uciekła jej na razie. To bez znaczenia. Za jakiś czas spotkają się ponownie i wówczas dokona się sprawiedliwość. Nie można też teraz nic zrobić z dowódczynią uruketo. To też zbyt błaha sprawa, by ją roztrząsać. Powinna pomyśleć o rzeczonym mieście Mesekei i ważnych zadaniach, jakie ma tam do spełnienia. Aby osiągnąć swe cele, musi starannie planować ruchy, a nie kierować się ślepym gniewem. Przez całe życie trzymała go na wodzy, rozmyślała teraz nad odzyskaniem tej mocy. To przez ustuzou, one zniszczyły jej spokój, zmieniły w istotę nieopanowanej pobudliwości. Dokonał tego Kerrick ze swymi ustuzou. Nie może o tym zapominać. W przyszłości musi zawsze panować nad swym gniewem, w każdych okolicznościach. Z jednym wyjątkiem. Szczególną nienawiścią jest nienawiść nabierająca w ukryciu siły. Pewnego dnia ją wyzwoli.

Gdy doszła do tych wniosków, opadło z niej trochę napięcie, znów panowała nad swym ciałem. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że została sama. Erafnaiś była na płetwie wraz z mającymi wachtę członkiniami załogi. Reszta tkwiła w odrętwieniu lub spała. Vaintè spojrziała tam, gdzie spała Enge ze swymi zwolenniczkami, było to już dla niej wyłącznie puste miejsce. Tak powinno być. Znów panowała nad swym ciałem i uczuciami. W mroku za nią coś się poruszyło, wyraźnie posłyszała dźwięki zapraszające do rozmowy. Dopiero wtedy przypomniała sobie o grubej uczonej i samcu. Podeszła do nich.

- Pomóż bezradnemu samcowi, wielka Vaintè - błagał więzień, wiercąc się w niesłabnącym uchwycie Akotolp.

- Znam cię z hanalè - powiedziała Vaintè, rozbawiona kwileniem. - Jesteś Esetta, śpiewak - prawda?

- Vaintè jest pierwsza we wszystkim, bo pamięta, jak każdy się nazywa, od najmniejszego do największego. Ale teraz biedny Esetta nie ma o czym śpiewać. Ciężka, która teraz mnie trzyma,

wywlokła mnie z hanalè, ciągnęła przez smrody i mgłę, w której ciężko było oddychać. Omal nie utonąłem w drodze do uruketo, a teraz jej nierozzerwalny uchwyt sprawia mi wielki ból. Błagam usilnie, pomów z nią, każ jej uwolnić mnie, nim umrze ramię.

- Czemu dotąd nie umarłeś? - spytała Vaintè z brutalną otwartością. Esetta skurczył się i zaskomlał.

- Och, wielka Vaintè - czemu pragniesz śmierci kogoś tak nieważnego?

- Nie pragnę, ale inne zmarły. Dzielne Yilanè. Porzucone przez zmarłe miasto zginęły wraz z nim.

Mówiąc to Vaintè poczuła miazdzącą falę lęku. Umarły - lecz ona żyje. Dlaczego? Powiedziała lojalnej-martwej Stallan, że to

z powodu nienawiści dla ustuzou. Czy rzeczywiście? Czy to dostateczna przyczyna pozostania przy życiu tam, gdzie zmarły wszystkie inne? Gdy zalewały ją te mroczne myśli, spojrzała na Akotolp i po raz pierwszy zauważyła, czego doświadcza uczona. Wątpliwe-życie, uniknięcie-śmierci. Akotolp pracowała w wielu miastach, nie czuła więc niszczącej życie lojalności do żadnego z nich. Była jednak uczoną, wiedziała, iż śmierć z odrzucenia może nastąpić w jednej chwili, na tym więc polegała jej zażarta, milcząca walka. Mocą swej woli utrzymywała się przy życiu.

Świadomość tego przydała sił Vaintè. Jeśli ta grubaska może żyć tylko dzięki woli, to ona, mająca siłę woli eistaa może żyć, przetrwać - i sięgnąć raz jeszcze po panowanie. Nic nie jest dla niej niedostępne!

Przed niewidzącymi oczyma Akotolp, przerażonymi żrenicami samca, Vaintè wzniosła zaciśnięte dłonie w pełnym mocy geście zwycięstwa, tupiała mocno wysuniętymi pazurami po sprężystej podłodze. Do jej świadomości dotarł jęk przerażenia, spojrzała w dół z rosnącym zadowoleniem na skulonego Esetę; natychmiast naszła ją ochota, by go posiąść.

Pochyliła się i silnymi kciukami rozluźniła palce uczonej wokół nadgarstka samca. Jego powtarzane ciągłe podziękowania przeszły szybko w jęczenie, gdy rozciągnęła go na plecach, boleśnie wzbudziła i dosiadła brutalnie.

Zesztywniałe mięśnie Akotolp nie wykonały najmniejszego ruchu - lecz bliższe oko przesunęło się powoli, by spojrzeć na splecioną parę. Skamieniała twarz pozostała nieodgadniona.

Vaintè zapadła następnie w głęboki sen, tkwiła w letargu aż do następnego ranka. Po obudzeniu się pierwszą postacią, którą ujrzała, była gruba uczona wspinająca się z zadyszką na płetwę. Vaintè rozejrzała się, lecz nie dostrzegła nigdzie samca; na pewno kryje się przed nią. Myśl ta rozbawiła ją trochę, poruszyła się i rozbudziła, podniecona wspomnieniem Esetty. Uruketo zakołysało się na większej fali i strumień jasnego światła zalał wnętrze. Słońce było ciepłe, przyzywające, i Vaintè obudziła się do końca.

Wstała ziewając i przeciągając się. Dognało ją słońce: weszła na płetwę, powoli wspięła się na jej szczyt. Stała tam Akotolp, w jasnym świetle jej oczy tworzyły pionowe szparki na okrągłej twarzy. Zerknęła na Vaintè i okazała radość z jej obecności.

- Chodź pływać się w słońcu, miła Vaintè, czerpać z niego przyjemność, gdy będę ci dziękować.

Vaintè przyjęła zaproszenie, wyraziła gestem przyjemność i zapytała o powód. Akotop splotła grube kciuki w sposób świadczący o odprężonym-koleżeństwie i powiedziała:

- Dziękuję ci, mocna Vaintè, bo twój przykład przyczynił się do uratowania mego życia. Logika nauki rządzi mym istnieniem, lecz wiem też aż za dobrze o znaczeniu ciała, nie zważającego na polecenia mózgu. Wiedziałam, iż rozkaz eistai może wyzwolić u Yilanè zmiany metaboliczne, które spowodują jej pewną śmierć. Potem widziałam wraz ze śmiercią wszystkich w tragicznym Alpèasaku, że również zagłada miasta może rozpocząć taką reakcję. Gdy to zrozumiałam, zaczęłam

bać się o siebie, że pomimo mej wielkiej wiedzy, sama też doznam śmiertelności wstrząsu. Pomogło mi trwanie przy życiu samca. Skoro on żyje, to mogę i ja. Dlatego to ścisnęłam go mocno, walcząc o przetrwanie. Potem przyszedł, zabrał mi go. Odzyskałam wówczas świadomość i wzrok. Ujrzałam cię triumfalnie żywą, tak samiczą, iż dodało mi to siły. Wiedziałam już, że uniknęłam śmierci. Dziękuję ci za życie, mocna Vaintè. Jest teraz twoje, możesz nim dysponować; jestem twą fargi, zrobię, co rozkażesz.

W tej chwili następna długa fala zakolebała uruketo, rzucając w bok pulchną postać Akotolp. Vaintè chwyciła ją za rękę, chroniąc przed upadkiem. Przytrzymała uczoną, wyrażając szczerą podziękowanie równej wobec równej.

- Teraz ja dziękuję tobie, wielka Akotolp. Mam wiele do zrobienia i długą drogę do przebycia. Potrzebna mi pomoc. Przyjmuję cię jako pierwszą towarzyszkę w tym, co muszę osiągnąć.

- Sprawia mi to radość, Vaintè, czekam na twe polecenia.

Zachwiały się razem, gdy uruketo wspięło się na wielką falę. Jakiś cień przesłonił na mgnienie oka słońce. Spojrzały w górę i Akotolp okazała radość-z-widoku.

Rzeczywiście było czym sycić oczy. Mijały ujście wielkiej rzeki, obramowanej po obu brzegach żółtawozieloną dżunglą. W miejscu zetknięcia się rzeki z oceanem powstawały wysokie fale, kłębiły się i pieniały. Łowiły tam ryby niezliczone ilości estekel\*. Wpadały na fale ze zwiniętymi wielkimi, pokrytymi sierścią skrzydłami, długie dzioby zanurzały głęboko, pozostawiając nad wodą jedynie kościste występy na tyłach głów. Inne powoli krążyły wyżej, po morzu przemykały szybko ich cienie. Ochryple krzyki tych stworzeń stawały się coraz głośniejsze, gdy uruketo wpłynęło między nie.

- Widzisz, jak rzucają się w powietrze - zawołała z radością Akotolp. - Badałam te zwierzęta. Gdybyś się im przyjrzała, dostrzegłabyś, że rozpiętość ich skrzydeł jest zbyt wielka, a długość nóg zbyt mała, by mogły wzlecieć poza ujściem. Tworzą się tu wysokie fale napierające na wiatr, a nie uciekające przed nim estekel\*, po zjedzeniu swej zdobyczy startuje z grzbietu fali ustawiony pod wiatr - tak unosi się w powietrze. Wspaniałe!

Vaintè nie podzielała entuzjazmu uczoną dla tych śmierdzących rybami, pokrytych sierścią, latających stworzeń. Nurkowały za blisko, ich wrzaski raziły uszy. Zostawiła Akotolp, zeszła na dół i pomimo kołysania zapadła znów w głęboki sen. Spędziła tak resztę drogi; tkwiła w nieruchomym letargu, gdy Erafnais przysłała załogantkę z wiadomością, że osiągnęły swój wyspiarski cel i wkrótce przybędą do Ikhalmenetsu.

Vaintè wspięła się na płetwę, by ujrzeć, iż ocean za nimi jest pusty. Większość dnia płynęły z daleka od brzegów Entoban\*, aby dotrzeć do tego archipelagu, zagubionego w ogromie morza. Mijały teraz wielką wyspę z tkwiącymi w jej środku wysokimi górami. Ich szczyty pokrywał śnieg, zasłaniały chmury, siekły strugi deszczu, smutne przypomnienie zimy, będącej wrogiem wszystkich Yialnè. Te skaliste wyspy leżały zbyt daleko na północ, jak na gust Vaintè, myśl ta zmroziła ją, zapragnęła wyjechać stąd, najszybciej jak tylko można.

Ale czy powinna? Zbliżały się teraz do otoczonego morzem Ikhalmenetsu, miasta zamkniętego od tyłu zieloną dżunglą, otoczonego z boków plażami o żółtym piasku, za którymi wznosiła się wysoka, zwieńczona śnieżnym szczytem góra. To ich cel. Patrzyła na pokryte śniegiem wierzchołki, wpatrywała się w nie bez ruchu, ze sztywnym ciałem, pozwalając rozwijać się i krzepnąć nowemu pomysłowi. Może przybycie do Ikhalmenetsu nie jest jednak takie złe.

*Es et naudiz igo kala,  
thuwot et freinazmal.*

## POWIEDZIENIE TANU

Jeśli łapiesz dwa króliki naraz,  
nie chwycisz żadnego.

## ROZDZIAŁ III

Zjedli w południe sarnę z zagrody, zabita i wypatroszona przez Sasku. Kerrick poszukał kamieni, obramował nimi ognisko na otwartym miejscu przed hanalè, potem przyniósł z plaży wyrzucone przez fale drewno. Mogli się zatrzymać w każdym miejscu zniszczonego miasta, nie chciał jednak oddalać się od ocalałych Yilanè. Łowcom Sasku brakowało gorącej krwi i szybkich włóczyń Tanu, mimo to nie mógł zostawić ich spokojnie z dwoma samcami. Gdyby nie czuwał, szybko by ich zabito.

Nim wrócili łowcy, wzniecone przezeń ognisko paliło się jasno, gorące, rozżarzone węgle czekały na sarninę. Byli tak głodni, że nie czekali, aż upiekło się do końca, lecz odrywali na wpół surowe mięso i żuli je pracowicie. Kerrick otrzymał wątrobę, do której miał prawo, ale podzielił się nią z Sanone.

- Jest tu wiele nowych rzeczy do obejrzenia - powiedział stary mandukto, dokładnie oblizując zatłuszczone palce, nim wytarł je o swą szatę. - I wiele tajemnic, które należy dokładnie przemyśleć.

Czy wśród trzymanyh tu zwierząt były mastodonty?

- Nie, same murgu, przywiezione zza oceanu.

- Ale przecież jedliśmy sarnę, a to na pewno nie murgu.

- Samy, jak i jelenie, zostały schwytane i wyhodowane tutaj. Lecz w odległej krainie, skąd pochodzą zabite przez nas murgu, żyją tylko one.

Sanone przeżuwał tę myśl - podobnie jak następny kawałek wątroby. - Niechętnie myślę o ziemi, po której chodzą tylko murgu, ale to miejsce za oceanem, o którym mówiłeś, stanowi niewątpliwie część świata stworzonego przez Kadaira, gdy swymi krokami rozdzielał skały. Z kamieni uczynił wszystko, co widzimy i co znamy, uczynił sarnę i mastodonta - oraz murgu. To wszystko nie jest bez przyczyny. Nasze przybycie do tego miejsca ma swój powód. Musimy to wszystko rozważyć, jeśli chcemy dojść do zrozumienia.

Wszystko dotyczące świata poza światem nabierało wielkiego znaczenia, gdy Sanone mówił jako mandukto. Kerrick musiał pomyśleć o bardziej praktycznych sprawach. Należy nakarmić samców w hanalè. A co potem z nimi zrobić? Czemu martwi się nimi? Gdyby się nie wtrącił, umarliby dość szybko - nie zabrakłoby ochotników do uśmiercenia. Żałował tych głupich stworzeń, lecz czuł, że muszą być inne jeszcze powody zatrzymania ich przy życiu. Zastanowi się nad tym później. Teraz muszą zostać nakarmieni. Nie pieczonym mięsem; zapach dymu by ich przestraszył. Wyciął kilka kawałków z nie upieczonej części sarny i przepchał się przez połamane drzwi hanalè. Ciała leżały tam nadal, zaczynały cuchnąć. Muszą być wyniesione przed zmrokiem. Dochodząc do nie spalonych pomieszczeń, posłyszał śpiew, choć same słowa nic mu nie mówiły. Stał nie zauważony w wejściu do komory i słuchał, jak Imehei śpiewa szorstko, na sposób samców. Smutek pieśni przypomniawszy Kerrickowi ten odległy dzień, kiedy to Esetta śpiewał po śmierci Alipola.

One chodzą swobodnie,  
my tkwimy w zamknięciu.  
One pływają się w słońcu,  
my patrzymy w stłumione światło.  
Wysyłają nas na plażę,  
Same nigdy tam nie idą...

Imehei zamilkł na widok Kerericka - potem, gdy zobaczył przyniesione przez niego mięso,

okazał radość-z-jedzenia młodzieńczymi barwami dłoni. Obaj jedli łąpczywie, potężne szczęki i ostre, stożkowate zęby szybko uporały się z posiłkiem.

- Czy znaliście Esetę? - spytał Kerrick.

- Brat-tutaj - odparł szybko Imehei, lecz z większym zainteresowaniem dodał zaraz - więcej-mięsa, zapytanie?

Kerrick zasygnalizował przeczenie, późniejszą porę i zapytał:

- Był tu jeszcze jeden samiec, Alipol, czy jego też znaliście? Był moim... przyjacielem.

- Imehei niedawno przybył z Entoban\* - powiedział Nadaske.

- Inaczej niż ja. Byłem tu, gdy Alipol kierował hanalè, nim nie poszedł na plażę.

- Alipol czynił kciukami rzeczy wielkiej piękności. Znacie je?

- Wszyscy je znamy - wtrącił się Imehei. - Mimo wszystko nie jesteśmy twardzi/okrutni/silni ani nie jesteśmy samicami. Wiemy, co to piękno. - Odwrócił się natychmiast po wypowiedzeniu tych słów i odsunął ozdobne draperie, odsłaniając otwór w ścianie. Wspiąwszy się na czubki pazurów, wyjął z niego drucianą rzeźbę, odwrócił się i pokazał ją Kerrickowi.

Nenitesk - może ten sam, którego pokazał mu Alipol tamtego odległego, ciepłego dnia. Pancierz zawijał się wysoko, trzy rogi były ostre i spiczaste, w oczach lśniły klejnoty. Imehei trzymał go dumnie, podając Kerrickowi. Ten obracał rzeźbę tak, iż łapała światło, Czuł tę samą radość, jakiej doświadczył wówczas, gdy Alipol po raz pierwszy pokazał mu swe dzieło. Z radością zmieszał się smutek - bo Alipol od dawna już nie żył. Stallan wysłała go na plażę na pewną śmierć. Cóż, sama też zginęła; było to pewne pocieszenie.

- Zabiorę to - powiedział Kerrick, co wywołało przerażone gesty samców. Imehei ośmielił się nawet zasugerować w swych ruchach pewną samiczość. Kerrick zrozumiał. Przyjmowali go jako samca, całe miasto wiedziało o jego płci i podziwiał, teraz jednak działał z brutalnością samicy. Spróbował się poprawić.

- Niezrozumienie zamiaru. Chcę wziąć ten przedmiot piękna, lecz musi on pozostać w hanalè, zgodnie z pragnieniem Alipola. Esekasak troszcząca się o hanalè odeszła, dlatego spada to teraz na was. Strzeżcie go i brońcie.

Nie mogli ukryć swych myśli, nawet nie próbowali. Schowani, pozbawieni odpowiedzialności, traktowani jak wyszłe dopiero co z morza, nie potrafiące mówić fargi - czyż mogli być inni aniżeli byli? Teraz pojawiały się nowe myśli. Początkowo odpychali je, potem przyjęli, wreszcie zaczęli okazywać dumę. Ujrzawszy to, Kerrick zaczął pojmować, dlaczego muszą pozostać przy życiu. Nie tylko dla własnego dobra, ale i jego. Dla jego egoistycznych celów. Był Tanu, ale także Yilanè. Przy tych samcach mógł stawić czoła tej prawdzie, a nie uciekać przed nią, wstydić się jej. Gdy mówił z nimi, rozbudzał swe myśli, tę część umysłu, która należała do Yilanè. Nie tylko myślał jak oni, był jak oni.

Oto kim jest: Kerrick z Tanu, Kerrick z Yilanè.

- Macie wodę - przyniosę wam jeszcze jedzenia. Nie opuszczajcie tej komory.

Okazali zgodę i przyjęcie poleceń. Użyli osobistej postawy samca wobec samca. Uśmiechnął się na myśl o ich ukrytej sile. Jedna drobna sugestia, iż postępuje jak samica, ustawiła go szybko na właściwym miejscu. Zaczynał ich lubić, bo zrozumiał trochę, co kryje się pod usługowym zachowaniem.

Odrzucone kości skwierczały w ognisku; najedzeni Sasku drzemali na słońcu. Gdy pojawił się Kerrick, Sanone uniósł głowę, podszedł i usiadł obok.

- Są rzeczy, o których chcę z tobą pomówić, mandukto Sasku - powiedział poważnie Kerrick.

- Słucham.

Kerrick uporządkował myśli, po czym zaczął mówić:

- Dokonaliśmy tego, po co tu przybyliśmy. Murgu zginęły, przestały nam grozić. Weźmiesz teraz swych łowców, wróćcie do waszej doliny i waszego ludu. Ja jednak muszę tu zostać - choć przyczyna tej decyzji dopiero zaczyna być dla mnie jasna. Jestem Tanu, lecz jestem również Yilanè, jednym z murgu, jakie wzniosły to miejsce. Są tu rzeczy bardzo cenne, cenne dla Tanu. Nie mogę odejść nie poszukawszy ich, nie zastanowiwszy się nad nimi. Myślę choćby o śmiercio-kijach, bez których nigdy byśmy nie pokonali murgu. -Umilkł, bo Sanone uniósł rękę, prosząc o ciszę.

- Słucham twych słów, Kerricku, i zaczynam trochę rozumieć liczne myśli, które mnie dręczyły. Moja droga nie była jasna, lecz zaczyna się taką stawać. Rozumiem teraz, że gdy Kadair kształtował świat, przybrałszy postać mastodonta, stawiał mocno nogi na skale, zostawiał w niej głębokie ślady. Potrzeba nam mądrości, by iść nimi. Ślady te przywiodły cię do nas, przyprowadziłeś z sobą mastodonta, by pokazać nam skąd jesteśmy - i dokąd powinniśmy zmierzać. Karognis wysłała murgu, by nas zniszczyły, lecz Kadair obdarzył nas mastodontem, by wskazał nam drogę przed lodowe góry do tego miejsca, abyśmy tu stali się narzędziem jego pomsty. I murgu zostały zniszczone, a to miejsce paliło się, lecz nie wypaliło.

Szukasz tu mądrości, co znaczy, iż podążasz szlakiem mastodonta tak jak my. Pojmuję teraz, że nasza dolina była jedynie postojem na tym szlaku, że czekaliśmy w niej, póki Kadair nie wydepcze nam ścieżki. Pozostaniemy tu i sprowadzimy resztę Sasku.

Kerrick z trudem nadążał za rozumowaniem Sanone, lecz dostrzegł wyraźnie głębię myśli mandukto, znacznie przewyższającego go mądrością, i z radością przyjął jego decyzję.

- Oczywiście, powiedziałeś to, co usiłowałem sam wyrazić. Tu, w Alpèasaku, są rzeczy przewyższające zdolność rozumienia jednego człowieka, choćby żył po stokroć. Twój lud, tworzący ubranie z zielonych roślin, twarde kamienie z miękkiej gliny, zdoła je poznać. Alpèasak nie umrze.

- Czy twe dźwięki i ruchy coś oznaczają? Czy to miejsce ma swą nazwę?

- Zwie się miejsce ciepła, lśnienia - nie wiem, jak dobrze wyrazić to w seseku, może piaski leżące wzdłuż brzegu morza.

- Deifoben, złote plaże. To trafna nazwa. Choć trudno jest czasem pojąć, nawet mnie, wyćwiczonemu w tajemnicach i ich rozplątywaniu, iż te murgu potrafią mówić, że wydawane przez ciebie dźwięki są rzeczywiście językiem.

- Nie jest łatwy do nauczenia.

Kerrick, myślący teraz w Yilanè, nie potrafił ukryć całego swego bólu. Sanone kiwnął ze zrozumieniem głową.

- To także ślad na ścieżce Kadaira - i nie najłatwiejszy do odszukania. Teraz powiedz mi o schwytych murgu. Czemu ich nie zabijamy?

- Ponieważ nie wojujemy z nimi, nie chcą też nas skrzywdzić. Samce, rzadko opuszczające ten budynek, były w istocie więźniami samic. Potrafię z nimi mówić, dają mi... więź odmienną od znanej łowcom. To jednak tylko moje głębokie uczucie. Ważniejsze, że mogą nam pomóc w poznaniu tego miasta, bo bardziej do niego należą aniżeli ja.

- Ścieżka Kadaira; idą nią wszystkie stworzenia, nawet murgu. Przemówię do Sasku. Nikt nie skrzywdzi twych murgu.

- Sanone jest najmędrzy z mądrych i Kerrick składa mu dzięki. Sanone kiwnął głową, przyjmując pochwałę, jako coś mu należnego.

- Teraz pomówię z nimi, aby murgu były bezpieczne. Potem pokażesz mi Deifoben.

Chodzili, dopóki nie stało się zbyt ciemno, by widzieć drogę, wtedy wrócili do miłego ognia przy hanalè. Tego dnia towarzyszący im Sasku podziwiali pola ze zwierzętami, z radością odkryli, że



zginęła tylko drobna ich część. Jedli owoce, aż nasycili się ich sokiem, przyglądali się z lękiem neniteskowi i zbrojnemu w pancerz onetsensatowi, pływali w ciepłych wodach obok złotych piasków. Podczas gdy podziwiali żywy model miasta, nie uszkodzony, mimo iż spłonęła część osłaniającej go przezroczystej powały, Kerrick patrzył ze zdumieniem, jak bardzo miasto się rozrosło przez te kilka lat jego nieobecności. Głowę tak wypełniały mu wspomnienia i widoki, że po raz pierwszy od rozstania z sammadami nie pomyślał ani razu o Armun i obozowisku na śniegu, gdzieś daleko stąd, na północ.

Obozowisko rozbite było w znajomym miejscu w zakolu rzeki. Zbyt wczesne śniegi ponownie zasały ziemię, pokryły lodem rzekę. Stało więcej namiotów aniżeli kiedykolwiek dotąd, lecz mastodonty wszystkich sammadów tworzyły małe stadko. Trąbiły w mroźnym powietrzu i kopały, szukając trawy, której tu nie było. Mimo braku paszy ciała miały jędrne i nie głodowały, bo dostawały porcje zebranych jesienią młodych gałązek. Także Tanu byli najedzeni. Mieli wędzone mięso i suszone kałamarnice, a w potrzebie - nawet zakonserwowane mięso murgu. Dzieci bawiły się na śniegu, przynosiły go w koszach z kory do namiotów, gdzie topiono go na wodę. Życie upływało niezmiennie, choć kobiety, a także dzieci, odczuwały brak łowców. Sammady nie były kompletne. Tak, zostali starcy i garstka młodych, strzegąca sammadów, lecz inni odeszli daleko na południe, gdzie wszystko mogło ich spotkać. Stary Fraken wiązał węzłki na swych sznurkach i wiedział ile dni minęło, odkąd się odłączyli, lecz to nic nie wyjaśniało. Czy dokonali tego, co mieli dokonać?

Czy też wszyscy zginęli?

Ta myśl przelotna, tuż po odejściu łowców, rosła codziennie, aż zawisła nad nimi jak ponura chmura gradowa. Kobiety gromadziły się wokół Frakena, gdy ten grzebał w wypluwkach sów, wpatrywał się w mysie kości, aż mógł z nich odczytać przyszłość. Wszystko idzie dobrze, zapewniał, odnieśli zwycięstwo, wszystko idzie dobrze.

Chciały to usłyszeć, dbały więc, by otrzymywał najbardziej soczysty kawałek pieczeni, odpowiedni dla jego starych zębów. Lecz nocą, w mroku namiotów powracały stare lęki. Łowcy - gdzie są łowcy?

Armun tak bardzo się bała o życie Kerricka, że budziła się nocą, dysząc ciężko, przytulając do siebie dziecko. Obudzony, przestraszony Arnweheet płakał z głodu, nim nie pocieszył się pełną mleka piersią. Nic jednak nie mogło dać pocieszenia Armun, leżącej bez snu, przepelnionej obawami, póki światło nie przedarło się przez skóry. Wracało jej dawne osamotnienie. Chłopiec wskazał ze śmiechem na jej usta. Choć śmiech ten szybko przeszedł w jęk bólu od uderzenia jej śmigłej dłoni, to przywołał dawno porzucone wspomnienia. Nie była tego świadoma, lecz znów chodziła po obozowisku z twarzą zasłoniętą połą sarniej skóry, kryjąc rozszczepioną wargę. Nie znosiła myśli o przyszłości bez Kerricka, zimnej i pustej.

Śnieg padał wiele dni bez przerwy. Przez liczbę dni równą dwóm dłoniom olbrzymie, ciche kłęby przesłaniały wszystko. Gdy słońce wreszcie powróciło, w nowym, białym świecie nie można było znaleźć rzeki. Mastodonty ryczały ze złością, ich oddechy unosiły się ku bladoniebieskiemu niebu białymi obłoczkami, gdy ubijały śnieg nogami. Armun owinęła Arnweeeta w wiele warstw sarniej skóry, nim umieściła go na plecach. Śnieg zasypał cały namiot i musiała przekopać się przezeń, by wyjść. Wynurzały się i inne kobiety, nawołując nawzajem. Żadna nie zawołała Armun. Miejsce dawnej rozpaczki zajął gniew, włożyła dziecko do nosidelka i odeszła od namiotów w poszukiwaniu schronienia przed histerycznymi krzykami, które ją drażniły. Śnieg sięgał jej po pas, była jednak silna, cieszyła się, że opuściła namiot. Na jej plecach gaworzył Arnweheet, równie jak ona radując się z wyjścia na dwór.

Armun szła, póki namioty nie zniknęły za drzewem. Dopiero wtedy stanęła, by złapać dech. Przed nią rozciągała się biała równina, w istocie była to zamarznięta, pokryta śniegiem rzeka. W oddali poruszały się po niej czarne plamki. Nagle pożałowała, że samotnie wyszła tak daleko. Nie miała żadnej broni, nawet noża. Zresztą nawet z nim nie dałaby rady głodującym drapieżnikom. Zbliżały się, odwracała się, by uciec, lecz nagle stanęła.

Było ich coraz więcej, wyciągniętych w jednym szeregu, coraz więcej.

Łowcy! Czy to możliwe?

Patrzyła bez ruchu, jak pdochodzą bliżej, póki nie nabrała pewności, że to łowcy - owinięci w skóry, obuci w śnieżne buty łowców. A ten na przedzie, ogromny, nie może być nikim innym jak Herilakiem. Toruje ścieżkę, prowadzi. Ocieniła oczy, by dojrzeć, gdzie idzie Kerrick, serce jej biło, jakby miało pęknąć. Zaśmiała się głośno i pomachała ręką. Musieli ją dostrzec, bo powietrze przeszył zawodzący krzyk zwycięstwa. Nie mogła się ruszyć, czekała, by podeszli jeszcze bliżej, aż dojrzała oszronioną brodę Herilaka, aż mógł dosłyszeć jej krzyk.

- Kerricku! Gdzie jesteś?

Herilak nie odpowiedział, nie dobiegło jej też żadne powitanie. Zachwiała się, niemal upadła.

- Zginął! Zginęłam! - wrzasnęła, gdy Herilak znalazł się obok.

- Nie. Kerrick żyje, jest zdrow. Zwyciężyliśmy w bitwie.

- To dlaczego mi nie odpowiada? Kerrick! Brnęła w śniegu, wymijając wielkiego łowcę, lecz ten zatrzymał ją jedną ręką.

- Nie ma go tutaj. Nie wrócił z nami. Jest w spalonym mieście murgu. Kazał mi opiekować się tobą w mym sammadzie i zrobię to.

- Kerricku! - zatkała i zaczęła się szarpać w uścisku Herilaka. Bez skutku.

## ROZDZIAŁ IV

W jednej chwili słowa Herilaka rozwiały wszelkie obawy i lęki Armun. „Nie wrócił z nami. Jest w spalonym mieście murgu. Kazał mi opiekować się tobą w mym sammadzie i zrobię to." Było to dostatecznie szorstkie, nie musiała sobie nic wyobrażać. Odwróciła się od łowców w milczeniu i zaczęła brnąć przez śnieg do namiotu. Minęli ją szybko, zaczęli wołać, podchodząc do obozowiska. Gdy dobiegły ich krzyki członków sammadów, przyspieszyli kroku.

Armun słyszała wszystko lecz nie docierało to do niej, bo okrzyki zagłuszone zostały przez jej myśli. Żyje. Żyje. Nie wrócił z innymi, ale musiał mieć po temu ważny powód. Zapyta Herilaka, ale nie teraz, później, gdy opadnie pierwsze podniecenie powitań. Teraz wystarczy jej, że to Kerrick dowodził nimi w bitwie i że ją wygrali. Murgu są wreszcie zniszczone. Skończyła się nie mająca końca walka. Przyjdzie do niej, będą żyli jak inni łowcy. Nie myśląc o niczym innym, radośnie mruzczała, a Arnwheet chichotał błogo na jej plecach.

Później, gdy dziecko zasnęło, wyszła z namiotu i przysłuchiwała się rozgorączkowanym rozmowom kobiet. O tym, jak łowcy spalili miasto murgu, zabili je co do jednego i wrócili zwycięscy. Brnęła ścieżkami wydeptanymi w śniegu, aż doszła do namiotu Herilaka. Stał przed nim, lecz na jej widok chciał wejść do środka. Gdy zawołała, niechętnie się odwrócił.

- Chcę z tobą pomówić, Herilaku. Chcę cię spytać o Kerricka.

- Został w ziemi murgu, powiedziałem ci już.

- Nie powiedziałeś, dlaczego to zrobił, dlaczego nie wrócił z innymi.

- Nie chciał. Może woli być tam z murgu. Może więcej w nim z nich niż z Tanu. Były tam murgu, które przeżyły, nie zabił ich ani nie pozwolił nam tego uczynić. Wtedy odeszliśmy i wróciliśmy tutaj, bo mieliśmy dość tamtego miejsca.

Poczuła się źle, wróciły wszystkie jej obawy.

- Czy powiedział, kiedy wróci...

- Zostaw mnie, kończę rozmowę - powiedział Herilak. Odwrócił się, wszedł do namiotu i zawiązał za sobą jego poły. W Armun gniew przewyciężył strach.

- Ale ja nie skończyłam! - krzyknęła tak głośno, że odwrócili się inni ludzie. - Wyjdź, Herilaku, i opowiedz mi o wszystkim. Chcę się do końca dowiedzieć.

Milczenie łowcy doprowadziło ją do wściekłości i szarpnęła za skóry namiotu. Herilak jednak zawiązał je mocno od wewnątrz. Chciała wykrzyknąć, co myśli o jego postępowaniu, lecz zrezygnowała. Rozbawiłaby tylko gapiów. O tym, co się stało, może dowiedzieć się w inny sposób. Okręciła się w miejscu, a najbliższy stojący łowcy odsunęli się, by uniknąć jej gniewu. Potem ruszyła między namiotami do sammadu Sorliego, zastała go siedzącego przy ognisku z kilkoma łowcami, palili wspólnie kamienną fajkę. Armun poczekała, aż wszyscy się zaciągnęli i fajka została odłożona, dopiero wtedy podeszła bliżej. Nadal kipiał w niej gniew, lecz zdołała się już opanować.

- Słyszałam, jak długa i ciężka była wasza droga, Sorli. Ty i twoi łowcy musicie być zmęczeni, spragnieni odpoczynku. Sorli machnął ręką.

- Łowca niezdolny do pokonania szlaku nie jest łowcą.

- Rada słyszę, że wielki łowca Sorli nie jest zbyt zmęczony, by pomówić z Armun.

Sorli spojrzał na nią zmrużonymi oczami, zdając sobie sprawę, że go podeszła.

- Nie jestem zmęczony.

- To dobrze, bo mój namiot stoi daleko stąd, na śniegu, a jest w nim coś, co muszę ci pokazać.

Sorli rozejrzał się, jakby szukając pomocy, lecz nie znalazł jej. Fajka została zapalona ponownie, żaden z łowców nie patrzył na niego.

- Zgoda, pójdę do twego namiotu, ale jest już późno i mam jeszcze coś do zrobienia.

- Jesteś bardzo uprzejmy dla samotnej kobiety. Nie rozmawiali, póki nie weszli do namiotu.

Zaciągnęła za sobą poły, odwróciła się i wskazała na śpiące niemowlę.

- To chciałam ci pokazać.

- Dziecko... ?

- Syna Kerricka. Dlaczego nie wrócił ze wszystkimi do swego syna, swego namiotu, nie wrócił do mnie? Herilak nie chciał o tym mówić, odwrócił się. Ty mi powiesz.

Sorli rozejrzał się, lecz nie miał szansy uniknięcia rozmowy. Westchnął.

- Daj mi się napić wody, kobieto, to ci powiem. Między Kerrickiem a Herilakiem jest teraz niechęć.

- Masz, napij się. Wiem o tym - musisz mi powiedzieć dlaczego. Sorli otarł usta rękawem.

- Powody są dla mnie nieznane. Powiem ci, co się stało. Spaliliśmy miejsce murgu, a te murgu, których nie pochłonał ogień też zmarły, nie wiem dlaczego. To murgu, a więc nie da się ich zrozumieć. Niektóre uciekły w płynącej-rzeczy. Kerrick rozmawiał z jednym maragiem i nie pozwolił Herilakowi go zabić. Dał mu uciec. Potem znaleźliśmy inne żywe murgu i ich także Kerrick nie pozwolił zabić. Herilak bardzo się rozżłościł, nie chciał tam zostać, pragnął odejść natychmiast. Wiedzieliśmy, że droga powrotna jest długa, dlatego zdecydowaliśmy się wyruszyć.

- Ale Kerrick został. Dlaczego? Co powiedział?

- Rozmawiał z Herilakiem, nie przysłuchiwałem się, nie mogę sobie przypomnieć.

Sorli poruszył się niespokojnie na futrach, pociągnął następny łyk wody. Oczy Armun skrzyły się w świetle ogniska, ledwo nad sobą panowała.

- Musisz lepiej się starać, dzielny Sorli, odważny Sorli. Jesteś dostatecznie silny, by mi powiedzieć, co się stało tamtego dnia.

- Mój język mówi prawdę, Armun. Kerrick powiedział, że trzeba tam coś zrobić. Mało z tego pojąłem. Sasku chyba go zrozumieli, bo zostali po naszym odejściu. Wszyscy wróciliśmy z Herilakiem. Zrobiliśmy to, po co tam poszliśmy. Droga powrotna była długa...

Armun przez chwilę siedziała z opuszczoną głową, potem wstała i otworzyła namiot.

- Dziękuję Sorliemu za powiedzenie mi o tym.

Zawahał się, lecz ciągle milczała. Nie zostało mu nic do dodania. Wyszedł szybko w zapadający zmrok, rad był, że się zwolnił. Armun zamknęła namiot, dorzuciła drew do ognia i usiadła przy nim.

Gniew wykrzywił jej twarz. Jak łatwo ci dzielni łowcy porzucili

Kerricka. Słuchali go w bitwie, a potem zostawili. Skoro zostali z nim Sasku, to musiał i łowców o to prosić. A w mieście murgu musiało zajść coś ważnego, tak ważnego, że poróżniło obu wodzów. Dowie się o tym w swoim czasie. Zima się skończy, wiosną wróci Kerrick. Trzeba poczekać do wiosny.

Armun szukała sobie zajęć, by zima przeszła szybciej, by nie brakowało jej tak bardzo Kerricka. Arnwheet miał już ponad rok, niechętnie przebywał w namiocie. Armun oskrobała i wyprawiła najbardziej miękkie skóry saren, przycięła je i uszyła cienkimi nićmi z jelit ubranko dla chłopca. Gdy inne dzieci w jego wieku nadal wędrowały na plecach matek, on bawił się samodzielnie i tarzał w śniegu. Było w zwyczaju, że karmiono dzieci piersią do czwartego, a nawet piątego roku życia. Arnwheet został niemal odstawiony, nim ukończył dwa lata. Armun nie zwracała uwagi na chmurne spojrzenia i krytyczne uwagi kobiet; przywykła, że traktowano ją jak wyrzutka. Wiedziała, że zazdroszą jej swobody, karmiły dzieci tylko po to, by zapobiec następnej ciąży. Kiedy więc ich dzieci zwisały z nosidełek i ssały palce, Arnweheet rósł silny i prosty, żuł twarde mięso wystającymi ząbkami.

Pewnego słonecznego, mroźnego dnia, gdy jeszcze nie w powietrzu nie zapowiadało wiosny, poszła poza namioty z małym Arn-wheetem, który starał się dotrzymać jej kroku. Oddalając się od sammadów, zawsze zabierała teraz włócznię. Nagle ucieszyła się, że ją trzyma w ręce. Coś zawodziło przed nią wśród drzew. Przewornie wystawiła włócznię. Arnwheet, z rozszerzonymi oczyma trzymał ją za nogę, nie odzywał się, gdy usiłowała dojrzeć, co tam się kryje. Potem dostrzegła odchodzące od ścieżki ślady, które zostawił człowiek. Opuściła broń i ruszyła naprzód. Rozsunęła skrywające kogoś zaśnieżone krzewy. Zobaczyła chłopca, który przestał łkać i zaczął ocierać pokrytą łzami i krwią twarz.

- Znam cię - powiedziała Armun, pomagając mu wytrzeć policzki rękawem. - Jesteś z sammadu Herilaka. Masz na imię Harl? - Chłopiec przytaknął, oczy miał załzawione. - Czy to nie ty przyszedłeś pewnej nocy do mego ogniska, opowiadając o zabitej przez siebie sowie?

Na te słowa zaczął znów płakać, chowając twarz w ramiona. Armun podniosła go łagodnie i strzepnęła śnieg z okrywających go skór. - Chodź do mego namiotu. Musisz się napić czegoś ciepłego.

Chłopiec odsunął się, nie chciał iść, póki Arnwheet nie wziął go ufnie za rękę. Tak wrócili do namiotu; każde trzymało jedną z dłoni Arnwheeta. Tam Armun wsypała słodkiej kory do ciepłej wody i dała Harlowi do picia. Arnwheet też chciał spróbować, lecz wypluł napar, gdy poczuł jego cierpki smak. Potem Armun starła resztki krwi z twarzy chłopca, usiadła i wskazała na zadrapania.

- Co ci się stało?

Słuchała w milczeniu, a Arnwheet drzemał na jej kolanch. Szybko zrozumiała, dlaczego chłopiec zapłakał na wspomnienie sowy.

- Nie wiedziałem, że to sowa. To był mój pierwszy łuk, pierwsza strzała. Wujek Nadris pomógł mi je zrobić. Sammadar Kerrick powiedział, że dobrze zrobiłem, bo ptak, którego zabiłem, nie był prawdziwą sową, lecz należał do murgu i miałem prawo go zastrzelić. Tak było wtedy, ale teraz alladjex mówi, że margalus się mylił. Zabicie sowy źle wróży. Powiedział to memu ojcu, ten mnie zbił i nie pozwolił usiąść przy ognisku, gdy było zimno.

Chłopiec zaszlochał na to wspomnienie. Armun sięgnęła ostrożnie, aby nie obudzić śpiącego dziecka, dała Harlowi garść słodkich jagód i roztartych orzechów. Zjadł to chciwie.

- Zrobiłeś właściwie - powiedziała. - Stary Fraken nie ma racji. Margalus Kerrick zna się na murgu, poznał, że była to sowa murgu, widział, że dobrze postąpiłeś, zabijając ją. Wróc teraz do swego namiotu i powtórz ojcu, co ci powiedziałam. Ze zrobiłeś jak trzeba.

Wiatr się wzmagał, więc po wyjściu chłopca mocno związała poły namiotu. Stary Fraken częściej się mylił, niż miewał rację. Od śmierci rodziców, odkąd została sama, coraz rzadziej myślała o Frakenie, o jego wyczytywanych z sowych wypluwek ostrzeżeniach i przepowiedniach. Kerrick śmiał się z Frakena, z jego wymiocin sów, pomógł jej wyzwolić się z lęku przed starcem. Jest głupi, ograniczony i wywołuje kłopoty, jak teraz z tym chłopcem.

W nocy obudziła się, serce zaczęło jej bić jak młotem na odłos drapania w namiot. Sięgnęła w mroku po włócznię, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Dmuchaając w ognisko rozpałała węgle, dodała świeżych dREW i odplątała połę. Harl wrzucił swój łuk i strzały, po czym wszedł sam.

- Zbił mnie - powiedział z suchymi teraz oczyma. - Ojciec zbił mnie moim łukiem, gdy powiedziałem mu, co usłyszałem od ciebie. Nie chciał tego słuchać. Krzyczał, że Kerrick wiedział wszystko o murgu, bo sam jest na wpół maragiem... - zniżył głos i opuścił głowę... - Jak i ty, powiedział. Potem znów mnie zbił i wtedy uciekłem.

Armun wybuchnęła gniewem; nie chodziło o nią, słyszała gorsze wyzwiska.

- Stary Fraken powinien czytać przyszłość z łajna murgu. Twój ojciec nie jest lepszy, skoro

słucha takich głupot. Gdy nie ma Kerricka, szybko się zapomina, że to on ocalił sammady. Ile masz lat?

- To moja jedenasta zima.

- Dość, by cię bić, za mało, byś został łowcą i oddał. Zostań tu do rana, Harl, aż ojciec zaniepokoi się twą nieobecnością i przyjdzie cię szukać. Powiem mu o murgu!

Armun wyszła rankiem, przeszła się między namiotami, słuchając rozmów kobiet. Niepokoiły się o zaginionego chłopca, łowcy poszli go szukać. „Dobrze - pomyślała - tyją tylko, leżąc wokół namiotów i nic nie robiąc.” Poczekała, aż słońce zawisło nisko nad horyzontem. Wtedy wyszła i zatrzymała pierwszą spotkaną kobietę.

- Idź do namiotu Nivotha i powiedz mu, że znalazł się chłopiec. Harl jest w moim namiocie. Szybko.

Jak przewidywała, kobieta nie poszła na tyle szybko, aby nie opowiedzieć po drodze innym o tej nowinie. Armun wróciła do namiotu i czekała, póki nie usłyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię. Wtedy wyszła, zamykając za sobą poły.

Nivoth miał na policzku szramę po starej ranie, przez co jego twarz wyglądała stale na zachmurzoną. Jego nastrój był podobny.

- Przyszedłem po chłopca - powiedział niegrzecznie. Z tyłu przysłuchiwał się gęstniejący tłum; zima była długa i nudna.

- Jestem Armun, a to jest namiot Kerricka. Jak się nazywasz?

- Odsuń się kobieto - chcę chłopca.

- Czy znów go zbijesz? Czy powiesz, że Kerrick był na wpół maragiem?

- Z tego co wiem, jest całym maragiem. Zbiję chłopaka, bo opowiada bajki, ciebie też zbiję, jeśli się nie odsuniesz.

Nie ruszyła się; Nivoth ją odepchnął. Popełnił błąd. Powinien był pamiętać, co działo się kiedyś, gdy była młodsza i przezywali ją -wiewiórcza twarz.

Uderzyła go pięścią prosto w nos i runął na śnieg. Gdy dźwignął się na nogi, z kapiącą z brody krwią, uderzyła go po raz drugi w to samo miejsce. Spotkało się to z podziwem tłumu i Harla przyglądającego się przez szparkę w rozcięciu namiotu.

Łowcy nie biją kobiet, chyba że swoje, tak więc Nivoth nie wiedział, co dalej robić. Nie miał też wiele czasu do namysłu. Armun dorównywała mu wzrostem, a w gniewie przewyższała siłą. Uciekł pod gradem ciosów. Tłum rozszedł się wolno, żałując, że skończyło się to widowisko.

Stało na tym, że Harl pozostał w jej namiocie i nikt po niego nie przychodził, nie rozmawiano też o nim w obecności Armun. Matka chłopca zmarła poprzedniej głodowej zimy, a ojciec nie okazywał troski o syna. Armun była rada z jego towarzystwa i tak już zostało.

Wiosna przyszła późno, teraz zawsze się opóźniała, a gdy wreszcie strzaskane lody rzeki odpłynęły wielkimi krami, Armun zaczęła wypatrywać na wschodzie Kerricka. Z każdym dniem coraz trudniej przychodziło jej opanowywać zniecierpliwienie. Gdy rozkwitły kwiaty, zostawiła Arnwheta bawiącego się na brzegu z Harlem i poszła szukać Herilaka. Siedział na słońcu przed namiotem, naciągając na łuk świeżą cięciwę z jelit. Szykował się do łowów, których z niecierpliwością wszyscy oczekiwali. Gdy zaczęła mówić, kiwnął tylko głową, nie odrywając oczu od swej roboty.

- Nadeszło lato, a Kerricka nie ma.

Jedyną jego odpowiedzią było chrząknięcie. Spojrzała z góry na schyloną głowę i spróbowała powstrzymać gniew.

- Nadeszła pora, by wyruszyć. Ponieważ nie wrócił do mnie, pójdę do niego. Poproszę

znających drogę łowców, by mi towarzyszyli.

Spotkało się to ponownie z ciszą i miała znów się odezwać, gdy Herilak uniósł twarz.

- Nie - powiedział. - Nie dostaniesz żadnych łowców, nigdzie nie pójdziesz. Jesteś w moim sammadzie i zakazuję ci. Teraz mnie zostaw.

- Zostawię cię! - krzyknęła. - Zostawię ciebie, ten sammad i pójdę tam, gdzie moje miejsce. Powiesz im...

- Powtarzam ci jeszcze raz, byś odeszła - powiedział wstając i pochylając się nad nią. Nie był Nivothem. Nie mogła uderzyć Herilaka, nie usłyszałaby jej. Nie miała już nic do dodania. Odwróciła się na pięcie i poszła nad rzekę, usiadła, patrząc, jak chłopcy bawią się w świeżej trawie. Nie mogła spodziewać się pomocy po Herilaku, prędzej czegoś odwrotnego. Do kogo ma się więc zwrócić? Przyszedł jej na myśl tylko jeden człowiek. Poszła do jego namiotu, zastała go tam samego i odwołała od ogniska.

- Jesteś Ortnar, tylko tyś został z pierwszego sammadu Herilaka, byłeś z nim, zanim wybiły go murgu.

Kiwnął potwierdzająco głową, zastanawiając się, po co tu przyszła.

- To Kerrick uwolnił tego sammadara schwytanego przez murgu. To Kerrick zaprowadził was na południe, gdy zabrakło jedzenia, poprowadził atak na murgu.

- Wiem o tym, Armun. Po co mi to mówisz?

- Wiesz więc także, iż Kerrick został na południu, a ja chcę być z nim. Zabierz mnie do niego. Jesteś jego przyjacielem.

- Jestem jego przyjacielem. - Ortnar rozejrzał się, potem ciężko westchnął. - Mimo to nie mogę ci pomóc. Herilak powiedział nam o twoim zamiarze i stwierdził, że nie pójdziesz.

Armun spojrzała nań z niedowierzaniem.

- Czy jesteś małym chłopcem sikającym w skóry na głos Herilaka? Czy też łowcą, Tanu, czyniącym to co chce?

Ortnar pominął zniewagę, zareagował na nią machnięciem dłoni.

- Jestem łowcą, lecz Herilaka i mnie łączy nadal więź martwego sammadu - nie da się jej zerwać. Nie wystąpię też przeciw Kerrickowi, który był naszym margalusem, kiedy tego potrzebowaliśmy.

- Co więc uczynisz?

- Pomogę ci, jeśli jesteś dość silna.

- Jestem silna, Ortnarze. Powiedz mi przeto, na czym polegać ma pomoc wymagająca ode mnie siły.

- Wiesz, jak zabijać murgu śmiercio-kijem. Widziałem, jak to robiłaś w czasie napaści. Dostaniesz mój śmiercio-kij. Powiem ci też, jak dojść do miasta murgu. Łatwo tam trafić, gdy tylko dojdzie się do oceanu. Gdy znajdziesz się na brzegu, musisz się zdecydować co zrobić później. Możesz tam czekać na powrót Kerricka. Możesz też pójść do niego.

Armun uśmiechnęła się, potem zawołała głośno:

- Posyłasz mnie samą do krainy murgu! Cóż to za wspaniała propozycja! - Jestem dość silna, by temu podołać, dzielny Ortnarze,

widzę też, że jesteś bardzo odważny, narażając się w ten sposób na zemstę Herilaka, który na pewno dowie się o wszystkim.

- Sam mu powiem - stwierdził Ortnar z ponurą determinacją.

Armun zostawiła go, lecz wróciła po zapadnięciu zmroku, by wziąć śmiercio-kij wraz z wszystkimi strzałkami wykonanymi przez łowcę w zimie.

Jej namiot stał z dala od pozostałych, nie chodziła też zbyt często po sammadach, dlatego dopiero po dwóch dniach odkryto, że odeszła.

Łowcy wysłani przez Herilaka na poszukiwania wrócili po kilku dniach z pustymi rękoma. Zbyt dobrze znała las, nie natrafili więc na żaden jej ślad, na żaden ślad.



## ROZDZIAŁ V

- Chcę wam pokazać coś bardzo ciekawego - powiedział Kerrick. - Obaj Yilanè wyrazili zainteresowanie i wdzięczność bez wydawania dźwięku, bo żuli surowe mięso przyniesione im przez Kerricka. - Ale by to zobaczyć, musicie opuścić hanalè,

- Tu bezpieczeństwo i ciepło, tam zimna śmierć - powiedział Imehei, drżąc lekko. Spojrzał na pusty liść i okazał niewielkie pragnienie-więcej-jedzenia, na które Kerrick nie zareagował. Obaj samcy lubili się objadać i mieli skłonność do tycia.

- Nie macie się tam czego obawiać, zapewniam was. Idźcie za mną i nie oddalajcie się.

Szli za nim, najbliżej jak mogli, niemal deptali mu po piętach, rozglądając się jednocześnie przerażonymi oczyma. Na wszystkich spalonych miejscach wyrażali lęk i smutek, trzęśli się z jeszcze większego strachu, gdy mijali łowców, okazywali też samotność na widok pustego miasta. Dopiero po znalezieniu się w pomieszczeniu z modelem poczuli się trochę pewniej.

Model miasta Alpèasak - Kerrick myśląc o nim zawsze używał tej nazwy, choć mówił o nim Deifoben - przedstawiał jego niedawny wygląd. Wyraźnie zaznaczone były wszystkie gaje i pola, choć nic nie wskazywało, co zawierały. Wiele z nich Kerrick pamiętał ze swego pobytu w mieście, niemal wszystkie najbliższe. Podczas gdy teraz badali je Sasku, podziwiając napotykaną cuda, Kerrick chciał poznać części miasta, które wyrosły po jego odejściu. Wskazał na grupę kanałów i mokradeł.

- Idziemy tam. Nie jest to daleko, a wam przyda się trochę ruchu.

Obaj samcy w drodze zapomnieli o obawach, po raz pierwszy rozkoszując się swobodą, przyglądając się fragmentom miasta, o istnieniu których nawet nie wiedzieli. Pola z pasącymi się zwierzętami, bagna, ogrodzone pasma dżungli z innymi stworzeniami, miejscowymi i sprowadzonymi. Krótco po południu doszli do otoczonego groblami mokradła, które zainteresowało Kerricka. Wzdłuż niego prowadziła dobrze wydeptana droga, która dalej wspinała się nasypem na płaski pagórek. Mogli z niego patrzeć na zarośnięte trzcinami bagnisko, za nim leżało małe jezioro. Jakieś zwierzęta poruszały się wśród trzcin, nie mogli jednak poznać, jakie.

- Brak zainteresowania, nudne patrzenie - zasygnalizował Imehei.

- Zadowolenie z towarzystwa, ciepło słońca - powiedział Nadaske, jak zawsze bardziej rozumny z nich obu. Kerrick nie reagował na ich uwagi, bo robili je ciągle, w przeciwieństwie do samic Yilanè, mówiących tylko wtedy, gdy miały coś ważnego do przekazania. Imehei miał jednak rację, nie było tu nic ciekawego. Odwrócił się, by odejść, gdy Nadaske przywołał ich uwagę i wskazał na trzciny.

- Ciekawy ruch, jest tam jakieś stworzenie.

Przyglądali się gadowi wynurzającemu się ostrożnie na skraju mokradła. Był falisty, wężowaty, patrzył na nich drobnymi oczkami. Potem zjawily się następne i jeszcze dalsze. Musiały je przyciągać widoczne na tle nieba sylwetki. Kerrick przyjrzał się teraz uważniej i dostrzegł białe kości na skraju bagna. Może w tym miejscu karmiono gady. Ciągle nie mógł ich poznać. Wygrzebał piętą kamień i zrzucił go do błota na skraju wody. W gorączkowych ruchach najbliższe zwierzęta przepłynęły bliżej, by obejrzeć kamień, potem wycofały się pod osłonę trzcin. Miały faliste zielone ciała, małe tępe oczy, wyglądałyby jak węże, gdyby nie drobne nogi. Na pewno nigdy przedtem ich nie widział - choć wydawały się mu dziwnie znajome.

- Czy je poznajecie? - zapytał.

- Śluzowate, pełzające.

- Niedobre do jedzenia.

Samcy niewiele mu pomogli. Kerrick miał już odejść, odwrócił się, by spojrzeć po raz ostatni. Poznał wtedy - poznał bez żadnej wątpliwości, czym są dziwne stworzenia.

- Wracamy już - rozkazał, schodząc z nasypu.

Po odprowadzeniu samców do hanale Kerrick poszukał Sasku. Znalazł Sanone i podszedł do niego szybko, przerywając powitalne gesty mandukto.

- Musimy natychmiast zdobyć mięso, nie możemy dopuścić do nowej śmierci. A już od wielu dni są bez jedzenia...

- Pomogę ci, Kerricku, jeśli wytłumaczysz mi, o czym mówisz.

- W pośpiechu nie wyraziłem się precyzyjnie. Znalazłem zagrodę, kawałek bagna, z małymi murgu. Musimy je nakarmić i przyjrzeć się im bliżej, ale chyba wiem, czym są. Zgadza się kształt i wielkość. Niedojrzałe hèsotsany. Śmiercio-kije.

Sanone potrząsnął w zakłopotaniu głową. - Te słowa są dla mnie niepojęte, jak wiele rzeczy, które ujrzałem w Deifoben.

- Zrozumiesz to. Murgu nie wytwarzają rzeczy, tak jak my robimy łuki czy warsztaty tkackie. Hodują zwierzęta zaspokajające ich potrzeby. Śmiercio-kije są żywe, wiesz o tym na pewno, bo sam je karmiłeś. Póki jednak są młode, wyglądają tak jak te, które widziałem dzisiaj, są małymi stworzeniami w bagnie. Gdy dorastają, zmieniają się w używane przez nas Śmiercio-kije.

Sanone zrozumiał teraz i z radości klasnął w dłonie. - Mądry-nad-swój-wiek Kerricku, będziesz naszym zbawieniem. Stworzenia, o których mówisz, będą karmione, dorosną i wszyscy dostaniemy broń, która zawsze będzie nam potrzebna, by żyć w świecie pełnym murgu.

- Teraz zaniesiemy jedzenie i przyjrzymy się im bliżej.

Gdy stworzenia wypełzyły na błoto, by chwytać kawałki mięsa, nikt nie miał wątpliwości, że to niedojrzałe hèsotsany. Kerrick czuł, że to, co miasto niegdyś dostarczało ich wrogom, dostaną teraz oni. Sanone zgadzał się z nim, a z każdym odkryciem przyszłość rysowała się im wyraźniej.

Łowcy znaleźli schronienie przed deszczem w jednej z nie spalonych budowli. Wkrótce zresztą deszcze ustały, choć noce były nadal chłodne. Sanone spędzał wiele czasu na głębokich rozmyśleniach, często wychodził, by badać model miasta, a także plastyczną mapę lądu rozciągającego się na zachód od oceanu. W końcu doszedł do pewnych wniosków, na temat których bardzo długo naradzał się z innymi mandukto. Gdy doszli do porozumienia, posłali po Kerricka.

- Podjęto decyzję - powiedział Sanone. - Trudziliśmy się ciężko nad zrozumieniem ścieżki Kadaira i wreszcie wszystko stało się jasne. Rozumiemy teraz, że gdy Kadair, przybrawszy postać masto-donta, kształtował świat, gdy stąpał ciężko po ziemi, zostawiając w litej skale głębokie ślady, zostawił wówczas ścieżkę, którą mogliśmy podążać, lecz brakowało nam mądrości. Jesteśmy jego dziećmi i uczymy się go naśladować. Przyprowadził cię do nas, przywiódł z sobą mastodonta jako przypomnienie, skąd się wywodzimy i gdzie znajduje się nasz cel. Karognis wysłał murgu, by nas zniszczyły, lecz wtedy Kadair obdarował nas mastodonem, który poprowadził przez lodowe góry do tego miejsca, gdzie dokonaliśmy zemsty na tych stworach. Zostały zniszczone, a to miejsce spłonęło. Wypaliło się jednak tylko zło, a całą resztę zostawił nam do wykorzystania. Wiemy teraz, że nasza dolina jest tylko postojem na szlaku, czekaliśmy w niej, aż Kadair wydepcze dla nas nową ścieżkę. Przyszłość leży tutaj. Zbierzemy się dziś wieczorem, wypijemy porro, a Kadair przyjdzie do nas. Potem o świcie najlepsi łowcy znajdą drogę prowadzącą stąd, z Deifoben, wzdłuż oceanu na zachód, drogę okrążającą lodowe góry od południa, drogę, którą szły murgu, by nas napaść. Gdy ją poznamy, przybędzie tu nasz lud, a miejsce to stanie się naszym domem.

Tej nocy Kerrick pił z innymi sfermentowane porro i ponownie poczuł, jak ogarniają go dziwne moce; wiedział, że mandukto są rzeczywiście potężni, a to co robią, jest słuszne. Chciał im to

powiedzieć, z trudem się podniósł. Stał zataczając się i krzyczał ochryple:

- To miasto się odrodzi, będziecie tu, a ja z wami, będziecie tu, a ja będę Tanu i Yilanè, tak samo jak to miasto.

Mandukto zgodził się z tym, zaakceptował sposób, w jaki się poruszał, gdy mówił, choć, oczywiście, nie rozumieli go, bo używał języka Yilanè. Obcy język sprawiał jednak, że jego słowa wydawały się bardziej dobitne.

Następnego ranka Kerrick spał do późna. W głowie mu huczało przy każdym ruchu, dlatego nie otwierał oczu i po raz pierwszy od odejścia łowców na północ pomyślał o Armun. Musi ją tu do siebie sprowadzić. Zrobiło się już jednak za późno - gdyby teraz wyruszył, musiałby wędrować przez śniegi; lepiej poczekać tu w cieple. Także Armun nie mogłaby iść w mrozie. A dziecko, zapomniał o nim, dziecko musi zostać pod osłoną namiotu do końca zimy. Teraz nie może więc nic zrobić. Gdy dni zaczną się wydłużać, pomyśli o tym znowu. Na razie potrzeba mu zimnej wody, by oblać głowę.

Armun obmyśliła swą ucieczkę w najdrobniejszych szczegółach. Wiedziała, że Herilak wysłę za nią szybkich łowców, wiedziała też, że w żaden sposób im nie umknie. Dlatego musi ich przechytrzyć, uciec w sposób, jaki nie przyjdzie im do głowy. Nikt nie zwracał uwagi na jej wychodzenie poza obozowisko, mogła więc powolutku z pomocą Harla wynieść wszystko, co było jej potrzebne. Po dokonaniu tego i zakończeniu przygotowań nadeszła pora odejścia. O zmroku zaciągnęła poły namiotu, wygasila ogień, wszystko wyglądało, jakby położyli się wcześniej spać.

Gwiazda poranna ledwo wychynęła nad horyzont, gdy wstała, wzięła ciągle śpiące dziecko, dała Harlowi do niesienia futra i wyszła w noc. W świetle gwiazd przemknęli cicho między namiotami pograżonych w śnie sammadów, trzymając się wydeptanych ścieżek. Minawszy ciemne kształty mastodontów skierowali się na skaliste wzgórza okalające obozowisko od północy. Wszystko, co było im potrzebne, ukryła w głębokiej szczelinie skalnej pod zwisającym występem.

Pozostali tam trzy dni i trzy noce. Mieli suszone mięso i ekkotaz, zamknięte pecherze z mięsem murgu, a wodę czerpali z pobliskiego strumienia. W dzień, ukryta przed oczyma wszystkich, wycięła długie kije. Zrobiła z nich włóki, na które załadowała zapasy. Czwartego dnia znów wstali przed świtem. Arnwheet gaworzył radośnie uwiązany bezpiecznie na włókach. Harl wziął swój łuk i strzały, Armun uniosła kije włóków i rozpoczęła długą wędrówkę. Szli na południe przez puszcę, okrążając z dala obozowisko, po południu przecięli szlak wydeptany przez sammady w czasie wyprawy na północ od obozowiska. W koleinach wyrosła świeża trawa, nie była jednak w stanie skryć głębokich śladów wrytych przez drągi włóków i kopyta mastodontów. Harl pobiegł naprzód tropić sarnę, a Armun pochyliła się nad kijami i ruszyła na wschód. Kołysane równym ruchem dziecko zapadło w sen.

O zmierzchu stanęli, zjedli coś na zimno, bo nie odważyli się rozpalic ogniska i zasnęli owinięci w futra.

Nie było im łatwo, ale nigdy nie sądziła, że zabiera się do czegoś łatwego. Gdyby szlak nie prowadził przez równinę, nigdy by go nie pokonali. Czasami, gdy droga wiodła pod górę, pomimo wysiłku wkładanego w ciągnięcie włóków, przebywała jedynie drobną część odcinka pokonywanego w jeden dzień przez sammady. Nie dopuszczała, by to ją martwiło ani by zmęczenie weszło między nią a to, co musiała zrobić. Każdego wieczora Harl zbierał chrust i rozpalali ognisko, przygotowywali ciepły posiłek. Bawiła się z dzieckiem i opowiadała mu historyjki, którym z wielką uwagą przysłuchiwał się Harl. Dzieci nie bały się mroku rozpoczynającego się tuż za kręgiem światła od ogniska i ciągnącego się bez końca. Nie dopuszczała też do siebie żadnych lęków. Spała z włócznią, a ognisko paliło się przez całą noc.

Przez wiele dni świeciło słońce, potem zaczęły się obfite letnie deszcze. Trwały tak długo, aż

błotnisty szlak stał się nie do pokonania dla włóków. W końcu zbudowała szalę z pokrytych liśćmi gałęzi i wpełzła do niego. Potrzebowała odpoczynku, choć żałowała straconego czasu. Lato trwało zbyt krótko. Harl wychodził codziennie na polowanie - pewnego wieczoru wrócił z królikiem. Od razu obdarła go ze skóry i upiekła, a świeże mięso bardzo im smakowało. Deszcze w końcu ustały, a ziemia na tyle podeschła, by mogli znów ruszyć w drogę. Już jednak następnej nocy, tuż przed świtem, szron pokrył białą żdźbłą traw. Znowu zbliżała się zima. Pomyślała z goryczą, że nigdy nie pokona długiej drogi wzdłuż brzegu przed nastaniem zimy. Pakując włóki, spostrzegła, że dosięgnął ich następny cios. Śmiercio-kij zdechł, zabity chłodem, jego maleńka gęba była szeroko otwarta. Jako stworzenie południa, nie mógł przeżyć zimna. Była to zapowiedź tego, co ich czekało.

Tej nocy, gdy obaj chłopcy dawno już spali, ona ciągle leżała w swych futrach, wpatrując się w migające światła gwiazd. Księżyc zszedł, a gwiazdy sterczały nad nią jak ogromna misa. Rzeka tharmów sięgała od wschodu do zachodu. Każda gwiazda była tharmem zmarłego łowcy, który tkwił tam w blasku zimnego światła. Żaden z nich nie mógł jej jednak pomóc. Może głupio zrobiła, wybierając się na tę beznadziejną wędrówkę, narażając życie nie tylko swoje, ale i dwojga dzieci. Za późno jednak na żale. Już się stało. Jest tu. Musi teraz zdecydować, co robić dalej. Czy ma jakiś wybór? Ortnar powiedział jej, że może czekać na Kerricka na brzegu, ale to bzdura, szukał jedynie usprawiedliwienia dla siebie, że nie poszedł z nią. Nie ma tylu zapasów, by przetrwać zimę na wybrzeżu, nie ma namiotu, niczego, by poradzić sobie z chłodem. Ma więc do wyboru - zatrzymać się tam i zamarznąć albo ruszyć na południe i po drodze zamarznąć. Trudno było liczyć, że będzie szła na południe szybciej od zim. Po raz pierwszy od opuszczenia obozowiska poczuła łzy w oczach. Wściekła na swą słabość otarła je, przekręciła się na bok i zasnęła, bo potrzebowała na jutro całej swej siły.

Następnej nocy spadł pierwszy śnieg, rano strzepała go z futer, zwinęła je i związała. Tego wieczoru, podczas posiłku, zobaczyła, że Hart wpatruje się w nią przez ogień.

- Jedz - powiedziała. - Mięso murgu i mnie nie smakuje, lecz daje siły.

- Nie chodzi o mięso - odparł - lecz o śnieg. Kiedy dotrzemy do miejsca, o którym nam opowiadałaś, gdzie czeka na nas Kerrick?

- Chciałabym wiedzieć... - Poglądziła go po jasnych włosach, dostrzegła podkrążone oczy. Miał jedenaście lat, był silnym chłopcem, lecz szli już zbyt długo. - Śpij już, musimy nabrać sił, by rano ruszyć dalej.

Tej nocy nie padał śnieg, lecz poprzedni ciągle leżał na ziemi i nie tajał. Mimo pogodnego dnia słońce nie dawało wiele ciepła. Droga wiodła teraz doliną rzeki i była pewna, że poznaje to miejsce. Sammady obozowały tu kiedyś niedaleko oceanu. Armun zdawało się nawet, że czuje w powietrzu zapach soli - przynosił go wiejący w twarz wiatr.

Tak, była tu, białe grzywacze wbiegały na plażę leżącą tuż pod klifem. Z opuszczoną głową ciągnęła wytrwale włóki. Zatrzymała się dopiero na ostrzegawczy krzyk Harla.

Miała przed sobą pokrytą darnią ziemiankę, wykopaną u podstawy osłaniającego urwiska. Przed nią stał owinięty futrami łowca. Nie ruszał się, najwidoczniej równie jak ona zaskoczony spotkaniem. Już miała do niego zawołać, gdy słowa uwięzły jej w gardle.

To nie był Tanu, inaczej się ubierał, a twarz...

Pokrywała ją sierść. Nie była to broda u dołu twarzy, lecz sierść, miękka brązowa sierść, która porastała całą głowę.

*uposmelikfarigi ikemesp yilan  
uposmelikyilan ikemesp m yil.  
eleiensi topaa abalesso*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Fargi kładzie się spać i pewnego ranka  
budzi się jako Yilanè. Od jaja czasu zasypiająca  
Yilanè budzi się zawsze jako Yilanè

## ROZDZIAŁ VI

Vaintè z wielką ciekawością przyglądała się potworowi. Aż do tej chwili Ikhalmenets był dla niej jedynie nazwą. Ikhalmenetsem otoczonym-morzem; niemal zawsze wyrażano to w ten sposób i teraz zrozumiała dlaczego. Miasto wyrosło wzdłuż łuku naturalnego portu, podstawy jego istnienia. Wszystkie pozostałe wyspy archipelagu były skaliste i puste. Tylko ta stanowiła wyjątek. Ikhalmenets leżał na brzegu, u podnóża wysokiej góry, która zatrzymywała wilgotne wiatry, schładzała je, tak iż wznosząc się tworzyły chmury, przynosząc śnieg i deszcz. Śnieg bielił wierzchołek góry, a deszcz spływał po jej zboczach, trafiając kanałami do miasta.

W Ikhalmenets było więcej morza aniżeli lądu. Wzdłuż brzegu tkwiły uruketo, a między nimi mniejsze łodzie rybackie mocno obciążone zdobyczą. Erafnaiś wydawała rozkazy kierujące uruketo przez cały ten ruch do stanowiska na nabrzeżu. Vaintè stała z boku, gdy z płetwy wyszły załogantki, by zacumować wielkie stworzenie.

- Wszyscy mają pozostać na pokładzie - nakazała Erafnaiś, przygotowując się do zejścia na ląd. Usłyszawszy to, Vaintè zapytała, starannie unikając wyrażenia niechęci:

- Czy twój rozkaz, dowodząca, odnosi się i do mnie? Erafnaiś zastygła bez ruchu w namyśle, potem odpowiedziała:

- Nie chcę, by po mieście rozniosły się dzikie plotki o tym, co się zdarzyło w Alpèasaku. Pomówię wpierw z eistaą i wysłucham jej poleceń. A ty - nie mogę ci rozkazywać, Vaintè. Mogę cię jedynie prosić, byś...

- Prośba jest zbyt bliska-zniewagi, dowodząca.

- Nigdy tego nie chciałam!

- Rozumiem, dlatego nie czuję urazy. Vaintè nie plotkuje w ambesed.

Z tyłu rozległo się sapanie Akotlp wspinającej się na płetwę. Szło jej to ciężko, bo ciągnęła za sobą protestującego Esette. Wyraziła wobec Erafnais szacunek-prośbę.

- Trzeba, bym uwolniła się od tego. Posłyszałam waszą rozmowę, przyjmij więc me zapewneinie, iż gdy będę w mieście, nikt nie dowie się ode mnie o zniszczeniu Alpèasaku.

- Moim obowiązkiem będzie ci pomóc - powiedziała Vaintè. - Samiec pójdzie między nami do hanalè. To spowoduje najmniejsze zamieszanie-zainteresowanie fargi.

- Jestem dłużniczką Vaintè - powiedziała Aktolp z radością-wdzięcznością. - Rzadko widuje się pojedynczego samca. Nie chcę wywołać zgorzienia.

Erafnais odwróciła się plecami, przestała o tym myśleć. Wieści i tak szybko się rozniosą. Członkinie załogi rwą się do plotek. Przedtem musi odnaleźć Lanefenuu, eistaę Ikhalmenetsu, by powiadomić ją o wszystkim, co wie, o wszystkim, co widziała. Późniejsze kłopoty spadną na eistaę, a nie na nią, pragnęła się od nich uwolnić.

Gdy Akotlp schodziła powoli na brzeg, Vaintè czekała na nią na nierównym nabrzeżu, otwierając szeroko nozdrza na dobiegające zapachy miasta, niemal zapomniane podczas rejsu. Ostry zapach ryb, ciepłe oddechy fargi, słabo wyczuwalna woń zgnilizny poszycia, wszystko na tle bujnego aromatu rosnącego miasta. Niespodziewana radość z osiągnięcia lądu przepełniała ją całą.

- Prawdziwe uczucie, Vaintè, podzielam je - powiedziała Akotlp, gdy podeszła do niej, rozglądając się dokoła. Trzymany mocno za rękę Esetta również był wszystkiego ciekaw, lecz cofnął się w nagłym przerażeniu, gdy Vaintè chwyciła go za ramię. Ta reakcja ucieszyła Vaintè i jeszcze mocniej zacisnęła kciuki. Szli w ten sposób ku głównej alei prowadzącej do Ikhalmenetsu. Fargi odwracały się ku nim z rozszerzonymi ciekawością oczami, przyłączały się i szły z tyłu. Vaintè przyjrzała się im jednym, zwróconym w tył okiem i poprosiła o uwagę:

- Jeśli jest wśród was jakaś o doskonałej-mowie i znajomości--miasta, niech wystąpi.

Nastąpiło zamieszanie, te, które były z przodu, cofały się w obawie. Odsunęła je starsza fargi.

- Od niskiej do wyższych od niej w towarzystwie samca. Mam pewną znajomość i chętnie pomogę.

- Czy wiesz, gdzie jest hanalè?

- Jego położenie jest mi znane.

- Prowadź.

Fargi, dumna z powierzonego jej zadania, wyszła szybko na przód i cała grupa ruszyła aleją. Zwisaly nad nią wielkie konary, zapewniając osłonę przed słońcem, choć przy zimnym wietrze północnym było ono pożądane. Trzymając się słonecznej strony, doszli do wielkiej budowli z zamkniętymi drzwiami. Stały przed nimi dwie fargi, noszące na znak swej pozycji zasuszone, zakonserwowane hèsotsany.

- Wezwijcie esekasak, kierującą tu wszystkim - nakazała Vaintè. Strażniczki wierciły się zmieszane, aż Vaintè sucho uściśliła rozkaz:

- Tamta pójdzie, ta zostanie na straży.

Esekasak okazała brak-wiedzy o przybyciu i chęć-słuchania, gdy tylko zobaczyła, że czekają. Vaintè zwróciła się do niej, wyrażając każdym ruchem ciała żądanie posłuszeństwa i szacunku.

- Tu masz nowego samca, będziesz go lojalnie strzegła. Przyprowadziłyśmy go tobie do wejścia.

Wewnątrz, za zamkniętymi ciężkimi drzwiami, nikt nie mógł ich podsłuchać.

- Oto co trzeba zrobić - powiedziała Vaintè. - To Esetta, właśnie przebył ocean w drodze z odległego miasta. Jest zmęczony i potrzebuje wypoczynku. Wymaga również odosobnienia-bezterminu, póki wasza eistaą nie rozkaże inaczej. Będziesz przynosiła mu jedzenie, tylko z tobą może rozmawiać. Gdyby cię pytano, kto wydał ci te polecenia, powiesz, że pochodzą od Vaintè. Zrozumiałaś?

- Wielka Vaintè, która przebyła ocean, to eistaą odległego miasta - dodała Akotolp, pokornie i dumnie. Umyślnie mówiła w czasie terażniejszym, by słuchaczka myślała, że nic się nie zmieniło. Vaintè doceniła zręczną pomoc.

- Jak rozkazała Vaintè, tak i będzie - odparła natychmiast esekasak, wyrażając prośbę o zezwolenie na odejście, i zaraz po przejściu Esetty zabrała go z sobą. Samiec dobrze wiedział, że nie powinien okazywać odczuwanych pod wpływem ostatnich wydarzeń nienawiści i strachu. Oczekiwał pełnego ciepła bezpieczeństwa hanalè, wyraził radość-z-przybycia - na pewno szczerą.

Na zewnątrz nadal czekała na nie mała grupa fargi; nie umykała ich uwagi żadna nowość, czekały cierpliwie w miejscu ostatniego ciekawego wydarzenia. Z boku stała starsza fargi, która je tu przyprowadziła. Gdy Vaintè zaczęła się rozglądać, wyraziła pełne szacunku posłuszeństwo. Przywołana podeszła.

- Twe imię?

- Melikelè. Czy wolno niskiej poznać imię wysokiej mówiącej?

- To Vaintè - powiedziała Akotolp, nie omieszkając dodać wszystkich możliwych oznak najwyższego poważania.

- Chcesz chodzić ze mną, Melikelè ? - spytała Vaintè.

- Dokąd poprowadzisz; jestem twą fargi.

- Najpierw do miejsca posiłków. Potem chcę bliżej poznać miasto.

Akotolp widziała już przywódczość Vaintè, teraz doznała jej na nowo. W tym mieście, zajmującym wynurzona z morza skałę, w którym nigdy przedtem nie stanęła jej stopa, wydawała

rozkazy natychmiast spełniane. Wspomniała o jedzeniu, to świetny pomysł. Na tą myśl Akotolp głośno kłapnęła szczękami.

Melikelè wiodła ich z powrotem w dół zbocza ku brzegowi, potem wzdłuż niego do pomieszczenia przy plaży. Nie była to normalna pora posiłku i otwarta przestrzeń pod przezroczystą osłoną była pusta. Pod ścianami stały zbiorniki, z których podległe fargi wyciągały wielkie ryby, rozcinały je struno-nożami, patroszyły i czyściły, a otrzymane płaty wkładały do roztworów enzymu.

- Marnotrawstwo - oznajmiła Akotolp. - Potrzebne by to było kotletom ze stuletniego neniteska, ale nie rybom. Zobaczę, co mają w zbiornikach. Patrz! Małe skorupiaki, bardzo smaczne, gdy świeże.

Chwyliła kciukami duży okaz, oderwała mu łeb i odnóża, potem jednym wyćwiczonym ruchem usunęła skorupę, wsadziła resztę do ust i zaczęła ze smakiem żuć. Vaintè nie dbała o jedzenie, wzięła płat ryby na liściu. Melikelè uczyniła to samo, gdy tylko Vaintè się odwróciła.

Akotolp mruzczała z zadowolenia, a u jej stóp rosła sterta odrzuconych skorupek. Promieniując radością-z-jedzenia, nie zwracała uwagi na pracujące obok fargi ani na Yilanè, która wyszła z przyległego budynku. Ta spojrzała na nią, przyjrzała się uważniej i podeszła.

- Upływ czasu-koniec rozstania - powiedziała z ożywieniem przybyła. - Jesteś Akotolp, musisz być Akotolp, bo jest tylko jedna Akotolp.

Akotolp obejrzała się zdziwiona, z ust zwisał jej kawałek białego mięsa, błony mrużne oczu drgały ze zdumienia.

- Znajomy głos, znajoma twarz - czy to ty, chudsza-niż-zwykle Ukhereb?

- Grubsza-niż-zwykle, spotkana-po-latach.

Vaintè patrzyła ciekawie, jak Akotolp splotła kciuki z tamtą w pełnym uczucia uścisku efenselè, choć gest wzbogacony był o znak lekko zmieniający łączącą je więź.

- Vaintè, to Ukhereb. Choć nie jesteśmy z tego samego efenburu, jesteśmy sobie bliskie jak efenselè. Dorastałyśmy razem, uczyłyśmy się u pradawnej Ambalasei, starej jak jajo czasu, wiedzącej wszystko.

- Witam cię, Vaintè, witam w otoczonym-morzem Ikhalmenet-sie. Przyjaciółka-przyjaciółki jest witana podwójnie serdecznie. Chodźmy teraz z tego publicznego miejsca do mego prywatnego, gdzie wygodniej zaznamy przyjemności-z-jedzenia.

Gdy przechodziły przez laboratorium, Akotolp wyrażała uznanie dla jego wyposażenia i podziwiała sąsiednią, wygodną komorę z miękkimi miejscami do leżenia i siedzenia oraz wiszącymi wokół, cieszącymi oko ozdobnymi draperiami. Vaintè zaledwie zwróciła na nie uwagę, po czym przysłuchiwała się rozmowie obu uczonych. Czekwała cierpliwie, póki dotyczyła ona starych znajomych i nowych odkryć, aż wreszcie Ukhereb przeszła do bliższego jej tematu.

- Słyszałam, że byliście w Alpèasaku, kiedy przeniosło się tam całe Inegban\*. Czytałam o niektórych prowadzonych tam badaniach, o odkryciu wielu nowych gatunków - jakaż musi tam panować radość-z-odkryć! Teraz jednak jesteście w Ikhalmenets. Czemu przybyliście na naszą wyspę, mając przed sobą do zbadania cały kontynent?

Akotolp nie odpowiedziała; zwróciła się o pomoc do Vaintè. Ta uciszyła ją gestem zrozumienia i pragnienia-wsparcia, nim Akotolp poprosiła o wyręczenie.

- Zdarzyły się rzeczy nie do powiedzenia, Ukhereb, i Akotolp waha się, czy o nich mówić. Jeśli mogę, chciałabym odpowiedzieć na twoje pytania, bo uczestniczyłam we wszystkim. Oto co zaszło.

Vaintè mówiła jak najprościej, bez upiększeń i opuszczeń opowiedziała uczonej, ku jej rosnącemu przerażeniu, o zniszczeniu dalekiego Alpèasaku. Gdy skończyła, Ukhereb wydała krzyk bólu i na chwilę zakryła oczy ramieniem w dziecinny geście niechęci-patrzenia.

- Nie mogę znieść myśli o tym, co mi opowiedziałaś, a ty to wszystko przeżyłaś z niewiarygodną



odwagą. Co się dzieje, co się dzieje? - Powoli kołysała się z boku na bok w młodzieńczym geście unoszenia się bezmyślnie w silnym prądzie wody.

- Wasza eistaa jest teraz powiadamiana o wydarzeniach nie-do-uwierzenia-tragicznych. Potem z nią pomówię. Ty jednak, Ukhereb, nie powinnaś przejmować się tym, co już się stało. Porozmawiajmy o innych sprawach, pięknych, których rozważanie ukoji twój ból. Takich jak góra tej wyspy, czarna skała zwieńczona białym śniegiem. Bardzo pociągająca. Czy szczyt zawsze pokrywa śnieg? Ukhereb wyraziła lęk przed nowością.

- Kiedyś nie znałyśmy tego; teraz śnieg na górze nigdy nie topnieje. Zimy u nas są chłodne i wietrzne, lata bardzo krótkie. To dlatego okazałam podwójny ból nad zniszczeniem w odległym Gendasi\*. W nim leżała nadzieja i na nasze ocalenie. Umarło kilka miast - a w Ikhalmenetsie jest coraz zimniej. Teraz miejsce nadziei

zajął strach.

- Nadziei nie można zniszczyć - a przyszłość będzie świetlista!

- Vaintè powiedziała to z takim entuzjazmem i z taką pewnością, że obie uczone doznały pociechy, czując siłę jej ducha.

Rzeczywiście była szczęśliwa. Niejasne myśli przekształcały się w zdecydowane plany. Wkrótce opracuje szczegóły, a potem będzie wiedziała dokładnie co robić.

Inaczej Enge. Dla Córy Życia śmierć wydawała się zbyt bliska. O świcie opuściły uruketo, nikt nie widział, jak wspięły się na płetwę i wślizgnęły bez trudu do wody po grzbiecie zwierzęcia. Morze było jednak wzburzone, fale łamały się nad ich głowami i musiały co chwila nurkować. Droga do brzegu była długa i wyczerpująca. Z tyłu uruketo zniknęło w porannej mgłę i zostały same. Początkowo nawoływały się nawzajem, lecz potem przestały, dotarcie do bezpiecznych piasków wymagało wszystkich sił. Bojąca się o towarzyszkę Enge, która jako pierwsza przedarła się przez przybój, wykrzesła w sobie tyle siły, by wrócić między fale i wydobywać po kolei mokre postacie. Potem wyciągnęły się na plaży w gorącym słońcu.

Wszystkie oprócz jednej. Enge miotła się bezsilnie w przyboju, lecz ta, której szukała, nigdy nie wyszła na brzeg. Miła Akel, silna Akel, pochłonięta przez ocean.

Towarzyszki odciągnęły ją w końcu, gładziły ze zrozumieniem i skłoniły do odpoczynku, a same przystąpiły do poszukiwań. Bezskutecznych. Morze było puste, Akel zniknęła na zawsze.

Enge zdołała wreszcie usiąść, potem wstała, zmęczonymi ruchami dłoni otrzepała piasek ze skóry. Przed nią burzyła się i pieniała woda; przyglądały się jej małe główki niedojrzałego efenburu, uciekły przestraszone, gdy się ruszyła. Nawet ten zachwycający widok nie rozwiał mroku jej rozpaczy, choć na tyle ją rozproszył, że doszła do siebie, uświadomiła sobie, że liczą na nią inne, że jej obowiązkiem jest żyć, a nie umierać. Spojrzała wzdłuż plaży na odległy zarys Yebćisku na skraju oceanu.

- Musicie iść do miasta - powiedziała. - Musicie mieszać się z fargi i zgubić wśród nich. Musicie poruszać się ostrożnie i pamiętać zawsze, jaką straszliwą lekcję przeżyłyście w groźnym Gendasi\*. Zmarło tam wiele naszych sióstr, lecz ich śmierć nie będzie bez znaczenia, jeśli dobrze zapamiętałyście nasze nauki. Dowiedziałyście się, że Ugunenapsa widziała prawdę, mówiła o niej wyraźnie, przekazała ją nam. Niektóre były słabe i nie rozumiały jej, teraz jednak wiemy, że Ugunenapsa mówiła o prawdzie absolutnej. Mamy tę wiedzę - ale co z nią zrobimy?

- Podzielimy się z innymi! - powiedziała Efel, wyrażając przy tym z wielką mocą radość-z-jutra. - To nasza misja - i nie zawiedziemy przy jej wypełnianiu.

- Nigdy nie wolno nam o tym zapomnieć. Muszę jednak starannie rozważyć, jak się do tego

zabrać. Znajdę sobie miejsce odpoczynku - i rozmyślań. Poczekam tam na wasz powrót.

Wyrażając w milczeniu zgodę i wytrwałość, dotknęły się lekko kciukami. Potem odwróciły się i pod przewodnictwem Efel ruszyły do miasta.

*Hoatil ham tina grunnan,  
sassi peria malom skermon mallico.*

## POWIEDZENIE TANU

Każdy może znieść niedolę,  
mało kto nadaje się do lepszych czasów.

## ROZDZIAŁ VII

W Deifoben było wiele pracy. Kerrick miał jej znacznie więcej niż wtedy, gdy miasto to nazywało się Alpèasak, a jego eistąą była Vaintè. Wspominając tamte ospałe, gorące dni, żałował, iż wówczas nie przyglądał się baczniej ogromnemu miastu, nie poznał lepiej, jak nim kierowano. Choć siedział teraz na miejscu eistai pod ścianą ambesed, na którą padały pierwsze promienie słońca, nie potrafił rządzić tak jak ona. Tamta miała asystentki, pomocnice, uczone, niezliczone fargi - on tylko kilku chętnych do pomocy, lecz mało przydatnych Sasku. Potrafiли opanować proste, możliwe do powtórzenia zadania, które wykonywali, lecz żaden z nich nie zdołał nigdy pojąć zawilności przeplatających się działań, czyniących z miasta złożoną jedność. Sam wiedział o nich niewiele, lecz przynajmniej je sobie uświadamiał. Między wszystkimi decyzjami istniał nieznan dla Kerricka związek. A do tego miasto odniosło rany. W dużej mierze goiło je samo - lecz nie zawsze. Wielki pas roślinności wzdłuż brzegu, nietknięty przez ogień, zbrunatniał po prostu i zmarniał. Zwiędły drzewa, pnącza, poszycie, ściany i okna, składy i kwatery. Były martwe. Kerrick nie mógł nic na to poradzić.

Można było jednak zająć się zwierzętami, przynajmniej niektórymi spośród nich. Gigantyczne neniteski i onetsensaty z pól zewnętrznych nie wymagały opieki, bo żywiły się w naturalnym mokradle i dzungli. Sarny i jelenie pasły się bez trudu, podobnie jak niektóre zwierzęta rzeźne murgu. Inne musiały być karmione owocami, co też nie sprawiało kłopotów. Ale niektórych stworzeń nie mógł po prostu zrozumieć. Te zdychały. Tarakasty pod wierzch były naro-wiste, nie pozwalały się do siebie zbliżać. Yilanè jeździły na nich, potrafiły je okiełznać, ale Kerrickowi się to nie udało. Nie jadły trawy, mogły więc być mięsożerne, ale gdy dawano im mięso, zaczynały ryczeć i rzucać je na ziemię. Głodne zdychały. Podobnie jak i ocalałe uruktopy na odległym, podmokłym polu. Te ośmionogie stworzenia hodowano dla przewożenia fargi, nie nadawały się chyba do niczego innego. Gdy podchodził do nich, przyglądały mu się szklistymi oczyma, nie uciekały ani nie atakowały. Odmawiały przyjmowania karmy, nawet wody. Zobojętniałe cicho padały i ginęły po kolei.

W końcu jednak Kerrick stwierdził, że jest to miasto Tanu, że nie należy już do Yilanè. Ludzie zachowają to, co im odpowiada, nie będą się martwić resztą. Ta decyzja ułatwiła trochę pracę, lecz mimo to zajęcia trwały codziennie od świtu do zmierzchu, przerywane trwającymi często do późna w noc naradami.

Miał więc powody, by zapomnieć o zmianach pór roku na mroźnej północy, stracić rachubę dni w tym gorącym, niemal niezmiennym klimacie. Nie zauważył końca zimy, dopiero późną wiosną pomyślał poważniej o sammadach. I o Armun. Refleksję pobudziło przybycie pierwszych kobiet Sasku, na ich widok poczuł się winnym zapomnienia. W tym gorącym klimacie trudno było pamiętać o porach roku. Kerrick wiedział, że mandukto udzielają różnych rad i poszukał pomocy u Sanone.

- Liście nigdy tu nie opadają - powiedział Kerrick - a owoce dojrzewają przez okrągły rok. Trudno rozeznąć się w czasie.

Sanone siedział na słońcu ze skrzyżowanymi nogami, chłonąc ciepło.

- To prawda - powiedział. - Są jednak inne sposoby oznaczania pór roku. Można to czynić, obserwując księżyc, jak rośnie i maleje, śledząc jego zmiany. Słyszałeś o tym?

- Alladjex coś mówił na ten temat, to wszystko, co wiem.

Sanone prychnął pogardliwie na ten prymitywny szamanizm i wyglądził przed sobą piasek. Znał wszystkie tajemnice ziemi i nieba. Palcem wskazującym wyrył dokładnie na piasku kalendarz księżycowy.

- Tu i tu są dwa księżycy zmian. Śmierć Lata, Śmierć Zimy.

Odtąd dni się wydłużają, stąd noce stają się coraz ciemniejsze. Patrzyłem na wschodzący

ubiegłej nocy księżyc, był w nowiu; znaczy to, że jesteśmy w tym miejscu jego drogi. - Wbił w piasek gałązkę i przysiadł na piętach, zadowolony bardzo ze swego rysunku. Kerrick przyznał, że niewiele rozumie.

- Dla ciebie, mandukto Sasku, mówi to wiele. Ja, niestety, mądry Sanone, widzę tylko piasek i gałązkę. Błagam cię, odczytaj mi to. Powiedz mi, czy na dalekiej północy pękają już lody i rozwijają się kwiaty?

- To dzieje się tutaj - powiedział Sanone, przesuważąc gałązkę w tył. - Minęły od tej pory dwie pełnie księżyca.

Te słowa zastanowiły Kerricka. Rozważał je przez chwilę i zrozumiał, że lato dopiero się zaczęło, że jeszcze ma czas. A tu jest tyle rzeczy, które muszą być wpieryw zrobione. Potem pewnej nocy śnił o Armun, dotykał językiem jej rozszczepionej wargi. Obudził się cały drżący, zdecydowany wyruszyć do niej natychmiast, przyprowadzić ją tutaj. Oczywiście razem z dzieckiem

Ale równie nie cierpiące zwłoki były zadania, jakie trzeba było wykonać dla uczynienia Deifoben miastem nadającym się do zamieszkania. Ciągłe nie widać było końca prac, jeden dzień następował po drugim. Ciągnęły się długo latem, aż nagle nadeszła znów jesień. Kerricka rozdzierały dwa uczucia. Zły był na siebie, że przegapił porę wyruszenia na północ po Armun. Jednocześnie jednak rozgrzeszał się, że teraz na to za późno, bo nigdy nie uda mu się tam dojść i wrócić przed nastaniem zimowych śniegów. W przyszłości lepiej wszystko zaplanuje, skończy swą pracę wczesną wiosną, poprosi Sanone, by przypomniiał mu o mijających dniach. Wtedy pójdzie na północ i sprowadzi tutaj Armun. Wydawało mu się, że była tam bezpieczna z dzieckiem; pocieszało go to trochę, gdy nocami tęsknił za nimi.

Nagle pojawienie się Tanu nie przstraszyło Kalaleq. Spotykał ich już wcześniej, wiedział też dobrze, że jest teraz na ich terenach łowieckich. Spostrzegł jednak, że kobieta się boi.

- Nie lękaj się, śnieżnowłosa - zawołał, potem roześmiał się głośno, by okazać przyjazne uczucia. Nie na wiele się to zdało, bo kobieta cofnęła się przerażona i uniosła włócznię. Podobnie towarzyszący jej chłopak. Dziecko na włókach zaczęło głośno płakać.

Kalaleq opuścił wzrok, strapiiony wywołanym zamieszaniem, spojrzął na swe dłonie i nóż ociekający krwią oprawianego futro-stworzenia. Szybko odrzucił broń i schował ręce za siebie, rozchylił usta w uśmiechu, który miał być przyjazny.

- Co mówiłeś? - zawołała Angajorqaq i wyszła z chaty, odgarniając na bok zwisające w wejściu skóry. Stała jak wryta na widok przybyszy.

- Patrz, jak lśnią ich włosy! Ich skóra taka biała. Czy to Tanu? - spytała.

- Tak.

- Gdzie są łowcy?

- Nie mam pojęcia, widać tylko ich.

- Kobieta, chłopak, dziecko. Ich łowca musiał umrzeć, bo są sami i smutni. Przemów do nich, uspokój. Kalaleq westchnął ciężko.

- Nie znam ich języka. Potrafię powiedzieć tylko jedzenie, woda i żegnaj.

- Nie mów jeszcze żegnaj. Daj im wodę, to zawsze jest miłe.

Armun przestała się bać, gdy zarosłolicy rzucił nóż i cofnął się. To Paramutanin, skoro jest tu na brzegu, jeden z łowców przebywających zawsze na północnym morzu. Słyszała o nich, lecz nigdy nie widziała. Powoli opuściła grot włóczni, lecz ciągle trzymała ją mocno, bo ktoś jeszcze wyszedł z chaty. Była to jednak kobieta, a nie inny łowca, co sprawiło, że poczuła wielką ulgę. Dwoje obcych zaczęło rozmawiać z sobą niezrozumiale i piskliwie. Potem łowca uśmiechnął się szeroko i powiedział jedno słowo.

- Wod-da. - Uśmiech zniknął, gdy nie odpowiedziała. - Wod-da, wod-da!

- Czy powiedział woda? - spytał Harl.

- Może. Woda, tak - woda. - Kiwnęła głową i odwzajemniła uśmiech, a ciemna kobieta weszła do namiotu. Gdy się wynurzyła, niosła kubek z czarnej skóry, wyciągnęła go przed siebie. Harl podszedł bliżej i wziął go, potem zajrzał do środka i napił się.

- Woda - powiedział. - Smakuje okropnie.

Te słowa rozbroiły Armun. Strach zniknął, zastąpiło go ogromne zmęczenie, tak wielkie, że zadrżała i musiała się oprzeć na włóczni wbitej końcem w ziemię. Widok przyjaznych, porośniętych sierścią twarzy, kres samotności, wyzwoliły znużenie tak długo pokonywane siłą woli. Obca kobieta zauważyła to, szybko podeszła, wyjęła włócznię z osłabłej dłoni Armun i posadziła dziewczynę na ziemi. Ta poddała się temu bez oporu, nie było tu chyba żadnego niebezpieczeństwa, a jeśli istniało, za późno już na ucieczkę. Dziecko płakało teraz tak rozpaczliwie, że musiała wstać i wziąć je na ręce, posadzić na biodrze i poszukać kawałka wędzonego mięsa, które mogłoby ssać. Paramutanka, cmokając uspokajająco, dotknęła jasnych włosów Arnwheeta.

Armun nie przestraszył dobiegający w oddali piskliwy krzyk. Brzegiem biegł mały chłopiec, o twarzy pokrytej trochę jaśniejszą sierścią niż u dorosłych, trzymając wysoko sidła ze złapanym w nie królikiem. Zatrzymał się na widok obcych. Harl, ciekawy jak wszyscy chłopcy, podszedł przyjrzeć się królikowi. Mały Paramutanin wyglądał na starszego od Harla, choć był od niego niższy o pół głowy. Łatwo zaakceptowali swą obecność. Poprzez wielkie zmęczenie Armun poczuła nagły przypływ nadziei. Może jednak dożyją wiosny!

Kalaleq był dobrym łowcą, mógł zapewnić jedzenie dla wielu osób. Ponadto, zgodnie ze zwyczajem Paramutanów, podzieliłby się z obcym wszystkim, co miał, choćby oznaczało to dla niego głód. Na mroźnej północy walczyło tylko z pogodą. Obcych zawsze witano chętnie, oddawano im wszystko. Cóż dopiero takiej kobiecie - dostrzegał pod ubraniem obfitość jej piersi i pragnął ich dotknąć. Podobnie dziecko - przyjmie je jeszcze chętniej. Zwłaszcza takie, o włosach błyszczących jak słońce na lodzie. Zaopiekuje się nimi. Obca będzie zapewne wiedziała, gdzie są łowcy, z którymi można handlować. Łowcy Erqigdlit zawsze przybywali do tego obozowiska na wybrzeżu, zawsze. Tego lata czekał na nich, ale się nie pokazali. Śnieżnowłosa będzie wiedziała.

Choć Armun nie rozumiała ani słowa, z tego co mówiła Paramutanka, wyczuła serdeczność i gotowość ich przyjęcia. Została zaproszona do chaty łagodnym popychaniem, posadzono ją na miękkich futrach. Rozejrzała się ciekawie; wszystko było tu takie inne. Uwagę przyciągnęła znów kobieta, która teraz głośno biła się w piersi i powtarzała stale Angajorqaq. Mogło to być jej imię.

- Angajorqaq? Nazywasz się Angajorqaq. Ja jestem Armun. - Klepnęła się podobnie jak tamta i roześmiały się. Angajorqaq zanosila się śmiechem, gdy obie powtarzały swe imiona.

Kalaleq, mrużąc radośnie, obdarł ze skóry jeszcze nie ostygłego królika, czemu z wielką ciekawością przyglądali się obaj chłopcy. Potem łowca odciął przynoszącą powodzenie, prawą tylną łapkę, i rzucił ją w powietrze. Białowłosy chłopiec skoczył wysoko, złapał łup i odbiegł, goniony przez krzyczącego Kukujuka. Ścigali się na plaży, potem zaczęli się bawić, rzucając do siebie okrwawiony kawałek futra. Kalaleq przyglądał się temu z przyjemnością. Kukujuk nie miał się tu z kim bawić i tęsknił do swych przyjaciół. Był to bardzo dobry dzień, długo będzie o nim pamiętał i wspominał w długie zimowe wieczory. Zaczął pośpiesznie sprawiać królika; wyciągnął wątrobę i zawołał głośno. Przybiegł na to Kukujuk, a Kalaleq dał mu najlepszy kawałek, bo chłopiec schwytał zwierzę.

- Podzielę się z moim przyjacielem - powiedział Kukujuk.

Promieniujący radością Kalaleq podzielił wątrobę na pół krzemiennym nożem. Kukujuk myślał

jak szlachetny mężczyzna, wiedział, że dobrze jest się dzielić, że lepiej dawać niż brać.

Harl przyjął krwawy kąsek, niepewny, co ma z nim zrobić. Kukujuk dał przykład, żując pracowicie swój kawałek, jednocześnie gładząc się po brzuchu. Harl westchnął, potem spojrzał ze zdumieniem, jak Kalaleq wywiercił dziurkę w tyle czaszki królika i wyssał mózg. Niczym było wobec tego żucie surowej wątroby. Nawet mu smakowała.



## ROZDZIAŁ VIII

Armun surowe mięso nie smakowało tak jak chłopcu. Jadła już co prawda świeżo upolowaną zdobycz, czym innym było jednak mięso wyjęte przez Angajorqą z wnętrza brudnej ściany. Było stare, nadpsute i cuchnące. Nie zwracając na to uwagi, Paramutanka odcięła kawałek dla siebie, potem drugi dla Armun. Ta nie mogła odmówić, ale też nie potrafiła wziąć go do ust. Trzymała go niepewnie w palcach i zastanawiała się, co zrobić. Odmawiając jedzenia, mogłaby urazić ich gościnność. Rozpaczliwie szukała wyjścia. Położyła na futrach Arnweheeta żującego radośnie twarde jak skóra, wędzone mięso i odwróciła się, unosząc dłoń do ust, jakby chciała włożyć otrzymany kawałek. Odsunęła zasłony wejścia i poszła do włóków. Gdy nikt nie widział, ukryła surowy kawałek pod skórą i znalazła otwarty pęcherz z mięsem murgu. Galaretowate, niemal surowe jedzenie, spożywane przez Tanu z wielką niechęcią, mogło smakować Paramutanom.

Okazało się, że miała rację. Angajorqą uznała smak za wspaniały i przywołała Kalaleq, by spróbował nowej potrawy. Chwycił mięso skrwawionymi dłońmi, chwalił głośno między wielkimi kęsami. Dał też trochę Kukujukowi, również Harl wziął kawałek. Gdy jedli, Angajorqą na ognisku gotowała wodę w kamiennym garnku; zalała nią suszone liście, które wsypała do skórzanych kubków i uzyskała mętny napar. Kalaleq wypił go głośno, potem zjadł pozostałe w kubku liście. Armun spróbowała swego napoju, smakował jej. Dzień minął lepiej, niż wskazywałby jego początek. Ziemia była ciepła i bez przeciągów. Można było w niej jeść, odpoczywać i -w przeciwieństwie do wszystkich innych nocy - zasypiać bez budzących lęk myśli o czekającym następnego dnia ciężkim marszu.

Rano Kalaleq wyciągnął z tyłu chaty zwinięte pakunki, które dał Armun do przejrzenia. Były tam wyprawione skóry, czarne, tak długie, że nie potrafiła sobie wyobrazić stworzenia, z którego pochodziły. Znalazła również zszyte skórzane torby wypełnione grubym, białym tłuszczem. Kalaleq wygarnął go trochę i dał spróbować Armun. Tłuszcz miał mocny zapach, który wypełnił ziemiankę. Arn-wheet też chciał spróbować.

- Jedz, jedz! - powiedziała i dała mu polizać swe palce.

Teraz Kalaleq zaczął się krzątać. Związał i rozwijał skóry, wskazywał na Armun, potem na szlak, trzymał krzemienisty nóż w jednej ręce, trzęsąc w drugiej skórą, potem zmieniał dłonie, wołając „żegnaj”. Było to bardzo tajemnicze.

Całą scenę najszybciej zrozumiał Harl.

- Chce chyba wiedzieć, gdzie są inni Tanu. Chce im dać trochę tłuszczu.

Armun wskazała na siebie i obu chłopców, potem na szlak, powtarzając ciągle „żegnaj”. Gdy Kalaleq zrozumiał wreszcie, co chciała powiedzieć, westchnął głęboko, zwinął ponownie skóry i zaniósł je na brzeg. Kukujuk pośpieszył mu z pomocą, przyłączył się też Harl. Po jednej wyprawie nad wodę wrócił biegiem do Armun, krzycząc z podniecenia i wskazując ręką:

- Patrz, patrz na tę wielką czarną skałę! To nie skała, to łódź, zobacz.

Arnwheet dreptał za nimi, gdy przez wydmy i wysuszone kępy trawy szli na piaszczysty brzeg. Harl miał rację, czarna bryła miała zarysy leżącej dnem do góry łodzi. Kalaleq obchodził ją uważnie i opukiwał, by upewnić się, czy nie ma szpar. Była to dziwna łódź, nie wydłubana z drzewa jak u Tanu, lecz zrobiona z jednej wielkiej czarnej skóry. Zadowolony z oględzin Kalaleq pochylił się, uniósł jeden bok łodzi i przewrócił ją. Harl uwiesił się na krawędzi, by zajrzeć do środka, a Arnwheet krzyczał tak długo, aż został podniesiony i mógł również obejrzeć wnętrze.

Była to zdumiewająca konstrukcja. Cienkie, powiązane z sobą kawałki drewna składały się na szkielet, na który naciągnięto skórę, tworząc zewnętrzną powłokę łodzi. Armun widziała teraz, że

skóra została przycięta do kształtu łodzi, a następnie zszyta. Szwy pokrywała ta sama czarna substancja, dzięki której skórzane kubki nie przepuszczały wody. Było to cudowne zjawisko.

Skoro Kalaleq zdecydował się wyruszyć, nie marnował czasu. Z ziemianki wyniesiono wszystko, nawet skórę zakrywającą wejście, i złożono na piasku. Pracowali wspólnie, nawet Arnwheet ugiął się pod ciężarem futra. Gdy na brzegu zgromadzono już cały dobytek,

Kalaleq zepchnął łódź na wodę i wszedł do niej. Każda rzecz miała specjalne, znane tylko jemu miejsce składowania; za każdym razem, gdy podawano mu coś z brzegu, wykrzykiwał głośno wskazówki. Gdy Angajorqaq chwyciła zapasy z włóków Armun, ta uświadomiła sobie, że nadeszła pora podjęcia decyzji, którą być może już podjęto za nią. Obejrzała się na wydmy, widniejące za nimi wzgórze, wiedziała, że czeka tam na nią jedynie śmierć z zimna. Naprawdę nie miała żadnego wyboru. Gdziekolwiek udają się Paramutanie, musi iść z nimi.

Harl wdrapał się na łódź po Kukujuku i Armun podała mu śmiejącego się i uważającego wszystko za wspaniałą zabawę Arnwheeta. Angajorqaq ponagliła ją łagodnymi klepięciami, aż weszła do łodzi. Paramutanka usiadła na piasku, odwiązała podeszwy osłaniające nogi i wrzuciła je do środka. Brązowa sierść pokrywała jej stopy podobnie jak twarz i ręce. Potem podciągnęła skórzane spódnice i weszła do wody, by popchnąć łódź. Piszcziała przy tym od chłodu. Kalaleq chwycił za wiosło, a Angajorqaq po zepchnięciu łodzi z piasku rzuciła się do niej głową naprzód. Ubranie, które opadło jej na twarz tłumilo głośny śmiech. Armun pomogła jej opuścić skóry na mokrą sierść nóg. Uśmiechała się przy tym, dziwiąc się, jak często Paramutanie wybuchają śmiechem.

Kalaleq wiosłował wytrwale przez cały dzień, wprost na nieprzyjemny szkwał, zacinający deszczem zmieszany ze śniegiem. Gdy zgłodniał, zawołał Angajorqaq, która nakarmiła go zgniłymi kawałkami mięsa. Raz ugryzł jej palec zamiast mięsa i wybuchnął tak głośnym śmiechem, że przez jakiś czas nie mógł wiosłować. Armun kulila się pod otwartą burta, przyciskając do siebie chłopców, by się ogrzali, ale podziwiała wszystko. Dopiero o zmroku Kalaleq skierował się do brzegu, szukając odpowiedniego miejsca na lądowanie i nocleg. Skierował łódź ku równej, piaszczystej plaży i sporo musieli się natrudzić, by pokonać przybój.

Podróż ciągnęła się bez końca. Kalaleq wiele dni wiosłował bez odpoczynku, najwidoczniej odporny na zmęczenie. Angajorqaq, mrużąc wesoło, wylewała wodę z łodzi skórzanym kubkiem. Czuła się na niej równie pewnie co na ziemi. Armun robiło się niedobrze od ciągłego kołysania, większość dnia trzęsła się pod futrami, przyciskając odczuwającego również mdłości Arnwheeta. Po kilku dniach Harl przyzwyczyił się do ruchów łodzi, razem z Kukujukiem siedział na dziobie, gdzie zwieszali sznurki z haczykami i rozmawiali z sobą - każdy we własnym języku.

Mijały dni, nie było ich jak liczyć. Wraz z drogą na północ zaczęła psuć się pogoda, fale stawały się coraz większe, tak iż unosili się na bałwanach jak kawałek dryfującego drewna. Sztormy skończyły się w końcu, lecz powietrze było nadal zimne i suche. Armun leżała pod futrami, ściskając Arnwheeta i drzemiąc, gdy usłyszała, że Harl woła ją po imieniu.

- Zbliżamy się do czegoś - spójrz. Łód, na nim coś czarnego, nie wiem, co to jest.

Gruba tafla lodu pokrywała sporą zatokę. Na morzu unosiły się kry i musieli szukać przejść między pływającymi bryłami. Na północy, bardzo daleko, widać było wielkie góry lodowe. Kalaleq kierował łódź ku ciemnym plamom pokrywającym powierzchnię lodu. Zbliżywszy się, poznali, że są to leżące do góry dnem łodzie. Dopiero po dotarciu do pokrywy lodowej Armun spostrzegła, iż część łodzi była znacznie większa od tej, na której tu przyплыnęli. Był to niewiarygodny widok.

Kukujuk stanął na burcie i skoczył na łód, gdy się o niego otarli. Splecioną ze skórzanych pasków liną uwiązał łódź do jednej ze szczelin w lodzie i pobiegł na brzeg.

Armun nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo osłabła podczas drogi. Dopiero dzięki wspólnej

pomocy Kalaleqą i Angajorqąq mogła wyjść na brzeg. Podano jej Arnwheeta i usiadła z nim drżąc, trzymając go, gdy rozpoczęto wyładunek. Zaraz potem wrócił Kukujuk, przyprowadzając z sobą licznych Paramutanów. Łowcy i ich kobiety podziwiali skórę i włosy przybyszy, gładzili Harla po głowie, aż uciekł przed nimi. Spotkało się to ze śmiechem; potem żwawo zabrano się do wyładunku. Wkrótce wszystkie pakunki znalazły się na brzegu, a łódź po wyciągnięciu z morza ustawiono obok pozostałych. Armun powlokła się za innymi, z tyłu dreptał powoli Arnwheet, aż chwycił go jeden z łowców i krzyczącego z radości posadził sobie na ramionach.

Minęli grupę Paramutanów wznoszącą na lodzie namiot z czarnej skóry; przerwali pracę, przyglądając się przybyłym. Z tyłu stały inne namioty, niektóre z zewnątrz umocnione były blokami śniegu zabezpieczającymi przed porwaniem przez wiatr. „Ich ilość wskazuje, jakby zebrały się tu dwa, może trzy sammady” - pomyślała

zataczająca się ze zmęczenia Armun. Z większości namiotów unosił się dym, czuła, że znajdzie w nich ogniska i ciepło. I bezpieczeństwo. Wiatr porywał śnieg z zasp i bił nim kąśliwie w twarz. Zima przybyła już tu na północ, ze śniegiem i lodem.

Minęli jednak dające schronienie namioty i skierowali się w głąb lądu. Pokryte śniegiem zwały morskiego lodu piętrzyły się tu wysoko, utrudniając wyjście na brzeg. Za nimi równa plaża wznosiła się stopniowo do góry. U podstawy skarpy tkwiło kilka dalszych, na wpół wkopanych w zbocze namiotów z czarnej skóry.

Angajorqąq pociągnęła Armun za rękę, skierowała ją do jednego z czarnych namiotów. Był zasnurowany i Kalaleq musiał odplatać wejście. Obok złożono na śniegu wszystkie pakunki zabrane z łodzi. Kalaleq wszedł do środka i zapalił przygotowane już ognisko. Z otworu w szczycie namiotu wzbil się dym. Czując znów pod nogami twardy grunt, Armun szybko zapomniała o chorobie morskiej i przyłączyła się do przenoszących pakunki i futra. „Wszystko idzie dobrze” - pomyślała. I pójdzie tak dalej. Jest bezpieczna. Arnwheet i Harl są bezpieczni. Wszyscy doczekają wiosny. Z tą myślą chwyciła dziecko, przycisnęła je mocno do siebie i usiadła ciężko na spiętrzonych futrach.

- Szybko podsyc ogień - zawołała Angajorqąq. - Włosy-z-promieni-słońca jest zmęczona, widzę to po niej. Głodna i zmarznięta. Przygotuję jedzenie.

- Musimy przenieść nasz paukarut na lód - powiedział Kalaleq pomiędzy podsycającymi ogień dmuchnięciami. - Zatoka zamrzła, mamy już prawdziwą zimę.

- Jutro. Wpierw wszyscy odpoczniemy.

- Właśnie na to będzie czas jutro. Lód jest teraz cieplejszy od ziemi, może odgania mróz. Wytnę też śnieg, by zabezpieczyć namiot przed wiatrem. Będzie ciepło, jutro najemy się i zabawimy.

Na tę myśl uśmiechnął się, przewidując liczne przyjemności, i wyciągnął rękę do Angajorqąq, lecz ta trzepnęła go po dłoni jakby mówiąc, że jeszcze nie pora za zabawę.

- Nie ma czasu - powiedziała. - Potem. Wpierw zjemy.

- Tak - wpierw zjemy! Słabnę z głodu. - jęknął w udawanej agonii, lecz nie mógł powstrzymać przy tym uśmiechu. - Zanosz się na dobrą zimę, bardzo, bardzo dobrą zimę.

*esseka asak, elinaabele nefalatus\**  
*tus'ilebtsan tus'toptsan. alaktus'tsan*  
*nindedei yilanènè*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Gdy fala bije o brzeg, giną małe,  
pływające w niej istoty, zjadają je latające  
ptaki, te z kolei pożerają zwierzęta  
biegające. Yilanè jedzą je wszystkie.

## ROZDZIAŁ IX

Lanefenuu była eistaą Ikhalmenetsu od tylu lat, że tylko najstarsze ze współpracownic pamiętały jej poprzedniczkę; jeszcze mniej potrafiło podać, jak się nazywała. Lanefenuu była wielka duchem i ciałem - o głowę przerastała większość Yilanè - i jako eistaą, doprowadziła do wielkich zmian w kształcie miasta. To ona zbudowała ambesed, w którym zasiadała na miejscu chwały, dawne służyło teraz jako sad. Tu, w naturalnej niecce górującej nad miastem i portem, ukształtowała ambesed dla własnej chwały. Poranne słońce padało na znajdujące się z tyłu niecki, podwyższone siedzisko z intarsjowanego drewna, reszta ambesed pozostawała w cieniu. Za eistaą tkwiły dopasowane do naturalnej krzywizny zbocza, pięknie ozdobione drewniane płyty, wyrzeźbione i wymalowane tak realistycznie, że za dnia zawsze pchały się tam fargj, z otwartymi ustami podziwiając tafle. Widać było pejzaż morski z granatowymi falami i jasnoniebieskim niebem, skaczące wysoko enteesenaty, a ciemny kształt uruketo, niemal naturalnej wielkości, sięgał od brzegu do brzegu. Na szczycie wysokiej płetwy wyrzeźbiono postać dowódczym statku, której podobieństwo do siedzącej niżej eistai nie było przypadkowe. Przed wyniesieniem na obecne stanowisko Lanefenuu dowodziła uruketo, nadal czyniła to w duchu. Jej ramiona i górną część ciała pokrywały malowidła łamiących się fal. Codziennie rano przynoszono z hanalè w zakrytej lektyce Elilepa, by poprawił wzór. Towarzyszył mu inny samiec niosący jego pędzle i farby. Lanefenuu uważała za oczywiste, że samce są bardziej wrażliwe i artystycznie uzdolnione; dobrze jej także robiło branie samca co rano. Służył do tego pomocnik Eliclepa, on sam był zbyt cenny, aby skończyć na plażach. Eistaą wierzyła święcie - choć nigdy nie wspominała o tym Ukhereb, bojąc się, że uczona będzie z tego drwić - iż codzienne uprawianie seksu było przyczyną jej długowieczności. Tego dnia czuła się staro. Zimowe słońce nie grzało, przed zapadnięciem w letarg broniło ją jedynie ciepło żywego płaszcza, którym się otulała. A teraz do wszystkich innych zmartwień dołożyć musiała brzemień rozpacz, które spadło na nią po przybyciu dowódczyni uruketo. Alpèasak, klejnot zachodu, nadzieja jej miasta, uległ zagładzie. Został zniszczony przez szalone ustuzou - jeśli można wierzyć Erafnais; dowodząca uruketo, Yilanè o najwyższej odpowiedzialności, była tam, widziała to na własne oczy. A druga ocalała, Vaintè, która wzniosła to miasto, była również świadkiem zagłady. Będzie o niej więcej wiedziała aniżeli dowódczym, nie opuszczająca w tym czasie uruketo. Lanefenuu poruszyła się na swym miejscu i zażądała uwagi. Muruspe, nigdy nie odstępująca jej pomocnica, podeszła szybko, gotowa odebrać polecenia.

- Muruspe, chcę zobaczyć gościa imieniem Vaintè, która przybyła dziś uruketo. Przyrowadź ją do mnie.

Muruspe wyraziła natychmiastowe posłuszeństwo, pośpieszyła do dyżurujących fargi i przekazała dokładnie słowa Lanefenuu. Gdy zażądała, by je powtórzyły, okazało się, że niektóre jąkały się, nie mogąc zapamiętać słów, lub powtarzając je niedokładnie. Odesłała je, przepędziła zawstydzone-z-niepowodzenia, potem kazała pozostałym tak długo powtarzać polecenie eistai, aż wszystkie robiły to dobrze.

Rozeszły się z ambesed we wszystkie strony, śpieszyły dumne, bo niosły wiadomość od eistai. Każda, którą pytały, przekazywała wiadomość dalej po mieście, aż wkrótce do Ukhereb wpadła jedna z jej asystentek, przekazując bardzo-ważną-wiadomość.

- Eistaą wysłała wieści na miasto. Żąda przybycia twego gościa, Vaintè.

- Idę - powiedziała Vaintè wstając. - Zaprowadź mnie.

Ukhereb odesłała asystentkę.

- Zabiorę cię, Vaintè. To będzie właściwsze. Pracowałam z ei-staą dla Ikhalmenetsu - niestety,

wiem chyba, o czym chce z tobą rozmawiać. Moje miejsce jest przy niej.

Ambesed stało puste, jakby to była noc, a nie pochmurny dzień. Wyproszono kręcące się fargi, mniej znaczne urzędniczki i ich pomocnice pilnowały teraz wszystkich wejść, by nikt niepowołany nie przeszkadzał. Tkwiły zwrócone na zewnątrz, zapewniając eistai dyskrecję. Lanefenuu rządziła twardo, miasto było jej uległe, gdy pragnęła mieć tylko dla siebie całe ambesed, a nie małe pomieszczenie, wyrzucała bezlitośnie wszystkie fargi. Vaintè spojrzała z podziwem na bijącą w oczy moc wysokiej, srogiej postaci siedzącej pod malowanymi płaskorzeźbami; poznała natychmiast, że trafiła na równą sobie.

Swe uczucia Vaintè wyrażała mocnym krokiem, gdy szła obok, a nie z tyłu Ukhereb. Lanefenuu zdumiało jej zachowanie, bo od jaja czasu nikt nie zbliżał się do niej jak równa do równej.

- Jesteś właśnie przybyłą Vaintè z Alpèasaku. Powiedz mi o swoim mieście.

- Zostało zniszczone. - Wykonała ruchy bólu i śmierci. - Przez ustuzou. - Teraz ruchy ciała spotęgowały poprzednie stwierdzenia.

- Powiedz mi wszystko, co wiesz, w najdrobniejszych szczegółach, od samego początku. Niczego nie pomijaj, bo chcę wiedzieć, dlaczego i jak się to stało.

Stojąc na szeroko rozstawionych nogach Vaintè długo opowiadała. Lanefenuu przez cały czas nie drgnęła ani nie uczyniła żadnej uwagi, choć Ukhereb wyrażała ruchami boleść i nieraz reagowała okrzykami. Vaintè nie była zbyt szczerą, nie opowiadała o szczególnych więźniach ze złapanym ustuzou, nie wspominała o nowym pojęciu noszącym nazwę kłamstwa, ale mogło się to zdarzyć przez przeoczenie, opowieść była przecież długa. Opuściła także, jako nie wiążące się ze sprawą, wszelkie wzmianki o Córach Śmierci, opowie o nich kiedy indziej. Opowiadała prosto, ze szczegółami, jak budowała miasto, jak ustuzou zabiły samców na plażach narodzin, jak broniła Alpèasaku przed wrogami z północy i jak została zmuszona w tej obronie do wyprzedzającej agresji. Podkreślając nieprzejednaną nienawiść tych stworzeń przekazywała przecież jedynie fakty. Zbliżając się do końca opowieści, włożyła wszystkie swe uczucia w opis ostatecznego zniszczenia i śmierci, ucieczki paru ocalałych. Umilkła wreszcie, lecz pozycja jej ramion wskazywała, że ma coś jeszcze do przekazania.

- Cóż można dodać do tych okropności? - spytała Lanefenuu, odzywając się po raz pierwszy.

- Dwie rzeczy. Konieczne jest, bym opowiedziała ci na osobności o innych, które opuściły miasto, a są teraz na brzegach Entoban\*. Jest to bardzo poważna, choć całkowicie odmienna sprawa.

- A druga ważna wiadomość?

- Istotna! - powiedziała głośno, podkreślając ruchami wielkiej pilności, siły i niemal pewności.

- Istotna dla wszystkich, które mnie słyszą. Wiem teraz, jak uchronić miasto przed ogniem. Wiem teraz, jak masowo niszczyć ustuzou. Wiem teraz, co robiono źle, choć kosztowało to życie tych, które zginęły, abyśmy się o tym dowiedziały. Wiem teraz, że Gendasi\*, pusty ląd za oceanem, jest przeznaczeniem Yilanè. To musimy wykorzystać. Od jaja czasu nie wiały tak zimne wiatry jak ostatnio. Zniszczyły miasta Yilanè na północ stąd. Nikt nie wie, jak daleko na południe dotrą. Jest Eregtpe, na którego ulicach zalegają jedynie zeschnięte liście. Jest Soromset, gdzie w białym pyłe bieleją kości Yilanè. Jest moje miasto Inegban\*, które zginęłoby w Entoban\*, gdyby nie wybrało życia w Gendasi\* - Czuję teraz zimne wiatry wiejące przez otoczony-morzem Ikhalmenets i boję się o was wszystkie. Czy przybędzie tu mróz? Tego nie wiem. Wiem jednak jedno, mocna Lanefenuu. Jeśli tak się stanie, a Ikhalmenets ma przeżyć, to może to uczynić jedynie w Gendasi\*, bo nie ma innego miejsca, gdzie mógłby się przenieść.

Lanefenuu usiłowała dostrzec w słowach czy postawie Vaintè jakiegokolwiek oznaki słabości czy wątpliwości, ale z jej przemówienia biła tylko pewność.

- Czy to wykonalne, Vaintè? - spytała.

- Wykonalne.

- Czy gdy zimne wiatry dojdą do Ikhalmenetsu, miasto będzie mogło przenieść się na Gendasi\*?

- Czekaj tam na nie ciepła ziemia. Zabierzesz tam Ikhalmenets, Lanefenuu, bo widzę, że masz siłę. Proszę tylko, bym mogła ci pomagać. Gdy się tam znajdziemy, poproszę jedynie o pozwolenie zabijania ustuzou, które nas prześladują. Chcę ci służyć.

Vaintè i Ukhereb odwróciły się dyskretnie, gdy Lanefenuu zapadła w bezruch głębokiego zamyślenia. Każda jednak patrzyła do tyłu jednym okiem, gotowa na ruchy eistai. Trwało to długo, bo Lanefenuu miała wiele do rozważenia. Chmury rozproszyły się, słońce wędrowało po niebie, a one tkwiły nieruchomo niby kamienne rzeźby, jak to potrafią tylko Yilanè.

Gdy Lanefenuu poruszyła się wreszcie, odwróciły się do niej, czekając z uwagą.

- Musi zostać podjęta decyzja. Jest to jednak zbyt poważna sprawa, aby podjąć ją natychmiast. Ukhereb musi najpierw powiedzieć mi o tym, czego dowiedziała się od uczonych z północy. Vaintè musi mi powiedzieć o tej drugiej sprawie, której nie można omawiać publicznie. Czy wiąże się ona z ciepłym Gendasi\*?

- Pośrednio, lecz ma istotne znaczenie.

- Chodź więc do mnie, byśmy porozmawiały.

Lanefenuu szła powoli, przygniatała ją waga decyzji, jaką będzie musiała podjąć. Jej komora sypialna była mała i ciemna, przypominała bardziej wnętrze uruketo niż pokój w mieście. Światło dawały paski fosforencji, a okrągły, przezroczysty otwór w ścianie sprytnie imitował pejzaż morski. Lanefenuu sięgnęła po wodo-owoc, opróżniła go do połowy i opadła na ławę wypoczynkową. Na gości czekały dwie inne ławy, jedna pod ścianą, druga w pobliżu wejścia. Lanefenuu wskazała Vaintè, by zajęła tę przy wejściu.

- Mów - rozkazała Lanefenuu.

- Powiem. Powiem o Córach Śmierci. Czy słyszałaś o nich?

Głębokie westchnienie Lanefenuu świadczyło nie o obawach, ale o nie dającej zadowolenia wiedzy. - Wiem o nich. Erafnais mi powiedziała. Byłam pewna, że to one stanowiły pozostałe pasażerki. Są więc teraz na wolności, mogą roznosić w ciepłym Yebéisku truciznę swych myśli. Co sądzisz o tych stworzeniach?

To proste pytanie wyzwoliło w Vaintè hamowane dotąd uczucie nienawiści, które rozlało się szeroko. Nie mogła go powstrzymać ani opanować. Wykręcała ciało i kończyny w sposób wyrażający wstręt i obrzydzenie, wydawała jedynie nieartykułowane dźwięki, zgrzytając przy tym zębami z niepowstrzymaną siłą. Minęło wiele czasu, zanim zapanowała nad swym ciałem; dopiero gdy znów było spokojne i nieruchome zdecydowała się coś powiedzieć.

- Trudno mi wyrazić w rozsądny sposób nienawiść wobec tych stworzeń. Wstydzę się za ten pokaz niepohamowanej wściekłości, ale to przez nie znalazłam się tutaj. Przybyłam, by opowiedzieć ci o ich zbrodniach, zapytać, czy dotarły już do otoczonego-morzem Ikhalmenetsu ze swym jadem-umysłu.

- Dotarły - i nie dotarły. - Lanefenuu siedziała sztywno, w jej słowach było coś więcej aniżeli tylko sugestia rozkładu i śmierci -Dawno temu dowiedziałam się o nich. Postanowiłam, że ich choroba nie dotknie nas. Ikhalmenets nie bez powodu nazywa się otoczony-morzem, bo nasze młode tu się rodzą i tu pozostają, nie przybywają do nas żadne fargi z innych miast. Jedyną naszą więzią z resztą świata jest uruketo. Dowiaduję się natychmiast o wszystkich, które nim przybywają. Przyływały tu Córy Śmierci i wracały, nie dotykając nawet stopą lądu. Można tak robić z nie mającymi pozycji.

- Ale Yilanè idą, gdzie chcą - powiedziała zdziwiona Vaintè, bo wolność podróży była dlań tak

oczywista jak powietrze, którym oddychała, woda, w której pływała; nie potrafiła sobie wyobrazić, że może być inaczej.

- To prawda - powiedziała Lanefenuu z wielkim trudem, bo jakieś silne emocje krępowały jej ruchy. - Gdy zobaczyłam cię po raz pierwszy, Vaintè, poznałam, że myślisz jak ja, krocysz tą samą ścieżką. Twe słowa potwierdziły to wrażenie. Widzę wspólną przyszłość, dlatego powiem ci teraz coś, o czym nikt nie wie. Tak, do otoczonego-morzem Ikhalmenetsu przybywają Yilanè, wśród nich mówiące dobrze o Córach Śmierci. Wszystkie, które podejrzewam o podburzanie, każę przyprowadzać do tej komory. Tu mają okazję przedstawić mi swoje poglądy.

Lanefenuu umilkła na dłużej, jakby wpatrywała się w głąb swych myśli, w przeszłość, przypominała sobie znane tylko jej, dawno minione wydarzenia.

- Z tymi, które zdecydowane były rozpowiadać o tym zgorzeniu pomimo moich próśb o opuszczenie Ikhalmenetsu, z tymi i tylko z tymi rozprawiałam się tutaj. Po rozmowie kazałam im siadać, tak jak tobie. Wskazywałam jednak tamtą ławę. Jeśli przyjrzyś się jej w świetle, dostrzeżesz w środku błyszczące miejsce. To żywe stworzenie mające jeden z gruczołów hèsotsanu. Czy rozumiesz, o czym mówię? One nigdy nie opuszczają tej komory, Vaintè. Czy wiesz, co to znaczy? Są tam wszystkie - wskazała na małe drzwiczki w ścianie. - Zasilają swymi ciałami korzenie miasta, zamiast niszczyć je swymi poglądami. I tak powinno być.

Gdy znaczenie słów Lanefenuu przeniknęło do umysłu Vaintè, rzuciła się do przodu w postawie najniższej wobec najwyższej i odezwała się w pełen szacunku sposób.

- Pozwól mi służyć ci, Lanefenuu, do końca mego życia. Masz moc, której mi brak, moc postępowania najślusniejszego, bez względu na poglądy innych, moc przeciwstawiania się odwiecznym zwyczajom dla dobra swego miasta. Będę twą fargi, będę zawsze ci służyć i wypełniać twe rozkazy.

Lanefenuu schyliła się i dotknęła lekko kciukami grzebienia Vaintè w geście oznaczającym podzielane szczęście. Gdy się odezwała, w jej głosie wyczuć można było ulgę zrzuconego brzemienia.

- Służ mi, silna Vaintè - jak ja będę służyła tobie. Sztyśmy w tym samym kierunku - wybierałyśmy jedynie różne drogi. Widzę jednak, że nasze drogi złączyły się teraz. Powędrujemy odtąd razem. Nie zwyciężą nas ani ustuzou, ani Córy Śmierci. Wszystko zmieciemy. Jutro jutra będzie jak wczoraj wczoraj - a w tym czasie zniknie wszelka pamięć o owych zagrażających nam dzisiaj stworzeniach.



*Uveigil as nep, as rath at  
stakkiz - markiz fallar ey to mami.*

## POWIEDZENIE TANU

Po każdym lecie, choćby najdłuższym  
i najgorętszym - zawsze nastąpi zima.

## ROZDZIAŁ X

Do Deifoben znów przyszła zima. Tego roku deszcze były obfite, a gwiżdżący w gałęziach drzew północny wiatr gnał przed sobą zeschnięte liście. Pewnego dnia Kerricka obudził bębniący w przezroczyście świetliki deszcz. Było jeszcze ciemno, ale już nie mógł zasnąć. Bładym świtem wziął hèsotsan i nakarmił go, wpychając do małego pyska resztki mięsa pozostawione specjalnie z wieczornego posiłku. Teraz niemal nie rozstawał się z bronią. Wydał surowy rozkaz, by każdy udający się poza granice miasta był uzbrojony. Nie uznawał wyjątków - nawet w stosunku do siebie. Po nakarmieniu broni wyszedł na dwór. Jak niemal codziennie szedł ścieżkami prowadzącymi między polami na północ miasta aż do ostatniego gaju, gdzie wśród liści buszował nenitesk, zgniatając je głośno w paszczy. Chwytające pnącza, posadzone przez Yilanè dla zagrodzenia dojść, nadal przecinały drogi, musiał przekraczać je ostrożnie. Usunęli jednak trujące ciernie, które przeznaczone były do zatrzymywania ludzi, a nie zwierząt. Broń miał w pogotowiu, uważając na licznie drapieżniki czające się na obrzeżach miasta. Rozglądał się bacznie i nasłuchiwał. Był jednak sam, droga na północ stała wolna i pusta.

Kerrick zatrzymał się, nie zważając na deszcz, którym przesiąkały jego długie włosy i broda. Krople kapały z dużego i małego metalowego noża, zwisających z obroży na szyi, potem spływały strużkami po ciele. Było pusto. Przychodził tu niemal każdego ranka; była to

dla niego najgorsza pora. Późniejsze zajęcia pozwalały mu zapomnieć o tęsknocie za rodziną. Ale nie teraz, nie zaraz po przebudzeniu. Może jednak wróci Herilak, przyprowadzając z sobą Armun albo jakiś łowca z wiadomością od niej. Coraz częściej wydawało mu się, że to próżna nadzieja. Powinien był wiosną pójść sam, ruszyć po Armun na północ. Teraz było za późno, do wiosny jeszcze daleko. Dlaczego to miasto jest dlań takie ważne, że został w nim, gdy wszyscy łanu wrócili? Ciągle nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Tak się stało i nic już nie poradzi. Wiosną pójdzie na północ i tym razem nic go nie powstrzyma.

Gdy się odwracał, ścieżka za nim była pusta jak wtedy, gdy na nią wkraczał.

Deszcz mijał, w górze pojawiały się pasy niebieskiego nieba. W mieście czekały nań problemy, decyzje do podjęcia. Nie chciał teraz o nich myśleć, nie miał ochoty na żadne rozmowy. Do oceanu nie było daleko, nawet tu dobiegał stłumiony szum przyboju. Wiedział, że na brzegu nie będzie nikogo. Chciał wrócić do miasta plażą.

Gdy wynurzył się spod drzew, słońce już się przedarło przez chmury, lśniło na czystym piasku, odbijało się w pyle wodnym kipieli. „Alpèasak miał piękne plaże” - pomyślał bezwiednie. Jednocześnie dotknął prawą ręką i podbródkiem noży, jakby sprawdzając, czy są na miejscu. Ze spuszczoną głową brnął przez piasek, piękno plaży nic dlań nie znaczyło. Świat wydawał mu się całkowicie pusty.

Nie używane od ponad roku baseny portu zarastały krzewami; była to jedna z wielu zmian, jakie zaszły w mieście po opuszczeniu go przez Yilanè. Wspiął się na stertę przywianych wiatrem gałęzi i szedł do basenu. Niedaleko powinien stać strażnik. Zgadzał się z Sanone, że tam, gdzie morze podchodziło do miasta, konieczne było trzymanie warty od chwili, gdy się rozwidniało, do zapadnięcia zmroku.

Wróg został przegnany, ale nie znaczyło to, że nigdy już nie wróci. Ujrzał strażnika, siedział oparty plecami o drzewo. Kerrick nie miał ochoty z nim rozmawiać; skierował się ku drodze prowadzącej do miasta. Sasku nie ruszał się; siedział skulony, nie zauważył go.

Kerrick, nagle przestraszony stanął, rzucił się na ziemię i rozejrzał z przygotowanym do strzału hèsotsanem. Żadnego ruchu. Poza krzyczącym ptakiem nic nie słyszał. Pod osłoną krzaków zaczął się

czołgać na łokciach i kolanach, aż zbliżył się do łowcy. Skurczony, z zamkniętymi oczyma, palcami obejmował włócznię. Spał.

Kerrick wstał, wstyd mu było bezpodstawnego niepokoju, podszedł bliżej i zawołał. Wtedy ujrzał strzałkę tkwiącą w szyi łowcy. Zrozumiał, że ziściły się najgorsze z jego obaw.

Wróciły Yilanè!

Cofnął się pod osłonę krzewów i zaczął bystro rozglądać. Gdzie są, dokąd poszły? Nie dawał ogarnąć się panice, zmusił się do zastanowienia. Yilanè są tutaj, był tego pewien. To nie wypadek ani zabójstwo dokonane przez innego łowcę. Wszyscy robili teraz sami strzałki, cierpliwie doszli do takiej ich konstrukcji, że były bardziej skuteczne w walce. Jednak ta, od której zginął wartownik, wyrosła na krzaku. Zebrała ją fargi - wypuściła Yilanè. Wyszły z morza. Ale ile ich jest? Musi ostrzec innych. Gdzie są najbliżsi Sasku? Najczujniej jak potrafił, pośpieszył do miasta, schodząc z wydeptanej drogi.

Usłyszał przed sobą głosy - rozmawiano w języku Sasku! Podbiegł ku nim, miał już zawołać, gdyż dojrzał między drzewami pomarańczy dwóch wojowników. Rozległ się nagle trzask, jeden z nich zachwiał się i upadł. Drugi odwrócił się zaskoczony i po chwili runął na pierwszego łowcę.

Słowa uwięzły w gardle Kerricka, rzucił się na ziemię i ukrył za pniem drzewa, nie spuszczać wzroku z obu martwych Sasku.

Leżał bez ruchu, gdy w małym gaju zaszeleściły suche liście. Wstrzymując oddech przyglądał się ciemnej postaci powoli wychodzącej na słońce.

Yilanè!

Zatrzymała się, znieruchomiała, poruszając tylko oczami rozejrzała się, lecz go nie dostrzegła. Ręce miała opuszczone wzdłuż ciała w geście obawy, hèsotsan skierowała w dół. Była młoda, poznał w niej fargi. Muszą jednak być z nią inne. Miał rację, po chwili usłyszał rozdrażniony głos mówiący: - Naprzód. Fargi zadrzała ze strachu i niezdecydowania, wreszcie ruszyła. Z tyłu wynurzyły się z ukrycia dwie następne, widać było, że boją się podobnie jak pierwsza. Potem w cieniu ukazała się czwarta postać, wyprostowana i władcza, znajoma. Wyszła na światło.

Vaintè.

Kerrick poczuł zalewającą go falę emocji. Nienawiść, wstręt -i coś jeszcze, nie potrafił tego nazwać, nie chciał się nad tym zastanawiać. Vaintè wróciła, prowadzi inwazję, trzeba ostrzec Sasku.

Musi ją zabić, myślał tylko o tym. Już kiedyś wbił w nią włócznię, lecz przeżyła. Teraz, jedno draśnięcie strzałką, niewidoczna kropelka trucizny na jej czubku - i natychmiastowa śmierć. Tak!

Powoli uniósł broń, wycelował, poczuł na policzku powiew, niosący zapach Vaintè, zwracała się ku niemu, jakże dobrze znał tę twarz...

Nacisnąć.

Broń trzasnęła głośno akurat wtedy, gdy wysunęła się naprzód jedna z fargi. Otrzymała uderzenie strzałką, zadrzała i padła.

- Ty! - powiedziała Vaintè, patrząc mu w twarz; barwy nienawiści silnie znaczyły jej ciało.

Kerrick, nie zastanawiając się, strzelił powtórnie - ale zdążyła uciec. Dwie pozostałe fargi odwróciły się, by ruszyć za nią. Broń warknęła mu ponownie w dłoniach i jedna z nich upadła. Głuche uderzenia kopyt cichły wśród drzew.

Biegły, uciekały, a więc to nie inwazja, może jedynie wyprawa zwiadowcza.

- Są tam! - wrzasnął, najgłośniej jak potrafił i wydał okrzyk bojowy Tanu. Potem zawołał w Yilanè - Zabij, zabij, zabij - Vaintè, Vaintè, Vaintè! - mając nadzieję, że znaczenie tych słów do niej dotrze.

W oddali dobiegły go krzyki i znów wykrzyknął ostrzeżenie. Potem pobiegł, nie dbając już o

bezpieczeństwo, za umykającymi postaciami. Gnał za nimi dysząc, pragnął tylko zabijać. Minał drzewa i dojrzał przed sobą uciekające w stronę basenów, zbliżające się do wody.

Kerrick zatrzymał się na nierównym drewnie nabrzeża i strzelił, starając się celować w głowy. Strzelał raz za razem, aż opustoszały hèsotsan zaczął mu się wić w dłoniach. Strzałki chybiły; obie pływaczki znalazły się poza ich zasięgiem. Kierowały się do ciemnego przedmiotu widniejącego daleko za portem.

Charakterystyczna płetwa uruketo czekała tam na nie.

Dopiero teraz Kerrick poczuł, jak bardzo drży. Opuścił broń i patrzył na malejące głowy napastniczek niknące wśród fal. Vaintè jest tam, mógł ją zabić. Usłyszał za sobą nerwowe kroki, podbiegli dwaj łowcy.

- Widzieliśmy je, dwie murgu, padły, ale zabiły Keridamasa i Simmacho; co się stało?

Ciągle drżąc, Kerrick wskazał ręką. - Tam, murgu, żyją. Mają tam jedną ze swych łodzio-bestii. Przybyły przyjrzeć się miastu, wiedzą już, że w nim jesteśmy.

- Czy wrócą?

- Oczywiście! - krzyknął Kerrick, odsłaniając zęby w grymasie nienawiści. - Była z nimi przywódczyni, ta, która prowadziła z nami wojnę, która pragnie zabić nas wszystkich. Dopóki jest tam - wrócą.

Łowcy odsunęli się od Kerricka, przyglądali mu się z niepokojem.

- Musi się o tym dowiedzieć Sanone - powiedział Meskawino. - Musimy pobic go zawiadomić.

Ruszali już, gdy Kerrick zawołał do nich.

- Wystarczy, że jeden zanieś wiadomość. Meskawino, zostań tutaj.

Meskawino zawahał się, ale wykonał polecenie, bo w mieście rządził Kerrick. Sanone był ich mandukto, Sasku ciągle zwracali się do niego jako do przywódcy, lecz ten rozkazywał im zawsze słuchać Kerricka. Meskawino chwycił swą motykę i rozejrzał się z obawą. Kerrick spostrzegł to i z trudem się opanował. Minęła mu ślepa wściekłość. Musi teraz myśleć spokojnie tak jak Yilanè, mieć na uwadze bezpieczeństwo ich wszystkich. Wyciągnął rękę i dotknął drżącego ramienia łowcy.

- Odeszły już, możesz więc porzucić swój strach. Widziałem dowodzącą nimi; odpłynęła bezpiecznie z jeszcze jedną. Odeszły, wszystkie odeszły. Musisz teraz tu zostać i czuwać na wypadek ich powrotu.

Było to jednoznaczne polecenie, Meskawino czuł się potrzebny, miał co robić. Uniósł motykę jak broń.

- Będę czuwał - powiedział, odwracając się ku morzu. Ujrzał w tym momencie skurczone ciało zabitego wartownika i zaczął płakać.

- On też zginął - mój brat! - Rzucił motykę na ziemię, podszedł chwiejnie do ciała i ukląkł obok.

„Nadciąga nowe zabijanie, będą dalsze śmierci” - pomyślał Kerrick, wpatrując się w pusty teraz port. - Vaintè, istota śmierci. Ale to nie tylko ona. Nie otrzymałaby pomocy, gdyby zimne wiatry nie wywołały obaw u Yilanè z Entoban\*, gdzie jedno miasto styka się niemal z drugim. Gdy północnym miastom zagroziła zima, mogły zostać w nich i zginąć albo przebyć ocean i poprowadzić wojnę. To musiała podpowiedzieć im Vaintè; słyszał ją, wiedział, że będzie stale walczyć, dopóki nie umrze.

Kiedyś to musi nastąpić. Nie teraz; była poza jego zasięgiem. Ale spróbuje wdrzeć się do jej umysłu i odkryć, co planuje. Znał ją tak jak nikt inny, dużo lepiej niż pozostałe Yilanè. Co więc robi teraz?

Jednego był pewien, nie jest sama. Tuż za horyzontem musi kryć się cała flota uruketo, pełna

uzbrojonych, gotowych do lądowania fargi. To przerażające. Rozmyślania przerwał mu jęk boleści.

Obejrzał się i ujrzał przybywających Sasku. Pierwszy szedł Sa-none, za nim kobiety rwące włosy z głowy na widok martwego łowcy. Sanone spojrział na zwłoki, popatrzył na Kerricka, wreszcie na morze.

- Wróciły, jak nam to mówiłeś. Musimy się teraz bronić. Co mamy robić?

- Wystawić warty w dzień i noc. Muszą pilnować plaż i wszystkich dróg wiodących do miasta.

One wrócą.

- Morzem? Kerrick zawahał się.

- Nie wiem. Przedtem, zawsze gdy tylko mogły, atakowały z morza, to ich zwyczaj. Ale stosowały tę taktykę wtedy, gdy miały to miasto i małe łodzie. Atakowały nas jednak i z lądu. Nie, następnym razem nie napadną z morza, jestem tego pewny. Musimy wystawić strażę nie tylko tutaj, ale ze wszystkich stron.

- Tylko to możemy zrobić? Stać tylko, patrzeć i czekać, jak zwierzęta przed rzezią? - Kerrick dosłyszał gorycz w głosie mandukto.

- Zrobimy coś jeszcze, Sanone. Wiemy już o nich. Wyślesz najlepszych tropicieli wzdłuż wybrzeża na północ i południe, by szukali ich bazy. Gdy odnajdziemy je, zabijemy wszystkie. Potrzebna nam będzie do tego pomoc sammadara żyjącego śmiercią murgu. Potrzebujemy łowców Tanu, ich znajomości lasu, ich siły. Musisz wysłać dwóch najsilniejszych biegaczy, potrafiących biec dzień po dniu. Poślij ich na północ, by znaleźli Tanu, przekazali Herilakowi, że musi dołączyć do nas ze wszystkimi łowcami, których może przyprowadzić. Gdy usłyszysz, że są murgu do zabijania - przybędzie.

- Mamy tu zimę, na północy leżą głębokie śniegi. Biegacze nigdy nie dotrą do sammadów. Gdyby nawet im się udało, to łowcy nie wyruszą w środku mrozów. Żądasz zbyt wiele, Kerricku. Chcesz, by Sasku ginęli bez powodu.

- Śmierć już się na nas czai. Potrzebujemy ich pomocy. Musimy ją uzyskać.

Sanone pokręcił w zamyśleniu głową.

- Skoro mamy umrzeć, umrzemy. Gdy prowadzi Kadair, możemy tylko iść za nim. Nie przywiódł nas tu bez powodu. Musimy zostać, bo przyszedliśmy po śladach mastodonta. Nie mogę jednak prosić Sasku, by ginęli w śniegach zimy wyłącznie dla idei. Na wiosnę wszystko się zmieni. Postanowimy wtedy, co mamy robić. Teraz możemy jedynie próbować wypełniać wolę Kadaira.

Kerrick z trudem powstrzymał gniew. Nie miał pojęcia czego znów zapragnie Kadair. Wiedział tylko, że zawsze okazywał swą wolę wtedy, gdy stary potrzebował wzmocnienia swych argumentów. Ale w jego słowach było wiele prawdy. Sasku nie przejdą tam, gdzie daliby sobie radę Tanu, nie są przydatni w zimie. A gdyby udało im się, nie mógł być pewien, czy Herilak odpowie na wołanie o pomoc. Muszą czekać do wiosny.

O ile zostanie im tyle czasu.

## ROZDZIAŁ XI

Na południe od miasta, za rzeką zaczynały się bagna. Gęsta dżungla i mokradła podchodziły tam niemal do brzegu oceanu, jedyna możliwa droga prowadziła plażą.

Tuż za linią przyboju długonogie ptaki morskie rozrywały wyrzuconą na piasek, martwą kałamarnicę. Nagle się przestraszyły i uniosły w powietrze. Krążyły z krzykiem nad wlokącymi się plażą dwoma Sasku. Ich białe opaski na głowach pomazane były ochrą, co wskazywało, iż pełnią bardzo ważną misję. Nie wyglądali na uszczęśliwionych. Z wyraźnym lękiem spoglądali na ścianę dżungli, wymierzali śmiercio-kije w niewidzialne cele. Meskawino ze wstrętem spojrział na kałamarnicę, którą mijali.

- Lepiej było w dolinie - powiedział. - Należało tam zostać.

- Murgu przybyły do doliny, by nas zniszczyć - już o tym zapomniałeś? - spytał Nenne.

- Kadair pragnął, byśmy tu przybyli i zniszczyli je, i dokonaliśmy tego.

- Wróciły.

- Zabijemy i te. Skomlisz jak dziecko.

Meskawino był zbyt przestraszony, by zareagować na obrazę. Życie nad oceanem nie podobało mu się, zbyt różniło się od ładu w naturalnej twierdzy, utworzonej przez dolinę, do jakiej przywykli. Jakże tęsknił za jej mocnymi, skalnymi ścianami.

- Co tam jest przed nami? - spytał Nenne. Meskawino stanął, cofnął się o krok. - Nic nie widzę - powiedział ochryplym ze strachu głosem.

- Na morzu, unosi się na wodzie - tam jest następne. Coś tam rzeczywiście było, ale zbyt daleko, by rozpoznać. Meskawino chciał się wycofać, wracać.

- Musimy zawiadomić Kerricka o tym, co zauważyliśmy, to ważne.

Nenne pokazał mu język w geście wielkiej pogardy.

- Kim ty jesteś, Meskawino? Baba czy Sasku? Uciekniesz ze strachu na widok unoszących się w oceanie pni? Co powiesz Ker-rickowi i Sannone? Że coś widzieliśmy? Zapytają nas, co to było, i co im wówczas powiesz?

- Nie powinieneś tak wysuwać na mnie języka.

- Zatrzymam go w ustach, jeśli będziesz zachowywał się jak Sasku. Pójdziemy na południe i sprawdzimy, co zobaczyliśmy.

- Pójdziemy - powiedział zrezygnowany Meskawino, przeświadczony, że idą po pewną śmierć.

Odsunęli się od wody, zbliżyli do drzew, jak mogli najbardziej, szli z bojaźliwą uwagą. Plaża była jednak pusta. Gdy zbliżyli się do zniszczonego falami przylądka weszli między krzewy i palmy, przedzierali się skrycie, choć przypuszczali, że z oceanu ich nie widać. Na szczycie grzbietu rozchyłili ostrożnie gałęzie i wyjrzeli.

- Murgu! - jęknął Meskawino, padając i kryjąc twarz w dłoniach. Nenne był mniej strachliwy. Murgu nie było w pobliżu, widział je dalej na brzegu i na morzu. Unosiły się na nim statki-bestie, takie same jak ten, który zabrał niedobitki z płonącego miasta. Widział to na własne oczy, nie mylił się więc. Na oceanie dojrzał ich wiele, przewyższały liczbę palców dwóch rąk. A między nimi i brzegiem pływały mniejsze łodzie z morderczymi murgu. Ładowały na brzegu, coś tam robiły, nie mógł dojrzeć co, bo ściana zarośli zasłaniała widok. Na morzu dostrzegł dalsze statki-bestie, zbliżały się od strony widocznej w dali wyspy. Było to bardzo dziwne.

- Musimy podejść bliżej, zobaczyć, co robią - powiedział Nenne. Meskawino tylko jęknął, nadal krył twarz w dłoniach. Nenne spojrział nań z litością. Murgu zabiły ojca i jedynego brata Meskawino. Przywiodły go tu gniew i zemsta, walczył dobrze. Ale to było w przeszłości. Tragiczne wydarzenia

odbiły się na nim; był teraz jak pęknięte naczynie. Nenne próbował go zawstydzić, by znów stał się odważnym Sasku, ale nie osiągnął efektu. Nachylił się i lekko dotknął jego ramienia.

- Wracaj, Meskawino. Powiedz im, co zobaczyliśmy. Ja podejść bliżej, spróbuję, może uda mi się dojrzeć, jaką sprawkę Karognisa szykują. Wracaj.

Gdy Meskawino uniósł twarz, widać było w niej lęk, ale i ulgę.

- Nic nie poradzę, Nenne, nie panuję nad sobą. Poszedłbym z tobą gdybym mógł, ale moje nogi idą tylko do tyłu. Zaniosę im wiadomość.

Nenne patrzył, jak szybko oddalał się plażą, nogi rzeczywiście dobrze go niosły w tę stronę. Postanowił zobaczyć, co działo się na brzegu. Wykorzystując swe umiejętności tropicielskie, skradając się cicho, wszedł do puszczy.

Posuwał się wolno i gdy zbliżył się do skarpy na tyle blisko, by widzieć wszystko wyraźnie, słońce stało już nisko. Wysoka grobla osłaniała plażę i ląd poza nią, sięgała w morze. Rosły tu jakieś krzaki o wielkich zielonych liściach, choć dostrzegł między nimi również ciemniejszą roślinność. Ruszył skrajem puszczy i natknął się na pierwsze ciało. Potem na następne. Długą chwilę stał sparaliżowany jak Meskawino, przerażony, wreszcie zdołał zmusić się do bardzo ostrożnego powrotu.

Mimo iż biegł po piasku wytrwałym, długim krokiem, nie zdołał dogonić Meskawino, który gnany strachem musiał wyprzedzać go znacznie. Nenne po raz pierwszy pojmował jego strach.

Kerrick wiedział już o obecności Yilanè od Meksawino i z trudem teraz opanowywał swą niecierpliwość, gdy Nenne pił łąpczywie z wodo-owocu. Resztki płynu wycisnął nad głową i ociekającym potem ciałem. Gdy wreszcie zdołał się odezwać, jego oczy rozszerzał strach na wspomnienie tego, co widział, a ciemna skóra bladła w czasie mówienia.

- Wpierw było tylko jedno zwierzę, sarna, podeszła, by skubać z krzaka. Martwa; cierniste pnącza oplatały jej nogi. Potem zobaczyłem kości innych zwierząt, najróżniejszych, były tam nawet murgu, które zdechły pod ścianą dżungli. Także ptaki, również morskie, które wylądowały i nigdy już nie odleciały. Rośnie tam żywa śmierć zabijająca wszystko, co się zbliży.

- Ale dlaczego? Co to znaczy? - spytał Sanone, a inni w milczeniu podzielali jego zdumienie.

- Co to znaczy? - powtórzył ponuro Kerrick. - Nic dobrego dla nas. Pomyśl. Jest tam mnóstwo murgu i wiele bestii-statków. Mają swą siedzibę na wyspie, gdzie nie możemy ich osiągnąć. Dałoby się zbudować łodzie, ale sądzę, że zginęlibyśmy próbując tam lądować. Nie byłoby problemu, gdyby chciały przebywać na swej wyspie, a my tutaj. Wzniosły jednak na brzegu to miejsce śmierci.

- To daleko stąd - cicho, lecz z nadzieją powiedział Meskawino.

- Tak się wydaje. - W głosie Kerricka nie było żadnej nadziei. - Tamto miejsce podejdzie do nas albo powstaną inne, bliższe, możemy być tego pewni. Niepokoi mnie zmiana ich taktyki. Przedtem, gdy nas atakowały, wysyłały przodem fargi, które zabijaliśmy. Teraz boję się bardzo, że ich dowódczyni planuje coś bardziej podstępnego i groźnego.

Na ile groźnego - i czy mającego słabe punkty? Myślał o tym z obezwładniającym lękiem. Wszyscy słyszeli go wyraźnie, gdy znów zabrał głos:

- Muszę się przyjrzeć tej zaporze na brzegu. Pokażesz mi ją, Nenne? Pomożesz mi zanieść pewne rzeczy, których będę potrzebował?

- Pójdę z tobą. Teraz?

- Nie, musisz odpocząć, jest już późno. Pójdziemy rano.

Wyruszyli o świcie, szli ostrożnie i wytrwale, podążali wczorajszymi śladami, widocznymi nadal poza zasięgiem przyboju. W południe zobaczyli zaporę jako wynurzający się z morza zielony łuk. Wyglądała jak poprzednio, z jedną tylko różnicą.

- Zniknęły - powiedział Nenne. - Wtedy było inaczej. Tam tkwiły bestie-statki, inne poruszały się między nimi a brzegiem, a od wyspy nadpływały większe. Teraz wszystko zniknęło.

Kerrick podejrzewał pułapkę. Morze było puste, wyspa szarzała w oddali w przedwieczornej mgiełce. Za nią widać były inne, mniejsze wysepki. Przypomnił sobie, że mijał je kiedyś w uruketo, tworzyły cały łańcuch, Alakas-aksehent, następujące po sobie złote, rozsypane kamienie. Doskonałe miejsce do lądowania od strony morza, chroniące przed wszystkimi z brzegu. Ale co może znaczyć ten łuk zasadzony na plaży?

- Wejść na tamto wysokie drzewo - powiedział Nenne. - Z górnych konarów zajrzę za zaporę, zobaczę, co tam jest.

Był dobrym wspinaczem, wiele razy wchodził po ścianach doliny, tu szło mu jeszcze łatwiej. Spadające gałązki i liście znaczyły jego drogę w górę. Pozostał tam tylko chwilę, potem wrócił równie szybko, jak szedł w górę.

- Nic - powiedział ze zdziwieniem. - Za zaporą jest tylko piasek. Pustka, przepadły stworzenia, które były tu wczoraj. Zagrzebały się w piasku albo odeszły.

- Pójdziemy tam, skąd obserwowałeś je wczoraj, w pobliżu morderczego terenu - powiedział Kerrick, zabierając łuk. Nenne zarzucił na ramię skórzaną torbę.

Ciało sarny oblepiały teraz brzęczące muchy, z tyłu zielona ściana usłana była martwymi zwierzętami. Kerrick wybrał strzałę i naciągnął cięciwę, podczas gdy Nenne otwierał torbę.

Kerrick dokładnie owinał strzałę kawałkiem tkaniny, potem nasączył ją nalany z skózanego naczynia olejem z charadisu. Osłaniany przed wiatrem przez nachylonego Nenne skrzesał ogień, dodał suche gałązki, aż z dołka w piasku wzbiły się płomienie. Po chwili wstał, naciągnął do połowy łuk z nałożoną strzałą, nachylił się i wetknął w ognisko nasyoną olejem szmatkę. Zajęła się ogniem, niewidocznym w świetle słońca, lecz zdradzonym przez ciemny dym. Kerrick naciągnął łuk do końca, wycelował w niebo i wypuścił strzałę.

Wzniosła się wysokim łukiem i padła na zieloną zaporę. Widzieli, jak płonąc wbiła się w liść. Gdy zgasła, Kerrick posłał następną zapaloną strzałę, potem kolejne. Za każdym razem z takim samym skutkiem.

- Nauczyły się - powiedział głosem ponurym jak śmierć. - Wiedzą już o ogniu. Następnym razem nie da się spalić ich obozowiska. Zdziwiony Nenne pukał się w czoło.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Ale ja wiem. Muszą mieć na lądzie bazę, której nie zdołamy zaatakować ani spalić.

- Możemy walczyć strzałkami i włóczniami, nie będą bezpieczne za zaporą.

- Za taką jak teraz rzeczywiście nie byłyby bezpieczne. Gdy jednak urośnie, osłoni je w nocy i znajdą się poza zasięgiem naszego ataku.

- Te murgu robią dziwne rzeczy - powiedział Nenne, plując ze wstrętem w stronę zielonej bariery.

- Robią - bo myślą inaczej niż my. Znam je jednak i może uda mi się pojąć, do czego zmierzają. Muszę się nad tym dobrze zastanowić. Nie zrobiły tego bez powodu i muszę poznać przyczyny. Podejźmy bliżej.

- To pewna śmierć.

- Tak, ale dla zwierząt. Zachowajmy ostrożność.

Kerrick przekonał się, że drżą mu nogi, gdy ostrożnie stawiał je na twardo ubitym piasku. Gdy podeszli do sarny, Nenne zatrzymał go, chwyciwszy za ramię.

- Patrz, pnącze z kolcami trzymające sarnę za nogę wyrasta z piasku. W miejscu, gdzie stała sarna, blisko skubanej przez nią trawy. Dlaczego nie zauważyła go, nie ominęła?



- Chyba wiem - powiedział Kerrick i wykopał z piasku na wpół zagrzebaną muszlę. Rzucił ją ostrożnie, tak iż upadła obok ciała zwierzęcia.

Zielona, długa, zakończona cierniem łodyga wystrzeliła z piasku i uderzyła w muszlę.

- Rosną tuż pod powierzchnią - powiedział Kerrick. - Wyskakują, gdy coś naciśnie je z góry.

- Mogą znajdować się tu wszędzie - powiedział Nenne, cofając się ostrożnie po własnych śladach. To miejsce śmierci, nic nie może tu żyć.

- Niezupełnie, patrz tam, u podnóża zapory.

Stali nieruchomo, niemal nie oddychając, gdy liście zaszeleściły i rozstały się, ukazując cętkowaną, pomarańczowo-purpurową głowę, która rozejrzała się jasnymi oczyma i cofnęła. Po chwili wysunęła się dalej. Jaszczurka szybko przecięła piasek, potem zamarła w bezruchu, poruszając jedynie oczami. Było to brzydkie stworzenie o płaskim, grubym ogonie, nabrzmiałe guzy na jego grzbiecie lśniły w słońcu jakby były mokre. Potem zwierzę ruszyło znowu, pozostawiając po sobie śluzowaty ślad, doszło do kępy trawy, zaczęło ją żuć poruszając szczękami na boki. Kerrick sięgnął powoli do kołczanu, wyciągnął strzałę i napiął łuk.

Strzelił.

- Dobrze - powiedział Nenne, kiwając z uznaniem głową i patrząc na trafione stworzenie, które rzuciło się, nim znieruchomiło. Obeszli je szerokim łukiem i podeszli od strony oceanu, idąc skrajem wody. Pochyleni przyjrzeni mu się bliżej.

- Brzydkie - powiedział Nenne. - Patrz, ocieka śluzem niby ślimak.

- Może to chroni je przed trucizną ściany, a prawdopodobnie i przed cierniami. Żyje tam, gdzie giną wszystkie inne stworzenia. Musi być po temu powód, Yilanè nie robią niczego bez przyczyny.

- Ale jest chore - ma wrzody na grzbiecie, jeden się otwiera.

- To nie wrzody ani rany; patrz, jak równo są rozstawione.

Kerrick sięgnął końcem łuku i stuknął w otwarty guz, grzebał w nim, aż wy dostał brązowe drobiny. Nenne nachylił się nad nimi i przyjrzał uważnie.

- Są suche, nic nie rozumem. Wyglądają jak ziarna. Kerrick wstał powoli, spojrział na niosącą śmierć zieloną zaporę i poczuł, jak mimo gorącego słońca przejął go chłód.

- Rozumiem aż za dobrze. Patrzymy na klęskę, Nenne. Nieuniknioną klęskę. Nie wiem, jak moglibyśmy wygrać tę bitwę, jak moglibyśmy ocaleć.

## ROZDZIAŁ XII

Jeden z młodszych mandukto rozgrzebał węgle i dorzucił drew. Płomienie ogniska oświetlały małą grupkę skupioną wokół Sanone, siedzącego naprzeciw Kerricka. Pragnął on rozmawiać ze wszystkimi łowcami, lecz nie leżało to w zwyczaju Sasku. Decyzje podejmowali mandukto i były one przez wszystkich przestrzegane. Naradzali się między sobą ściszymi głosami, podczas gdy Kerrick wpatrywał się w ogień. Chciał dostrzec lepszą przyszłość w jego blasku; widział w nim jednak jedynie rozpacz.

- Nie możemy się zgodzić na twoją propozycję - powiedział Sanone, odwracając się do Kerricka. - Opierasz się na przypuszczeniach, nie masz dowodów, musimy poczekać, by się upewnić.

- Chcecie czekać na pierwsze ofiary? Nie dostrzegacie, co się dzieje? Spójrzcie na południe, na plażę, na to niby puste obozowisko. Nieważne, że nie ma w nim teraz żadnych murgu - to celowe. Tamte rośliny są trujące, przynoszą śmierć, trzeba je było gdzieś zasadzić, by móc zebrać plony. Czemużby nie na brzegu? Muszą rosnać w tym środowisku. Zasadzono je tam, by rozwijały się i kwitły, a gdy dojrzeją, zostaną zebrane ich ziarna. Wyjaśnia to obecność zabitego przez nas małego murgu.

- To tylko przypuszczenia...

- Być może. Ale są chyba bliskie prawdy. Pomyśl o tym zwierzęciu, stworzonym do życia wśród pnączy i roślin zabijających inne istoty. Po co by murgu miały się trudzić wyhodowaniem czegoś takiego, gdyby rośliny te miały służyć wyłącznie obronie. Nie, muszą być przeznaczone do czegoś strasznego. Mają się rozprzestrzeniać. Dojść tutaj. Małe murgu będą przenikały wszędzie, gdzie pójdą, zostawiając za sobą nasiona. Dojdą do Deifoben i posadzą w naszym mieście śmierć. Będziemy musieli je opuścić, inaczej zginiemy.

- Zabijemy małe murgu, jeśli spóbiją się do nas dostać - zawołał jeden z mandukto, a inni go poparli. Kerrick z trudem utrzymywał gniew na wodzy.

- Zabijesz? laki z ciebie wspaniały myśliwy z włócznią i śmiercio--kijem, że potrafisz polować dzień i noc, wszędzie na tym ogromnym terenie, pod każdym krzakiem i drzewem, niszczyć wszystkie pojawiające się murgu? Jeśli tak sądzisz, to jesteś głupi. Wszyscy jesteście głupcami. Czuję to co wy i wołałbym w to nie wierzyć. Ktoś jednak musi myśleć. Musimy wszyscy stąd odejść - i to jak najszybciej.

- Nie, nie zrobimy tego - Sanone wstał. - Przyprowadził nas tu Kadair, nie opuści nas i teraz.

- A może przywiódł was tutaj Karaognis - powiedział Kerrick. Usłyszał wokół siebie przerażone głosy; miał nadzieję, że dzięki wstrząsowi coś pojmą. - Nie możemy zabić wszystkich stworzeń, które zaczną tu przychodzić, nie możemy zapobiec zasianiu ziaren. Musimy wyruszyć, nim dojdzie do pierwszych zgonów.

- To niemożliwe - powiedział Sanone. - Nie zrobią tego, bo zniszczyłyby w ten sposób miasto. To co zabija nas, zabije równie szybko i murgu.

Kerrick nie zwracał uwagi na okrzyki aprobaty, zagłuszył je wrzaskiem.

- Rozumujesz jak dziecko! Myślisz, że murgu wyhodowałyby i zasadziły te rośliny, gdyby nie wiedziały, jak je zwalczać? Po odzyskaniu miasta wyplenia wszystkie krzewy zniszczenia.

- Jeśli one to potrafią - możemy i my.

- Nie możemy. Nie mamy ich wiedzy. Sanone uniósł rękę, uciszając wszystkich.

- Rozzłościł się i porzuciliśmą mądrość. Mówiliśmą rzeczy, których będziemy żałować. Może spełni się wszystko to, o czym mówił Kerrick, ale jeśli nawet - czy mamy jakiś wybór? Skoro mogą zniszczyć to miejsce, dlaczego by nie miały pójść za nami i nie zniszczyć naszej doliny, czy

każdego innego miejsca, w którym osiadziemy. Może Kadair przyprowadził nas tutaj abyśmy zmarli, może to część jego planu. Nie wiemy. Okazuje się, że mamy niewielki wybór. Lepiej więc zostać.

Kerrick umilkł po raz pierwszy, bo nie mógł znaleźć odpowiedzi na słowa Sanone. Czy to rzeczywiście jedyny wybór? Zostać tu i zginąć albo uciekać w głąb ładu. I zastać u celu oczekującą śmierć. Nie mając nic do powiedzenia otulił się płaszczem z sarniej skóry, wstał i poszedł do pomieszczenia, w którym spał. Miał za sobą długi, ciężki dzień, był zmęczony, lecz mimo to nie mógł zasnąć. Leżąc w ciemnościach, zastanawiał się nad wyjściem z sytuacji, szukał sposobu, którego dotąd nie zauważył. Wiosną posłą po Herilaka, przybędzie z innymi Tanu. Przypuszczają atak na zajmowaną przez Yilanè wyspę, wezmą ją. Pochwycą uczoną, zmuszą ją, by zdradziła sposób zniszczenia śmiertelnych roślin. Zabiją wszystkie pojawiające się jaszczurki, wykopią rośliny, które wykiełkują. Wiele można zrobić - trzeba to zrobić...

Ranek był pogodny, słońce grzało, rozproszyło część nocnych lęków. Kerrick obierał pomarańczę, gdy dojrzał Sanone wyłaniającego się z jednego z korytarzy. Twarz miał skrzywioną bólem, szedł niepewnie. Kerrick przestraszył się, obrany owoc upadł na ziemię.

- Pierwsza śmierć - powiedział Sanone. - Zaczęło się, jak powiedziałaś. Dziecko, dziewczynka, bawiła się na brzegu, z piasku wyłonił się cień, wbił się jej w stopę i zmarła. Wykopaliśmy roślinę włócznie, była wielkości dłoni, spaliliśmy ją w ognisku. Jak mogła się dostać tu, do środka miasta.

- Jest wiele sposobów. Mogły wrzucić nasiona do wody w górze rzeki. Mogły karmić nimi ptaki, które wydalają je z odchodami. Te Yilanè, które hodują nowe rzeczy, są bardzo sprytnie. Gdy coś robią, czynią to dokładnie. Należy wszystkich ostrzec, próbować się chronić. A może jednak odejdziemy?

Sanone wyglądał teraz na starszego, niż był, rysy twarzy mu się pogłębiły.

- Nie wiem. Wieczorem musimy znów się naradzić. Wcześniej muszę coś zrobić, by poznać wolę Kadaira. Bardzo trudno jest zdecydować, co należy czynić.

Kerrick poszedł wraz z Sanone przyjrzeć się resztkom trującej rośliny. Rozgarnął ją kijem.

- Jest bardzo mała, ale ciernie są równie duże, co u rośliny całkowicie dojrzałej. Czy było ich więcej?

- Szukaliśmy, była tylko ta jedna.

- Wszyscy muszą owijać stopy skórą. Nie wolno dotykać dziwnych roślin. Większe dzieci muszą pilnować mniejsze. Wszystkie mogą przebywać tylko w określonych miejscach, które będą codziennie rano starannie przeszukiwane.

Kerrick poczuł głód i podszedł w stronę ogniska, przy którym żona Nennego, Matili, zawsze zostawiała dla niego miejsce. Piekła w popiele wspaniałe mięso oblepione gliną. Po rozbiciu stwardniałej skorupy mięso w środku było miękkie i soczyste. Podawała je z miseczkami, w których znajdowała się przyprawa zrobiona z owoców gniecionych z solą i palącym pieprzem. Maczane w niej kawałki mięsa były bardzo smaczne.

Gdy podszedł do ogniska, Matili spojrzała na niego chłodno i uczyniła gest, jakiego nigdy dotąd nie widział. Trzymała dłoń pionowo przed nosem, pomiędzy oczami. Gdy ją zagadnął, nie odpowiedziała, lecz odwróciła się i uciekła do pokoju, w którym spała z Nenne. Było to zaskakujące, Kerrick miał już odejść, gdy pojawił się Nenne.

- Mam nadzieję, Kerricku, że nie jesteś głodny, bo nie ma jedzenia. - Mówił to z odwróconą twarzą, co nie było jego zwyczajem.

- Co się stało Matili? - spytał Kerrick. - Dlaczego trzymała tak rękę?

Powtórzył jej gest. Przypomniał sobie, że ruch dłoni, podobnie jak innych członków ciała składa się na język Yilanè. Nie zdając sobie z tego sprawy, ustawił rękę przed piersią w ochronnym, sa-

miczym gości, a jego postawa do złudzenia przypominała pozycję, jaką przed chwilą przyjęła Matili.

Nenne nie rozumiał ruchów Kerricka, nie umiał ich odczytać. Drażniły go, choć do tej pory to ukrywał. Drażnił go cały Kerrick. Teraz nadszedł czas, by mu to powiedzieć.

- Podejdź tu, spróbuję wyjaśnić.

Weszli między drzewa, gdzie nikt nie mógł ich słyszeć.

- To przez słowa, które powiedziałeś wczoraj wieczorem. Rozmawiałeś z mandukto, krzyczałeś głośno i wiele osób cię słyszało. Matili dowiedziała się o tym. Gest, jakim cię powitała, robią głupie kobiety, by odegrać od siebie Karognisa.

Kerrick był zaskoczony.

- Moje wieczorne słowa - i Karognis? Nie rozumiem.

- Karognis jest zły, równie zły co murgu; na kim spocznie jego wzrok, tego spotka nieszczęście.

- Co mam wspólnego z Karognisem?

- Niektórzy twierdzą, że mówisz językiem Karognisa. Powiedziałeś bez szacunku coś o Kadairze, co usłyszeli inni. Źle zrobiłeś.

Kerrick spojrział na ponurą twarz Nennego i czuł, że myśli on podobnie jak Matili. Sasku słuchali mandukto, przyjmowali ich nauki o świecie, o stworzeniu go przez Kadaira, o Karognisie. Przypominali w tym Tanu, widzących przejawy życia we wszystkim, co ich otaczało, w zwierzętach, ptakach, nawet w rzekach i drzewach. Wiedząc skąd pochodzi to życie, mówili o Ermanpadarze jedynie z najwyższym szacunkiem. Kerrick niemal o tym zapomniał, nie dorastał w tak silnej wierze jak Tanu i Sasku. Próbował teraz to wytłumaczyć.

- Mówiłem w gniewie, pełen obawy. Powiedz Matili, że myślę inaczej, że to były tylko słowa.

- Muszę wracać - Nenne odwrócił się i odszedł. Jasne było, że podziela przekonanie kobiety.

Kerrick nie okazał gniewu, nie podejmował dyskusji z Nenne, która podbudowałaaby tylko niechęć. Nienawidził jednak głupoty Sasku.

„To tylko ustuzou” - przypomniał sobie.

Tak, są nimi, lecz nie powinien myśleć jak Yilanè - nie wolno mu tak. Jest ustuzou, jak oni, nie należy do Yilanè.

Myśląc o tym, szedł do hanalè ciekawy, jak mają się obaj samcy. Był Tanu, lecz chwilami czuł się i myślał jak Yilanè.

- Bardzo nudno - powiedział Nadaske i dodał ruch znaczący spać-wiecznie. - Jesteśmy tu cały czas, nikt do nas nie przychodzi. Kiedyś, dawno temu, oprowadziłeś nas w słońcu po mieście i było to przyjemne. Nie zrobiłeś jednak tego więcej, możemy rozmawiać tylko z sobą, a po tylu dniach mamy sobie bardzo mało do powiedzenia. Kiedyś mogliśmy mówić z tobą, lecz masz zapewne inne zajęcia i rzadko tu bywasz.

- Cieszcie się, że nadal żyjecie - powiedział Kerrick ze złością i goryczą. - To powinno być jakimś pocieszeniem.

Nadaske odwrócił się zaskoczony, pytającym gestem reagując na brutalność. Kerrick uśmiechnął się na tę wymówkę. Wiedział, że Nadaskie kojarzy brutalność z Yilanè. A jednak niedawno to kobieta Sasku odesłała go głodnego od ogniska. I nic nie jadł do tej pory. Rozejrzał się. Samce nie były głodne i od wczoraj zostawiły trochę konserwowego mięsa. Kerrick oderwał kawałek i spróbował. Imehi zajęczał:

- Umrzemy tu, zamknięci, zamorzeni głodem.

- Nie bądź niemądry - zasygnalizował związek samców i głupoty. Ruchy były trudne, bo gesty te wykonywały jedynie samice. Tamci jednak uznawali jego panującą-samiczą pozycję. Rozzłościło to

Kerricka. Czyżby nigdzie nie był mile widziany?

- Wróciła Vaintè - powiedział. - Jest tu blisko z innymi Yilanè.

Wiadomość podziałała piorunująco. Zaczęli przeproszać za swój zły humor, zapewniali Kerricka o uznaniu dla jego siły i wielkoduszności, błagali o informacje. Został z nimi, rad z towarzystwa, które wydawało mu się bliskie. Mógł rozmawiać o interesujących go sprawach we właściwy dla Yilanè, głęboki i złożony sposób. Nie dbał o Kadaira, Karognisa ani o Ermanpadara. Zapomniał na chwilę o wielu kłopotach. Wyszedł dopiero w południe i wrócił przed zmrokiem, przynosząc jedzenie. Z przyjemnością razem spożywali posiłek.

Jednakże przyjemność zakłócał niepokój o przyszłość, Vaintè była blisko, między jej kciukami czaiła się śmierć. Trujące rośliny będą rosły w słońcu szybko, małe jaszczurki przenikną wszędzie, roznosząc śmiertelne nasiona. Przyszłość, która nadchodziła, nie zapowiadała nic dobrego.

## ROZDZIAŁ XIII

Po zimowych sztormach, gdy nadeszło wiosenne ocieplenie, ożywiło się wybrzeże na południe od miasta. Znajdowano tam coraz więcej trujących roślin, choć z jakiegoś nieznanego powodu groźne prądy nie przekraczały granic miasta. Wyglądało to tak, jakby Yilanè zakończyły przygotowania do skutecznego ataku i czekały teraz na sygnał rozpoczęcia walki. Mijały jednak dni i nic się nie działo, tak że nawet Kerrick zaczął wątpić w swe wcześniejsze obawy. Właściwie wątpił nadal, lecz krył się z tym. Wiedział, że wcześniej czy później dojdzie do ostatecznej bitwy. Na wyspie była przecież Vaintè. Nie spocznie, dopóki nie zniszczy ich wszystkich. Dlatego, nie zważając na skargi, Kerrick pilnował, by wszystkie drogi do miasta były strzeżone dniem i nocą, by uzbrojone grupki przeprowadziły dłuższe zwiady wzdłuż północnego i południowego brzegu, śledząc każdy ruch Yilanè.

Sam też zakradł się na południe, nabrał bowiem pewności, że atak nastąpi od tej strony. Ale poza ciągle rozrastającą się ścianą śmierci od tej strony nic na brzegu nie wskazywało, by podjęto przeciwko miastu działania. Pewnego gorącego popołudnia, gdy wracał ze zwiadowczej wyprawy, spotkał na ścieżce czekającego nań Nenne.

- Przybył łowca z północy, Tanu, mówi, że chce widzieć się tylko z tobą. Sanone poszedł się z nim spotkać, lecz nie chciał rozmawiać z mandukto, powtarza ciągle, że ma wieści wyłącznie dla ciebie.

- Czy znasz jego imię?

- To sammadar, Herilak.

Gdy Kerrick usłyszał to imię, ogarnęło go niedobre przecucie. Coś się stało z Armun? Nie miał podstaw do obaw, lecz tkwiły one w nim, opanowały go tak mocno, że aż drżały mu ręce.

- Jest sam? - spytał nie ruszając się.

- Nie ma z nim nikogo, choć za miastem, wśród drzew, czekają inni łowcy.

Przyszedł sam, inni zostali w puszczy, z jakiego powodu? A Armun, co z nią? Nenne czekał, odwrócony bokiem, gdy Kerrick wykonywał ruchy całym ciałem, wyrażając swe myśli na sposób Yilanè. Z trudem wyrwał się z paraliżującego go niezdecydowania i strachu.

- Zaprowadź mnie natychmiast do niego.

Przebiegli szybko przez miasto, w upale ich ciała ociekały potem. Dotarli do otwartej przestrzeni ambesed, gdzie czekał Herilak. Stał oparty na włóczni, wyprostował się, gdy Kerrick podszedł i odezwał się pierwszy:

- Przybyłem z prośbą. Nasze śmiercio-kije...

- Porozmawiamy o nich, gdy powiesz mi o Armun.

- Nie ma jej ze mną - odpowiedział ponuro, bez uśmiechu.

- Widzę to, Herilaku. Co z nią, co z dzieckiem?

- Nie mam pojęcia.

Sprawdziły się obawy Kerricka. Coś się stało. Potrzęsnał ze złością hèsotsanem.

- Mów jasno, sammadarze, zabrałeś ją do swego sammadu, miałeś jej strzec, obiecałeś mi to. Dlaczego więc mówisz, że nie masz pojęcia?

- Bo odeszła. Sama, choć zakazałem jej, nie pozwoliłem też nikomu udzielić pomocy. Jeśli coś się stało, winna jest tylko ona. Może trochę i Ortnar, który nie posłuchał mnie, pomógł jej odejść. Stało się to zeszłego roku o tej porze. Zniknęła z mojego sammadu. Posłałem za nią łowców, lecz nie zdołali jej odnaleźć. Porozmawiajmy teraz o innych sprawach...

- Porozmawiajmy o Armun. Poprosiła cię o pomoc, nie udzieliłeś jej. Teraz mówisz mi, że

odeszła. Dokąd?

- Poszła na południe, do ciebie. Musi tu być.

- Nie ma jej - nigdy tu nie dotarła. Słowa Herilaka były surowe jak zima.

- Musiała zginąć na szlaku. Porozmawiajmy o czymś innym.

Zaślepiiony wściekłością i zalem Kerrick uniósł hèsotsan, wycelował go drżącymi rękoma w Herilaka, który stał nieruchomo, bez lęku, opierając się na wbitej w ziemię włóczni. Sammadar pokręcił głową i powiedział:

- Zabijając mnie, nie przywrócisz jej życia. A Tanu nie zabijają Tanu. Poza tym są inne kobiety.

- „Inne kobiety”. Te słowa wstrząsnęły Kerrickiem, opuścił broń. Dla niego była tylko jedna kobieta

- Armun. A ona nie żyje. Nie Herilak jest temu winien, lecz on sam, nikt inny. Gdyby wrócił do sammadów, żyłaby teraz. Ale stało się. Nie ma o czym mówić.

- Chciałeś mówić o śmiercio-kijach - powiedział Kerrick głosem pozbawionym emocji. - Co z nimi?

- Wszystkie zdechły. Zima była mroźna. Staraliśmy się trzymać je w cieple, lecz mimo to wiele zmarło pierwszej zimy, pozostałe - przed tą wiosną. Musimy teraz polować na murgu, bo na północy nie ma zwierzyny. Potrzeba nam nowych śmiercio-kijów. Sammady muszą je dostać, by przeżyć. Są tutaj. Czy podzielisz się z nami?

- Mamy ich wiele, dorastają nowe. Gdzie są sammady?

- Na północy, czekają na plaży z mastodontami. Połowa łowców została z nimi, reszta jest w puszczy. Przyszedłem sam. Czuję, że będziesz chciał mnie zabić, i wolałem, by na to nie patrzyli.

- Miałeś rację. Nie dostaniesz jednak ani jednego śmiercio-kija, jeżeli masz zamiar polować na równinach.

- Co takiego? - Herilak potrząsnął w gniewie włócznią. - Odmawiasz mi, odmawiasz sammadom? Jeśli chcesz, możesz wziąć me życie. Dałem ci je - dla dobra sammadów - a ty mi odmawiasz?

Uniósł nieświadomie włócznię. Kerrick wskazał na nią, uśmiechając się szyderczo.

- Tanu nie zabijają Tanu, mimo to wzniosłeś włócznię. - Zaczekał, aż Herilak opanuje gniew, opuści broń. - Powiedziałem, że nie dostaniecie śmiercio-kijów, jeżeli będziecie chcieli polować na równinach. Miasto jest zagrożone i potrzebni są łowcy do jego obrony. Mieszkają w nim Sasku. Kiedyś pomogli Tanu i teraz proszę cię, byście z kolei pomogli nam. Zostańcie tu i pomóżcie. Śmiercio-kije są dla wszystkich.

- Nie mogę sam zdecydować. Są jeszcze inni sammadarzy i członkowie sammadów.

- Przyrowadź wszystkich tutaj. Musicie podjąć decyzję.

Herilak warknął gniewnie, nie miał jednak wyjścia. W końcu obrócił się na pięcie i odszedł szybko, nie spoglądając nawet na Sanone.

- Jakies kłopoty? - spytał Sanone.

Kłopoty? Armun nie żyje. Kerrick ciągle nie mógł się z tym pogodzić. Z trudem powiedział:

- Przybędą tu sammadarzy Tanu. Powiedziałem im, że jeśli chcą

dostać śmiercio-kije, muszą zatrzymać się w mieście. Muszą przyprowadzić tu sammady.

Musimy się połączyć we wspólnej obronie, nie ma innego wyjścia.

Sammadarzy naradzali się długo i gniewnie, wciągnęli dym z przekazywanej sobie fajki. Kerrick nie uczestniczył w naradzie, zignorował rzucane nań wściekłe spojrzenia, gdy Herilak oznajmił o ultimatum. Uczucia przybyłych nie miały dla niego znaczenia. Tanu i Sasku zostaną tutaj, będą bronić miasta. Pograżony głęboko w ponurych myślach ledwo uświadomił sobie, że ktoś przed nim stoi. Dopiero po chwili poznał, że to Ortnar. Skinął na łowcę, by podszedł bliżej.

- Usiądź tu w cieniu obok mnie i opowiedz o Armun.

- Rozmawiałeś o niej z Herilakiem?

- Powiedział mi, że kazał jej pozostać w obozowisku, zabronił udzielać pomocy. Uczyniłeś to jednak. Co się stało?

Ortnar czuł się nieswojo. Mówił szeptem, opuścił głowę, długie włosy zasłaniały mu twarz.

- Ciągnęło mnie w dwie strony naraz, Kerricku; nadal ciągnie. Herilak jest moim sammadarem, tylko my dwaj ocaleliśmy z sammadu wymordowanego przez murgu. Taką więź trudno zerwać. Gdy Herilak rozkazał, by nikt nie pomagał Armun, posłuchałem, bo była to decyzja słuszna. Droga jest długa i ciężka. Gdy z kolei ona poprosiła mnie o pomoc, poczułem, że ma rację. Pociągnęło mnie to w jej stronę i w swej głupocie udzieliłem jedynie częściowo pomocy. Powinienem być zrobić więcej, pójść z nią, wiem to teraz. Powiedziałem jej którędy ma iść i dałem swój śmiercio-kij. To była połowa pomocy.

- Inni nie udzielali żadnej, Ortnarze. Byłeś jej jedynym przyjacielem.

- Powiedziałem Herilakowi, co zrobiłem. Powalił mnie. Leżałem jak zabity przez dwa dni, tak mi mówiono. Uderzył mnie w gniewie. - Palce Ortnara dotknęły czubka głowy, znalazły bliznę. - Nie jestem już w jego sammadzie, nie odezwał się więcej do mnie.

Uniósł twarz i kontynuował, zanim Kerrick zdołał się odezwać.

- Musiałem powiedzieć ci to wszystko, abyś wiedział, co się stało. Szukałem potem jej śladów, tropiłem je podczas wędrówki na wschód. Nic nie znalazłem - żadnych kości czy szkieletów. Wyszli w trójkę, Armun, twój syn i chłopak, którego wzięła z sobą. Powinny być jakieś ślady. Pytałem wszystkich spotkanych łowców, żaden ich nie widział. Ale jeden z nich, wymieniający kamienne noże na futra, handluje z Paramutanami z północy. Rozumie trochę ich język. Powiedział, że spotkał u nich kobietę z włosami takimi jak my, kobietę z dziećmi.

Kerrick chwycił go za ramiona, postawił na nogi i potrząsnął dziko.

- Coś powiedział - czy wiesz, co mówisz? Ortnar z uśmiechem kiwnął głową.

- Wiem. Przybyłem na południe, by ci to powiedzieć. Teraz, póki jeszcze trwa lato, pójdę na północ szukać Paramutanów, może uda mi się odnaleźć Armun. Przeprowadzę ją do ciebie...

- Nie, nie trzeba.

W jednej chwili w Kerricku wszystko się zmieniło. Wyprostował się, jakby z jego ramion spadł niewidzialny ciężar. Przyszłość stała się nagle wyraźna jak ścieżka, widniała przed nim dobrze widoczna, wyglądała, jakby wydeptał ją w skale Kadair, o którym ciągle mówił Sanone. Spojrzał poza Ortnara, na północ.

- Nie musisz iść, pójdę sam. Sammady tu zostaną; miasto zostanie obronione. Herilak wie, jak zabijać murgu, nie potrzebuje już żadnych moich wskazówek. Pójdę na północ i znajdę ją.

- Nie pójdziesz sam, Kerricku. Nie mam żadnego sammadu oprócz twego. Prowadź, pójdę za tobą. Będziemy razem; dwie włócznie silniejsze od jednej.

- Masz rację - uśmiechnął się Kerrick. - Jesteś też dużo lepszym łowcą niż ja. Głodowalibyśmy, gdybyśmy musieli polegać na moim łuku.

- Pójdziemy szybko, nie będziemy mieli wiele czasu na polowanie. Zabierzemy szare mięso murgu, jeśli jest tutaj.

- Tak, mamy go jeszcze sporo. Sasku wolą świeże mięso.

Kerrick znalazł duży zapas pęcherzy z mięsem, zaniósł je samcom do hanalè. A co stanie się z tymi stworzeniami? Jeśli odejdzie, czeka je pewna śmierć, to jasne. Zasługują na lepszy los. Musi o tym pomyśleć. Przed wyruszeniem trzeba będzie podjąć wiele decyzji.

- Wyjdziemy rano - powiedział. - Spotkamy się tutaj o świcie. Do tego czasu sammadarzy dojdą



do porozumienia, bo nie mają wielkiego wyboru.

Kerrick poszedł do hanalè, zamknął za sobą ciężkie drzwi i głośno wymienił swe imię. Nadaske nadszedł szybko korytarzem, jego pazury stuknęły o drewno, czynił ruchy powitania i szczęścia.

- Minęły niezliczone dni, przytłaczała nas samotność i głód.

- Nie zapytam, czego brakowało wam bardziej, jedzenia czy towarzystwa. Gdzie jest Imehei? Muszę powiedzieć wam coś ważnego, zanim opuszczę miasto.

- Opuść! - Nadaske zawodził zboląły, wyrażał śmierć-z-rozpacz. Usłyszał to Imehei, który przybył pośpiesznie.

- Nie zostawię was na śmierć - powiedział Kerrick. - Przestańcie więc naśladować fargi i posłuchajcie uważnie. Pójdziemy teraz na przechadzkę wokół miasta. Sasku nie zwrócą na was uwagi, widzieli nieraz, jak chodziliśmy, mają zakaz wyrządzania wam krzywd. Dużo bardziej słuchają swych mandukto niż wy mnie. Pójdziemy na skraj miasta, a potem dalej. Następnie ruszycie sami na południe, aż zobaczycie wyspę, o której wam mówiłem. Znajdziecie tam Yilanè i uruketo, będziecie na zawsze bezpieczni przed ustuzou.

Nadaske i Imehei spojrzeli po sobie, okazali zgodę i gotowość działania. Ale Nadaske powiedział w imieniu ich obu:

- Rozmawialiśmy przez wiele samotnych godzin. Widzieliśmy miasto i ustuzou, chodziliśmy między nimi i rozmawialiśmy. Powiem ci, o czym mówiliśmy. Jakie to dziwne być z dala od samic, chodzić z Kerrickiem-ustuzou-samcem-samicą. Bardzo dziwne. Podziwialiśmy to, co oglądaliśmy, wytrzeszczaliśmy oczy jak fargi wyszłe świeżo z morza, bo widzieliśmy w mieście ustuzou żyjące jak Yilanè. Co najdziwniejsze, widzieliśmy samce ustuzou z hesotsanami i samice z młodymi. Rozmawialiśmy o tym dużo...

- Mówisz za dużo - wtrącił Imehei. - Nie tylko rozmawialiśmy, ale i podjęliśmy decyzję. Stwierdziliśmy, że nigdy już nie pójdziemy na plażę, że nie chcemy więcej widzieć samico-dyszających-sprawiających-ból-przynoszących-śmierć Yilanè. Nie pójdziemy na południe.

Zasygnalizowali wspólnie mocne-postanowienie ku zaskoczeniu Kerricka.

- Jest w was odwaga, jakiej nigdy nie widziałem u samców.

- Jak mogłeś ją widzieć, gdy przebywaliśmy w hanalè - powiedział Nadaske. - Jesteśmy jednak tego samego gatunku co samice Yilanè.

- No to co zrobicie?

- Zostaniemy z tobą. Nie pójdziemy na południe.

- Ale ja odchodzę rano. Ruszam na północ.

- To i my pójdziemy na północ. Będzie to lepsze niż hanalè, lepsze od plaż.

- Na północy jest mróz, pewna śmierć.

- Na plażach jest ciepło i też pewna śmierć. A tak przynajmniej przed śmiercią zobaczymy coś więcej niż w hanalè.

## ROZDZIAŁ XIV

Tej nocy Kerrick spał mało, zbyt wiele miał do przemyślenia. Sammady przyjdą na południe, tak postanowiono; rano wyruszą po nie łowcy z nowymi hèsotsanami. Miasto będzie bezpieczne - na tyle bezpieczne, na ile jest to możliwe. Kerrick musi je teraz zostawić i pomyśleć o swoim sammadzie. Zostawił Armun z sammadami, próbowała dołączyć do niego. Nie chce myśleć o ewentualności jej śmierci; z pewnością żyje na północy, musi żyć. Znajdzie ją; z pomocą Ortnara odszuka Paramutanów. Na pewno ją odnajdzie wraz z dzieckiem. Pozostaje tylko jeden kłopot. Dwa samce Yilanè.

Dlaczego jednak ma się nimi przejmować? Nic przecież dlań nie znaczą. A jednak - znaczą. Byli uwięzieni jak i on. Jego trzymano za szyję - na to wspomnienie dotknął żelaznego pierścienia na karku -ich w hanalè. To bez różnicy. I mają odwagę, a jemu jej brakowało; śmiało chcą wejść w świat, o którym nic nie wiedzą. Gotowi są iść z nim, bo mu ufają. Chcą wejść do jego sammadu. Roześmiał się w ciemności z tej myśli. Cóż to będzie za dziwny sammad! Sammadar, rzadko trafiający strzałą do celu, łowca z dziurą w głowie zrobioną przez swego poprzedniego sammadara, kobieta, dziecko i dwa przestraszone murgu! Taki sammad na pewno wzbudzi strach u innych, o ile przedtem nie przerazi samego sammadara.

Co jeszcze może zrobić z tymi biednymi, bezradnymi stworzeniami? Jeżeli zostawi tutaj, to spotka je śmierć; lepiej już zabić samemu. Nie wrócą też do samic Yilanè, co łatwo zrozumieć. Jeśli jednak pójdą z nim na północ, niewątpliwie zginą w śniegu. Co więc może zrobić? Zabrać stąd i co dalej?

Zaczęło mu coś świtać w głowie. Im dłużej rozważał ten pomysł, tym bardziej się do niego skłaniał. Rano miał już jasność i wreszcie zasnął.

Ortnar czekał na niego w ambesed z całą swą bronią, na plecach miał pakunek.

- Pójdziemy trochę później - powiedział Kerrick. - Zostaw tu rzeczy i chodź ze mną, chcę obejrzeć drogę na północ. - Podeszli do zachowanego nadal modelu Yilanè, pokazującego okolice miasta. Kerrick przyjrzał się im uważnie.

- To niepotrzebne - powiedział Ortnar. - Znam dobrze drogę, pokonywałem ją kilka razy.

- Pójdziemy innym szlakiem, przynajmniej na początku. Powiedz mi, Ortnarze, czy wypełnisz moje polecenia choćbyś miał wątpliwości, czy też odejdziesz do innego sammadu?

- Może kiedyś to uczynię, bo łowca słucha tylko takiego sammadara, który według niego ma rację. Ale nie teraz. Najpierw pójdziemy na północ szukać Armun i twego syna. Uczynię tak, bo uważam, że źle zrobiłem, nie pomagając jej, gdy o to poprosiła. Dopóki więc nie znajdziemy ich, pójdę wszędzie tam, gdzie poprowadzisz.

- Takie słowa nie przychodzą łatwo, wierzę w każde z nich. Pójdiesz więc ze mną na północ, choćby nawet wraz z dwoma samcami murgu?

- Nie obchodzą mnie. I tak zginą w śniegu.

- Dobrze. Ruszemy po południu, gdy odejdą łowcy, gdyż obawiam się, że Tanu chętnie wypróbowałiby na samcach nowe śmiercio-kije.

- Sam bym z chęcią to zrobił, gdybyś nie był moim sammadarem.

- Wierzę. Weźmy teraz ze składu duży zapas mięsa murgu. Gdyby ktoś zapytał, dlaczego zabieramy murgu na północ, powiesz, że niosą dla nas mięso, byśmy mogli iść szybciej, nie tracić czasu na polowanie. Powiedz, że zabijemy samców, gdy mięso się skończy i nie będą już nam potrzebni.

- Zrozumiałem, sammadarze. To dobry pomysł, sam je zabiję, gdy nadejdzie pora.

Poszli potem do hanalè, dwaj Yilanè z wielkim strachem przyglądali się nieznanemu łowcy.

- Zachowujcie się jak samce - rozkazał Kerrick. - Pójdziemy razem, musimy się do siebie przyzwyczać. To Ortnar, będzie mi towarzyszył.

- Śmierdzi śmiercio-dym, okropnie - powiedział Imehei, lekko drżąc.

- A dla niego twój oddech cuchnie od surowego mięsa. Teraz stój spokojnie nim ci tego nie nałożę.

Ortnar zrobił skórzane torby na mięso i obaj Yilanè zaczęli już lamentować, czując ich ciężar.

- Cicho! - rozkazał Kerrick - bo wam jeszcze dołożę. Jesteście jak jeszcze mokre fargi, nigdy w życiu nie pracowaliście. Poza ha-nalè czeka nas wiele pracy, wy też będziecie musieli się do niej zabrać. A może wolicie pójść na południe - na plażę narodzin?

Zapadła cisza, choć Imehei zrobił gest najwyższej nienawiści sądząc, że Kerrick tego nie dojrzy. Nie reagował. Trochę gniewu im dobrze robi. Nadaske odwrócił się do niszy w ścianie i wyjął metalową rzeźbę neniteska wykonaną przez nieżyjącego od dawna Alipola.

- Gdzie my, tam i to - powiedział stanowczo. Kerrick wyraził zgodę.

- Owiń to dobrze i włóż do plecaka. Teraz poczekajcie tu z ustuzou, dopóki nie wrócę. Z kolei zwrócił się w marbaku do Ortnara: - Idę po mój plecak i broń. Zostań z tymi murgu, aż wrócę.

- Z nimi? - spytał zmartwiony Ortnar, chwytając za włącznię. -Mają zęby i pazury, jest ich dwóch na jednego.

- Bardziej boją się ciebie niż ty ich. Czasem będziecie zostawać beze mnie, tak jak teraz.

- Umrzemy, śmierć wisi nad nami - jęczał Nadaske. - Gdy wyjdiesz za drzwi, ustuzou nas zakłuje. Zaśpiewam pieśń śmierci.

- Cisza! - rozkazał Kerrick, zwracając się do samca jak wyższy do najniższych. - Powiem wam coś, a jemu powtórzę to samo. Zostaniemy razem. Wszyscy będziecie mnie słuchać. Będziecie moimi fargi. On będzie moją fargi. Będziecie dla siebie efenšelè. To nasze efenburu.

To samo oświadczył Ortnarowi, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Przed wyjściem do hanalè czekał na niego Sanone.

- Opuszczasz nas - powiedział Sanone.

- Wrócę - z Armun.

- Wszyscy kroczyliśmy śladami Kadaira. Idziesz sam?

- Z Ortnarem. To dobry łowca i zna drogę. Zabierzemy murgu, by niosły nam żywność.

- To dobrze, bo nie mógłbym ci obiecać, że po twoim odejściu będą bezpieczne. Będziemy tu czekać na twój powrót.

Kerrick nie posiadał wielu rzeczy. Z niezniszczalnego pierścienia, który otaczał zawsze szyję, zwisał mały i duży nóż. Na północy będzie potrzebował wszystkich futer jakie ma, zwinął więc je starannie i przywiązał do plecaka, który zarzucił na siebie.

Powróciwszy do hanalè, stwierdził z ulgą, że jego mały sammad nie zmniejszył się, choć Ortnar stał pod jedną ścianą, a obaj Yilanè pod drugą. Ucieszyli się wyraźnie, gdy wszedł.

Rozniosły się już wieści o ich wymarszu i chyba wszyscy Sasku zeszli się, by popatrzeć na odchodzącą grupę. Pierwszy szedł Kerrick, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, za nim wlekli się obaj samcy, uginając się pod ciężarem plecaków, okazując strach każdym ruchem ciała. Ostatni pokazał się Ortnar, wyglądający, jakby się wstydził. Niósł dwa hèsotsany, podobnie jak Kerrick, tłumacząc to obawą przed śmiercią pierwszej broni. Przeszli przez miasto do wyjścia znajdującego się najdalej na północ, między polami, z których przyglądały się im neniteski. Dopiero po dłuższym marszu, gdy oddalili się już od miasta, Kerrick nakazał postój. Ortnar stanął tylko, lecz samce upadły

na ziemię, okazując gesty zmęczenia i rozpaczy.

- Lepsza już śmierć - lepsze plaże narodzin!

- Naszym domem jest hanalè, tam nasze miejsce.

- Spokój bezużyteczne samce - rozkazał Kerrick. - Odpocznijcie chwilę, potem pójdziemy dalej.

- Czemu tak jęczą i drżą? - spytał Ortnar.

- Są jak dzieci. Nigdy przedtem nie byli poza miastem, ani nawet nie pracowali, nosząc cokolwiek.

- To żadna praca - powiedział Ortnar. - A one są duże, paskudne i silne. Nauczymy je pracować, nim zabijemy.

- To moi przyjaciele, nie zabijemy ich.

- Zrobi to zima. Dla mnie to bez różnicy.

- Nie dojdzie do tego. Czy na planie okolicy zauważyłeś duże jezioro na północ stąd?

- Nazywamy je Jeziorem Okrągłym. Byłem nad nim.

- Dobrze. Najpierw pójdziemy tam, jeśli poprowadzisz.

Z powodu narzekań Nadaske i Imehi oraz ich powolnego chodu dopiero na trzeci dzień osiągnęli jezioro. Na południe od niego było bagno, ale Ortnar znał ścieżkę prowadzącą nad wodę.

- Dużo tu ryb - powiedział Ortnar. - Dobrze się też poluje.

- To bardzo dobrze - stwierdził Kerrick. - Zostawimy tu murgu z zapasem mięsa. Dalej ruszymy sami. Iak będzie szybciej.

- Nie zabijemy ich? Nie rozumiem tego.

- Nie zabijemy, bo to moi przyjaciele. Są też członkami mojego sammadu. Oni nie pytają czy mogą zabić ciebie... Ortnar nie mógł pojąć tego wszystkiego.

- Ale ty jesteś Tanu, a to tylko wstrętne murgu. Zabiję je za ciebie, nie martw się.

- Nie powinieneś nigdy zapominać, Ortnarze, że ja też jestem w części murgu. Wyrosłem wśród nich i patrzę na nich inaczej niż ty. Porzuć na chwilę nienawiść. Pomóż mi uczynić to miejsce bezpiecznym dla nich, potem ruszymy dalej.

Ortnar spojrział na murgu; jedno ziewnęło, aż cofnął się na widok rzędów stożkowatych zębów.

- Jeśli tego chcesz, sammadarze, to ci pomogę. Nie będę jednak kłamał i mówił, że mi się podoba, nie rozumiem nawet powodów, dla których to robisz.

- Dziękuję ci za pomoc, tylko o to proszę. Teraz im powiem, co postanowiłem.

Kerrick odczekał, aż krzyki samców przeszły w zawodzenie pełne rozpaczy i ich uciszył.

- Mokre-z-oceanu, czy nieustraszone-samce? Kim jesteście? Możecie tu żyć bez strachu przed samicami i hanalè, być silnymi i niezależnymi. Zbudujemy wam schronienie przed deszczem. Nim odejdziemy, pokażemy wam jak strzelać z hèsotsanu, jak polować i łowić ryby. Przyjdę po was wracając z północy. Do tego czasu musicie przeżyć.

Drżeli ze strachu.

- Samice by to uczyniły - dodał złośliwie. Ortnar ścinał nożem gałęzie na szałas, potem na podpierające go tyczki. Obaj Yilanè przyglądali mu się z ciekawością.

- Zrobiłbym to smao, nawet lepiej - powiedział Nadaske. - Ręce ustuzou są niezdarne, mają za mało kciuków.

- No to spróbuj - powiedział Kerrick, podając mu krzemienny nóż. Dostrzegł to Ortnar i odskoczył, wysuwając przed siebie broń. Kerrick westchnął.

- Ortnar - myślałem po prostu, że dobrze byłoby, by sami zbudowali sobie schronienie. Lepiej chyba wykorzystasz swe umiejętności, jeśli weźmiesz śmiercio-kij i upolujesz dla nas świeże mięso.

- Tak zrobię - powiedział Ortnar, z ulgą odchodząc. Nadaske i Imehi byli równie zadowoleni.

- Wściekły-nierozmowny - powiedział Imehi. - Boję się tego kamiennego zęba na kij.

- Poluje dla nas, ukończmy więc pracę. Weź mój kamienny ząb i natnij jeszcze gałęzi. Przydadzą się do wykończenia szałas. Najpierw jednak pokażę wam tajemnicę hèsotsanu, byście mogli się bronić i zdobywać świeże mięso. W jeziorze są ryby i małże, łatwo je złapać, jeśli się wie jak...

Kerrick zdążył wyjaśnić używanie hèsotsanu na długo przed powrotem łowcy, gdyż wiedział, że Ortnar z trudem zaakceptowałby widok Yilanè trzymających broń. Ukrył ją teraz w szałasie i dał samcom końcowe wskazówki.

- Konserwowanego mięsa używajcie tylko wtedy, gdy nie zdobędziecie świeżego lub ryb; nie ma go za wiele, nie starczy na długo.

- Ból-ręk, zmęczenie-ciała- przekazał Nadaske. Imehi potwierdził to barwami dłoni. Kerrick z trudem opanował gniew.

- Mocne żądanie pełni waszej uwagi. Musicie robić, jak wam powiedziałem, bo inaczej umrzecie z głodu. To powolna śmierć, zapasy ciała się wyczerpują, skóra zwisa fałdami, zęby psują się i wypadają...

Krzyki męki Nadaske i ruchy posłuszeństwa wskazały, że przyjęli przestrogi.

- Nie dojdzie do tego, jeśli będziecie sprytni, bo jest tu mnóstwo zwierzyny. Najgroźniejsze będą dla was samice Yilanè. Znajdą was, jeśli się nie zabezpieczycie.

Wpatrywali się w niego rozszerzonymi oczami w milczeniu.

- Znacie ptaki, które latają i wracają ze zdjęciami. Dlatego przebywajcie jak najwięcej w ukryciu i wypatrujcie wielkich ptaków. Gdy zwiędną gałęzie szałas, zastąpcie je świeżymi. Postępujcie tak, bo inaczej znajdą was, a potem zabiorą do hanalè i na plaże.

Kerrick i Ortnar odeszli o świcie; obaj Yilanè śledzili ich wymarsz, wypełnionymi strachem oczami. Zdecydowali jednak sami o swym losie. Kerrick zrobił dla nich, co tylko mógł, zaopatrzył w żywność i broń. Miał nadzieję, że nauczą się polować, nim skończy im się konserwowane mięso. Będą mieli więc szansę, jakiej pozbawieni są Tanu. Mogą też wrócić do swoich. Zrobił dla nich, co tylko mógł. Teraz musi myśleć o sobie i czekającej go długiej wędrówce. Chciał myśleć tylko o Armun przebywającej gdzieś na północy, nie wiadomo gdzie. Liczył na to, że odnajdzie ją żywą. Jezioro i szałas zniknęły im z oczu za zakrętem drogi.

*efenabbu kakhalabbu  
hanefensat sathanaptè*

## TAK RZEKŁA UGUNENAPSA

Życie równważy śmierć, jak morze  
równoważy niebo. Kto zabija życie -  
ten zabija siebie.

## ROZDZIAŁ XV

Enge splotła szaląs z szerokich liści palm, potem umocowała go między pniami dla zabezpieczenia przed nocnymi sztormami. Na wybrzeżu Entoban\* zaczęła się pora deszczowa i ziemia pod drzewami nigdy nie wysychała. Aby uchronić się przed błotem zrobiła także platformę z gałęzi. Siedziała teraz na niej zwrócona twarzą ku zalanej słońcem polanie. W powietrzu unosiły się wielkie, barwne ważki, każda długości jej ręki. Nie dostrzegała ich jednak; wpatrywała się w głąb siebie, przypominała słowa Ugunenapsy, rozważała ich wielowarstwowe prawdy kryjące się pod niewątpliwą prostotą. Enge miała pod ręką tykwę z wodą z pobliskiego strumienia, jedzenie dostarczały jej współwyznawczynie z miasta. Niczego więcej nie potrzebowała, zwłaszcza teraz, gdy zastanawiała się nad słowami swej mistrzyni. Cieszyła się z możliwości niezakłóconych, trwających wiele ciepłych dni rozmyślań, nie potrzebowała nic ponadto.

Wsluchiwała się tak głęboko w swój głos wewnętrzny, iż nie zauważyła, że z puszczy wyłoniły się Efen i Satsat, zmierzając ku niej polaną. Spozstrzegła ich obecność dopiero wtedy, gdy stanęły przed nią, zasłaniając słońce.

- Jesteście - powiedziała, witając je ruchami kciuków.

- Przyniosłyśmy ci świeże mięso - powiedziała Satsat. - Poprzednio dostarczone zaczęło już gnić z gorąca. Enge skierowała jedno oko w dół.

- Rzeczywiście. Nie zauważyłam.

- Nie zauważyłaś ani nie zjadłaś choćby kawałka. Tracisz ciało, pod twoją skórą widać wyraźnie każde żebro. Żeby żyć - trzeba jeść.

- Karmiłam się słowami Ugunenapsy, cieszyłam się przeto życiem nieskończenie cudownym. Macie jednak rację, życie potrzebne jest i ciału. Opowiedzcie o mieście.

Słuchała uważnie, pochłaniając jednocześnie zimne, miękkie mięso.

- Jak kazałaś, wmieszałyśmy się między fargi i obeszyliśmy miasto, przypatrując się życiu Yebéisku. Przez ambesed płynie strumień z wieloma złotymi mostkami, tłoczy się tam mnóstwo fargi. Pola są bogate, zwierząt nieskończenie dużo, w porcie pełno uruketo, słońce grzeje mocno, to wspaniałe miasto.

- Co z Córąmi Życia? Czy spotkałyście je w mieście? Efen przysiadła na ogonie, wyrażając ruchami niepokój i zmartwienie, podobnie Satsat.

- Powiem wpiery o tym, co działo się w dzień, by wyraźniej ukazać wydarzenia nocy. Są tam Córy, widziałyśmy je, lecz nie mogłyśmy rozmawiać. Pracują w sadach, uwięzione w nich za wysokim murem z trujących cierni. Codziennie przynoszą do wejścia zerwane owoce dla zwierząt, nie mogą jednak same wychodzić. Fargi zabierają owoce, a pozostawiają mięso. Jest tam wiele strażniczek. Rozmawiałyśmy z nimi, powiedziały, że w środku są Córy Śmierci, ale nie pozwoliły na dalsze pytania, kazały nam odejść. Gdy usłyszała to Omal, dotknęła naszych kciuków i powiedziała, byśmy przekazały ci to: „Tych wewnątrz nie można pozbawić prawdy Ugunenapsy i przekazywanych przez nas prawd jej nauki”. Powiedziała, że zrozumiesz. Potem podeszła do strażniczki, coś jej powiedziała, a ta powaliła Omal na ziemię i zamknęła z innymi.

Enge wzdygnęła się, słysząc o przemocy dokonanej w imię Życia, lecz w chwilę potem ruchami wyraziła uznanie.

- Omal jest z nas najmocniejsza; zrobiła to, co uczyniłabym sama, gdybym miała jej siłę.

- Twa siła podtrzymuje nas wszystkie, Enge. Wiedziała o tym, że chciałaś pójść do miasta, bała się, że pójdziesz, dlatego poszła sama. Ty nie możesz zsotać zamknięta, musisz być wolna, aby nauczać słów Ugunenapsy.



- I będę, a Omal odzyska wolność. Opowiedzcie mi o eistai.

- Jest bardzo lubiana i szanowana - powiedziała Satsat. - Wszyscy mogą podejść do niej w ambesed, jeśli mają jakieś problemy.

- Problemy - powtórzyła Enge, wstając, by wydłubać z ust kawałki mięsa. - W czasie spędzonych tu dni myślałam o słowach Ugunenapsy, zastanawiałam się, jak w naszym życiu wyrazić ich prostotę. Rozważałam, jak najlepiej przekazywać wszystkim jej nauki, i doszłam do takiego wniosku - Pytam: dlaczego nas się boją i tak nienawidzą. Odpowiadam: - bo źle poinformowane widzą w naszych poglądach zagrożenie dla władzy eistai i spływającej na całe miasto jej potęgi. Decyduje ona o życiu i śmierci, a obawiają się, że po utracie zagrożenia śmiercią jej potęga ulegnie zmniejszeniu. Dlatego muszę porozmawiać z eistaą i odsłonić jej prawdę słów Ugunenapsy. Gdy je zrozumie, stanie się Córá Życia i przekona się, że jej władza nie zmaleje, lecz wzrośnie. To muszę zrobić.

- Nie! - Głos Efen przypominał ból; Satsat zareagowała podobnie, wyrażającymi rozpacz ruchami swego ciała. - Nas jest garstka, a ich mnóstwo. Zabiorą cię do sadów, wszystkie tam skończymy.

Enge wykonała uspokajające ruchy, prosząc o zaufanie.

- To powiedział groźny-ból-odejścia, a nie mocna Efen. Żadna z nas sama się nie liczy, ważne jest przekazywanie słów Ugunenapsy. Zrobię to, co konieczne. Idźcie ze mną do ambesed, ale się nie zdradźcie. Czekaście, patrzcie i uczcie się. Jeśli mnie nie uda się tutaj, może wam powie o sobie w innym mieście. A teraz chodźmy.

Poszły brzegiem, który stanowił najłatwiejsze dojście do miasta. Patrzyły z radością na bawiące się w morzu młode, na nieco starsze efenburu stojące do pasa w wodzie, przyglądające się im szerokimi, niepewnymi oczami. Prawie dojrzałe, lecz obawiające się nieznanego lądu. Enge uniosła zabarwione dłonie w geście ciepła i przywitania, lecz tamte cofnęły się lekko i zniknęły w morzu. Dalej zaczynały się strzeżone plaże, Córy Życia zatrzymały się na górującym nad plażami wzgórzu, będącym chętnie odwiedzanym punktem widokowym. Poniżej tłuste samce pływały na piasku w słońcu lub leżały w płytkiej wodzie. Ten spokojny, odprężający widok dodał im siły do dalszej drogi.

Ambesed było takie, jak opisała Satsat. Płynął przezeń świeży strumień, z którego piło wodę wiele Yilanè. Brzego strumienia spinały lekkie mostki ze złotego metalu, a najbardziej ozdobny z nich wznosił się wysoko i opadał przed eistaą siedzącą na swym tronie. Jej ciało pokrywały barwne wzory, oba nadgarstki owijały złote druty o kształtach przypominających metalowe mostki.

Enge opuściła swe towarzyszki, nachyliła się nad strumieniem i opłukała ręce w chłodnej wodzie. Zmyła kurz z twarzy i ramion, wysuszyła się na słońcu. Potem z uniesioną wysoko głową ruszyła śmiało złotym mostem i stanęła przed Saagakel, eistaą Yebèisku, w postawie wyczekiwania niższej przed wyższą.

- Jesteś nowa w mym mieście, witaj - powiedziała Saagakel, dostrzegając zdecydowanie bijące z rysów nowo przybyłej. Wydawało jej się, że uznanie jej autorytetu wyrażone zostało przez kogoś równego jej władzą. Lubiała to, choć rzadko się z tym spotykała, gdyż nawet najbliższe z jej pomocnic zwracały się do niej zgodnie ze zwyczajem jak najniższa-z-niskich do najwyższej-z-wysokich.

- Jestem Enge, przybyłam z Gendasi\* z wieścią o tym, co się tam stało.- Otaczające Saagakel doradczynie zamarły na widok znaków śmierci i zniszczenia towarzyszących jej słowom. - Czy mogę mówić teraz?

- Mów, otaczają mnie najbliższe z mego efenburu, które i tak dowiedzą się o wszystkim, co wiem ja. Strumień za tobą ma swoje znaczenie. Każda może go przekroczyć, żadna nie może tu

zostać, jeśli na to nie pozwolę. Mów swobodnie, choć chylę się jak drzewo przed burzą w przecuciu rozpaczy.

- Powiem wszystko. Jak Inegban\* przybył do Alpèasaku, jak Yilanè zaczęły walczyć z ustuzou i jak uległo zniszczeniu wielkie miasto.

Enge nie miała prawa kłamać, lecz mogła wybierać kolejność zdarzeń, opowiadając o tym, co widziała. Zostawiła przeto na sam koniec to, co dla niej było najważniejsze.

- Tak umarło miasto. Pochłonał je ogień, wszystkie mieszkanki zginęły w płomieniach.

- Ty ocalałaś jednak, Enge, czyż nie? A twojej opowieści brak zakończenia, co świadczy, że dopiero ono nastąpi. Pozwól jednak, że najpierw napiję się z wodo-owocu, gdyż czuję w gardle ogień. Kiedyś, gdy byłam bardzo młoda, widziałam ogień, dotknęłam go. Patrz.

Saagakel wyciągnęła prawą rękę, białe blizny w miejscu kciuka wywołały pomruki patrzących. Gdy eistaa piła, pomocnice zadawały pytania, w których słychać było ból i przerażenie.

- Wszystkie zginęły?

- Nie ma miasta?

- Ustuzou używające ognia, mówiące i zabijające?

Cisza zapadła natychmiast, gdy tylko Saagakel dała znak. Odłożyła owoc i pozwoliła Enge mówić dalej. Wpatrywano się w nią teraz z pełnym przerażenia milczeniem.

- Powiedziałaś ci, że Vaintè była moją efenselè i że wiem dużo o tych wydarzeniach, bo to ja nauczyłam ustuzou mówić. Nie uczyłam je nienawiści, mimo to nienawidzą się z Vaintè równie mocno. Ustuzou żyje, Vaintè żyje, jako jedna z nielicznych dotarła na uruketo. Gdy zmarło miasto, zmarły też wszystkie nie pochłonięte przez płomień - bo czyż Yilanè mogą żyć bez miasta? - Doradczynie potwierdziły to stwierdzenie zgodnymi pomrukami, tylko Saagakel pozostała nieruchoma i spokojna.

- Przeżyła dowodząca, gdyż jej miastem jest uruketo. Przeżyła Vaintè, może dlatego, że była eistaa, a eistaa to miasto. Przeżyłam i ja.

Saagakel zrozumiała do czego zmierza Enge, choć dla doradczyń było to tajemnicą.

- Powiesz mi, Enge, dlaczego przeżyłaś, czy ja mam to powie-dzieć.

- Jak wolisz Eistao. Jesteś miastem.

- Jestem. Nie umarłaś, bo jesteś Córą Śmierci.

- Córą Życia, Eistao, bo żyję.

Obie starały się nie używać odsłaniających myśli ruchów. Z trudem śledząc dialog, doradczynie rozglądały się w milczeniu.

- Słyszałaś o naszych gajach owocowych? - Enge gestem wyraziła potwierdzenie. - To dobrze. Czy sądzisz, że jest jakiś powód, dla którego nie miałabym odesłać cię tam natychmiast?

- Wiele jest powodów, Eistao. Wiem o Gendasi\* rzeczy nie znane innym. Znam tamtejsze ustuzou, potrafię z nimi rozmawiać za pośrednictwem tego, które uczyłam i które darowało mi życie, gdy inne ustuzou chciały mnie zabić.

- Tak, to prawda, ale nie wystarczy ona, by uchronić cię przed gajami, zgodzisz się chyba?

- Zgoda. Ale jest jedna przyczyna, dla której nie powinnaś odsyłać mnie do gajów. Wiem wiele o życiu i śmierci, żyję, choć zginęły inne. Tę wiedzę powinnaś posiadać, Eistao, mogę ci ją przekazać. Decydujesz teraz o śmierci każdej Yilanè w tym ambesed, nawet o śmierci swych efenselè. Wystarczy, że wydasz rozkaz, a umrą. Ale to tylko połowa władzy, którą powinnaś posiadać. Życie równoważy śmierć, jak morze równoważy niebo. Mogę nauczyć cię władzy życia. Enge znieruchomiła, w milczeniu oczekując reakcji. Nie zwracała uwagi na ryki doradczyń Saagakel. Eistaa patrzyła na Enge w milczeniu, nie odsłaniając swych myśli.

- Wszystkie mają zamilknąć - rozkazała Saagakel. - Postanowiłam. Twoje argumenty są ciekawe, ale i groźne. Jak sama powiedziałaś, istnienie Cór Życia zagraża władzy eistai. Dlatego ma ona tylko jedno wyjście.

- Przywołała gestem dwie najbliższe doradczynie.

- Chwyćcie to śmiałe stworzenie, zwiążcie i zaprowadźcie do gajów. W moim mieście nie rozprzestrzeni się bunt.

## ROZDZIAŁ XVI

Kciuki wbiły się mocno w ciało Enge, została rzucona na kolana i przytrzymana, dopóki nie przyniesiono więzów. Saagakel usadowiła się na tronie, a wokół słychać było podniecone rozmowy. Przebijał się przez nie jeden głos, wymuszający ciszę, który zakłócił jedynie skrzek bólu wywołany nastąpieniem na nogę. Przez tłum przepychała się Yilanè, która stanęła przed Enge i przyjrzała się jej uważnie.

- Jestem Ambalasei - powiedziała niewyraźnie. Z bliska Enge dostrzegła na jej twarzy oznaki starości, blady grzebień miał poszarpany brzeg. Ambalasei zwróciła się do eistai, drapiąc pazurami ziemię w wielkim niezadowoleniu. - Nie uważam twojej decyzji za mądrą, Saagakel. Słowa Enge mają wielką wagę, można się od niej wiele nauczyć.

- Zbyt wielką mają wagę, mądra Ambalasei, by pozwolić jej swobodnie rozpowszechniać truciznę. Szanuję twą wielką wiedzę na polu nauki - to jednak kwestia polityki, a gdy o nią chodzi, słucham tylko swoich rad.

- Nie zamykaj swego umysłu. Nauki Cór wiążą się z naszą biologią, a ta z kolei wiąże się bezpośrednio z naszym życiem.

- Co wiesz o ich naukach? - przerwała zaskoczona Saagakel.

- Sporo, bo długo rozmawiałam z Córami. W niezdarny sposób dukwały one o więzi umysłu z ciałem, mającej niezmiernie ważne znaczenie dla długowieczności i procesu starzenia się. Dlatego proszę pokornie o przekazanie więźniarki Enge pod moją opiekę, bym mogła ją badać w laboratorium. Czy pozwolisz na to?

Słowa były grzeczne, ale wypowiedziano je z powierzchowną tylko uprzejmością, bliską zniewagi, bo w sposobie zwracania-się--do-eistai były akcenty niechęci, natomiast w odniesieniu do nauki tony wyższości-nad-wszystkim.

Saagakei ryknęła ze złości i skoczyła na równe nogi.

- Zniewaga nad zniewagą w moim własnym ambesed! Szanowałam twą wielką wiedzę i twój wiek, Ambalasei, szanuję cię nadal i tylko dlatego nie nakazę ci umrzeć natychmiast, lecz jedynie odsunę od siebie i z ambesed. Będziesz mogła tu wrócić dopiero wtedy, gdy cię wezwę. A jeszcze lepiej - opuść miasto. Mówisz o odejściu, zbyt wiele razy zapowiadałaś daleką wyprawę, by o tym pamiętać. Teraz nadeszła pora, byś spełniła swoje groźby...

- Nie groziłam. Wyjadę, jak planowałam. Uwolnię cię też od kłopotów i zabiorę z sobą Enge.

Saagakel trzęsała się z wściekłości, trzaskała w gniewie kciukami.

- Odejdź natychmiast sprzed mego oblicza i nigdy nie wracaj. Odejdź z tego miasta, bo moja wyrozumiałość nie wytrzymuje twej obecności.

- Jesteś równie wyrozumiała, co epetruk podczas zabijania. Ponieważ uważasz swą nieograniczoną władzę za najważniejszą dla naszego życia, może poddasz ją próbie? Wypędź mnie z miasta, rozkaż mi umrzeć. Będzie to bardzo ciekawy eksperyment...

Słowa Ambalasei zagłuszył ryk wściekłości Saagakel, która skoczyła naprzód, górując nad swą dręczycielką, rozwarła szczęki i wystawiła kciuki jak przy zabijaniu. Stara uczona stała bez lęku, wyraziła tylko szybko szacunek-dla-wieku i szacunek-dla-wiedzy, dodając kontroler wątpliwości.

Saagakel ryknęła ponownie w nieartykułowanej złości, opryskując Ambalasei śliną, po czym spróbowała się opanować. W końcu odwróciła się i opadła na tron. Wokół zapadło milczenie, słychać było jedynie tupot nóg fargi, które trzęsąc się ze strachu, uciekały z ambesed. Trzy leżały nieprzytomne na piasku, może padły pod wpływem furii eistai.

Gdy Saagakel odezwała się wreszcie, przekazała jednocześnie znak usunięcia-obu. - Nie chcę

widzieć więcej żadnej z was, obie do sądów, natychmiast.

Enge i Ambalasei poczuły, jak twarde kciuki spełniających rozkaz Saagakel obezwładniają ich ciała. Wyprowadzono je szybko z ambesed. Konwój zwolnił nieco, gdy zniknął z oczu eistai, bo dzień był gorący, lecz mocny uchwyt na ramionach więźniarek nie zelżał ani trochę. Enge, milcząc, rozmyślała o tym, co się zdarzyło. Tak doszły do kompleksu sądów, gdzie zostały brutalnie wepchnięte do środka. Gdy zatrzasnęły się za nimi ciężkie wrota, odwróciła się do Ambalasei, wyrażając wdzięczność.

- Narażałaś wszystko, mocna Ambalasei, dziękuję ci.

- Niczego nie narażałam. Słowa Saagakel nie mogły mnie zabić, nie zaatakowałyby mnie też fizycznie.

- Tak, rozumiem to teraz. Domyślałam się, że umyślnie ją rozgniewałaś, by znaleźć się tutaj.

Ambalasei uczyniła gest przyjemności i wesołości, odsłoniła żółt-kłe ze starości zęby.

- Podobasz mi się Enge, cieszę się, że tu jesteś. Masz rację. Planowałam wizytę w tym sadzie, odesłanie cię tutaj jedynie przyspieszyło ją o kilka dni. To bardzo nudne miasto, tłumi pomysły, dziwię się, że w ogóle tu przybyłam. Uczyniłam to jedynie ze względu na możliwości badań, zapewniam cię. Odeszłabym stąd już dawno, ale zaczęły się aresztowania Cór Rozpaczy...

- Cór Życia, błagam.

- Życie, śmierć, rozpacz - to dla mnie to samo. Nie obchodzi mnie nazwa ani filozofia, lecz tylko skutki dla filozofii. Mówię o was Córy Rozpaczy, bo wciąż rozpaczam, prowadząc moje badania. Dawno temu, gdy zaczęły rosnać ściany tego sadu-więzienia, przybyłam tu nadzorować prace. Rozmawiałam wtedy z niektórymi Córami i rozpaczałam nad niewykorzystaniem ich inteligencji. Przypominały mi onetsensasta zrywającego liście wciąż z jednego drzewa. Gdy raz skoczą w mrok tej filozofii, są tam szczęśliwe i nie pragną się rozwijać. Myślę, że umożliwiasz mi spowodowanie ruchu w tej dziedzinie, Enge, jestem przekonana o tym.

- Spróbuję ci pomóc, jeśli powiesz mi, czego ten ruch będzie dotyczyć. Witam cię więc jako Córę Życia...

- Nie mów tak, nie jestem jedną z was. Teraz zmieszała się Enge.

- Ale - powiedziałaś przecież, że nie narażałabyś swego życia, gdyby eistaa kazała ci umrzeć. Musisz więc wierzyć...

- Nie, nie wierzę. Rozumiem, a to coś zupełnie innego. Zajmuję się nauką, a nie wiarą. Czy pojmujesz różnicę? A może uważasz to za sprzeczne ze swymi poglądami?

- Nie, w najmniejszej mierze - powiedziała Enge, wyrażając radość-myśli. - Wprost przeciwnie. Chętnie z tobą o tym dłużej pomówię. Mam okazję wypróbować mą odwagę, sprawdzić słowa Ugunenapsy.

- Ja też. Witaj więc w gajach owocowych Yebèisku, witaj. Teraz zapytam cię: gdybyś wydoszła się stąd ze wszystkimi swymi Córami, czy poszłybyście ze mną do miasta, które chętnie by was przywitało? W którym byłybyście wolne, w którym mogłybyście żyć, jak chcecie?

- Niczego więcej nie pragniemy, mądra Ambalasei. To nasze jedyne marzenie i jeśli je spełnisz, będziemy twymi fargi.

- To jest możliwe. Nim jednak wam pomogę, mam jeszcze jedno pytanie i zastanów się dobrze, nim mi odpowiesz. Po uwolnieniu was chcę cię uczynić obiektem mych badań. Pragnę pojąć, jak działa to nowe zjawisko, ale struno-nóż mych badań może cię głęboko.

- Gdy Enge wyraziła lęk-przed-bólem, Ambalasei odpowiedziała z uśmiechem. - Źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi o struno-nóż myśli, wcięcie się głęboko w waszą filozofię i zbadanie, jakie są jej skutki.

- Chętnie się zgodzę. Dużo myślę o naszej filozofii. Jeśli mną pokierujesz, rada będę twej pomocy.

- Nie tylko pomocy, Enge. Może dogrzebię się czegoś tak znaczącego, że zniszczy to korzenie drzewa twej wiedzy, wyrwie je.

- Wtedy okaże się ono martwym drzewem, drzewem fałszu i będę rada, że je wyrwiesz. Otwieram się przed tobą. Wniknij w me myśli - rób, co chcesz.

Ambalasei objęła ramiona Enge w szybkim geście największej-radości.

- No to zgoda. Muszę teraz zastanowić się nad możliwością waszej ucieczki. Dawno już postanowiłam opuścić miasto, dlatego z moimi pomocnikami poczyniłam wszelkie niezbędne przygotowania i za dzień - najwyżej dwa - będziemy mogli wyruszyć.

Enge okazała przeprosiny i niezrozumienie.

- Zrozumiesz, gdy nadejdzie pora. Teraz trzeba zrobić coś innego. Chciałabym porozmawiać z jedną spośród Cór. Nazywa się Shakasas.

- Pomyłone imię - powiedziała Enge. - Shakasas, szybko-zmieniająca-ruchy, to imię, jakiego nie używałyby żadna z nas, imię z okresu przed zrozumieniem. Na znak przyjęcia mądrości Ugunenapsy przybieramy nowe imiona.

- Wiem o tym obrzędzie, pewna jednak jestem, że nawrócona pamięta swe życie sprzed nawrócenia. Poślij po nią używając tego imienia, a zwrócę się do niej, jak będzie chciała.

Enge okazała szacunek i odwróciła się, by wydać polecenie. Dopiero wtedy spostrzegła, że otacza ją krąg milczących słuchaczek. Wystąpiła z nich Omal ze słowami i gestami przywitania.

- Posłano po tą, o którą prosiłaś. Czuję radość-z-widzenia cię, smutek-z-uwięzienia.

- Musimy porzucić smutek. Ta Yilanè o wielkiej mądrości, z którą rozmawiałam, może być naszym zbawieniem. Pozwól mi teraz zobaczyć się i spotkać z naszymi siostrami, bo chcę je wszystkie poznać.

Ambalasei odeszła na bok, gdy witały się z sobą. Czekala cierpliwie, aż pojawiła się przed nią Yilanè, wyrażając szacunek.

- Jesteś Shakasas? - spytała Ambalasei.

- Byłam, nim nie zrozumiałam. Z powodu radości z przyjęcia słów Ugunenapsy nazywam się teraz Elem. *Czego się po mnie spodziewasz, Ambalasei?*

- Odpowiedzi na jedno pytanie. Słyszałam, że kiedyś należałaś do załogi uruketo. Czy to prawda?

- Gdy zostałam Yilanè, sprawiało mi to przyjemność. Ciekawiły mnie prądy w powietrzu i morzu, zaczęłam badać tajniki nawigacji, a poprzez nie zainteresowałam się pracą Ugunenapsy.

- Wyjaśnienie zadowalające. Powiedz mi teraz kto wami kieruje?

- Ugunenspsa, bo jej przykład...

- Dość! Chodzi mi o osoby zamknięte w tym nędznym sadzie. Kto spośród was ma władzę?

- Nikt, wszystkie jesteśmy sobie równe... Ambalasei przerwała jej brutalnym gestem, używanym zazwyczaj jedynie wobec fargi, w rozdrażnieniu darła ziemię pazurami.

- Cisza! Wasza Ugunenapsa to odpowiedź na wszystko. Musi być ktoś stojący nad tobą w hierarchii bezmyślności. Enge, widzisz ją tam? Pytam. Czy może tobą kierować?

- Na pewno. Wiele słyszałam o niej, o jej mądrości, chętnie zrobię to, co mi poleci.

- Wreszcie rozumiałaś. Porozmawiamy natychmiast w trójkę. Potem będziesz przebywać stale u mego boku i wykonywać moje polecenia. Zgodzisz się, jeśli ci to poleci?

Elem wyraziła chętnie zgodę i Ambalasei odeszła ją szybko, by znów nie zaczęła mówić o Ugunenapsie.

Leżąca tuż przy brzegach Gendasi\*, na południe od Alpèasaku wyspa nie była duża, powstawały teraz na niej szybko rosnące budowle, przeważnie były to schronienia przed deszczem. Jedynie połączone pokoje, w których pracowała Ukhereb, sprawiały wrażenie trwałości i solidności. Zaprowadzono tam eistą, Lanefenuu, gdy tylko wynurzyła się z uruketo, którym pokonała ocean. Słuchała objaśnień ze znużeniem i brakiem zainteresowania. Ciekawiły ją tylko wyniki prac uczzonej, choć nie wchodziła w szczegóły, zainteresowanie wzbudziło masinduu.

- To bardzo zabawne - powiedziała Lanefenuu. - Musisz wyhodować mi takie, bym mogła je zabrać do Ikhalmenetsu. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

- Dlatego, Eistao - powiedziała z pewną dumą Akotolp - że nic takiego dotąd nie istniało. Musiałyśmy z Ukhereb badać nowe, wyhodowane przez nas rośliny, pracować razem nad ich mutacją. Są jednak trujące i niebezpiecznie się nimi zajmować, dlatego potrzebne są nam powiększające umiejętności sanduu. Czy wiesz, o jakim stworzeniu mówię?

- Nie - odparła Lanefenuu, dumna ze swej niewiedzy. - Zbyt jestem zajęta, by poświęcać czas na poznawanie twych paskudztw.

- Jak najśluszej, Eistao - powiedziała Akotolp. - To brudne zajęcie. Służę wyjaśnieniem. Sanduu powiększa, czyli sprawia, że oglądany przedmiot wygląda na większy, nawet o dwadzieścia razy większy. Jednakże z tego podstawowego przyrządu naukowego może korzystać jednocześnie jedna Yilanè, a musiałam pracować razem z Ukhereb. Dlatego opracowałyśmy masinduu, można je nazwać sanduu rzucającym obraz. Używane jest w mikrochirurgii, lecz teraz wykorzystaliśmy je, by pokazać ci obrazy tego, co robimy bez narażania twego szanownego ciała na niebezpieczeństwa.

- Moje szanowne ciało jest bardzo zadowolone z waszych wysiłków. A co to może być?

Akotolp spojrzała na jasno oświetlony obraz na ścianie. Wpadające przez zewnętrzną ścianę do oka masinduu światło słoneczne zostało tam wzmocnione i w efekcie na ścianie powstało barwne odwzorowanie rzeczywistości.

- To okrzemki, Eistao, drobne stworzonka żyjące w morzu. Używamy ich do regulacji masinduu. Widziane przez ciebie barwy powstają dzięki filtrowi polaryzacyjnemu...

Akotolp przerwała, gdy Lanefenuu wyraziła znużenie-szczegółami-naukowymi.

W pokoju rozjaśniło się, gdy weszła Ukhereb; za nią fargi niosła tacę ze zdjęciami.

- Wszystkie gotowe, Eistao - powiedziała, kazać fargi położyć tacę.

- To najnowsze odbitki, pokażą ci niepodważalne efekty naszych prac dla ciebie.

- Zaczynaj od razu - poleciła Lanefenuu.

Ze ściany zniknęły obrazy okrzemek, na ich miejsce pojawił się widok morza, a w tle zielony brzeg z białymi plażami. Mówiąc, Ukhereb obsługiwała jednocześnie masinduu, tak iż wyświetlane kolejno zdjęcia dawały wrażenie zbliżania się do wybrzeża.

- To brzeg Gendasi\* na południe od miasta Alpèasak. Wybrałyśmy to miejsce, bo mogłyśmy niepostrzeżenie tam wylądować. Temperatura i gleba są takie same co w mieście, tak iż nasze rośliny mogą się rozwijać w analogicznym środowisku.

- Dlaczego nie poszłyście do miasta? - spytała Lanefenuu.

- Zajmują je ustuzou - powiedziała Vaintè, która właśnie weszła. - Wybrałam się tam na zwiad. Nie całe miasto spłonęło, teraz roi się w nim od tego robactwa.

- Ich przeznaczeniem jest śmierć, Vaintè - powiedziała Lanefenuu. - Kazałam ci przyjść, bo te znakomite uczone przygotowały pokaz tego, co zrobiły tu w moim imieniu. Będziesz obecna na nim, bo stworzyłaś to wszystko.

Vaintè wyraziła zadowolenie-wdzięczność i usiadła na ogonie obok eistai, która nakazała dalsze-patrzenie.

Zielony gąszcz rósł ciągle, aż ukazały się wokół niego białe na ciernie martwe zwierzęta.

- To zmutowane pnącza i krzewy - wyjaśniła Akotolp. - Rosną one razem z tymi szeroko-liściastymi roślinami, które są bogate w wodę i dlatego odporne na ogień, chronią przed nim. To nie było trudne do osiągnięcia, wystarczyło tylko zmodyfikować ściany otaczające większość miast. Wraz z rozwijaniem tych roślin i hodowlą ich w dużych ilościach - by wystarczyło na nasiona - pracowałyśmy nad tym oto stworzeniem.

Ekran wypełnił wizerunek wielobarwnej, błyszczącej jaszczurki. Akotolp podeszła bliżej, by wskazać na rzędy guzików na grzbiecie zwierzęcia. - Te cysty powstają podczas dojrzewania jaszczurki, pękają, a potem znów rosną. Zwróć uwagę na cienką skórę i śluzową powłokę chroniącą zwierzę przed śmiertelnie groźnym otoczeniem. Doskonały rozwój.

- Potrzeba-jasności - ostro wtrąciła Lanefenuu.

- Uniżone przeprosimy, Eistao. Pomyliłam kolejność. Widziane przez ciebie groźne rośliny należy wysiać w mieście zajmowanym przez ustuzou. Rozważałyśmy różne techniki samorozsiewu i wypracowałyśmy ten system. Przy pękaniu cyst wyzwalają się ziarna trujących roślin. W ich gąszczu żyją te jaszczurki - niezdolne są do tego żadne inne zwierzęta. Tak więc bez najmniejszego wysiłku z naszej strony, bez straty choćby jednej Yilanè, samo miasto usunie najeźdźców. Nie nastąpi to od razu, lecz będzie równie nieuniknione i nieodparte jak fala przyływu. Rośliny wypełnią miasto, ustuzou zostaną wyparte - i jutro jutra będzie jak wczoraj wczoraj.

- Wspaniale - Lanefenuu wyraziła zadowolenie i radość. - Jak jednak Yilanè będą mogły żyć w tym mieście śmierci?

- Bardzo łatwo. Już wytworzyłyśmy pasożyty i wirusy, które zniszczą roślinność i wytrzebią jaszczurki, nie szkodząc niczemu więcej.

- To rzeczywiście doskonały plan. Dlaczego więc nie wprowadza się go w życie?

- Jeden szczegół wymagał rozwiązania - powiedziała Akotolp. - Konieczne było wyhodowanie pasożytniczego robaka przenoszącego w swym ciele otorbione nasiona. Robaki te atakują jaszczurki, wywołując cysty rozprzestrzeniające nasiona. Jaja robaków, wraz z otorbionymi nasionami, wydostają się z odchodów jaszczurek...

Przerwała na gest eistai.

- Dobra Akotolp, wiem, że takie szczegóły was fascynują, lecz dla mnie są wstrętne i nudne. Przestań mówić o szczegółach waszych osiągnięć.

- Wszystko gotowe, Eistao - powiedziała Vaintè, otwierając drzwi i wskazując na słońce.

- Zawiadomię cię, gdy tylko Ukhereb i Akotolp zameldują o osiągniętym sukcesie. Podczas twej podróży wyhodowano nowe pokolenia jaszczurek, znajdują się w zagrodzie, którą ci teraz pokażę. Wszystko czeka w pogotowiu na twój rozkaz.

- To cudowne. Mówię teraz. Niech tak będzie. Alpèasak zostanie oczyszczony z robactwa i odbudowany, tak by mieszkanki Ikhalmenetsu, gdy nastanie zima, mogły przybyć do Alpèasaku. Rozpoczynajcie!

- Zaczyna się, Eistao - powiedziała Vaintè.

„Zaczyna się, ale się tu nie skończy - dodała w nieruchomym milczeniu, tak iż nikt nie poznał jej myśli. - Miasto zostanie oczyszczone, zajmą je znów Yilanè. Wówczas poproszę o łaskę i zostanie mi dana. Poproszę eistae tylko o jedno, bym mogła wykorzystać nasiono-jaszczurki do uczynienia reszty ładu niemożliwym do zamieszkania przez ustuzou. Potem odnajdę je i zniszczę. To ja zabiję wreszcie Kerricka-ustuzou.”



## ROZDZIAŁ XVII

Saagakel przepełniał gniew, jej zwisające policzki trzęsły się ze złości. Ambesed był tak pusty i cichy, że słysząc było wyraźnie szmer wody pod złotymi mostkami - wszystkie Yilanè uciekły po pierwszych oznakach jej wielkiego niezadowolenia. Pozostała tylko jedna, bezradna fargi, ta, która przyniosła nieszczęsną wiadomość. Eistaa starała się w milczeniu zapanować nad swymi uczuciami, to prymitywne stworzenie nie jest winne i nie może umrzeć z powodu przekazanej przez siebie informacji. Saagakel pragnęła rządzić sprawiedliwie, a zabicie tej młódki naruszałoby tę zasadę. Mogła jednak to spowodować, wystarczyłoby jedno słowo. Świadoma tego cieszyła się ze swej potęgi; odchyłona do tyłu, rozparta na ogrzonym słońcem tronie radowała się ciepłem i widokiem miasta otaczającego ambesed. Gdy przemówiła, w jej głosie wyraźnie czuć było siłę.

- Wstań, młoda, spójrz na swą eistaa, dowiesz się, że długo będziesz żyła, służąc jej i jej miastu.

Fargi przestała drżeć, gdy to usłyszała, wstała, oczy jej zwilgotniały z podziwu dla eistai, ciało okazywało gotowość przyjęcia każdego rozkazu. Saagakel zaakceptowała postawę posłuszeństwa i przemówiła łagodnie:

- Powtórz jeszcze raz, co kazano ci powiedzieć. Nie spotka cię nic złego - to obietnica eistai.

Ciało fargi zeszywniało w skupieniu, gdy starała się przypomnieć dokładnie wszystkie słowa.

- Od niskiej, służącej Saagakel, eistai Yebéisku, do najwyższej. - Ruchy i barwy wyrażały najwyższą rozpacz. - Od dwóch dni sady, w których pasą się okhalakxy, opanowała choroba, wiele zwierząt przestało się ruszać. Kilka padło. Potrzebna jest pomoc, by ocalić żyjące.

To nie może być przypadek. Oczy Saagakel lśniły gniewem, lecz ciało pozostawało nieruchome, opanowane. Fargi czekała z napiętą uwagą. Nie mógł to być przypadek. Przed kilku laty ta sama choroba szerzyła się wśród okhalakxów, lecz Ambalasei ją opanowała. Teraz, zaledwie kilka dni po uwięzieniu uczonej, nastąpił nawrót epidemii.

- Przekaż moje pragnienie-obecności tym, które mi doradzają. Idź. Tym wyjściem, znajdziesz je tam.

Po chwili przyszły wezwane, trzęsąc się ze strachu na widok jej groźnej postawy. Saagakel uważała, że należy przypominać wszystkim, nawet najwyższym, o nieograniczoności jej władzy. Odzyskała dobry humor, gdy zobaczyła, jak wchodziły niepewnie i z lękiem.

- Dowiedziałam się, że okhalakxy padają masowo, a wy, jak całe moje otoczenie, wiecie, że to moje ulubione mięso. W chorobie, która je dotyka, dostrzegam rękę Ambalasei. Idź do sadu, ty, Ostuku, idź szybko, bo zacznasz tyć i spacer dobrze ci zrobi, idź i natychmiast przyprowadź do mnie Ambalasei. To rozkaz.

Na myśl o możliwości zniszczenia okhalakxow Saagakel poczuła nagły głód; posłała po kawał mięsa. Dostarczono go bardzo szybko, natychmiast urwała wielki kęs. Obgryzła jeszcze z kości ostatnie skrawki mięsa przy pomocy tylnych zębów, gdy do ambesed wkroczył mały orszak. Prowadziła go Ostuku, po bokach szły silne strażniczki. W środku znajdowała się Ambalasei, poruszała się powoli, oparta na szerokich ramionach swej towarzyszki.

- Rozkazałam przyprowadzić tylko Ambalasei - powiedziała Saagakel. - Usuńcie jej towarzyszkę.

- Niech pozostanie razem ze mną - powiedziała Ambalasei, wyrażając oburzenie i niezadowolenie. - Skazałaś mnie na ten wilgotny sad, muszę w mym wieku spać na ziemi. W nocy jest tam zimno i mokro, tak iż teraz muszę opierać się na niej przy chodzeniu. Ta silna musi pozostać, nie mogę bez niej chodzić.

Saagakel okazała gestem, że ta rozmowa ją nie interesuje, potem zaznaczyła, że to, co powie,

jest szczególnie ważne.

- Okhalakxy giną w gajach. Co wiesz na ten temat?

- Czy sztywnieją i leżą bezradne? Jeśli tak, to z choroby płuc zawleczonej przez dzikie okazy z puszczy.

- Przecież dawno temu zlikwidowałaś tę chorobę. Jak mogła teraz powrócić?

- W puszczy ekologii jest mnóstwo ścieżek.

- Czy je zaraziłaś?

- Możesz w to wierzyć, jeśli chcesz. - Niejasną odpowiedź można było zrozumieć dwojako.

Nim Saagakel zdążyła zażądać wyjaśnień,

Ambalasei mówiła dalej. - Bez względu jednak na to, jak zwierzęta na polu złapały chorobę, tylko ja mogę je wyleczyć. Czy pragniesz tego?

- Tak ma się stać, rozkazuję ci to uczynić.

- Przyjmę twe życzenie, ale nie rozkaz. Proszę w zamian o uwolnienie mnie z tego wilgotnego sadu, uwolnienie także tej-która-mnie-podpiera. Gdy stwierdzę, że moje nogi są już sprawne, będziesz ją mogła znów odesłać do sadu.

„Razem z tobą, stara idiotko” - pomyślała Saagakel, zachowując milczenie.

- Natychmiast przystąp do pracy - rozkazała głośno, potem odwróciła od niej uwagę, demonstrując niechęć i nakazując odejście.

Ambalasei odesłała strażniczki gniewnymi gestami i wyszła z ambesed utykając. Opierając się ciężko na szerokim ramieniu Elem, nie odzywała się, gdy szły przez miasto, zachowywała milczenie, nim nie zamknęły się za nią zewnętrzne drzwi jej domu. Dopiero wtedy wyprostowała się i weszła swobodnie do osobistego laboratorium. Na jego ścianie tkwił gulawatsan, trzymając się mocno pazurami, pyskiem wpijał się w naczynie drzewa. Ambalasei szarpnęła silnie zwój nerwów na środku grzbietu zwierzęcia, które zwróciło ku niej niewidzące oczy; spomiędzy warg ciekł mu płyn. Gulawatsan wrzasnął przeraźliwie, otwierając szeroko pysk. Elem cofnęła się ogłuszona natężeniem dźwięku. Ambalasei kiwnęła z uznaniem głową, gdy rozległ się tupot szybkich kroków jej asystentek.

- TV - wskazała na pierwszą. - Zabierz z chłodni szczepionkę dla okhalakxow i zaaplikuj ją chorym zwierzętom. Ty zaś, Setèssei, pójdziesz z tą Yilanè do pracowni i weźmiesz mapy.

- Nie wolno mi tam wchodzić - powiedziała Elem.

- Jedyne eistaa stoi ode mnie wyżej w tym mieście - powiedziała spokojnie Ambalasei - dlatego wszyscy mnie słuchają. Setèssei przekaze moje polecenie i wpuszczą cię tam. Przyniesiesz tu wszystkie mapy nawigacyjne. Czy rozumiałaś polecenie?

Gdy Elem potwierdziła gestem, że rozumiała, Ambalasei odwróciła się i wydała szybko polecenie pozostałym asystentkom. Miała mało czasu, a wiele do zrobienia. Tylko dzięki temu, że przygotowywała się do tych działań od ponad roku, wszystko przebiegało sprawnie. Przybycie Enge nie miało wpływu na decyzję, w nagłym porywie Ambalasei rozgniewała się na eistaa, i to przyspieszyło całą akcję. A poza tym od dawna miała dość tego nudnego miasta i przygotowywała wyjazd. Liczyła, że w najbliższej przyszłości czeka ją ciekawe życie.

Martwiła się jedynie, czy eistaa nie odwołała swego wcześniejszego rozkazu oddającego do jej dyspozycji uruketo. Ale ten rozkaz pochodził sprzed wielu lat, kiedy to musiała popłynąć w górę rzeki w poszukiwaniu dzikich okazów. Miała nadzieję, że gdy Saagakel przypomni sobie o nim, będzie już za późno.

- Członkinie załogi wykonały me rozkazy - powiedziała Setèssei po powrocie. - Załadowały na pokład cały sprzęt. Czy już postanowiłaś, kto popłynie z tobą?

- Tak. Wszystkie tu zostajecie.

- Ja też? Byłam twą fargi, a teraz jestem pierwszą asystentką. Czy muszę zostać?

- Nie chcesz?

- Nie. Pragnę dalej służyć wielkiemu geniuszowi Ambalasei. Miasto nic dla mnie nie znaczy.

- Cieszę się, że tak mówisz, wiarna Setèssei. Czy wymkniesz się ze mną, nie wiedząc dokąd wyruszasz?

- Jestem twoją fargi - Setèssei dodała do tego kontrolery lojalności i siły.

- Zgoda. Zabieram cię z sobą. Teraz dopilnuj załadunku reszty mych rzeczy.

Gdy Elem przybyła z mapami, odesłała Setèssei na uruketo z pozostałymi pakunkami. Potem kazała nawigatorce iść za sobą.

- Weź dwa duże płaszcze, bo dość już mam spania na mokrej ziemi. Wszystkie moje współpracownice zostaną tutaj, tylko ty idziesz ze mną.

Gdy mijały ogród pod otwartym niebem, rzuciła jednym okiem na zachodzące słońce. - Chodź szybciej, mamy bardzo mało czasu.

Elem gnała przez miasto, głęboko oddychając, bo oprócz płaszczy dźwigała ciężki pojemnik wciśnięty jej przez Ambalasei. Gdy wreszcie stanęły, była oszołomiona gorącem, dyszała ciężko, starając się ochłodzić.

- Idź w cień tych drzew i nie ruszaj się, bo zbyt się zgrzałaś - poleciła Ambalasei, zabierając pojemnik. - Zrobię sama co trzeba, bo musi to być ukończone przed zmrokiem.

Elem patrzyła zaskoczona, jak Ambalasei otworzyła pojemnik, z którego trysnął mgiełką jakiś płyn. Połała cieczą zaporę z pnączy i roślin pomiędzy rzędem drzew. Elem nigdy przedtem nie była w tym rejonie miasta, nie wiedziała więc, że drzewa stanowią część żywej ściany sadu, w którym były uwięzione. Gdy Ambalasei odrzuciła pusty cylinder i powoli cofała się w rosnący mrok, Elem ochłonęła już na tyle, że mogła owinać ją płaszczem. Ambalasei wzięła drugi płaszcz, rozłożyła na ziemi i położyła się na nim, okazując wielki niepokój.

- Po raz ostatni śpię na ziemi. Musimy obudzić się bladym świtem, nim wstanie miasto. - Powiedziała, akcentując ruchami najwyższej wagi i wielkiej pilności. Elem potwierdziła przyjęcie poleceń, potem zamknęła oczy i zasnęła.

Obudziły ją krzyki ptaków, wiedziała, że zbliża się świt. Owinęła się mocniej ciepłym płaszczem i spojrzała w górę, między gałęzie. Gdy niebo pośród nich pojaśniało, wstała i z szacunkiem obudziła uczoną.

- Światło... rozkazy... iść...

W mroku nie było widać jej ruchów, lecz podziałał dźwięk głosu. Ambalasei wstała, odrzuciła płaszcz i podeszła sztywno do ściany roślin. Było już dostatecznie widno, by dostrzec wyraźnie zmiany w miejscach oblanych płynem; liście były tam poskręcane i pożółkłe. Z oznakami zadowolenia Ambalasei szarpnęła za pnącze. Liana złamała się w jej dłoni, rozsypała w pył.

- Naprzód - powiedziała cicho. - Przeciśnij się tędy z zamkniętymi nozdrzami i błonami opuszczonymi na oczy.

Pod uderzeniami rąk Elem zaporą rozsypała się, tworząc chmurę pyłu. Po chwili były już w środku i zobaczyły dwie Córy Życia przerażone zaskakującym widokiem.

- Nie gapcie się jak fargi - powiedziała Ambalasei, nakazując gestami milczenie.

- Obudźcie wszystkie, każcie im przybyć tu do mnie. Muszą przyjść szybko i po cichu.

W jaśniejszym świetle dnia pojawiły się pierwsze Córy, otoczyły uczoną.

- Ty - powiedziała do jednej z nich - stań przy otworze i każ wszystkim przechodzącym iść za poprzedniczkami. Gdy wyjdą wszystkie, pójdiesz na końcu. Pozostałe ruszają ze mną.

Odwróciła się i poprowadziła za sobą przez budzące się miasto milczący szereg Cór. Kilka

mijanych Yilanè nie zwróciło na nie uwagi, nie wzbudzały ciekawości. Zainteresowały się nimi jedynie fargi, wiele z nich dołączyło do maszerującej grupy, były zawsze chętne zobaczyć coś nowego. Słońce weszło już dobrze nad horyzont, gdy Ambalasei dotarła nad wodę za okrągłymi składami, stanęła i kazała podejść do siebie Enge.

- Chodź ze mną i nic nie mów - odparła na gest pytania i starając się iść w cieniu, skierowała się do wysokiej płetwy najbliższego uruketo. Właśnie pojawiła się na niej załogantka, mrużąc oczy w porannym słońcu. Ambalasei zawołała do niej.

- Każ dowodzącą stawić się natychmiast przede mną.

Załogantka zniknęła, a po kilku chwilach dowodząca zeszła po płetwie i zeskoczyła z grzbietu łagodnie kołyszącego się uruketo na surowe drewno nabrzeża.

- Rozkazy do natychmiastowego wypełnienia - powiedziała Ambalasei, podkreślając słowa kontrolerami pilności. - Idź do eistai.

Dowódczym potwierdziła przyjęcie polecenia i odeszła. Gdy zniknęła z oczu, Ambalasei odezwała się do zaciekawionej załogi na płetwie:

- Na nabrzeże, wszystkie z pokładu. Nadchodzą inne i nie chcą, byście zagradały drogę. - Gdy pierwsza zaczęła schodzić, zwróciła się do Enge: - Teraz - wprowadź Córy natychmiast, ale zatrzymaj fargi, nie ma dla nich miejsca. Gdy eistaa przesłucha dowódczynię, zrozumie natychmiast, że coś się stało. Musimy wcześniej odpłynąć.

Ambalasei, która znana była z braku cierpliwości, miotała się po nabrzeżu, gdy Córy spieszenie wchodziły na pokład. Kazała odsunąć się ciekawskim załogantkom, potem wyraziła konieczność obecności, najpierw Enge, potem Elem.

- Odpływamy, gdy tylko wejdzie ostatnia. Ruszamy bez załogi. Ty, Elem, będziesz dowodziła, powiedziałaś mi przecież, że kiedyś służyłaś na uruketo. - Przerwała ostrym ruchem jej protesty. - Obserwowałam pracę dowodzącej. Nie wymaga to wielkich umiejętności. Nauczysz inne, co mają robić.

- To niebezpieczne - powiedziała Enge.

- Nie ma innego wyjścia. Po odpłynięciu nie możemy dać się odnaleźć. Nie potrzebni są nam żadni świadkowie, którzy mogliby wrócić i powiadomić eistaa, gdzie jesteśmy.

- Dokąd płyniemy?

Ambalasei zamilkła i tylko gestem wskazała koniec rozmowy.

Zaskoczone załogantki wykrzykiwały przeróżne pytania i tłoczyły się niespokojnie na nabrzeżu, gdy oddano cumy i uruketo wypłynęło na rzekę, poprzedzone przez skaczące enteesenaty. Głośno wyrażały swój protest, gdy pierwsze fale zalały grzbiet zwierzęcia niknącego w dali.

Stały tam nadal, wpatrując się w stada estekel\* łapiących ryby w ujściu rzeki, gdy na nabrzeżu pojawiły się pierwsze zadyszane wysłanniczki eistai. Na zadawane pytania nie były w stanie udzielić żadnych odpowiedzi.

Morze było puste, uruketo zniknęło.

*Mer sensto.*

KRZYK ŚMIERCI TANU

Umieramy.

## ROZDZIAŁ XVIII

Kerrick zmierzał wytrwale na północ. Wędrowka go podniecała, chciał głośno krzyknąć, choć wiedział, że łowca zawsze milczy na szlaku. Z każdym krokiem zrzucał z siebie odrobinę odpowiedzialności za miasto, szedł coraz swobodniej.

Zrobił, co mógł dla ocalenia miasta; teraz niech inni przejmą to, co zostawił. To brzemię już nie on będzie dźwigał. Myśląc o niedawnej przeszłości, patrzył na szerokie, ociekające potem plecy Ortnara. Łowca odganiał wolną ręką buczące mu nad głową mo-skity. Kerrick poczuł do niego nagłą sympatię; przebyli razem długą drogę. Zapomniał już o tym, że Ortnar zabił Inlènu\*, Yilanè, z którą był połączony smyczą, za co chciał go potem pozbawić życia. Teraz jest między nimi więź, której nic nigdy nie przerwie. Prawdziwa więź, jak prawdziwa była puszcza wokół nich. Kerrick szedł stale na północ, miasto ze swymi problemami zostawało coraz bardziej w tyle. O zmroku był bardzo zmęczony, ogromnie pragnął odpocząć, nie chciał jednak pierwszy zaproponować postoju. To Ortnar stanął po dojściu do trawiastej kotlinki nad strumieniem. Wskazał na szare resztki starego ogniska.

- Dobre miejsce na nocleg.

Słowa padły w marbaku, wyrażały proste stwierdzenie Tanu. Kerrick nie musiał już mówić językiem Yilanè ani męczyć się w seseku czy śledzić złożone dysputy mandukto. Niebo i puszcza stały się nową rzeczywistością. Na końcu drogi czekała Armun. Poczul ulgę po uwolnieniu się od odpowiedzialności za miasto. Miał dwadzieścia cztery lata i odbył długą drogę przez wiele różnych światów odkąd przed szesnastu laty został schwytany przez Yilanè. Tej nocy spał mocniej i głębiej; nie zdarzało mu się to od dawna.

Gdy rano się obudził, nad strumieniem wisiała gęsta mgła. Ortnar dotknął ramienia Kerricka i nakazał milczenie, potem powoli uniósł hèsotsan. Mały koziołek, stojący po kolana w wodzie wyprostował nagle głowę i upadł, gdy strzałka utkwiała mu w boku.

Świeże mięso było miłą odmianą po zakonserwowanych zapasach murgu. Najedli się do syta, resztę wysuszyli i zasypali popiołem.

- Opowiedz o Paramutanach - niewyraźnie, mając jeszcze pełne usta, poprosił Kerrick - Znam tylko ich nazwę, wiem, że żyją na północy.

- Spotkałem kiedyś jednego, nasz sammad handlował z nimi. Miał sierść na całej twarzy, nie była to broda jak u nas, ale futro niby u długozęba. Był niski, trochę tylko wyższy ode mnie, a byłem wtedy młody. Słyszałem, że żyją daleko na północy, gdzie lód morski nigdy nie topnieje. Łowią ryby w morzu. Mają łodzie.

- Jak ich odnajdziemy? Czy dzielą się na różne sammady? Ortnar poklepał się po policzkach gestem oznaczającym brak wiedzy.

- Może, nigdy o tym nie słyszałem. Słyszałem, jak rozmawiali, są za głupi, by znać marbak. Łowca z naszego sammadu znał kilka ich słów, mógł się porozumieć. Myślę, że musimy iść na północ wzdłuż brzegu i szukać ich śladów.

- Nim tam dojdziemy, nastanie zima.

- Tam zawsze jest zima. Mamy futra, zdobędziemy suszone mięso. Idąc tym szlakiem, natrafimy na sammady zdążające na południe. Dostaniemy od nich ekkotaz. Tak musimy zrobić.

- Weźmiemy też suszone kałamarnice, na pewno będą je mieli.

Po wielu dniach marszu poczuli dym pod drzewami, niesiony przez powstrzymywany deszczem wiatr. Poszli za zapachem w kierunku łąki, na której stały ledwo widoczne w ulewie ciemne namioty sammadu Sorliego. Powitało ich trąbienie mastodontów, chętnie przyjęli gościń, najedli się do syta, a potem zapadli w sen w suchym miejscu. Rano się rozstali i potem nie spotkali już Tanu.

Szli dalej na północ, minęło lato i wkroczyli w barwną jesień. Liście leżały grubą warstwą na drodze, a ustrzelonemu z łuku przez Kerricka królikowi już zaczęło bielić się futro.

- Bardzo wczesna zima - powiedział ponuro Ortnar.

- Wszystkie zimy są teraz wczesne, wiemy o tym. Możemy tylko iść dalej, jak najszybciej na północ.

Niebo poszarzało i czuli już w powietrzu chłód śniegu, gdy doszli do obozowiska nad rzeką. Kerrick poznał je natychmiast, gdy spojrzął ze wzniesienia obok plaży. Z sammadu jego ojca zostało tu tylko kilka kawałków starych rzemieni i potrzaskane kości. Herilak znalazł tu, obok ciała ojca, nóż Amahasta z gwiazdowego metalu. Kerrick dotknął go, zwiślał mu stale z szyi. Yilanè wyszły tu z oceanu, wymordowały samamd. Było to bardzo dawno temu, pozostały mu jedynie wspomnienia wspomnień. Jego sammad jest teraz na północy, z Armun, tam musi dojść. Odwrócił się na głos Ortnara i ruszyli jeden za drugim brzegiem rzeki na zachód.

Dopiero pod wieczór następnego dnia znaleźli na brzegu zwalone drzewo, dość duże, by mogło unieść ich obu w wodzie. Z trudem wytaszczyli je ze splątanego gąszcza krzewów. Ociosywali długo gałęzie, skończyli dobrze po zmroku.

Woda była zimna jak świeżo stopniały śnieg; rozgrzewali się krzykiem, w którym brzmiała skarga. Przymocowali mocno pakunki i broń do wystających korzeni pnia, zepchnęli drzewo z brzegu, zawisli na nim i młóćąc wodę nogami kierowali niezgrabną tratwę w poprzek nurtu. Gdy osiągnęli drugi brzeg byli zdrętwiali i zsiniali z zimna, szczękali zębami. Kerrick wyciągał na ziemię rzeczy, a Ortnar rozniecił wielkie ognisko. Pozostali przy nim tylko tak długo, by mogli wysuszyć i ogrzać swe ubrania, potem naciągnęli mokre wciąż skóry i ruszyli znów na północ. Wiedzieli, że nie zmarzną, jeśli będą szli szybko; nie mieli wiele czasu do stracenia, pod drzewami wirowały już pierwsze płatki śniegu.

Dni były coraz krótsze, wstawali przed świtem i szli w ciemnościach pod bladym światłem gwiazd, aż dostrzegali słabe słońce. Czuli się silni i zdrowi. Ale zaczęli się martwić.

- Zostało niewiele mięsa - powiedział Ortnar. - Co zrobimy, gdy się skończy?

- Mam nadzieję, że wcześniej znajdziemy Paramutanów.

- A jeśli nie?

Spojrzeli po sobie w milczeniu, obaj znali odpowiedź. Nie chcieli jednak mówić o tym głośno. Podsycili ognisko i zbliżyli się doń, chłonąc ciepło.

Nie kończące się bory ogromnych jodeł dochodziły do samego brzegu, do piaszczystych plaż. Czasami, gdy plaże przechodziły w wysokie klify, na których rozbijały się fale, musieli skręcać w głąb lądu. Bór był cichy i pusty, zasypany pod drzewami były bardzo głębokie, opóźniały i utrudniały marsz. Za każdym razem, gdy wychodzili na brzeg, rozglądali się uważnie, szukając śladów ludzi. Nie dostrzegali nic poza bezludnym brzegiem i pustym morzem.

Gdy nadeszła burza śnieżna, żywność była na wyczerpaniu. Pozostawało im tylko iść dalej, chyląc się przed północnym wiatrem i szukając jakiegokolwiek schronienia. Byli zdrętwiali, niemal zamarznięci, gdy wreszcie znaleźli płytką grootę u podnóża klifu, tuż nad plażą.

- Tam - zawołał Kerrick, starając się przekrzyczeć ryk wiatru i wskazał na ciemny otwór ledwo widoczny w zacinającym śniegu. - Musimy wejść do środka, schować się przed wiatrem.

- Potrzeba nam drzewa - dużo drzewa. Zostawmy w środku nasze rzeczy i pójdźmy po opał.

Przekopali się przez śnieg do połowy zasypujący wejście, z trudem weszli do groty i padli. Słyszeli wycie wiatru, wydawało im się, że jest ciepło, choć wiedzieli, iż w powietrzu zamarza woda.

- Nie możemy tu leżeć - powiedział Ortnar, podnosząc się z wysiłkiem. Chwycił Kerricka za

rękę i pomógł mu wstać, po czym mimo opierania się wypchnął go na dwór.

Rabali z wysiłkiem niżej rosące gałęzie, łamali, co mogli, choć ręce z trudem chwyciły drewno. Ze zdrętwiałych palców Ortnara wypadł nóż i stracili dużo czasu, przekopując zasnę, nim go znaleźli. Resztkami sił przywlekli nacięte drewno, nie byli w stanie wrócić po więcej. Kerrick grzebał w pudełku z przyborami ogniowymi, lecz nie mógł wymacać w środku kamieni, dopóki nie wsadził dłoni pod futra i nie ogrzał ich o ciało.

W końcu rozpalili ognisko i podsycali je, aż buchnęło wysoko. Zbliżyli się do ognia choć dławili ich dym, aż poczuli, jak życie wraca do zdrętwiałych ciał. Na zewnątrz było już ciemno, wiatr wyl nieprzerwanie, zasypując wejście śniegiem, musieli go ciągle odgarniać, by dym mógł ulatniać się z grotu.

- Nie my pierwsi szukaliśmy tu schronienia- powiedział Kerrick, wskazując na niską powałę, gdzie widniała sylwetka jelenia wyrysowana zwęglonym kijem. Ortnar chrząknął i rozgarnął ziemię obok ogniska.

- Przynajmniej nie zostawili tu swych kości.

- A dlaczego my mamy zostawić? - spytał Kerrick. Ortnar w milczeniu przyciągnął swój tobołek i wyciągnął resztkę jedzenia.

- To wszystko, co mi zostało, ty masz tyle samo. Za mało na powrót.

- No to musimy iść naprzód. Znajdziemy Paramutanów. Muszą tu być. Gdzieś niedaleko.

- Pójdziemy dopiero wtedy, gdy ustanie burza.

Na zmianę jeden doglądał ognia, drugi donosił drewno. Mrok nadchodził szybko i powracający z ostatnim naręczem drow Ortnar miał trudności z odnalezieniem jaskini. Mróz był teraz większy i na policzkach pokazały się białe plamy, które próbował rozetrzeć śniegiem. Milczeli, bo nie mieli siły na rozmowę. Nie mieli też nic do powiedzenia.

Burza trwała przez ilość palców u ręki łowcy. Jeden dzień za jeden palec - łącznie z kciukiem. Wychodzili tylko po drewno, wodę topili ze śniegu. Czuli coraz większy głód, oszczędnie wydzielali pozostałe resztki jedzenia.

Wreszcie burza minęła. Wiatr osłabł, a śnieg zdawał się rzednąć.

- Po wszystkim - powiedział Kerrick z nadzieją.

- Nie możemy być jeszcze tego pewni.

Wyszli na słabe światło dnia. Płatki śniegu opadały nadal z ciemnoszarego nieba. Przez chwilę rozjaśniło się i dojrzeli fale rozbijające się o plażę, wbiegające wysoko po kamienistym brzegu. Morze było wzburzone, spienione, ciemne.

- Tam! - krzyknął Kerrick. - Coś widziałem - jakąś łódź. Machaj do nich, machaj!

Powlekli się na brzeg, na skraj spienionego morza; pozostali tam, skacząc i krzycząc ochryple. Łódź wspięła się na fale i wydawało się im, iż rozróżniają siedzące w niej postacie. Potem zapadła w dolinę i zniknęła im z oczu. Gdy następnym razem ujrzeli łódź - płynęła na północ.

Zniknęła ponownie między wielkimi grzywaczami i nie pokazała się więcej.

Mokrzy i wyczerpani powlekli się do jaskini, ledwo teraz widocznej w zacinającym śniegu. Burza powróciła z podwójną mocą. Następnego dnia zjedli resztkę, żywności. Kerrick zlizywał z palców pozostałości skwaśniałego mięsa, uniósł głowę i dostrzegł wzrok Ortnara. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

Cóż można było jeszcze rzec?

Ortnar owinał się futrami i odwrócił.

Na zewnątrz szalała zawierucha, wiatr, rycząc, bił o skały. Ziemia wokół drżała od wielkich fal wałających w plażę.



Nadeszła ciemność, a z nią wielka, przenikająca wszystko rozpacz.

## ROZDZIAŁ XIX

Za paukarutem burza szalała z nie słabnącą wściekłością, wiatr gnał śnieg po arktycznym lodzie. Nic nie mogło oprzeć się jego porywom, dookoła była tylko mroźna pustka. Zawieja zasypywała śniegiem paukaruty, aż za każdym ciągnęły się białe brody. Wszędzie panował jedynie mrok i czaiła się nieuchronna śmierć.

W paukarucie żółte światło lampy oliwnej rzucało blask na czarną skórę ularuaqa, na podtrzymujące je białe żebra, rozrzucone futra, spośród których wylaniały się roześmiane twarze Paramutanów maczających w tranie kawałki zgniłego mięsa. Karmili nimi dzieci, śmiejąc się, gdy rozmazywały je po buziach.

Armun cieszyła się z towarzystwa, nie przeszkadzała jej nawet ciągła natarczywość Kalaleqa, którego ręce zawsze się wyciągały, gdy podchodziła bliżej. Byli inni niż Tanu, to wszystko. Wymieniali się kobietami i nikomu to nie przeszkadzało. Z tego też się śmiali. Nie mogła do tego się przyzwyczaić, dlatego nie przyłączała się do dzikich ryków.

Uśmiechała się jednak do owłosionych postaci i nie martwiło jej, że w zabawie uczestniczy Had. Odsuwali się, by zrobić mu miejsce, niektórzy dotykali jego jasnych włosów. Nigdy im się to nie nudziło, mówili na Tanu - Erqigdlit, co w ich języku oznaczało zmyślonych ludzi. Sami nazywali siebie Anqurpiaq, prawdziwi ludzie. Armun rozumiała ich język, to była jej druga zima w stojących na lodzie paukarutach. Gdy znalazła się tu po raz pierwszy, cieszyła się, że żyje. Była słaba, wychudła, martwiła się o Arwheeta. Wszystko tu było inne - jedzenie, język, zwyczaje. Czas mijał szybko, jednak zdołała przystosować się do nowego życia, tak iż nie spostrzegła nawet, kiedy nadeszła druga zima.

Nie zostanie tu na trzecią - była co do tego zdecydowana. Na wiosnę wytłumaczy im, że musi odejść. Odzyskała już siły; jadła dobrze, podobnie jak i obaj chłopcy. Ale najważniejszym powodem powrotu była niepokojąca świadomość, iż Kerrick dowiedział się już o opuszczeniu przez nią sammadów; musi przypuszczać, że zginęli. Na tę myśl zgasł uśmiech na jej twarzy. Kerrick! Musi iść do niego, iść na południe do tego dziwnego miasta murgu, które spalili, iść wszędzie tam, gdzie on...

- Alutoragdlaq, alutoragdlaqoq! - powiedział Arnwheet, szarpiąc ją za kolano. Silny chłopczyk, mając już trzy lata, mówił z podnieceniem przez nierówne, świeżo wyrosłe zęby. Z uśmiechem wytarła tłuszcz z jego buzi.

- Co chcesz? - spytała w marbaku. Rozumiała go dobrze, ale nie chciała, by mówił tylko językiem Paramutanów. Gdyby nie ona, obaj chłopcy rozmawialiby wyłącznie w tym obcym niegdyś języku.

- Chcę sarnę! Moją sarnę! - Ze śmiechem walił ją po kolanie twardymi piąstkami. Armun grzebała w zwojach skór, aż znalazła zabawkę. Zrobiła ją z kawałków skóry, jako różki służyły odłamki rzeźbionych kości. Chwycił ją i śmiejąc się odbiegł.

- Powinnaś więcej jeść - powiedziała Angajorqaq, siadając obok i wyciągając garść białego tłuszczu. W ciepłym paukarucie większość zrzuciła z siebie okrycia, ruch ręki rozkołysał jej pokryte sierścią piersi. Armun nabrała palcem odrobinę tłustej masy i podniosła do ust. Angajorqaq mówiła ze smutkiem w swym klekoczącym języku:

- Była raz kobieta, która nie zjadła złapanej ryby. - Znała opowieści na wiele tematów, we wszystkich wydarzeniach, choćby najzwyczajszych, dostrzegała ukryte znaczenie. - Srebrna ryba, bardzo duża i tłusta, spojrzała na nią, nic nie rozumiejąc. Powiedz mi, rzekła ryba, dlaczego mnie nie jesz? W głębi oceanu usłyszałam zaklęcia wypowiedane przez rybaka, zobaczyłam haczyk z jaskrawą przynętą. Zjadłam ją jak należy, jestem tutaj, a ty mnie nie chcesz. Dlaczego?

Usłyszawszy to, kobieta bardzo się rozłościła i powiedziała rybie, że jest tylko rybą i że ona sama zadecyduje, czy ma ją zjeść, czy nie. Ale usłyszał to duch ryb, który rozgniewał się bardzo i wypłynął z głębi morza, gdzie mieszka. Płynął coraz szybciej, aż uderzył w lód, przebił go, otworzył pysk i zjadł paukarut z wszystkimi futrami, dziećmi, lampą oliwną, a nawet kobietą. Widzisz więc, co się dzieje, gdy ktoś nie chce jeść. Jedz!

Armun zlizwała z palca trochę więcej tłuszczu.

- Gdy skończą się burze, powróci słońce i się ociepli - odejdę z chłopcami...

Angajorqaq krzyknęła głośno, rzuciła jedzenie i chwyciwszy się za uszy, zaczęła się kołysać. Kalaleq spojrział na nią szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami, potem wstał i podszedł zobaczyć, co spowodowało zamieszanie. W ciepłym paukarucie zrzucił wszystkie okrycia; w świetle lampy lśniła jego gładka, brunatna sierść. Armun nie przyzwyczała się jeszcze do tego, że wszyscy Paramutanie, obrońcy byli od stóp do głów. Kalaleq, jakby się wstydząc, zakrył puszystym ogonem swą męskość.

- Angajorqaq woła z wielkiej rozpacz - powiedział. Potem, by ją zabawić, wysunął rzeźbioną przez siebie kość. - To będzie gwizdek z ularuaqiem, gdy tu dmuchnę, zaczniesz gwizdać.

Odepchnęła jego dłoń, nie pozwoliła się uspokoić.

- Jest zima i ciemność, ale włosy Erqigdlit są jak słońce w paukarucie, śmiejemy się, jemy i jest nam ciepło. Ale teraz... - zapłakała znowu, ciągle kołysząc się na boki - ... teraz Armun odejdzie, odejdzie światło chłopców i wszystko ściemnieje.

Kalaleq spoważniał, słysząc ten wybuch.

- Nie mogą odejść - powiedział. - Gdy wieje zamieć, śmierć czyha za paukarutem z otwartą gębą. Kto wyjdzie z paukarutu, wpadnie między jej zęby. Nie mogą pójść, nie masz co płakać.

- Na wiosnę - powiedziała Armun. - Będziemy musieli odejść.

- Widzisz - powiedział Kalaleq, gładząc sierść Angajorqaq, by ją uspokoić. - Widzisz, nie idą. Zjedz coś. Zostają.

Paramutanie żyli z dnia na dzień, każdy ranek stanowił cudowną niespodziankę. Armun siedziała teraz cicho, ale wciąż rozmyślała. Muszą wyruszyć, gdy tylko się ociepli. Zlizwała z palca resztę tranu. Będą teraz dużo jedli, by nabrać sił. I pójda na południe, gdy tylko będzie to możliwe.

Burza skończyła się w nocy i gdy rano Kalaleq rozsznurował otwór na dym, wpadł przez niego wąski snop słońca. Wszyscy krzyczeli w podnieceniu i grzebali wśród futer szukając ubrań. Wybuchali śmiechem, gdy znaleźli nie swoje części garderoby. Burza więziła ich przez wiele dni, teraz dzieci krzyczały niecierpliwie. Trzymając mocno jedną ręką wyrwijającego się Arnwheeta, Armun drugą ubierała go w futerko z włosem skierowanym do wewnątrz. Na wierzch nałożyła grubsze futro z kapturem, potem buty, rękawice - wszystko, co stanowiło strój pozwalający przeżyć noc polarną.

Kalaleq wyciągnął się jak długi i stękając z wysiłku odsuwał śnieg tarasujący koniec tunelu wyjściowego. Wpadło przezeń światło, zasłonięte potem przez Paramutanina.

Gdy odsunął się na bok, wszyscy zmrzyli oczy porażone blaskiem słońca. Ze śmiechem przepychali się, pragnąc wyjść jak najprędzej.

Armun puściła chłopców przodem i po chwili wyszła sama. Stała, osłaniając oczy od blasku. Po ciasnocie i wilgoci paukarutu, śmierdzącego zgnitym mięsem i moczem, chłodna rześkość świeżego powietrza była czymś wspaniałym. Oddychała nim radośnie, choć kłuło ją w nos i gardło.

Paukaruty tworzyły białe wzgórki na białej równinie. Wychodzili z nich na słońce Paramutanie; wykrzykiwano ze śmiechem pozdrowienia. Na bladoniebieskim niebie widać było wysoko kilka chmur. Błękit sięgał od skraju tafli lodowej do granatowego oceanu. Tkwiące tam łodzie były

pokryte całkowicie śniegiem, tworząc białe kopczyki.

Ktoś wydał wysoki dźwięk ostrzeżenia, potem wskazał na coś, krzycząc:

- Na morzu - ularuaq!

- To niemożliwe!

- To nie ularuaq, ale jedna z naszych łodzi.

- Musi to być łódź Niumaka, tylko jej brakuje. Ale przecież nie żyje. Śpiewaliśmy je mu i jego towarzyszom pieśń śmierci.

- Zaśpiewaliśmy ją za wcześnie - roześmiał się Kalaleq. - Dobrze nas nabrali. Nigdy nie dadzą nam o tym zapomnieć.

Harl pobiegł z innymi do nadpływającej łodzi. Za nim biegł Arn-wheet, ale potknął się, upadł i zaczął głośno płakać. Armun podniosła go i otarła łzy, bardziej się przestraszył niż potłukł.

Przy wspólnej pomocy łódź została szybko wyciągnięta i zabezpieczona obok innych. Arnwheet stał w śniegu, oczy miał już suche i trzymając Armun za rękę, przyglądał się radosnemu powrotowi. Niumak szedł do namiotów, a wszyscy biegali wokół niego klepiąc go po ramionach, by zagarnąć trochę szczęścia, jakie musiał mieć on i trzej jego towarzysze. Przeżycie takiego sztormu graniczyło z cudem. Wszyscy czterej opadli z wyczerpania na śnieg, pili chciwie z podanych im kubków, chwyтали kawałki mięsa, którego dawno nie widzieli. Dopiero po napełnieniu brzuchów odpowiedzieli na pierwsze niecierpliwe pytania. Niumak uniósł ręce w prośbie o ciszę i wszyscy, łącznie z najmniejszymi dziećmi - zamilkli.

- Tu się zaczęło. - Na jego słowa wszyscy się zbliżyli. - Widzieliśmy już ten brzeg, gdy zaczął się sztorm. Widzieliśmy boki pauka-rutów, czuliśmy ich ciepło, jedzenie i bawiące się dzieci, czuliśmy zapach futer. Ale sztorm nas odegnał.

Przerwał dramatycznie, wznosił dłoń, a słuchacze uderzyli w lament, bo wiedzieli, co powinni zrobić - zamilkli natychmiast, gdy opuścił rękę.

- Nie mogliśmy zbliżyć się do lodu i paukarutów, pozostawało nam jedynie dać się nieść nawałnicy. Długo chroniliśmy się za przylądkiem Złamana Noga, lecz nie mogliśmy tam wylądować, bo, jak wiecie, ten brzeg jest niedostępny z morza. Potem zmienił się wiatr, odepchnął nas znowu w morze i wówczas zaśpiewaliśmy pieśń śmierci.

Wywołało to nowe zawodzenia słuchaczy, co gwarantowało, że opowieść będzie trwała długo. Nikomu to nie przeszkadzało, była ciekawa i dramatyczna. Niumak zmęczył się i zmarł, przeszedł więc szybko do finału.

- Ostatniego dnia sztorm się skończył i podpłynęliśmy do brzegu, ale morze było wciąż zbyt wzburzone i nie mogliśmy wylądować. Zdarzyło się wtedy coś dziwnego. Na wybrzeżu jest jaskinia zwana Jelenią Grotą, bo jest w niej rysunek. Kiedy mijaliśmy to miejsce zobaczyliśmy dwóch naszych braci, podbiegli ku nam, machając rękoma. Płynęliśmy pchani wiatrem, a oni byli w ciepłej jaskini. Chcieliśmy do nich dołączyć, nie byliśmy jednak w stanie. Ale kto to był? Wszyscy są tutaj, nie brakuje żadnej łodzi. Czy są w pobliżu inni Paramutanie? W zimie to niemożliwe. Potem przyплыliśmy z powrotem, zobaczyliście nas i jesteście tutaj. Teraz odpocznę.

Wpełzł do swego paukarutu, ścigany przez wykrzykiwane pytania. Kogo widzieli? Jak wyglądali? Czy była w pobliżu inna łódź?

Armun stała jak bryła lodu, patrzyła lodowatym wzrokiem, lecz nic nie widziała. Wiedziała natomiast, kto mógł być w jaskini na brzegu, była równie pewna, jakby ktoś szepnął jej do ucha imię. Kerrick. To musi być on, jest jednym z dwóch łowców. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Wydawało się jej, że przygotowana była na to zawsze, a słowa Niumaka jedynie potwierdziły jej przypuszczenia. Przyszedł do niej. Domyślił się, że poszła na północ i poszedł jej

szukać. Musi wyjść mu naprzeciw. Minęło odrętwienie i obróciła się żywo.

- Kalaleq - zawołała. - Musimy iść do tej jaskini. Wiem, kto w niej jest. Mój łowca. Kerrick.

Kalaleq patrzył na nią ze zdumieniem. Erqigdlit zachowywali się zawsze zadziwiająco. Nie wątpił jednak ani przez chwilę w jej słowa. Zatrzymał się i przez moment analizował słowa Niumaka.

- To dobrze, że jest tam twój łowca, jest mu ciepło i bezpiecznie, jak to powiedział Niumak.

- Nie - odparła ze złością. - To nie Paramutanin, nie jest więc bezpieczny. Jest Tanu, szedł tu, niósł jedzenie - złapała go burza. Muszę iść do niego - natychmiast.

Gdy do Kalaleq dotarło znaczenie jej słów, zawołał głośno:

- Łódź, moja łódź, musimy ją spuścić na wodę. To trzeba zrobić. Armun obejrzała się i ujrzała Angajorqaq wpatrującą się w nią rozszerzonymi oczami.

- Musisz mi pomóc - powiedziała. - Popilnuj Arnwheeta, nim nie wrócę. Zrobisz to?

- Nie powinnaś iść - stwierdziła Angajorqaq z wielkim przekonaniem.

- Idę.

Łódź była już na wodzie, ładowano ją. Obok Kalaleq wsiadło czterech innych Paramutanów, gdy wkładano ostatnie pakunki, zanurzali już wiosła. Po odpłynięciu sprzyjał im lekki wiatr północy.

O zmroku ciągle wiosłowali na południe. Brzeg był stale wysoki, nie mieli co myśleć o wylądowaniu na noc. Wyjęli i wyrzucili długą skórzaną linę mającą na końcu ciężką skórę, dzięki niej przez noc za bardzo nie zdryfują. Jedli mięso i ssali śnieg, który zabrali z sobą. Wielu podchodziło do Armun, dotykali ją, gładzili i pocieszali. Nie odpowiadała, wpatrując się w brzeg i czekając. Wyczerpana usnęła nad ranem; gdy się obudziła, znów płynęli na południe.

Pokryty śniegiem brzeg wydawał się Armun jednostajny i jednakowy. Paramutanie wskazywali jednak na niewidoczne dla niej znaki i krzyczeli z entuzjazmem. Wzrósł on jeszcze, gdy zaczęli się zbliżać do pokrytej kamieniami plaży. Na przyboju dwaj wiosłarze wyskoczyli za burtę i stojąc po pas w lodowatym morzu przepchali łódź. Armun skoczyła z dziobu, upadła, lecz zaraz wstała i pobiegła szybko ku zalesionym wzgórzom. Na swych długich nogach wyprzedziła pozostałych, musiała się jednak zatrzymać, by rozejrzeć się bezradnie po zacierającym wszelkie szczegóły śniegu.

- Chodź tam - zawołał ją Kalaleq, wskazując kierunek ręką. Po chwili potknął się i upadł w zaspę. Nikt się nie roześmiał, bo śnieg sięgał po gałęzie drzew, leżał nienaruszoną, skrywającą wszystko powłoką.

Kopali z szaleńczym pośpiechem, odrzucając śnieg na wszystkie strony. Pojawiła się czerń, dziura pogłębiała się stale. Armun kopła równie rozpaczliwie jak pozostali, wpadła w otwór pieczary, gdy tylko się do niego przebili. Zobaczyła kilka skór pokrywających nieruchome postacie.

Podeszła chwiejnie naprzód i odciągnęła sztywne, zmrożone futra okrywające twarz Kerricka, szarą i oszronioną. Zdarła rękawice i wyciągnęła dłoń; przepełniający ją strach zapierał dech.

Dotknęła skóry, zimnej, jakże zimnej.

Nie żyje.

Nim jednak wydobyła z siebie krzyk, oczy w oszronionej twarzy zadrżały i otworzyły się.

Zdążyła.

## ROZDZIAŁ XX

Pustkowiec mrocznej północy były ojczyzną Paramutanów. Wiedzieli, jak w nich żyć i co trzeba zrobić, żeby przeżyć, wiedzieli wszystko o zamrożeniu i odmrożeniach. Rozmawiali teraz w podnieceniu, odsunęli Armun i zatarasowali jaskinię, Kalaleq rozwijał i zrzucał owijające Kerricka futra, dwaj wioślarze zaczęli się rozbierać, kładąc na zmrożoną ziemię swe ciepłe okrycia. Ostrożnie położono na nich zimne ciało Kerricka, a nadzy łowcy legli obok, przyciskając się do niego, ogrzewając go swymi ciałami. Pozostali narzucili na nich resztę futer.

- Co za zimno - sam na pewno zamrznę, zaśpiewam swą pieśń śmierci - zawołał Kalaleq.

Roześmiali się wszyscy, odnalezienie żywych łowców wróciło im dobry humor.

- Przyniescie dREW, rozpalcie ogień, stopcie śnieg. Musimy ich ogrzać i napoić.

Ortnarem zajęli się w ten sam sposób. Armun zrozumiała, że najlepiej pomoże, idąc po dREWNO.

Żyje! Słońce grzało jej twarz, miała świadomość, że Kerrick jest teraz bezpieczny, że znów są razem. Gdy uwiesiła się gałęzi, by ją odłamać, obiecała sobie, że nic ich już nie rozdzieli. Rozstanie było zbyt długie. Zbyt mocno rozciągnął się łączący ich niewidzialny sznur, o mało co się nie zerwał. Nie pozwoli, by to się powtórzyło. Gdzie będzie Kerrick - tam i ona. Nic ani nikt nie wejdzie między nich. Zmrożona gałąź pękła z głośnym trzaskiem, gdy pociągnęła ją z całą siłą, wywołaną przepełniającą ją mieszaniną gniewu i szczęścia. Już nigdy!

Ogień buzował, ogrzewając jaskinię. Kalaleq nachylił się nad nieprzytomnym Kerrickiem, pociągnął go za rękę i kiwnął radośnie głową.

- Dobrze, bardzo dobrze, jest silny - ależ ma białe ciało! Odmrożenia są tylko na twarzy, to te ciemne plamy. Zejdzie z nich skóra, ale wszystko będzie dobrze. Gorzej jednak z tym drugim.

Odsunął futra ze stóp Ortnara. Wszystkie palce jego lewej nogi były czarne, odmrożone.

- Musimy je odciąć. Zrobię to teraz, nic nie poczuje, zobaczycie.

Ortnar jęczał głośno, ale nie odzyskiwał przytomności. Armun, pochylona nad Kerrickiem, nie zwracała uwagi na rozlegające się za nią przeraźliwe odgłosy cięcia. Czoło łowcy było już ciepłe, zaczynało tajeć. Musnęła je czubkami palców; poruszył powiekami, otworzył je i znów zamknął. Objęła go ramionami i uniosła, przytknęła do warg skórzany kubek z wodą.

- Wypij to, proszę cię, wypij. - Ruszył ustami, połknął odrobinę, potem opadł.

- Muszą mieć ciepło i dostać coś do jedzenia, nabrać sił, nim będzie można ich ruszyć - powiedział Kalaleq. - Zostawimy tu mięso z łodzi, potem może coś złowimy. Wrócimy o zmierzchu.

Paramutanie zostawili jej też wielki stos dREWNA. Rozpaliła wielkie ognisko, rozgarnęła je, wydobyła płonące węgle. Gdy po południu odwróciła się od ognia, zobaczyła, że Kerrick otworzył oczy i porusza ustami próbując bezskutecznie coś powiedzieć. Dotknęła wargami jego ust, potem położyła na nich palec, jakby uciszała dziecko.

- Posłuchaj mnie. Żyjesz - i Ortnar też. Znalazłam cię na czas. Wszystko będzie dobrze. Mamy tu jedzenie i wodę, musisz się napić.

Znów go podparła, wypił łyk wody, zakaszłał, gdy zwilżyła mu suche gardło. Armun położyła go, lecz nadal obejmowała mocno, szepcząc do ucha:

- Złożyłam sobie ślub. Przysięgam, że nigdy już nie pozwolę, byś mnie opuścił. Gdzie pójdziesz, tam i ja. Iak musi być.

- Tak... musi być - powtórzył z trudem. Zamknął oczy i zasnął. Był na krawędzi śmierci, powrót stamtąd jest najtrudniejszy. Ortnar poruszył się i jęknął, Armun dała wody i jemu.

Gdy wrócili Paramutanie, było już niemal ciemno. Przybyli z krzykami.

- Patrz, jaki drobiazg przyniosłem - zawołał Kalaleq wchodząc do jaskini z wielką rybą pokrytą

plytkami, w jej pysku lśniły zęby. -To doda im sił. Teraz muszą coś zjeść.

- Są jeszcze nieprzytomni.

- Za długo, to niedobrze. Potrzebują teraz mięsa. Pokażę ci, jak ich nakarmić.

Dwaj wiosłarze podnieśli Ortnara, podtrzymali w pozycji siedzącej, a Kalaleq łagodnie poruszył głową łowcy, szczypał go w policzki, szeptał mu do ucha, potem głośno klaskał w dłonie. Wszyscy krzyczeli zachęcająco, gdy Ortnar rozchylił lekko oczy i jęknął. Teraz otworzyli mu usta, a Kalaleq odrywał płaty ryby i wyciskał z nich sok do gardła łowcy. Ten prychnął śliną, kaszlnął, lecz połknął, co wywołało ogólną aprobatę. Gdy Ortnar odzyskał przytomność, zaczęli mu wkładać między wargi kawałki surowego mięsa, zachęcając do zucia ich i połykania.

- Powiedz mu w swym języku Erqigdlit, że musi jeść. Żuj, żuj to wszystko.

Kerrick nakarmiła sama, nie dopuszczała do niego nikogo, próbowała dodać mu siły, przyciskając go mocno do swych piersi.

Minęły dwa dni nim Ortnar mógł ruszyć w drogę. Przygryzł wargi aż do krwi, gdy wycinali mu ze stóp dalsze kawałki odmrożonego ciała.

- Przynajmniej żyjemy - powiedział mu Kerrick, gdy było już po wszystkim.

- Ja niezupełnie - dyszał Ortnar, na twarz wystąpiły mu wielkie krople potu. - Znaleźliśmy ich - czy raczej oni nas - to najważniejsze.

Kerrick musiał opierać się na Armun, gdy szli do łodzi. Ortnara zanieśli na noszach z gałęzi. Cierpiał zbyt mocno, by zwracać uwagę na otoczenie, lecz Kerrick, wchodząc do łodzi, przyjrzał się jej uważnie i z podziwem.

- Zrobiona ze skór, lekka i mocna. A wiosła! Paramutanie budują równie dobrze jak Sasku.

- Niektóre rzeczy robią nawet lepiej - powiedziała Armun, rada, iż czuje się lepiej i wszystko go interesuje. - Spójrz na to - czy wiesz, co to jest?

Podawała mu długą, rzeźbioną kość, którą obracał w dłoniach.

- Zrobiono to z wielkiej bestii, nie wiem dokładnie jakiej. Została też wydrążona - ale co to jest? - Potrząsnął zwisającą skórzaną rurką, przyłożył oko do otworu w górnej części kości, pociągnął za węzeł i stwierdził, że w środku porusza się okrągły kij grubości strzały. - Pięknie zrobione, to wszystko, co mogę powiedzieć.

Armun uśmiechnęła się, rozszczepiona warga ukazała równe zęby, gdy zanurzyła koniec rury w wodzie falującej u jej stóp. Kiedy pociągnęła za węzeł, rozległ się odgłos ssania, a po drugim pociągnięciu z górnego otworu trysnął za burtę cienki strumyk wody. Kerrick przyglądał się zaskoczony, aż łowcy zaczęli się śmiać z jego zdziwienia. Wziął urządzenie znowu do ręki.

- Przypomina to trochę rzeczy hodowane przez Yilanè, zostało jednak zrobione, a nie wyrosło. Podoba mi się to. Przypatrywał się przyrządowi z podziwem, oglądał rzeźbę ukazującą rybę, wypluwającą wielki potok wody.

W paukarutach zgotowano już triumfalne powitanie. Kobiety cisnęły się wokół, piszczały i śmiały się, spierały o prawo niesienia noszy z jasnowłosym olbrzymem. Ortnar rozglądał się ze zdumieniem, gdy przepychały się, by dotknąć jego włosów, warcząc jednocześnie na siebie w dziwnym języku.

Arnweheet patrzył zdziwiony na swego ojca, słabo pamiętał już łowców Tanu. Kerrick ukląkł w śniegu, by przyjrzeć mu się bliżej, mocno zaciekawione dziecko mało przypominało niemowlę, które zostawił.

- Jesteś Arnweheet - powiedział, a chłopiec przytaknął poważnie, cofnął się jednak, gdy Kerrick wyciągnął dłoń, by go dotknąć.

- To twój ojciec - powiedziała Armun - nie możesz się go bać. Dziecko jednak trzymało się

kurczowo jej nogi, przestraszone niezwykłością spotkania.

Kerrick wstał, słowo - ojciec - pobudziło dawno pogrzebane wspomnienia. Sięgnął w głąb futra i znalazł dwa noże zwisające mu na szyi, chwycił i zerwał mniejszy. Gdy znowu ukląkł, dziecko się nie odsunęło. Kerrick wyciągnął jasne ostrze z metalu, zabłysło w słońcu.

- Dał mi to mój ojciec, a ja daję tobie.

Arnweet wyciągnął z wahaniem rączkę, dotknął noża, spojrzął na Kerricka i uśmiechnął się.

- Ojciec - powiedział.

Ortnar wyzdrowiał przed końcem zimy. Schudł, nadal czuł bóle, ale odzyskiwał poprzednią siłę. Na stopie pokazywały się dalsze czarne miejsca, ropiały i cuchnęły okropnie, lecz Paramutanie wiedzieli jak je leczyć. Wraz z wydłużaniem się dni ciało zaczęło się goić, pojawiły się blizny. Każdego dnia wychodził z paukarutu w butach wyściełanych futrem, uczył się chodzić na nowo. Bez palców u stopy było to trudne, lecz nie zważał na to. Pewnego dnia wybrał się na długi spacer wzdłuż skraju lodu i spostrzegł nadpływającą z dala łódź. Była wielka, miała dużą skórę przymocowaną do kija i wyglądała obco. Gdy powrócił wolno do paukarutów, zobaczył, iż wszyscy wyszli i machali rękoma do zbliżającej się łodzi.

- Kto to? - spytał Armun, bo nauczył się tylko paru słów tego dziwnego języka.

- Goście, nie są z naszych paukarutów. To bardzo ciekawe.

- Co się dzieje, wszyscy głośno mówią i machają rękami? Wyglądają na bardzo poruszonych.

- Nie wiem, krzyczą wszyscy naraz. Za długo spacerowałeś. Idź do paukarutu, a ja zobaczę, co się dzieje. Potem wrócę i ci opowiem.

Ortnar został sam w paukarucie, bo wszyscy Paramutanie, a także Kerrick, Arnweet i Harl, byli przy łodziach. Usiadł ciężko i zaczął głośno jęczeć, bo nikt go nie słyszał, stopa bolała. Rad z odpoczynku żuł kawałek mięsa i czekał na powrót Armun.

- Zdarzyło się chyba coś bardzo ważnego - powiedziała. - Mówią o ularuaqach, których nie mogli odnaleźć przez całą zimę. Teraz chyba znaleźli je znowu. To bardzo ważne.

- Co to jest ularuaq? - spytał Ortanr.

- Polują na nie na morzu. Nigdy ich nie widziałam, ale muszą być bardzo duże, większe nawet od mastodontów. Wskazała na wznoszące się żebra. - Pochodzą z ularuaq, podobnie jak i skórzana pokrywa - to jednak kawałek. Większość jedzonego przez nas mięsa, łącznie z tranem, pochodzi z ularuaq. Paramutanie jedzą każde mięso, jedzą wszystko. - Pokazała mu morskiego ptaka zawieszzonego za nogi na żebrach. - Ale ularuaq dostarcza im nie tylko pożywienia, ale materiału na łodzie; wszystko pochodzi z ularuaq. Mówią, że zła pogoda i długie zimy je odeгнаły. Łód co roku dociera coraz dalej na południe i zmienia się coś w wodzie, nie zrozumiałam tego. Coraz trudniej więc zabijać ularuaqi, a dla Paramutanów oznacza to klęskę. Musimy poczekać, zobaczymy, co stanie się teraz.

Minęło sporo czasu, nim ktoś wrócił do paukarutu. Pierwszy był Kalaleq, wpętlął przez wejście, pchając przed sobą kratę z cienkich kości, za nim weszli następni. Machał z radością plecionką powiązaną ścięgnami, zabezpieczoną na rogach i zaoblaniach. Armun poprosiła, by mówił powoli. Gdy tłumaczył znaczenie tego wszystkiego, przekładała jego słowa na marbak.

Kerrick pierwszy pojął, o czym mówi Kalaleq.

- Te kości to jakaś mapa - dzięki niej znajdują drogę na oceanie, tak jak Yilanè na swoich mapach. Poproś go, by pokazał, gdzie jesteśmy teraz.

Po wielu wyjaśnieniach dotyczących płataniny kości, pytaniach i nie precyzyjnych odpowiedziach, wszystko się wreszcie wyjaśniło. Kerrick, który przebył ocean, zrozumiał znaczenie słów Kalaleq.



- To skutki zimy. Zmieniły one ocean tak samo jak ląd, zmieniły zasoby żyjących w nim istot. Powłoka lodu, na której jesteśmy, sięga przez północ oceanu aż do lądu po drugiej stronie. Byłem kiedyś na nim, choć nie na północy. Z jakiegoś powodu nie ma już ularuaqow po tej stronie morza, wszystkie chyba przeniosły się tam. Przybyłe właśnie ikkergaki przepłynęły ocean, widziały ularuaqi przy drugim brzegu. Co Paramutanie zamierzają zrobić?

Gdy Kalaleq zrozumiał pytanie, odpowiedział licznymi gestami. Ciągnął niewidoczne sznury, pokonywał wyobrażalne fale. Kerrick nie potrzebował niemal tłumaczenia Armun, by go zrozumieć.

- Spychają ikkergaki na wodę i przygotowują je do długiego rejsu. Gdy tylko lód zacznie się łamać, spróbują przebyć ocean i upolować ularuaqa, wrócą nim nastanie następna zima.

- Wobec tego my też musimy ruszać - powiedział Kerrick. - Jemy ich mięso, nie dając nic w zamian. - Zauważył kącikiem oczu, że Ortnar uśmiecha się smutno.

- Tak, pora wyruszać na południe - potwierdził - ale obawiam się wędrówki.

- Nie będziesz musiał maszerować - powiedziała bez namysłu Armun, dotykając jego ramienia.

- Znam Paramutanów. Pomogą nam. Bez wahania zabrali mnie tu z chłopcami. Lubią nas, choć uważają za tak różnych od siebie. Woleliby byśmy tu zostali, ale gdy się uprzemy, zabiorą nas wiosną na południe. Jestem tego pewna.

- Czy jednak nie będą potrzebowali wszystkich ikkergaków na wyprawę łowiecką? - spytał Kerrick.

- Nie mam pojęcia. Zapytam i dowiem się.

- Musimy wyruszyć jak najszybciej - powiedział Ortnar. - Musimy wracać do sammadów.

Kerrick spochmurniał na te słowa. Zrobił ponurą minę, myśl o powrocie przywołała wspomnienia, spowodowała nawrót dawno zarzuconych, odsuwanych od siebie lęków.

Pomyślał najpierw o Vaintè, przepelnionej wieczną nienawiścią. Jest tam, knuje zniszczenie Tanu i Sasku, wszystkich ustuzou na świecie. Porzucił miasto i zagrażające mu Yilanè, bo chciał odnaleźć Armun. Dokonał już tego, są razem, bezpieczni. Ale nie będzie tak zawsze - dopóki będzie żyła Vaintè, dopóki będzie trwać jej nienawiść. Muszą wracać do miasta, wracać do Yilanè i hesotsanów, do świata ustuzou i murgu, do walki bez końca. Bo w tej chwili koniec oznaczałby zniszczenie sammadów.

Armun patrzyła na niego z niepokojem, śledziła myśli, zwłaszcza gdy na wspomnienie murgu zaczął wyginać ciało, robić dawne miny i posepnieć.

Muszą wracać.

Ale do czego?

*ambesetepsa ugunenapsossi, nefatep  
lemefenatep, epsatsast efentopeneh  
deesetefen eedeninef*

## PRZYSŁOWIE CÓR ŻYCIA

Ugunenapsa uczyła, iż znając  
śmierć, znamy granice życia,  
to siła Cór Życia, żyjących,  
gdy mrą wszystkie inne.

## ROZDZIAŁ XXI

Gdy uruketo opuściło port Yebéisku, Ambalasei rozkazała płynąć na zachód, prosto na otwarte morze. Tak najszybciej ginęły z oczu pozostającym na lądzie, nie zostawiały też najmniejszych wskazówek co do kierunku dalszego rejsu. Elem wspięła się na wierzchołek płetwy i zobaczyła, że uczona już tam jest, wpatrując się w płynące przed nimi ciemne kształty enteesenatów. Elem grzecznie wydała dźwięk pragnienia mówienia-uwagi.

- Nigdy nie dowodziłam uruketo, służyłam tylko na nim. Mamy kłopoty...
- Rozwiąż je - powiedziała stanowczo Ambalasei z kontrolerami końca-udziału, zapytania.
- Kto jest przy sterze?
- Omal, spokojna, inteligentna Yilanè, szybko się uczy.
- Mówiłam, że potrafisz dowodzić. Zbadajmy mapy.

Idąc wzdłuż płetwy, minęły Omal trzymającą ręce w pobliżu węzłów końcówek nerwów kierujących uruketo, wpatrującą się w morze przez przejrzysty krąg. Na występie przed nią siedział szaroró-żowy ptak patrzący w tym samym kierunku. Ambalasei zatrzymała się i pogładziła kciukami jego pióra, zagruchał w odpowiedzi.

- Nowy kompas - wyjaśniła Elem - dużo bardziej precyzyjny niż dawne.
- Oczywiście - to mój projekt. Dokładny, niezawodny i dostarcza towarzystwa podczas długich rejsów. Raz ustawiony we właściwym kierunku będzie go wskazywać do śmierci.
- Nigdy nie rozumiałam...
- Częstki magnetyczne w mózgu. Gdzie są mapy?
- Tutaj.

Nisza była ledwo oświetlona, ale po rozwinięciu pierwszej mapy rozjaśniły się ciemnoczerwone paski na żywej ścianie.

- Ta ma największą skalę - powiedziała Elem. - Jest też najnow-sza. Tu jest Entoban\*, a za szerokim oceanem Gendasi\*.
- A te kolorowe spirale?
- Te o zimniejszych barwach oznaczają wiatry przepływające w atmosferze jak wielkie rzeki. Wznoszą się tutaj w tropikach, gdzie słońce ogrzewa ziemię, potem pod wpływem obrotów planety kierują się na północ i południe. W mych badaniach poświęcałam im najwięcej uwagi, ale dla celów praktycznych ważniejsze są te ciepłe, barwy pomarańczy i czerwieni, oznaczające prowadzące nas prądy oceaniczne.

- Wyjaśnienie-szczegółowe.

- Chętnie-rozwodzenie-się. Jesteśmy teraz tu, na oceanie na zachód od Yebéisku. Zgodnie z twymi poleceniami, na wypadek pogoni, aż do zmroku popłyniemy dalej w tym kierunku. Znajdziemy się wtedy tutaj, na tym zaznaczonym na czerwono, płynącym na południe prądzie. Przez noc będzie nas znosił, o świcie, po sprawdzeniu pozycji, zaczniemy rejs do naszego celu. - Dokładność-płynięcia, pragnienie-poznania go?

- Niepewność-teraz. Pokaż mi, co byś zrobiła, gdyby naszym celem było Gendasi\*?

- Gorliwość-w-wyliczaniu. Płynąc do Gendasi\* musiałybyśmy trzymać się tego prądu, prowadzącego na południe i zachód aż na środek oceanu. To bardzo ciekawy obszar, rojący się od życia. Po osiągnięciu go wybierzemy prąd odpowiedni dla naszego celu. TU widzisz jeden z nich, płynący obok Alakas-aksehent ku leżącemu dalej zielonemu lądowi.

Ambalasei przyglądała się uważnie mapie, patrzyła na Yebeisk, potem prześledziła lewym okiem ocean do Gendasi\*.

- Pytanie. Płyniemy wielkim łukiem na południowy zachód do środka oceanu, potem drugim na północny zachód ku naszemu celowi. Pomyśl, o ile prędszej byśmy się tam znalazły, gdybyśmy po prostu przecięły ocean po prostej. - Szybkim ruchem przesunęła kciukiem po mapie. Elem cofnęła się zaskoczona, jej grzebień płonął czerwienią.

- Niemożliwe! - Kontrolery rozpaczy i lęku. - To, co proponujesz, jest... nienaturalne. Można tak na krótko, jak robimy to teraz, czy przepływając z jednej wyspy na drugą. Nikt jednak nie żegluje w linii prostej. Stworzenia morskie trzymają się prądów, ptaki niewidocznych szlaków powietrznych. Proponowany przez ciebie kurs jest, no, przeciwny naturze. Uruketo należałoby sprowadzić z prądów, choć w nocy znów by się na nich unosiło, potem coranne obliczenia... to wprost niemożliwe!

- Wyraziłam po prostu zainteresowanie naukowe, Elem, uspokój się. Ponieważ jesteś pracowniczką-nauki, dla dobra naszych prac powiem ci o dwóch różnych stanach materii... Czy znasz już pawo Atepenepsy?

- Pokorna-niewiedza, pragnienie-wejścia.

- Ujmując to w najbardziej podstawowej formie, materia niewidzialna porusza się po liniach prostych, dostrzegalna po różnych torach. Przestań się tak gapić i zamknij usta - istny obraz głupiej fargi! Co wiesz o materii niewidzialnej?

- Nie...

- Kłoc niewiedzy! Niewidoczna jest grawitacja - jeśli upuszczę mapę, opadnie prosto w dół. Niosące-światło-coś, samo niewidoczne, porusza się między przedmiotem a okiem w linii prostej. Bezładność jest niewidoczna, ale powściąga poruszający się obiekt... dość. Widzę, że to cię przerasta. Nie wstydz się swego niedorozwoju. Tylko kilka Yilanè nie ma tak jak ja ograniczeń intelektualnych. Wracajmy do naszego kursu. Co jest tu?

Ambalasei umieściła splecione palce i kciuki na pustym kawałku mapy za Maninlè, na południe od Gendasi\*. Elem spojrzała tępo.

- Nic, zupełnie nic.

- Pusta-głowa, nieświadoma-życia! Czy mam cię uczyć twojej specjalności? Co jest na mapie, tu i tu?

- Prądy, to oczywiście prądy oceaniczne.

- Wspaniale. Teraz, rozbudowa-szczegółów, co powoduje prądy?

- Różnice w temperaturze wody morskiej, wiatr, obroty planety, wpływ linii brzegowej, kształt dna oceanu...

- Dobrze. Teraz te prądy, tu i tu, przyjrzyj się im bliżej. Nie pojawiają się tak nagle w zewnętrznym mroku. Śledź je do tyłu.

- Widzę, widzę! Wielka Ambalasei, wydobyłaś mnie z niewiedzy, jak fargi jest wydobywana z morza. Musi tam być wielki ład, we wskazywanym przez ciebie miejscu. Choć nikt go nigdy nie widział ani nie opisał - wydedukowałaś jego istnienie z tych map...

Gdy dotarło to do niej, Elem pochyliła swą głowę w postawie najniższej-z-niskich wobec najwyższej-z-wysokich. Zrozumiała nagle, że Ambalasei zna się na nawigacji równie dobrze co i ona. Może i lepiej. Ambalasei kiwnęła głową, akceptując tę świadomość.

- Jesteś biegła w swej dziedzinie - powiedziała. - Ja jednak jestem biegła we wszystkich, jak to właśnie udowodniłam. Nie odkryłam tego w tej chwili, już od kilku lat przypatrywałam się mapom nawigacyjnym, doszłam wtedy do tego wniosku. Ten rejs wykaże, że może domysły są słuszne. Płyniemy tam, do białej plamy na mapie. Gdy się tam znajdziemy, nie będzie już biała. Idź teraz, przyrowadź tu Enge.

Enge przyszła zaraz po wezwaniu przez Elem. Zostały Ambalasei w wyniosłej pozycji, na tyle wyprostowaną, na ile pozwalał jej stary kręgosłup. W ręce mocno ścisnęła mapę. Elem podeszła do uczoney pokornie jak fargi. Enge nie zbliżyła się tak bardzo, choć ustawiła kończyny w pozycji najwyższego szacunku. Ambalasei wyciągnęła rękę na długość ramienia, w geście niemal najwyższej-powagi.

- Pokażę ci teraz, Enge, nasz cel i czekające tam na nas miasto.

- Jesteśmy ci szczerze wdzięczne za wszystko, co dla nas zrobiłaś

- obejmujący gest ręki wskazywał, że mówi za wszystkie ze swej grupy.

- Wspaniale. Tam, na mapie, jest to miejsce, nasz cel. Natomiast tu - nasze miasto.

Mówiąc to rozwarła drugą dłoń i wyciągnęła ją. Leżało na niej wielkie, pomarszczone ziarno. Enge przeniosła wzrok z mapy na ziarno, potem znów na mapę i pochyliła głowę w doceniającej-zgodzie.

- Jesteśmy wdzięczne. Ponieważ na mapie jest tu tylko pustka, przypuszczam, iż dzięki swej wyższej wiedzy dowiedziałaś się o istnieniu tam nowego lądu. Lądu bez miast, bez Yilanè, a przeto to ziarno jest ziarnem miasta, z którego wyrośnie nasz gród.

- Dokładnie tak - powiedziała ostro Ambalasei, odkładając ziarno i mapę z niepotrzebną gwałtownością. Na piersi wystąpiły jej barwne cętki. - Masz pierwszorzędnny umysł, Enge, czekam na okazję, by go okpić.

Nie dodała już, że się jej teraz to nie udało, Enge też o tym nie wspomniała, wyrażając w zamian wdzięczność i zgodę. Stara uczona miała swoje narowy, była wybuchowa, ale trzeba pozwolić jej na wszelkie dziwactwa za to, co dla nich zrobiła.

- Czy wolno poprosić o dalsze informacje na temat naszego celu, by czerpać radość z poznania pracy mózgu tak nieskończonej objętości?

- Wolno. - Z piersi Ambalasei zniknęły barwy, gdy przyjęła to, co się jej należało. - Patrz uważnie i ucz się. Siła, szerokość, temperatura prądów tych rzek na morzu, są podane na tej mapie jako wskazówka dla potrafiących je zrozumieć. Jestem oczywiście między nimi. Nie wejdę w szczegóły, nie zrozumiałabyś ich, przedstawię ci tylko moje wnioski. Nie ma tam małej wysepki czy ciągu wysp, ale wielki ląd, którego wymiary poznamy po dotarciu do niego. Leży na południe od Alpèasaku, co oznacza, iż będzie tam cudowne ciepło. Czy znasz nazwę tego nowego lądu, Enge?

- Znam - odpowiedziała mocno.

- No to nam powiedz - powiedziała Ambalasei z nieopanowanym ruchem przyjemności.

- Nazywa się Ambalasei, bo w jutrze jutro, dopóki Yilanè będą rozmawiały z sobą, powtarzać będą imię tej, która przyniosła życie do tego dalekiego, nieznanego miejsca.

- Dobrze uzasadnione - powiedziała Ambalasei, a Enge wyraziła zgodę z kontrolerami wzmocnienia. - Teraz odpocznę i nabiorę siły. Będziecie oczywiście potrzebować mych wskazówek, dlatego nie wahajcie się przed obudzeniem mnie, choćby sprawiało wam to trudności.

Wieści o rozmowie rozeszły się szybko, wzbudzając wielkie poruszenie. Córy Życia naciskały Enge, by odśloniła znaczenie odkryć Ambalasei. Uczyniła to, stanąwszy w słupie światła padającym z otwartej pletwy, tak iż wszystkie mogły ją słyszeć.

- Ugunenapsa, nasza nauczycielka, powiedziała nam, że najsłabsza jest najsilniejszą, najsilniejsza najsłabszą. Przypowieść ta ma nas nauczyć, że życie tworzy jedność, wskazać, że życie mokrej-jeszcze-od-oceanu fargi jest dla niej równie ważne, co dla eistai jej życie. Ugunenapsa powiedziała to bardzo dawno, lecz ta wieczna prawda dziś znowu do nas dotarła. Ambalasei, choć nie jest jeszcze Córá Życia, dzięki naukom Ugunenapsy wyprowadziła nas z uwięzienia i wiedzie teraz do nowego świata, gdzie wzniesiemy miasto - nasze miasto. Pochylcie głowy przed mocą tej

myśli. Miasto bez kary za poglądy. Miasto bez śmierci. Miasto, w którym będziemy mogły razem dorastać i się uczyć, przyjmować fargi, by w nim dorastały i uczyły się od nas. Powiedziałam w wdzięczności, nie wahając się nawet przez chwilę, że ląd, na którym powstanie to miasto, będzie się nazywał Ambalasoeki.

Słuchaczki przeszła wspólna fala uczuć, fala zgody wygięła jednocześnie ich ciała, jak wiatr gnie pole zboża. Były jednej myśli.

- Teraz odpoczniemy, bo po przybyciu czeka nas wiele pracy. Elem potrzebuje pomocy przy prowadzeniu uruketo, dlatego wszystkie o odpowiednich umiejętnościach czy chęci ulżenia jej powinny pójść okazać gotowość i współpracę. Reszta uporządkuje swe umysły i przygotowuje się na to, co ma nastąpić.

Ambalasei, jak zwykle w jej wieku, przespała większość rejsu, choć zrobiła taić tylko ona. Dla Cór Życia wszystko było zbyt nowe, zbyt podniecające, bo po raz pierwszy znalazły się razem, nie groziły im prześladowania czy szyderstwa. Mogły mówić otwarcie o swych wierzeniach, dyskutować o nich i szukać porady u tych, których jasność umysłu doceniały. Każdy nowy dzień zbliżał je do radosnej rzeczywistości, ich nowego życia.

Zgodnie z instrukcjami nie niepokoiły Ambalasei, dopóki nie osiągnęły prądu odciągającego ze szlaku, który po minięciu Marunie i Alakas-aksehent doprowadziłby je do głównego lądu Gendasi\*. Po napięciu się zimnej wody i zjedzeniu odrobiny mięsa wstała i wspięła się powoli na wierzchołek płetwy uruketo. Czekał tam Elem i Enge wyraziły pełne szacunku powitanie.

- Ciepło - powiedziała Ambalasei, zwięzając oczy w jaskrawym słońcu do pionowych szparek i wyrażając kontrolery zadowolenia i wygody.

- Jesteśmy tutaj - powiedziała Elem, wskazując kciukiem na mapie pozycję. - Wody są bogate w życie i pewne nieznanne ryby ogromnych rozmiarów.

- Nieznane może wam i innym o ograniczonej wiedzy, lecz dla mnie ocean nie ma tajemnic. Czy złapałyście któraś z tych nieznannych ryb?

- Są smaczne - Elem wyraziła zadowolenie z jedzenia. Ambalasei natychmiast pokazała niechęć-wobec-żarłoczności i pierwszeństwo wiedzy.

- Najwięcej myślicie o swym brzuchu, a najmniej o mózgu - powiedziała gniewnie. - Nim pozrecie wszystkie dane naukowe tego oceanu, przynieście mi jakiś okaz.

Ryba, rzeczywiście, robiła wrażenie, była przezroczysta, smukła, o zielonych płetwach, po rozciągnięciu okazało się, że jej długość równa się wysokości Yilanè. Ambalasei rzuciła jedno spojrzenie i wyraziła niechęć-wobec-ignorancji i wyższość-wiedzy.

- Ryba, akurat! Czy tylko ja mam oczy do patrzenia, mózg do myślenia? Nie bardziej ryba niż ja. To węgorzyk. Po waszym gapieniu się poznaję, że to określenie nic wam nie mówi. Węgorzyki są larwami węgorzy - może je chociaż znacie?

- Bardzo smaczne - powiedziała Enge, wiedząc, że wywoła to dalszą ironię ze strony uczonej, w której niewątpliwie się lubowała.

- Smaczne! Znów trawienie, a nie rozumowanie! Trudno mi uwierzyć, że należycie do mego gatunku. Po raz kolejny wypełnię wasze puste mózgi nowymi informacjami. Czy wiecie, że największe znane węgorzyki nie są dłuższe od najmniejszego pazura mej stopy? Musicie za to wiedzieć, że dojrzałe węgorze osiągają znaczne i - powiem to za was - jadalne rozmiary.

Enge spojrzała na wijącego się wolno węgorzyka i przekazała pragnienie informacji wraz z rosnącym zdumieniem.

- Oznacza to, że formy dorosłe będą gigantyczne!

- W istocie. Stanowi to dalszy dowód, że jest tam nieznaną ląd, bo węgorze tej wielkości były zupełnie nieznaną - aż dotąd.

Po kilku dniach Ambalasei kazała sobie przynieść próbki wody morskiej. Yilanè zeszła po płetwie na szeroki grzbiet uruketo i zanurzyła przezroczysty pojemnik w łamiących się u jej stóp falach. Ambalasei uniosła go przed oczy, przyjrzała mu się badawczo i przyłożyła do ust. Elem okazała zagrożenie, wiedziała, że picie wody morskiej może spowodować odwodnienie i śmierć.

- Cieszy mnie twoja troska - powiedziała Ambalasei - ale jest źle trafiona. Spróbuj sama.

Elem z oporami łyknęła z pojemnika, potem wyraziła wstrząs i zdumienie. Ambalasei potwierdziła jej doznanie.

- Tylko wielka rzeka, większa od wszystkich znanych nam dotąd, może zanieść tak daleko od ujścia słodką wodę. Czuję, że znajdujemy się na progu wielkiego odkrycia.

Następnego dnia zauważyły bardzo liczne ptaki morskie, pewny dowód bliskości lądu. Wkrótce spostrzegły unoszące się w wodzie rośliny, które nie były już tak przejrzyste i czyste jak na środku oceanu. Ambalasei wzięła ich próbki do zbadania, nim wygłosiła następne stwierdzenie.

- Zawieszona gleba, bakterie, zarodniki, plankton, nasiona. Zbliżamy się do ogromnej rzeki, której dorzecze obejmuje olbrzymie tereny jeszcze większego kontynentu. Przewiduję, iż z pewną dokładnością znajdujemy się blisko naszego celu, blisko Ambalasokey.

Padało niemal cały dzień następny, lecz deszcz ustał przed wieczorem. Gdy chmury odsłoniły horyzont przed nimi, ujrzały majestatyczny zachód słońca w bogatych barwach. Przy wznoszeniu się uruketo na długie fale spostrzegły ciemną linię na horyzoncie, tuż pod płonącym niebem.

Tej nocy spały, jak Yilanè czynią to zawsze, nieruchomo i głęboko, ale wszystkie obudziły się przed pierwszym światłem dnia. Elem kazała większości zejść na dół, bo na szczycie płetwy zrobił się nieznośny ścisk. Z przodu stanęła Ambalasei, jak to się jej należało. Patrzyła na zbliżający się, rosnący ląd. W końcu rozpadł się on na szereg małych wysepek.

- To nie rzeka - powiedziała Elem z ruchami rozczarowania. Dość porywczo Ambalasei przekazała niezdolność-zrozumienia.

- Małe rzeki mają wielkie ujścia. Rzeka ściągająca wody całego kontynentu niesie muł i tworzy deltę z wieloma wyspami. Znajdźcie kanały między tymi wysepkami, a przekonacie się, że nasza rzeka jest dość potężna. A na brzegach jej obfitego nurtu zasadzimy na-siono miasta.

- Nie mam najmniejszej wątpliwości, że Ambalasei ma rację, bo nigdy się nie myli - powiedziała Enge. - Podpłynmy bliżej do naszego celu, początku nowego życia dla nas wszystkich. Do nowego lądu Ambalasokey, na którym wyrośnie nasze miasto.

*Angurpiamik nagsoqipadliunatpoq  
mungataq ingekagag.*



## POWIEDZENIE PARAMUTANÓW

Dla Paramutanina świeża ryba jest równie ważna,  
co szybka miłość każdego dnia.

## ROZDZIAŁ XXII

W końcu podjęto decyzję. Trwało to długo, jak u Paramutanów. Nie kończące się dysputy przerywano jedynie szybkimi posiłkami składającymi się z tranu i zgniętego mięsa. W ten sposób tradycyjnie dyskutowano nad ustaleniem ważnych spraw. Gdy kończyło się mięso w jednym paukarucie, przenoszono naradę do następnego. Ludzie przychodzili i odchodzili, niektórzy nawet zasypiali, a gdy wracali czy budzili się, musiano im opowiadać, o czym mówiono tymczasem, tak iż obrady wciąż się przeciągały.

Mimo to podjęto decyzję. Większość ikkergaków przepłynie ocean w poszukiwaniu ularuaqow. Wyprawa będzie długa, zakończy się dopiero u schyłku jesieni, może nawet przeciągnie się do następnej wiosny. Przez ten czas w paukarutach potrzebne będzie jedzenie. W przybrzeżnych wodach można było łowić ryby, zdecydowano więc, iż jeden ikkergak wyprawi się na południe, by sprawdzić, co można tam złowić, a jednocześnie zabierze na swój pokład gości Erqigdlit. Było to czymś nowym i poruszającym; wszyscy Paramutanie chcieli wziąć udział w tej wyprawie, ale pogodzili się z tym, iż ikkergakiem pokieruje Kalaleq, bo to on przyprowadził do nich Erqigdlit.

Po podjęciu decyzji nie marnowano już czasu. Lód zaczął się łamać, słońce grzało coraz mocniej, a dni się wydłużały.

Lato będzie krótkie, wkrótce znów nastanie zima. W nie spotykanym pośpiechu, po przedłużających się rozważaniach zaczęto ładować ikkergaki. Układano w nich wszystko, co potrzebowali na długą wyprawę. Żegnane radośnie - ponure twarze i łzy źle wróżyły rejsowi - łodzie po kolei wyruszały w drogę.

Angajorqaq chcąc uniknąć pożegnania, schowała się, gdy ikker-gak był gotowy do wypłynięcia, lecz Armun powstrzymała wyjście w morze. Udała się do paukarutu, gdzie znalazła ją ukrytą pod futrami.

- Jesteś niemądra - powiedziała Armun, wycierając łzy płynące po brunantej sierści Paramutanki.

- Dlatego się schowałam.

- U Erqigdlit to dobry znak, jeśli okazuje się smutek z czyjegoś odejścia.

- Jesteście dziwnym ludem i nie chcę, byście odchodzili.

- Musimy, ale wrócimy wkrótce.

Oczy Angajorqaq rozszerzyły i gwizdnęła cicho, co oznaczało wielki szacunek.

- Masz zdolność przewidywania jutra, patrząc przez lód i śnieg, skoro tak mówisz. Ja tego nie umiem.

Armun sama nie była pewna, słowa te wypowiedziała tak naturalnie, jakby mówiła o czymś niewątpliwym. Jej matka miała tę zdolność, unosiła odrobinę mrok nocy i widziała jutro wcześniej niż inni. Może i ona miała tę umiejętność. Poglaskała Angajorqaq po twarzy, wstała i wyszła. Ikkergak czekał na nią, wszyscy krzyczeli, by się pośpieszyła. Arnwheet podskakiwał radośnie, a Harl wydawał pełne szczęścia okrzyki. Nawet Ortnar wyglądał na zadowolonego. Jedynie Kerricka nie opuszczała ponura mina, miał ją stale i nie porzucił nawet po decyzji o odpłynięciu. Próbował się rozchmurzyć, uśmiechać i żartować, ale nigdy nie udawało mu się to przez dłuższy czas. Smutek czał się blisko, gotowy do powrotu. Nocami, gdy obejmował Armun, potrafiła ona sprawić, by nie myślał o przyszłości, lecz rano niepokojące myśli uparcie powracały.

Zaczęła się droga na południe. Podróż ikkergakiem zajmowała Kerricka umysłowo i fizycznie, nigdy bowiem nie doświadczał czegoś podobnego. Rejs przez ocean w uruketo był czymś zupełnie innym, przebywał w żywym, skórzanym pomieszczeniu, w zaduchu i stałym półmroku, nic nie

widział, nic nie miał doroboty. W ik-kergaku wszystko było inaczej. Płynęli po morzu, a nie w głębinie, w powietrzu hałasowały podlatujące blisko ptaki, cała łódź skrzypiała przy rozwijaniu wielkiego żagla i łapaniu weń wiatru. Nie był tu ogłupiałym pasażerem, ale uczestniczył aktywnie w rejsie. Nigdy nie brakowało wody do wyczerpywania, nigdy też nie nudziło go obsługiwanie pompy i patrzeć na tryskający za burtę strumyczek. Zastanawiał się nad jej konstrukcją, ale nie mógł do końca rozgryźć zagadki. Miało to coś wspólnego z powietrzem, ale nie miał pojęcia dokładnie co. W końcu przestał się zastanawiać - wiedział tylko, iż naciskając na ramię pompy czerpie wodę spod stóp i wysyła ją do oceanu.

Ustawianie żagla było mniej tajemnicze. Czuł wiatr na twarzy, widział, jak wypełnia skórzaną płachtę, dostrzegał napięcie plecionych lin przenoszących siłę wiatru na ikkergak. Słuchając uważnie poleceń nauczył się ciągnąć właściwe liny i wiązać węzły utrzymujące je w odpowiedniej pozycji. Odbывał nawet wachty przy rumplu. Potrzebowali go, bo żegluga trwała w noc i dzień, przenosząc ich z zimy w wiosnę. Nie sterował w nocy, bo nie potrafił jeszcze kierować łodzią reagując rumblem na odczuwane na twarzy powiewy wiatru. W dzień jednak, przy dobrym, sprzyjającym wietrze, umiał utrzymywać ikkergak na kursie równie dobrze jak każdy Paramutanin.

Ikkergak był ciekawą, przemyślaną konstrukcją. Jego zewnętrzna skóra, choć wielka, pochodziła z jednego ularuaqa i Kerrick zastanawiał się, jak może wyglądać tak ogromne zwierzę. Skóra rozpięta była na szkielecie z cienkich listew mocnego drzewa, było ich wiele, krzyżowały się z sobą, łączyły je skórzane rzemyki. Pod pewnym względem czuł się jak w uruketo, bo elastyczne burty uginały się pod wpływem ruchów ikkergaka na falach, zapadały się i wzdymały jakby w oddechu.

Armun o wiele lepiej znosiła drogę na południe w dużym ikkergaku aniżeli rejs na północ, który odbyła w małej łódce. Ruchy były teraz łagodniejsze i już nie chorowała. Dni stawały się coraz cieplejsze, miała już dość lodu i śniegu. Bała się jednak, by chłopcy nie wpadli do wody i obserwowała bacznie ich zabawy. Mimo to w pewnej chwili Harl stracił równowagę i wyleciał za burtę. Krzyki Armun zaalarmowały sternika, który zawrócił ikkergak, żagiel załopotał, a Kalaleq rzucił linę przestraszonemu chłopcu. Trwało to chwilę, powietrze w ubraniu unosiło Harla na powierzchni, a gdy ociekając wodą, znalazł się na pokładzie, wszyscy Paramutanie pokładali się ze śmiechu. Po tej przygodzie był znacznie ostrożniejszy, nawet Arnwheet bardziej uważał, gdy zobaczył, jak jego przyjaciel zniknął w morzu.

Paramutanie byli dobrymi rybakami, ich wędki wisiały za burtą niemal stale. Haczyki wycięte były z dwóch kostek, jednej zaostrej na końcu, drugiej z otworem na linkę, połączonych razem wiązadłem. Na wędce były trzy, cztery takie haczyki, przynętę stanowiły kawałki skóry pomalowane na żółto i czerwono. *Z*a ciężarek służył duży odłamek skały z wydrążoną dziurą, przez którą przechodziła bardzo długa lina. Ciężarek wyrzucano za burtę i popuszczano linkę. Po wyciągnięciu często obciążały ją ryby. Zdobycz była, oczywiście, pochłaniana na surowo, tak jak mięso jedzone przez Paramutanów; Tanu dawno już się do tego przyzwyczaili.

Wodę przechowywano w skórach, często uzupełniano ją w strumieniach wpadających do morza. Wybrzeże pokryte było teraz świeżą trawą, na drzewach rozwijały się świeże liście. Szybciej, niż sądzili, dopłynęli do ujścia wielkiej rzeki, gdzie obozowały sammady w czasie wędrówki na południe. Tanu cieszyli się ciepłem, ale Paramutanom było coraz trudniej oddychać. Dawno już zrzucili wszystkie skóry i usiłowali, jak tylko mogli, chronić się przed słońcem, lecz mimo to ich miękka, brunatna sierść stale lśniła od potu. Coraz rzadziej się śmiali. Po upalnym, słonecznym dniu, wieczorem Kalaleq odciągnął Armun na bok. Siedział skulony, wyczerpany, wachlując się rozczapierzonym ogonem.

- Musisz nauczyć się prowadzić ikkergak i upewnić się, czy potrafią to inni Erqigdlit, gdyż

nadeszła pora odejścia Paramutanów. Zostawiamy cię, umieramy...

- Nie mów tak! - krzyknęła przerażona, bo wiedziała, że śmierć zawsze czai się w pobliżu, gotowa zjawić się po przywołaniu. - Męczy was ciepłe powietrze; wylądujemy, a wy wróćcie na północ.

Paramutanie od wielu dni cierpieli z powodu upału, lecz mimo to nalegali, by dalej płynąć. Nie zgodzili się na lądowanie i powrót ikkergaku na północ. Armun czuła, że trzeba coś postanowić, gdy niespodziewanie decyzja zapadła bez jej udziału. Żagiel nagle zało-potał, ikkergak skręcił i zapadł się w wodę. Sterował teraz Kerrick, naciskając mocno na rumpel wskazywał na brzeg i krzyczał.

Byli tuż za przybojem, mijali długą plażę ciągnącą się w obie strony aż do horyzontu. Przyplływ odsłonił piasek, gładki i równy, na którym leżał ciemny przedmiot wskazywany przez Kerricka. Wyglądał jak szara skała. Armun nie rozumiała, czym Kerrick się przejmuje. Zrozumiała dopiero wtedy, gdy wciągnęła powietrze.

Mastodont. Był martwy.

Skierowali ikkergak na plażę w pobliżu ciała. Kerrick pierwszy wyskoczył na brzeg, brnął przez przybój ku wielkiemu, zastygłemu kształtowi. Trąba leżała w wodzie, unoszona przez fale. Kerrick zniknął na chwilę za cielskiem mastodonta, pojawił się z powrotem z twarzą posępną jak śmierć. Pokazał strzałkę Yilanè wyciągniętą z pomarszczonego boku zwierzęcia.

- Musicie wracać - krzyknęła w języku Paramutanów Armun, jej głos drżał ze strachu. - Płyńcie na północ, całą noc, nie zatrzymujcie się. My ruszamy w głąb lądu, z dala od oceanu.

Chwyciła Arnwheeta, a Harl wyskoczył z pluskiem do wody. Ortnar zszedł z trudem z dziobu. Armun wytłumaczyła przerażonym Paramutanom, co się stało. Mówiła bardzo szybko.

- Były tu te stworzenia, o których wam opowiadałam, murgu. Uderzyły z morza, z południa. Będziecie bezpieczni, jeśli wróćcie na północ.

- Mastodont wyszedł stamtąd - powiedział Kerrick, wskazując na drzewa za wydmmami. - Ślady są jeszcze widoczne. Mają dwa, trzy dni. Powiedz Kalaleqowi, by wylądował nasze rzeczy. Każ im odpłynąć.

Martwe ciało mastodonta rozstrzygnęło dotychczasowe spory.

- Powrócimy - zgodził się Kalaleq, nie mogąc ukryć w głosie lęku. - Ruszymy na północ, będziemy łowić ryby i zabierzemy je do paukarutów. Wracajcie z nami, bo murgu zabiją i was.

- Musimy zostać.

- No to przyplniemy po was. W to samo miejsce. Nim nastanie zima. Musimy nałapać więcej ryb. Wróćcie z nami.

- Proszę, zrozum mnie, nie możemy tego zrobić. Musimy tu zostać. Wracaj szybko, musisz odpłynąć.

Stała na brzegu, otaczając ramionami chłopców. U stóp leżała kupka ich rzeczy. Ikkergak złapał wiatr i odpływał szybko od brzegu. Paramutanie pamiętali, co nakazuje zwyczaj przy wyruszaniu, śmiali się więc i żartowali głośno, dopóki ich ostrych głosów nie zagłuszyły fale bijące o brzeg.

Ortnar ruszył powoli naprzód, opierając się ciężko na włóczni.

Pozostali zarzucali pakunki na ramiona. Poszli za nim, dogonili i zobaczyli to w tym miejscu, gdzie zginął sammad.

Wszyscy mieli w pamięci straszny widok, z wyjątkiem czteroletniego Arnwheeta, który kurczowo ścisnął dłoń matki w odrętwiałym milczeniu. A teraz znów zobaczyli zapadłe namioty, rozrzucone ciała, martwe mastodonty.

- To był sammad Sorliego. Szli na północ - powiedział ponuro Ortnar. - Ale gdy spotkaliśmy ich jesienią, wędrowali na południe. Dlaczego więc...

- Wiesz dlaczego? - powiedział Kerrick głosem równie pośpym co otaczające ich pobojowisko. - Coś się stało w mieście. Muszę tam iść, zobaczyć...

Urwał, bo dobiegł ich z puszczy głos słaby i odległy, ale znany im wszystkim. Ryk mastodonta. Kerrick pobiegł w tym kierunku, minął miejsce rzezi, wpadł na ścieżkę między drzewami, łatwo widoczną dzięki połamanym gałęziom i krzewom. Mastodonty wpadły w panikę podczas napaści, rozbiegły się. Zobaczył martwe ciała, potem następne. Zatrzymał się i usłyszał znów trąbienie, tym razem znacznie bliżej.

Szedł cicho mroczniejącym lasem, aż ujrzał zwierzę. Zawołał je łagodnie, odwróciło ku niemu głowę i uniosło trąbę, odpowiadając smutnym rykiem.

Gdy Kerrick podszedł bliżej, ujrzał za mastodontem małą dziewczynkę stojącą żałośnie pod drzewem. Była przestraszona i milcząca, miała najwyżej osiem lat. Zbliżając się do niej, mówił łagodnie, bo i dziecko, i zwierzę byli przestraszeni. Nachylił się i wziął dziewczynkę na rękę.

- Daj ją - powiedziała Armun, która wyszła zza drzew. Kerrick oddał dziecko.

Było zbyt ciemno, by iść dalej. Zostali tam, pod osłoną drzew, czekali na resztę. Chłopcy wkrótce stanęli przy Armun, ale Orntar doszedł dopiero po chwili.

- Przenocujemy bez ognia - powiedział Kerrick. - Nie wiemy, dokąd poszły Yilanè. Może przybyły lądem i są gdzieś w pobliżu.

Dziewczynka w końcu odezwała się do Armun, ale nie dowiedzieli się od niej niczego nowego. Nazywała się Darras. Była sama w lesie, przykucnęła za osłoną krzaków, gdy wszyscy zaczęli krzyczeć. Przestraszyła się, nie wiedziała, co robić, została w ukryciu.

Potem spotkała mastodonta i została z nim. Była głodna. Zapytana, dlaczego sammad wędrował na północ, nie potrafiła odpowiedzieć. Zjadła chciwie zimne mięso i zaraz potem zasnęła.

Nikt się nie odzywał, dopóki Kerrick nie przerwał milczenia: - Rano sprawdzę, dokąd prowadzą ślady Yilanè. Jeśli odeszły, ruszamy na południe, do jeziora, nad którym zostawiłem dwóch samców murgu. Jeśli jeszcze żyją, zabierzemy im śmiercio-kije. Znajdziemy tam i żywność; będziemy bezpieczni. Muszę zobaczyć, co się stało w Deifoben, ale zrobię to sam, wy zostanieie nad jeziorem.

- Musisz to uczynić - powiedział ponuro Orntar. - Były tam sammady, nie wiadomo, czy jeszcze istnieją. Musimy wiedzieć, co się stało.

## ROZDZIAŁ XXIII

Ortnar wyszedł o świcie. Opierając się ciężko na włóczni, poszukiwał śladów Yilanè. Kerrick chciał to zrobić sam, ale wiedział, że wielki łowca jest dużo lepszym tropicielem i zwiadowcą. Gdy Armun karmiła dzieci, wyciął długie, mocne tyczki i zrobił włóki, związał je paskami z pakunków. Mocował je do mastodonta, gdy wrócił Ortnar.

- Wyszły z morza - powiedział, opadając ciężko na ziemię. Napięta z bólu twarz ociekała potem. - Znalazłem miejsce, w którym wylądowały, zastawiły pułpkę, w którą wpadł sammad. Odeszły już, morzem.

Kerrick spojrział na niebo.

- Jesteśmy na razie bezpieczni. Po dokonaniu rzezi nie wyślą tu żadnych ptaków. Wyruszamy. Pójdziemy na południe, jak się da najdalej, zanim nie będziemy musieli wędrować nocą.

- Sowy... - powiedziała Armun. Kerrick przytaknął.

- Mimo to lepiej iść nocą. Drapieżniki latają wyżej, obserwują szerszy teren. Nie mamy innego wyjścia.

Gdy minęli polanę, na której zginął sammad, wyszli na wyraźny szlak, którym wędrowali na południe. Arnwheet biegł za człapiącym mastodontem, wszystko uważał za ciekawe i wesołe, przystawał z zainteresowaniem przy wielkich kopczykach świeżego gnoju. Darras szła w milczeniu. Przygnębiona tym, co się stało, trzymała się blisko Armun. Szybki marsz zmęczył Arnwheeta, wskoczył więc na włóki, gdzie wkrótce usadowiła się też dziewczynka. Harl, mający już trzynaście lat, był o wiele za duży na dziecięce wygody i szedł wraz z innymi.

Ortnar nie chciał jechać na włókach, choć pozbawiona palców stopa przyprawiała go o nieustanne męki. Był łowcą, a nie dzieckiem. Kerrick zaproponował to tylko raz, nie mówił o tym więcej, po opryskliwej odmowie łowcy. Rano zaczął padać drobny wiosenny deszcz, stawał się coraz gęstszy, ślizgający się na lepkim błocie. Ortnar zostawał coraz bardziej z tyłu, aż stracili go z oczu.

- Powinniśmy na niego poczekać - powiedziała Armun. Kerrick pokręcił głową.

- Nie. Jest łowcą i ma swą dumę. Musimy to uszanować.

- Łowcy są głupi. Jechałabym, gdyby bolała mnie noga.

- Ja też. Jestem przez to łowcą w połowie, bo Yilanè nie chodzą bez potrzeby.

- Nie jesteś murgu! - zaprotestowała.

- Nie, ale czasami myślę jak one. - Przestał się uśmiechać i szedł milcząco w deszczu.

- Są gdzieś tam, zdarzyło się coś strasznego. Żeby przekonać się, co nastąpiło - musimy dojść do miasta.

Kerrick nie chciał robić postoju w południe, lecz Armun nalegała na to, bo od początku burzy nie widzieli Ortnara. Nie widząc innej rady, gdy wyciągała jedzenie, naciął sosnowych gałęzi na szalasy chroniący przed zimnym deszczem. Harl przyniósł wody z pobliskiego strumienia, którą pili obficie, by splukać smak wstrętnego mięsa. Kerrick wypluł ostatni kawałek; muszą zapolować, zdobyć świeże mięso, upiec je. Nie zauważył dotąd żadnej zwierzyny, ale miał nadzieję, że ją wytropi. Coś poruszyło się w lesie, chwycił więc łuk i nałożył strzałę. Okazało się, że to Ortnar. Włókł się powoli i wytrwale. Z ramienia zwisała mu parka leśnych gołębi.

- Pomyślałam, że przyda się nam... świeże mięso - sapnął, padając na ziemię.

- Zjedzmy je od razu - powiedział Kerrick zmartwiony głębokimi zmarszczkami na twarzy Ortnara. - Rozpalimy ognisko, w deszczu nie będzie widać dymu. Harl, wiesz jak szukać suchego drewna. Znajdź trochę.

Armun oskubała ptaki przy gorliwej, choć niezdarnej pomocy Darras, a Kerrick rozpalili ognisko. Nawet Ortnar usiadł i uśmiechnął się, czując zapach ptaków piekących się na zielonych gałązkach. Gołębie były na wpół surowe, ledwo podgrzane, ale nie mogli się ich doczekać.

Mieli już dość mrożonych ryb i cuchnącego mięsa.

Zostały tylko dobrze obgryzione kości. Ogrzani, najedzeni ruszyli dalej z większą energią niż rano. Nawet Ortnar dorównywał kroku, choć potem zaczął zostawać w tyle, aż znowu zniknął z oczu.

Deszcz ustał, słońce prześwitywało przez cienkie chmury. Kerrick spojrział na niebo i zarządził wczesny postój. Musieli zostawić rannemu łowcy czas, by dołączył do nich przed zmrokiem. Gdy doszli do grupki wielkich dębów, niedaleko strumienia, stwierdził, że na dziś wystarczy wędrowki.

Ścinanie gałęzi sosny i budowa szałasów zajęła im jakiś czas, niezbyt jednak długi. Ortnar wciąż się nie pojawiał.

- Wracam naszym szlakiem - powiedział Kerrick. - Poszukam jakiejś zwierzyny.

- Pomogę ci - Harl chwycił swą małą włócznię.

- Nie, masz ważniejsze zadanie. Musisz tu zostać i być naszym wartownikiem. Mogą tu być murgu.

Polowanie było tylko wymówką, Kerrick martwił się o Ortnara. Wracając przebytym szlakiem, nie myślał nawet o łowach. Coś trzeba zrobić, by namówić Ortnara do jazdy na włókach. Przy posiłku zauważył, że spod skór owijających ranną stopę Ortnara cieknie krew. Chciał z nim porozmawiać, powiedzieć, że opóźnia ich marsz, naraża wszystkich na niebezpieczeństwo. Nie, to niedobra argumentacja, łowca zostawiłby ich i szedł sam. Zaczął się martwić coraz bardziej. Czekala ich długa droga, a Ortnara ciągle nie było widać. Coś przed nim było, zobaczył ciemny kształt na drodze. Uniósł włócznię i ruszył ostrożnie naprzód.

Zrobiło się późno i Armun poważnie się niepokoiła. Słońce już zaszło, a mężczyźni wciąż nie wracali. Czy ma posłać Harla, by zobaczył, co się dzieje? Nie, lepiej się nie rozdzielać. Czy to krzyk? Nadśluchiwała, aż dosłyszała go wyraźniej.

- Harl, pilnuj dzieci. - Chwyciła swą włócznię i ruszyła porytą włókami ścieżką.

Kerrick zbliżał się wolno, dźwigając coś ciemnego na ramionach. Był to zwisający bezwładnie Ortnar.

- Nie żyje?

- Żyje, lecz stało się coś bardzo złego. - Kerrick dyszał ciężko, bo szedł długo z bezwładnym ciałem. - Pomóż mi.

Niewiele mogli zrobić poza przykryciem futrami nieprzytomnego łowcy. Ułożyli go wygodnie w szałasie. Na ustach miał pianę, którą Armun wytarła delikatnie. - Czy wiesz, co się stało? - spytała.

- Tak go znalazłem, leżał w błocie. Czy potrafisz rozpoznać, co mu jest?

- Nie ma żadnych ran, kości nie wyglądają na złamane. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Chmury odpłynęły, niebo było jasne, nie ośmielili się rozpaścić ogniska. Siedzieli po kolei przy nieprzytomnym, pilnowali, by pozostawał przykryty. Przed świtem obudził się Harl i zaofiarował się z pomocą, lecz Kerrick kazał mu spać dalej. Gdy pierwsze światło przebiło się przez liście, Ortnar poruszył się i jęknął. Kerrick pochylił się nad nim i zobaczył, że otworzył prawe oko.

- Co się stało? - spytał Kerrick.

Ortnar próbował mówić, z wykręconych bólem ust wolno padały niewyraźne słowa. Kerrick spostrzegł, że nie tylko lewe oko pozostawało zamknięte, ale i cała lewa połowa twarzy była luźna i nieruchoma.

- Bolało... upadłem... - tylko tyle powiedział.

- Napij się, musisz być spragniony.

Podtrzymał wielkiego łowcę, gdy ten pił. Większość wody została mu na brodzie, bo wargi miał bezwładne. Ortnar znów zasnął, spał spokojnie i łatwiej oddychał.

- Gdy byłam mała, był taki przypadek w naszym sammadzie - powiedziała Armun - kobieta miała podobnie zamknięte jedno oko, nieruchome ramię i nogę z tej samej strony. Nazywa się to klątwa upadania i alladjex powiedział, że wszedł w nią duch zła. - Kerrick pokręcił głową.

- To od rany na stopie. Zbyt się sforsował. Powinien był jechać.

- Teraz pojedzie - powiedziała spokojnie. - Położymy gałęzie na włóki, przywiążemy go. Będziemy wędrować szybciej.

Ortnar był zbyt osłabiony, by sprzeciwić się umieszczeniu na włókach. Kilka dni leżał jak martwy, budził się tylko po to, by napić się i coś zjeść. Dni stawały się cieplejsze, zwierzyny przybywało, ale czuli się coraz mniej bezpiecznie. Spotykali murgu. Małe zabijali i zjadali, wiedzieli jednak, że są tam i ogromni mięsożercy. Kerrick szedł zawsze z naciągniętym łukiem i nałożoną strzałą, często żałował, że ich hèsotsany nie przetrzymały zimy.

Ortnar mógł już siedzieć i trzymać mięso w prawej ręce. Zrobił nawet kilka kroków oparty na kuli wyciętej dlań, przez Kerricka, wlokąc za sobą bezwładną lewą nogę.

- Mogę jeszcze trzymać włócznię w prawej ręce, tylko dlatego jestem z wami. Gdyby byli tu inni łowcy, zostałbym pod drzewem po waszym odejściu.

- Będiesz jeszcze zdrow - powiedział Kerrick.

- Może. Jestem jednak łowcą, a nie kulawcem. To Herilak mnie zabił. Po bójce głowa płonęła mi ogniem, tu, gdzie mnie uderzył. Czuję, jak pali się tam i w całym ciele, dlatego upadłem. Teraz jestem na wpół żywy i bezużyteczny.

- Potrzebujemy cię, Ortnarze. Tylko ty znasz las. Musisz zaprowadzić nas nad jezioro.

- To mogę. Ciekawe, czy twoje ulubione murgu jeszcze żyją?

- Też jestem ciekaw - Kerrick chętnie zmienił temat. - Ci dwaj są jak - nie wiem, co powiedzieć. Jak dzieci, które nigdy nie dorosły.

- Dla mnie były dostatecznie dorosłe - i brzydkie.

- Tak, z wyglądu. Widziałeś jednak, gdzie ich trzymano. Zamknięci, karmieni, pilnowani, nigdy nie wypuszczani. Po wyjściu z morza po raz pierwszy byli sami i wolni. Murgu zabierają samców i zamykają ich, zanim jeszcze nauczą się mówić. Jeśli ci dwaj przeżyli zimę, będzie to miłe spotkanie.

- Jeszcze lepiej, gdy zobaczymy ich martwych - powiedział gorzko Ortnar. - Jak wszystkie murgu.

Szli jedynie nocami, w dzień chroniąc się wraz z mastodontem pod drzewami. Łowy mieli udane, surowe ryby i cuchnące mięso stanowiły tylko wspomnienia. Mieli szczęście, bo żaden z większych murgu nie polował w gęstej puszczy, a mniejsze, nawet drapieżne, uciekały przed nimi. Ortnar uważnie śledził drogę i pokazał, kiedy skręcić ku okrągłemu jezioru. Ta ścieżka była węższa i zarośnięta, nie używano jej od dawna. Nie sposób było poruszać się w nocy, musieli więc wędrować w dzień, mijać szybko nieliczne otwarte miejsca, uważnie obserwując niebo.

Kerrick szedł na czele z nastawioną włócznią, bo Ortnar stwierdził, że zbliżają się do jeziora. Idąc najbaczniej i najciszej, jak tylko potrafił, przyglądał się uważnie drzewom i miejscom zacienionym. Za sobą słyszał odgłos łamanych gałęzi, to mastodont brnął przez puszcę. Nagle zamarł, gdy przed nim pękła gałązka.

Coś się poruszało w cieniu. Ciemna postać, znajoma, aż za bardzo...

Yilanè - uzbrojona!

Czy ma spróbować strzału z łuku? Nie, zostałby spostrzeżony. Zbliżała się, wyszła na słońce.



Kerrick wstał i zawołał:

- Witaj, potężny myśliwy!

Yilanè okręcił się, cofnął, otworzył ze strachu usta i próbował wymierzyć z hèsotsanu.

- Nadaske, od kiedy to samce zabijają samców? - spytał Kerrick. Nadaske cofnął się o krok i przysiadł ciężko na ogonie, okazując strach i bliskość-śmierci.

- Och, mówiące ustuzou, o mało co nie umarłem!

- Ale, jak widzę, nie zrobiłeś tego. Żyjesz i bardzo mnie to cieszy. Co z Imehei?

- Jest jak i ja - silny i czujny, i oczywiście tęgi z niego myśliwy...

- I taki gruby?

Nadaske uczynił ruchy oburzenia i gniewu.

- Jeśli wydaję ci się gruby, to tylko ze względu na naszą dzielność w puszczy. Po zjedzeniu całego dobrego mięsa schudliśmy, nim opanowaliśmy sztukę polowania i łowienia ryb. Teraz jesteśmy doskonałymi... och, zbliża się coś okropnego!

Uniósł hèsotsan i ruszył do ucieczki. Kerrick powstrzymał go.

- Odrzucenie strachu, przyjęcie radości. Nadchodzą moi towarzysze z wielkim zwierzęciem jucznym. Nie uciekaj, ale idź do Imehei i powiedz mu kto się zbliża, by nas nie zastrzelił.

Nadaske wyraził zgodę i szybko zszedł ze ścieżki. Wśród trzasków łamanych konarów podszedł mastodont.

- Jesteśmy bardzo blisko - zawołał Kerrick do Armun. - Dopiero co rozmawiałem z murgu, o którym ci mówiłem. Zbliżcie się, wszyscy, nie macie się czego bać. Nie skrzywdzą was. To moi przyjaciele.

Zabrzmiało to dziwnie w marbaku, lecz nie znalazł bliższego odpowiednika pojęcia efenselè. Rodzina byłaby może lepszym słowem, ale nie sądził, by Armun się to spodobało. Nie mógł też powiedzieć, że murgu są częścią jego sammadu. Ruszył szybko naprzód, pragnąc zobaczyć się z obydwojma samcami.

Ortnar wygrzebał się z włóków i powłókł za nim. Podeszli tak na brzeg jeziora, stanęli pod drzewami, patrząc na ogrom zalanych słońcem wód. Imehei i Nadaske czekali w nieruchomym milczeniu pod baldachimem z zielonych pnączy, w dłoniach ściskali hèsotsany.

Mastodont został zatrzymany i Kerrick czuł, że Tanu stoją za nim równie nieruchomo jak samcy Yilanè. Milczenie nad wodą przerwało przelatujące nisko stado jaskrawo upierzonych ptaków, które zapełniły powietrze swym wrzaskiem.

- Oni są z mego efenselè - Kerrick zawołał do samców, wychodząc na słońce, by mogli go zrozumieć. - Wielkie-szare-nierozum-ne-zwierzę nosi nasze rzeczy. Niepotrzebna wam broń.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że dziewczynka kryje twarz w spódnicy Armun; tylko ona i Arnwheet nie trzymali włóczni.

- Ortnarze - powiedział łagodnie - szedłeś z tymi samcami, nigdy cię nie skrzywdzili. Armun, włócznia nie będzie ci potrzebna ani tobie, Harlu. Te murgu wam nie zagrażają.

Ortnar oparł się na włóczni, pozostali opuścili swoje. Kerrick odwrócił się od nich i podszedł do ciągle zeszywniałych samców.

- Pracowaliście tu ciężko - powiedział - sporo zrobiliście od mego odejścia.

- Czy te małe-brzydkie ustuzou to młode? - spytał Imehei, trzymając ciągle broń w pogotowiu.

- Tak, i inaczej niż wasze młode, są już Yilanè. Będzicie tu stać cały dzień, gapiąc się jak fargi, czy przywitacie się ze mną, dacie chłodną wodę i świeże mięso? Samice by tak zrobiły. Czy samce są od nich gorsze?

Grzebień Imehei poczerwieniał ze wstydu i samiec odłożył hè-sotsan.

- Było tu tak spokojnie, że zapomniałem o ostrożności twojej samiczo-samczej mowy. TU jest jedzenie i woda. Witamy twych brzydkich efenselè.

Nadaske również odłożył broń, choć nie bez wahania. Kerrick głęboko odetchnął.

- Radość z towarzystwa - powiedział. - Nareszcie-powitanie. Chciał głęboko wierzyć, że tak już zostanie.

## ROZDZIAŁ XXIV

Sammadar Kerrick przez chwilę patrzył szczęśliwy na dwie części swojego sammadu stojące naprzeciw siebie. Różnili się bardzo, byli od siebie odlegli, inni, dzielił ich nie tylko język. Odpręgał mastodonta od włóków i spętał go pod drzewami, gdzie zwierzę zaczęło zrywać młode liście. Zaczęło stanowić problem, było tak wielkie, iż na pewno zostanie dostrzeżone z powietrza. Wyjście było oczywiste; zabić je i uwędzić mięso. Będą musieli to zrobić, choć jeszcze nie nadszedł czas. A poza tym było już tyle zabijania.

Armun rozpałała małe, bezdymne ognisko pod szerokim, rozłożystym drzewem; w pobliżu bawiły się dzieci. Ortnar spał, a Harl poszedł na łowy, kierując się w część dżungli drugiej połowy obozowiska. Kerrick miał chwilę spokoju, mógł pomyśleć o rozmowie z samcami. Trzymając się cienia, poszedł do obozowiska nad brzegiem jeziora. Spojrzał z podziwem na grubą osłonę z liści.

- Zrobiliście to sami? - spytał - Wyhodowaliście tę osłonę, by nikt was nie spostrzegł z powietrza?

- Samice kierują się brutalną siłą, samce rozumem - powiedział z zadowoleniem Nadaske, odchylając się na ogonie.

- Ogromna praca ścinania świeżych-gałęzi - dodał Imehei. -Bardzo szybko schną i zmieniają barwę. Dlatego postawiliśmy tyczki i puściliśmy na nie bluszcz.

- Dzieło rozumu, nieskończony-podziw.

Kerrick podkreślił to stwierdzenie mocnymi kontrolerami. Samce pracowały w obcym im środowisku, stawiały czoła trudnościom, o jakich nigdy się im nie śniło w bezpiecznym zaciszu hanalè. Mają teraz bezpieczne schronienie i na pewno dobrze jedzą.

- Czy łowy są pomyślne?

- Jesteśmy specjalistami - powiedział Imehei. - Także w sztuce połowu ryb. - Podreptał do dołu w ziemi wypełnionego mokrymi liśćmi, grzebał w nim i wrócił z dwoma dużymi skorupiakami słodkowodnymi. - Złapaliśmy je. Pragniemy-jedzenia?

- Później. Głód-już-zaspokojony.

- Lepsze od mięsa - powiedział Imehei, wkładając jednego skorupiaką do ust, a drugiego podając Nadaske. Żuł gorliwie, ostre, spiczaste zęby szybko uporały się z posiłkiem, spomiędzy warg wypadały kawałki muszli.

Nadaskie jadł równie szybko, po czym wypluł w krzaki resztki skorupy.

- Bez nich jedzenie nie byłoby takie dobre. Nie znamy tajemnicy przyrządzania mięsa - a ty? Kerrick okazał przeczenie.

- Widziałem, jak robiono to w mieście. Świeżo-zbite mięso wkładane jest do wanien z płynem, który je zmienia. Nie mam pojęcia, co to za płyn.

- Wspaniałe galaretowate-mięso - powiedział Imehei. Nadaske dodał gest zgody. - Ale z miasta brakuje nam chyba tylko tego. Swoboda ducha i ciała jest nagrodą za całą tę pracę.

- Czy widzieliście innych Yilanè - czy wiecie coś o mieście? -spytał Kerrick.

- Nie! - rzucił porywczo Imehei. - Tak wolimy. Wolni, silni - i nie wspominający plaż narodzin. - Mówił niewyraźnie, bo złączonymi kciukami wydlubywał spomiędzy zębów duże kawałki muszli.

- Dumni jesteśmy z tego, co tu zrobiliśmy, ale i często rozmawialiśmy o niedawnej przeszłości. Śmierć i nienawiść dla ustuzou za zabicie miasta. Wdzięczność wobec ustuzou-Kerricka za ocalenie nam życia, uwolnienie ciał.

- Wielokrotne wzmocnienie - dodał Nadaske.

Obaj Yilanè zamilkli po tej oracji, ich ciała zamarły w pozie wdzięczności. Po zimie wśród

Paramutanów samce wydawały się krępe i brzydkie, przerażały pazury u nóg i wielkie zęby, oczy patrzące często w dwóch różnych kierunkach, jak ich widzą inni łanu. Jednak Kerrick patrzył na nich jak na wiernych przyjaciół, rozumnych i pełnych wdzięczności.

- Efenselè - powiedział bez namysłu, z tonami wdzięczności i przyjęcia. Automatycznie odpowiedzieli zgodą. Wracając do obozowiska Tanu, Kerrick szedł powoli, czując zadowolenie ze zmian, jakie dzięki niemu dokonały się u obu Yilanè.

Nie trwało to długo. Myślami znów wrócił do miasta, martwił się o jego los. Musi zobaczyć, co się tam dzieje. Powściągał swą niecierpliwość, wiedział, że nie ośmieli się zostawić obu grup, dopóki nie przestaną się siebie bać. Darras nie podchodziła do obu samców, wybuchwała płaczem na ich widok, bo była świadkiem, jak im podobne wymordowały sammad. Harl, podobnie jak i Ortnar, zachowywał się czujnie i niespokojnie w pobliżu samców. Tylko Arnwheet nie bał się Yilanè ani oni jego. Nazywali go mały-niegroźny i świeżo-wyszły-z-morza. Wiedzieli, że łączy go z Kerrickiem coś bardzo bliskiego i ważnego, nie rozumieli jednak, jak rodzice mogą być związani z dzieckiem. Yilanè rodziły się z zapłodnionych jaj noszonych przez samców i wchodziły do morza zaraz po wykluciu się z nich. Jedyna znana im więź łączyła efenburu, dorastania razem w oceanie. Wspomnienia samców na ten temat były mgliste, bo szybko rozłączono ich od samic. Arnwheet towarzyszył zawsze Kerrickowi, gdy ten rozmawiał z samcami, siedział i podziwiał ich ruchliwe postacie i zgrzytające głosy. Była to dla niego wspaniała zabawa.

Dni mijały, a obie grupy nie zbliżały się do siebie. Kerrick tracił nadzieję na zmianę tej sytuacji. Gdy inni spali, próbował rozmawiać o tym z Armun.

- Jak mogę polubić murgu? - spytała i poczuł jak jej ciało sztywnieje mu pod ręką. - Po tym wszystkim, co zrobiły, po całym tym zabijaniu?

- Nie zrobiły tego samce, były w mieście uwięzione...

- Dobrze. Wsaż ich z powrotem do więzienia. Albo zabij. Zrobiłabym to sama, gdybyś nie zakazał. Dlaczego musisz z nimi rozmawiać, przebywać z nimi? Wydawać te okropne dźwięki i trząść ciałem? Nie powinieneś.

- Będę to robił. Są moimi przyjaciółmi.

Stracił nadzieję, że cokolwiek wytłumaczy; mówił to już tyle razy. W ciemności gładził jej włosy, potem dotknął językiem miłe mu rozszczerzone wargi i połaskotał ją. Tak było lepiej. Pragnął jednak, by radości dostarczała mu także druga sfera jego życia, by połączyły się obie części jego natury.

- Muszę iść do Deifoben - powiedział Armun następnego dnia. - Muszę zobaczyć, co się tam stało.

- Pójdę z tobą.

- Nie, to jest twoje miejsce. Nie będzie mnie tylko kilka dni, pójdę tam i zaraz wrócę.

- To niebezpieczne. Możesz poczekać...

- Nic się nie zmieni. Nie potrwa to długo, obiecuję ci. Pójdę tam - ostrożnie - i wrócę, najszybciej jak będę mógł. Niczego ci tu nie zabraknie, mięsa jest dużo. - Spostrzegł, jak patrzy z obawą na obozowisko obu samców. - Tamci dwaj nie skrzywdzą cię, przyrzekam. Samce tego nie chcą. Bardziej się boją was niż wy ich.

Poszedł do obu Yilanè, by powiadomić ich o swym odejściu, zareagowali tak, jak się tego spodziewał.

- Natychmiastowa śmierć - koniec życia! - zajęczał Imehei. - Bez ciebie ustuzou nas zabijają, zawsze zabijają.

- Nie umrzemy sami, obiecuję - powiedział Nadaske z ponurą pewnością. - Nie jesteśmy silni-

samiczy, lecz mimo to nauczyliśmy się bronić.

- Dość! - rozkazał rozdrażniony Kerrick, używając formy zwracania się samicy-wyższej do samca-niższego, najsilniejszej, jaka mu przyszła do głowy w tej dziwnej sytuacji. - Nie będzie żadnego zabijania. Tak rozkazałem.

- Jak możesz wydawać rozkazy samicy ustuzou, będąc samcem?

- spytał Imehi z lekkim odcieniem ironii. Z Kerricka opadł gniew, zaczął się śmiać. Samce nigdy nie pojmą, że Armun, choć samica, niczym nie kieruje, że całkowicie jest mu podporządkowana.

- Szacunek-błaganie - okazał gestami. - Po prostu trzymajcie się od nich z daleka, a obiecuję wam, że i oni nie będą się zbliżać. Czy zrobicie to dla mnie?

Obaj z wahaniem wyrazili zgodę.

- Dobrze. Teraz pójde powiedzieć to samo ustuzou. Mam jednak do was prośbę. Dajcie mi jeden ze swoich hesotsanów. Tamte, które zabraliśmy zginęły z zimna.

- Śmierć-od-strzałek!

- Głód - brak mięsa!

- Zapomnieliście, kto dał wam broń, nauczył z niej korzystać, uwolnił i ocalił wasze bezwartościowe życie. Pożałowania godny pokaz typowego dla samców braku wdzięczności.

Nastąpiły dalsze lamenty i skargi na samiczą brutalność z jego strony, ale w końcu dali mu z oporami jedną ze swych broni.

- Dobrze nakarmiony? - spytał, klepiąc stworzenie po pysku, by pokazało zęby.

- Nie żałowaliśmy opieki, jadły wcześniej od nas - powiedział Nadaske z pewną przesadą.

- Podziękowania. Wrócę wkrótce. Za kilka dni, najwyżej.

Wyruszył następnego dnia o świcie, zabierając z sobą niewielki zapas wędzonego mięsa. Było ono, obok hèsotsanu, jedynym jego obciążeniem, szedł więc szybko i lekko. Droga była wyraźna; pokonywał ją pośpiesznie, zwolnił dopiero po dojściu do najbardziej zewnętrznych pól i poruszał się odtąd z najwyższą ostrożnością. Był już w granicach Alpèasaku, zamknięte tu zwierzęta dawno padły, zapory zaniknęły. Przed sobą widział świeżą zieleń na jednej z zewnętrznych ścian z cierni.

Była zieleńsza niż pamiętał; gdy podszedł bliżej, zrozumiał dlaczego. Pokrywały ją wielkie, płaskie, wilgotne liście. Na długich kolcach gniły ciała ptaków i małych zwierząt.

Yilanè.

Czy zasadziły tę zaporę, by powstrzymywała nieprzyjaciela od wewnątrz, czy z zewnątrz? Kto teraz zajmuje miasto? To nadal De-ifoben - czy też odrodził się Alpèasak?

Nie miało sensu przedzierać się od strony lądu; nowa zaporę na pewno otacza miasto. Mógłby całe dni iść wzdłuż niej i nic by mu to nie dało. Morze, tylko morze. Zapomniał o całej ostrożności i ruszył biegiem. Dopiero gdy zmęczył się, zaczął ociekać potem, zwolnił i zatrzymał się w cieniu drzewa. To nic nie da. Popęłni tylko w ten sposób samobójstwo. Musi iść powoli i ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Był już wieczór. Musi znaleźć wodę i schronienie na noc. Na brzeg ruszy o pierwszym brzasku.

Zjadł kawałek mięsa i pomyślał, że nie uda mu się zasnąć. Był po długim, wyczerpującym dniu, tu przywitało go szare niebo i zimna mgła, która pokryła go rosą. Nad morze nie było daleko, ale mgła gęstniała, skrywała wszystko. Słyszał już fale bijące w niewidzialną plażę. Uważnie pokonywał ostatnie zarośla, aż osiągnął znajome wydmy. Postanowił poczekać tu, nim mgła się nie uniesie.

Zanościło się na kolejny upalny dzień i słońce wkrótce przebije chmury. W niknącej mgle widział ciemny kształt na wodzie, zbliżał się do brzegu. Ukryty w zaroślach patrzył, jak wynurzał się z oparu. Czarne burty, wysoka płetwa. Uruketo.

Płynęło powoli na południe w kierunku portu. Nie wiedział, co to oznacza; może to patrol śledzący brzeg. A może tam jest nowa przystań.

Resztki nadziei, jakie mu pozostały, zniknęły na widok dwóch małych łodzi; wstające słońce lśniło w muszlach na ich dziobach. W każdej siedziały fargi, wypływały na połów.

Deifoben stało się znowu Alpeasakiem. Była bitwa, napaść, zniszczenie. Wszystko to miało miejsce podczas jego nieobecności.

Ale gdzie są Tanu i Sasku, którzy tu wtedy mieszkali? Co się z nimi stało? W oddali widniała zapora ze śmiercionośnych cierni. Nie mógł niczego za nią dostrzec, ale aktywność na morzu dowodziła, że miasto należało znów do Yilanè, la myśl uderzyła go, powaliła czarną pięścią rozpacz. Czy wszyscy zginęli? Leżał z policzkiem na piasku, obok szybko przebiegł pająk. Wyciągnął dłoń, by go zgnieść, lecz powstrzymał rękę i patrzył, jak znika pośpiesznie z oczu. Czy zginęli wszyscy, czy zginęli?

Jeżeli będzie tak leżał, nigdy nie dowie się co zaszło. Wiedział o tym, lecz poczucie nieszczęścia opanowało go tak mocno, że czuł się pokonany, bezradny. Uniósł głowę dopiero wtedy, gdy przez otaczające go resztki mgły dosłyszał odległe krzyki. Był za daleko, by je zrozumieć.

Ale czy to rzeczywiście łodzie rybackie? Może należą do wyprawy bojowej udającej się na północ? Musi to sprawdzić; mogą tam gdzieś być Tanu. Schował się za wydmi i ruszył na północ. Biegł, póki się nie zmęczył, potem wypłynął znów na wydnię, by spojrzeć na ocean, zobaczyć, gdzie są łodzie.

Wiatr był wschodni, gnał przed sobą grube deszczowe chmury. Wkrótce spadły pierwsze krople, następne były coraz większe. Już nie biegł, lecz z opuszczoną głową włókł się powoli przez piasek. Łodzie płynęły tuż za przybojem, sprawdzał to często. W południe zatrzymał się na odpoczynek, zjadł trochę mięsa. W czasie drogi powoli opuszczała go rozpacz. Po co to robi, co chce osiągnąć? Łodzie są tam, na morzu, w żaden sposób nie może ich powstrzymać. Czy nadaremna pogoń ma jakiś sens?

Gdy tym razem uniósł ostrożnie głowę ponad koronę wydmy, zobaczył, że łodzie stanęły, dołączyły do innych łowiących ryby po drugiej stronie wąskiej cieśniny, oddzielającej plażę od piaszczystych wysepek. Widział wyciągniętą sieć, przekazywanie części zdobyczy nowo przybyłym. A więc to nie wyprawa wojenna, tylko łodzie rybackie. Morze było teraz bardziej wzburzone, wiatr się nasilał, zbierało się na sztorm tropikalny. Yilanè w łodzi musiały o tym wiedzieć, bo na jakiś niedosłyszalny rozkaz wszystkie zawróciły i popłynęły w stronę portu i miasta.

Kerrick wstał i patrzył, jak odpływają, wolno znikają mu z oczu w zacinających strugach deszczu. Przemókł, włosy i broda lepiły mu się do twarzy, ale deszcz był ciepły i przestał na to zważać. Hèsotsan poruszył się, gdy poczuł wodę, otworzył drobny pyszczek, by się napić. Kerrick wystawił twarz na deszcz, napił się również. Dość. Musi odejść. Czy pozostaje mu coś innego? Nie mógł nic wymyślić.

W wodzie, opuszczonej przez łodzie, pojawiły się ciemne kształty, skakały wysoko i spadały z pluskiem w morze. Fale bardzo urosły, rozbijały się o wysepki po drugiej stronie cieśniny. Wysepki były niskie jak ławice piasku. Grzywacze przelewały się przez nie i wbiegały daleko na plażę. Skaczące stwory to enteesenaty, poznał je, często widział, jak bawiły się wokół uruketo. Nigdy nie wypływały same, w pobliżu musi być uruketo, tak jak tam. Płynęło w ślad za nim, fale łamały się na jego grzbiecie, waliły o płetwę. Zwierzę nie miało dość miejsca, by skręcić, fale uderzały w jego bok, nie mogło uciec na otwarte morze.

Łodzie zniknęły już za horyzontem, Kerrick i enteesenaty byli jedynymi świadkami katastrofy. Uruketo miało swym potężnym ogonem, ale się nie posuwało. Osiadło na mieliźnie. Fale ciągle

rosły, załamywały się nad zwierzęciem, wpychały je na piasek. Ich siła przewróciła stworzenie na bok, wysoka płetwa grzbietowa zanurzyła się w wodzie. Były tam Yilanè, trzymały się, broniły przed porwaniem przez wodę. Wtem potok ciemnej wody zalał otwór na wierzchołku płetwy. Potem powracająca fala wyprostowała znów zwierzę, Kerrick ujrzał jego okrągłe, puste oko wysoko nad wodą.

Było wyrzucone na brzeg, ranne, ledwo tylko zanurzone. Enteesenaty pływały tam i z powrotem tuż za łamiącymi się falami; nie wiedząc, co się dzieje, skakały wysoko. Świetnie pływały i były bezpieczne; ginęło uruketo, którym się opiekowały.

Gdy następna wielka fala spadła na wielkie, oszołomione stworzenie i pchnęła je jeszcze głębiej na ląd, płetwa legła płasko na wodzie. Uruketo nie mogło się już wyprostować.

Pozostałe płetwy sterczały w górę, poruszały się bezskutecznie.

Kerrick widział, jak woda wpływa swobodnie do otwartej płetwy grzbietowej. Gdy wypłynęła, wynurzyła się załoga. Potłuczone Yilanè chwyciły się czegokolwiek, by nie zmyła je następna fala. Jedna z nich ledwo się wynurzyła, wlokąc towarzyszkę, gdy spadł grzywacz. Obie zniknęły pod załamującą się ścianą wody. Gdy ta rozbiła się na plaży, nie było już ich widać.

Uruketo było skazane na zagładę, napędzające je płetwy przestały się ruszać, ale załoga nadal walczyła o życie. Fale nie łamały się już z poprzednią straszliwą siłą, zaczynał się odpływ, słabł wiatr. Kerrick widział, jak jedna z Yilanè, prawdopodobnie dowodząca, stała po pas we wzburzonej wodzie, wskazując ocalałym kierunek. Wynurzyły się z otwartej płetwy niosąc pakunki, wlokły je na brzeg, wracały po następne. Nie ocaliły zbyt wiele, bo szpara na szczycie płetwy zaczęła się zapadać; musiały wyszarpywać ostatnie załogantki.

Jedynie piątka ocalałych opadła ciężko obok małego stosu ocalonych przez siebie rzeczy. Cztery leżały na piasku, ale jedna stała wyprostowana, patrząc wraz z innymi na umierające wśród fal zwierzę.

Trzymając w pogotowiu hèsotsan Kerrick zbliżał się do nich powoli. Dlaczego by nie? Żadna nie była uzbrojona. Były wyczerpane walką z morzem, nie będą się bronić. Mogły jednak mówić. Zmusi je do rozmowy, muszą mu powiedzieć, co się stało z miastem. Podchodząc bliżej, czuł jak krew dudni mu w uszach. Teraz się dowie.

Widział je już wyraźnie, zobaczył, jak stojąca postać się pochyla. Znajoma postawa. Oczywiście.

- Erafnaiś - zawołał, a gdy dowodząca odwróciła się i spojrzała nań z nie ukrywanym zdziwieniem, uśmiechnął się smutno. - Musisz mnie pamiętać, dowodząca. Z iloma ustuzou rozmawiałaś dotąd?

## ROZDZIAŁ XXV

Zamroczone, wstrząśnięta Erafnaiś uniosła ciężącą jej głowę i spojrzała na wysoką postać. Nasunęła na oczy przejrzyste błony, by ztrzeć resztki słonej wody.

- Kerrick? - spytała ze znużeniem.

- Ten sam.

Załoga odwróciła się na dźwięk rozmowy. Okazała zmieszanie i zmartwienie.

- Daj im rozkaz - powiedział Kerrick - jak najwyższa do najniższych. - Niech nic nie robią, tylko słuchają ciebie. Jeśli tak postąpią, nie doznają żadnej krzywdy. Zrozumiałaś?

Erafnaiś wyglądała na oszołomioną, nie rozumiała kierowanych do niej słów. Pozostałe członkinie załogi były w podobnym stanie. Erafnaiś wskazała na martwe, czy umierające wielkie zwierzę i powiedziała wolno i prosto jak fargi:

- Pierwsze, którym dowodziłam. Zobaczyłam je wkrótce po urodzeniu, karmiłam sama świeżymi rybami. Dowódczyni musi tak robić. Uruketo mają trochę rozumu, niezbyt wiele, ale mają. Poznawało mnie. Pomagałam w szkoleniu, robiłam to, czego nauczyły mnie instruktorki. Wiedziałam, że jest stare, ma pięćdziesiąt pięć, prawie pięćdziesiąt sześć lat, zbliżało się do swego kresu, ale było jeszcze silne. Przed nadchodzącą burzą powinniśmy byli wyjść w morze, a nie stać w tej wąskiej cieśninie; nic by się wtedy nie stało. Rozkazy były jednak inne - spojrzała na Kerricka z beznadziejną rozpaczą. - Płynąłeś w nim, pamiętam. Miałyśmy spokojny rejs, przetrzymałyśmy sztorm, żadnych kłopotów.

Załoga słuchała tej opowieści, bo tak jak i on też przebywała wtedy na pokładzie uruketo. Było ich domem, ich światem. Jedna z członkiń załogi opadła znów na piasek. Zwróciło to uwagę Kerricka. Szukała czegoś na piasku między pęcherzami i pojemnikami.

- Odsuń się - rozkazał Kerrick z kontrolerami przynaglenia i wielkiego niebezpieczeństwa. Nie usłuchała, chwyciła coś i usiadła - z hèsotsanem w rękach.

Kerrick krzyknął i strzelił. Ujrzał, jak strzałka uderzyła w pojemnik. Broń tamtej skierowała się w jego stronę. Rzucił się na piasek. Padając usłyszał strzał. Uniósł swój hèsotsan i strzelił powtórnie.

Tym razem celnie. Strzałka trafiła w pierś, załogantka upadła twarzą do plaży. Kerrick podbiegł nim zdążyły zareagować inne załogantki, chwycił drugi hèsotsan w wolną dłoń, odwrócił się i wycelował w środek grupy.

Trwało to tylko chwilę, lecz całkiem zmieniło sytuację. Kolejna Yilanè leżała martwa na boku, trafiona strzałką, której uniknął Kerrick. Skierował teraz broń na Erafnaiś i pozostałe dwie załogantki.

- Ostrzegalem cię, kazałem ci je powstrzymać. To się nie może powtórzyć. Teraz odsuńcie się wszystkie od tych rzeczy. Dwie już zginęły, to wystarczy.

- Osiem innych zginęło w mieście - Erafnaiś mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszał, ciało wykonywało tylko nieznaczne ruchy.

- Powiedz mi, co dzieje się w mieście - nakazał głośno Kerrick, wyrażając zdecydowanymi ruchami pilność-mówienia. - Co się tam stało? Powiedz mi o Alpèasaku.

- Nie byłeś tam? - spytała Erafnaiś, gdy wreszcie dotarło do niej znaczenie jego słów.

Kerrick szybko zaprzeczył, omiół spojrzeniem załogantki i znów zwrócił się do dowódczyni.

- Byłem bardzo daleko. Dopiero wróciłem. Co się stało?

- Vaintè powiedziała, że nie będzie bitwy, ale się omyliła. Eistaa zaufała jej, udzieliła pomocy, gdyż zimowe wiatry coraz częściej wieją nad Ikhalmenetsem i chciała go opuścić. Vaintè



opowiedziała jej o istniejącym tu mieście, prosiła o pomoc, potem przybyła tu, obiecała, że nie będzie bitwy. Rozsiewano nasiona, ustuzou miały zginąć, a Alpèasak znów wrócić do Yilanè. Ale ustuzou napadły bazę na wyspie od strony morza, walczyłyśmy, pobiłyśmy je. Wiozłam Vaintè na tym uruketo, to wiem, pyszniła się swym zwycięstwem, ale gdy się przekonała, że to był podstęp, rozgniewała się tak strasznie, że umarło wokół niej wiele fargi.

- Podstęp, jaki podstęp? - pytał gwałtownie Kerrick, wyrażając ruchami żądanie wyjaśnień.

- Wyspę zaatakował mały oddział. Wszyscy podobno zginęli, ale w tym czasie uciekła z miasta cała reszta, są ścigani, tropieni, ale jeszcze ich nie złapano. To jeszcze nie wszystko - Erafnaiś zwróciła się twarzą do Kerricka, wyprostowała na ile pozwoliły jej pokręcone plecy, mówiła z emocją:

- Dlaczego ona to robi, ustuzou Kerricku? Znasz ją. Jakaż nienawiść nią kieruje? Miasto należy znów do Yilanè, po to tu przybyłyśmy, poniosłyśmy straty. A Vaintè mimo to namawia do dalszej walki eistaa, przekonała ją, że ustuzou powrócą; rozmowa toczyła się na płetwie uruketo, stąd wiem. Eistaa zgodziła się na nią, zamierzając ścigać i napadać. Zginą dalsze Yilanè.

- Ustuzou zginą także, Erafnaiś - powiedział Kerrick, opuszczając hèsotsan. - Nie chcę, by trwało tak dalej.

Erafnaiś, jakby o nim zapomniała. Patrzyła w morze, rozciągające się za martwym ciałem uruketo.

- Enteesenaty są niespokojne - patrz, jak wysoko skaczą. Ale to rozumne stworzenia, nie zostaną tu długo. Wrócą do portu, zostaną przyuczone do prowadzenia i karmienia innego uruketo. My też musimy wracać. Musimy zameldować, co się stało...

- Nie - powiedział Kerrick, wysuwając ponownie broń. - Nie możesz tego zrobić. Nie możesz powiedzieć Vaintè o spotkaniu ze mną. A powiedziałaś jej, prawda?

Erafnaiś wyraziła potwierdzeniem brak zrozumienia.

- Gdy zameldujemy, co się stało, dowiedzą się o tobie.

- Wiem. Gdybyś nawet potrafiła kłamać, nie zrobiłabyś tego.

- Wyrażenie „kłamać”. Nie znam go. Prośba o wytłumaczenie.

- To Vaintè wymyśliła to słowo na określenie pewnej umiejętności ustuzou, nieznannej Yilanè. Nieważne. Liczy się to, że nie mogę pozwolić na twój powrót. Zaczęłyby mnie śledzić, wysłałyby ptaki, znalazłyby nas. Samce może by przeżyły - ale nie długo. Wiem, czym zapłaciłyby za próbę odzyskania wolności. Plaże tyle razy, ile by to było potrzebne. Przykro mi, nie możesz wrócić.

- Zabrałyśmy mapy - powiedziała Erafnaiś, podnosząc je. - Nie można ich tu zostawić. Reszta może poczekać, przyjdą inne i zabiorą wszystko, co cenne...

- Stój! - nakazał Kerrick. - Co robisz?

- Zabieramy mapy - powiedziała Erafnaiś, ręce miała zajęte, tak iż znaczenie gestów zacierało się. - Są bardzo wartościowe, niepowtarzalne.

- Dokąd chcesz je zabrać?

- Do Alpèasaku.

- Nie możesz. - Wycelował hèsotsan. - Byłaś mi przyjaciółką, nigdy mnie nie skrzywdziłaś. Ważniejsze jest jednak dla mnie życie innych. Jeśli spróbujesz odejść, zabiję cię. Czy to jasne?

- Ale przecież zginęło moje uruketo. Zostało teraz tylko miasto.

- Nie.

Kerrick odwrócił się, słysząc ostry krzyk. Jedna z załogantek biegła plażą. Wycelował i strzelił, upadła. Szybko obrócił się ku drugiej, na wypadek, gdyby i ona próbowała ucieczki. Spóźnił się jednak, bo już uciekła - przed nim i przed życiem. Leżała na boku z szeroko otwartymi ustami, oczy

zachodziły mgłą.

- Zrozum - powiedziała Erafnaiś. - Uruketo zginęło. Wszystko byłoby z nią dobrze, gdyby mogła wrócić do miasta. Ale tyś ją zatrzymał - umarła więc, jak po odrzuceniu przez eistaę. - Spojrzała zmartwionym wzrokiem na Kerricka. - Ja też nigdy już nie będę dowodzić.

- Nie! - krzyknął Kerrick. - Nie będziesz.

Erafnaiś odwróciła się od niego i ciężko usiadła. Podbiegł do niej, nie chciał, by i ona umarła, ale opadła na mokry piasek nim się przy niej znalazł. Spojrzał na nią, odwrócił się i ze smutkiem zobaczył pozostałe zmarłe i umierające Yilanè. Nie chciał ich śmierci - ale nie mógł w żaden sposób temu zapobiec. Co za strata, co za okropna strata.

Na morzu enteesenaty ruszyły szybko ku miastu. Wiedziały, że uruketo padło, że nic je już tu nie trzyma.

Kerrick patrzył, jak odpływają, zrozumiał nagle, czym to grozi. Gdy wrócą same, wywoła to alarm, bo nigdy nie porzuciły uruketo. Zarządzone zostaną poszukiwania, wysłane będą łodzie, może inne uruketo. Spojrzał na niebo. Jeszcze jest jasno, mogą nawet zdążyć tutaj przed zmrokiem. Omal nie wpadł w panikę. Usiłował się opanować. Musi się zastanowić, ma jeszcze czas do końca dnia, to wystarczy. Po pierwsze, to oczywiste, musi zatrzeć wszystkie ślady swojej obecności.

Odwrócił się i spojrzał na plażę, na wyraźny ciąg śladów stóp prowadzący od wydm. Deszcz był teraz słabszy, nie był pewien, czy je zmyje. Odłożył hèsotsan i wrócił ostrożnie po własnych śladach do miejsca, gdzie zaczynała się sztywna trawa. Wystarczy. Nachylił się i wrócił, zacierając ślady rękoma. Teraz deszcz zatrze je szybko do końca.

Trzeba było z kolei usunąć ciała. Wyciągnął strzałki z obu Yilanè i zakopał w piasku groźne pociski. Potem zaciągnął ciężkie ciała do wody i wrzucił je między fale. Erafnaiś była ostatnia. Jej uścisk był mocny nawet po śmierci; musiał odginać skurczone kciuki, by wyrwać mapy, które rzucił na piasek.

Przeszukał ocalałe pakunki, ale nie znalazł niczego przydatnego. Jedzenie i woda, lepiej to zostawić. Zabierze oczywiście drugi hèsotsan. Położył go obok swojego, potem zaciągnął ocalałe pakunki do oceanu, by dołączyły do zwłok. Może fale wyrzucą je znowu na brzeg, to nieważne. Wygładzi wszystkie ślady na plaży i pójdzie na północ skrajem wody. Jeżeli nie będą podejrzewać jego obecności, uznają to za wypadek. Sztorm wyrzucił uruketo na brzeg, załoga utonęła próbując ocalić, co się da. Musi tylko zatrzeć wszelkie ślady swojej obecności.

Ale co z mapami? Miał już je rzucić w ocean, gdy się rozmyślił. Może mapy powiedzą mu coś o nowej eistai? Wszystkie Yilanè pochodzą z Ikhalmenetsu, tak powiedziała Erafnaiś. Pamiętał tę nazwę, ale nie znał położenia miasta. Nie miało to znaczenia; uznał po prostu za niewłaściwe wyrzucenie map bez ich zbadania, a teraz nie miał na to czasu. Zabierze je razem z hesotsanami. Stał po kolana w wodzie i omiatał długim spojrzeniem piasek. W porządku. Wszedł głębiej w spienione fale i ruszył na północ. Szło mu się lekko, gdy zaczął sobie uświadamiać, że część sammadów ocalała. Na plaży był tak zajęty, że przez chwilę o tym zapomniał.

Żyją! Niektórzy uciekli przed upadkiem miasta, tak powiedziała Erafnaiś, może większość spośród nich. Wszyscy ocaleni wrócą do doliny Sasku. Tanu pójdą z nimi. Vaintè przysięgła, że ruszy za nimi w pogoń, ale nie zrobiła tego jeszcze. Ciągle żyją.

W nocy znów padało, lecz wypogodziło się z nastaniem świtu. Kerrick chciał iść jak najszybciej, ale uniemożliwił to upał i grząska ziemia pod drzewami. Słońce już wstało, jego jasne promienie przebijały zieloną powałę, ale z liści kapą nadal woda. Po mchu i trawie szło się lekko, musiał jednak cały czas uważać. Jeden hèsotsan przerzucił przez plecy razem z mapami, drugi trzymał w dłoniach, bo wokół były drapieźniki. Spotkał także zwierzynę łowną, lecz nie chciał tracić czasu

na polowanie. Pragnął jak najszybciej wrócić do obozowiska nad jeziorem.

- Słyszałem, jak nadchodzisz - powiedział Harl, wychodząc zza drzewa. - Myślałem, że to murgu.

Kerrick odwrócił się zaskoczony i uśmiechnął się do chłopca. Harl to Tanu wychowany w puszczy, on sam nigdy już nie będzie dobrym tropicielem czy łowcą, wiedział o tym.

- Powiedz, co w obozie? - spytał.

- Zabiłem wczoraj sarnę, koziołka, miał siedem wyrostków na rogach.

- No, to wszyscy się najemy. A oprócz tego, czy były... jakieś kłopoty?

- Chodzi ci o murgu? Trzymają się od nas z dala, nigdy ich nie widzimy. - Oczy chłopca cały czas były czujne, myszkowały po puszczy, przeszukiwały ją. Choć wydawało się, że nie patrzy nigdy pod nogi, to szedł bezszelestnie; pod nogą Kerricka trzasnęła ukryta w trawie gałązka. - Pójdę przodem, powiem im, że nadchodzisz - powiedział Harl. - Idę. - „Chce zanieść dobrą wiadomość, czy ma dość mego mastodontowego stąpania?” Kerrick uśmiechnął się, gdy chłopiec szybko zniknął mu z oczu.

Gdy dotarł do obozu, wszyscy już na niego czekali. Arnwheet podbiegł, piszcząc z radości; Kerrick podniósł go wysoko. Armun się uśmiechała, tylko oparty ciężko na kuli Ortnar patrzył jak zwykle ponuro. Kerrick powiedział im od razu o swych odkryciach.

- W Deifoben nie ma już sammadów - żyją jednak. Mam drugi śmiercio-kij i te mapy. Jest jeszcze coś, ale dajcie wpierrw wody, mam za sobą długą drogę.

Sapiąc wylał ją sobie na głowę, po czym napił się łapczywie. Wreszcie usiadł i opowiedział, co widział, co się stało.

- Nie możesz przecież wiedzieć, dokąd poszły sammady - powiedział Ortnar po skończonej opowieści.

- Mogą iść tylko w jedno miejsce - z powrotem do doliny. Sasku znają dobrze drogę, mają wiele śmiercio-kijów. Nie dadzą się łatwo murgu.

- Powiedziałeś jednak, że murgu będą ich ścigać, napadać - stwierdziła z troską Armun. - Czy nie powinniśmy pójść za nimi, ostrzec ich?

- Wiedzą o tym dobrze. - Jego głos był ponury, gdy pomyślał o najbliższej przyszłości. Co ma robić? Cóż w ogóle można zrobić? Czy zabijanie nigdy się nie skończy? To przez Vaintè. Gdyby nie ona, walki by już ustały. Znajdowała się jednak poza zasięgiem jego włóczni czy strzały, nie mógł jej zabić.

Nic nie można zrobić, oto odpowiedź. Nic. Sammady będą uciekać - ścigane przez Yilanè. To smutna, lecz niewątpliwa prawda.

## ROZDZIAŁ XXVI

Tego popołudnia Kerrick przekroczył niewidoczną granicę między dwoma obozami, by zwrócić samcom hèsosan. Będzie im potrzebny przy łowach, nie posługują się bowiem włócznią czy łukiem. Arnwheet zobaczył, jak odchodzi, zawołał i pobiegł za nim. Chłopiec trzymał pod pachą jedną z map Erafnaiś, ciekawiły go jej barwy, jako jedyny, oprócz ojca, interesował się wyrobami Yilanè. Kerrick wziął go za rączkę i ruszyli powoli pod drzewami. Cieszył się, że trzyma drobną dłoń chłopca. Cieszył się z jego radosnej obecności, lecz mimo to nie opuszczał go wszechobecny niepokój.

- Wrócił ten, który odszedł - zawołał na ich widok Imehei. - Informacje wielkiej wagi do przekazania.

Nadaske usłyszał jego głos i wystawił głowę z szałas, by zobaczyć, co mówi.

- Radość z widzenia-powtórnie - powiedział, czyniąc przy tym ruch wyraźnej ulgi.

- Potwierdzenie - dodał Imehei. - Śmierć od złośliwych ustuzou groziła nam w każdej chwili twojej nieobecności.

Kerrick pominął jawną przesadę i zwrócił hèsotsan z oznakami podziękowania za użycie. W odpowiedzi na pytające ruchy samców opowiedział, co działo się w Alpèasaku.

- Ustuzou uciekły, znowu są tam Yilanè.

- Samice i śmierć, za blisko, za blisko - zajęczał Imehei.

- Gdy w mieście były ustuzou, też zbyt nie radowaliście się - przypomniał im Kerrick. - Zdecydujcie lepiej, kogo wolicie.

- Równe zło - powiedział Nadaske. - Śmierć od kamiennego zęba, śmierć na plażach.

- To trzymajcie się z dala od miasta.

- Patrz, zobacz - powiedział Arnwheet, wchodząc między nich i wyciągając do samców mapę.

Imehei wziął ją z gestem podziwu nad bogatymi barwami. Kerrick zaczął mówić, gdy urwał zaskoczony.

Arnwheet odezwał się w języku Yilanè ! Niezdarnie i prosto - ale w yilanè!

Imehei i Nadaske podziwiali drobne linie i barwy mapy, a chłopiec patrzył na nich z dumą. Przyglądał się i przysłuchiwał ich rozmowom, pochylił się i chwycił go, podrzucił ze śmiechem w powietrze, posadził sobie na ramionach. Czemu by nie miał rozumieć? Był mały, jak wszystkie dzieci uczył się, słuchając innych. Przecież sam był znacznie starszy, gdy opanował Yilanè. Czuł dumę z osiągnięcia syna, więcej niż dumę. Zdarzyło się coś ważnego, zadzierzgnęła się między nimi nowa silniejsza więź. Do tej pory był jedyną istotą na świecie, która potrafiła rozmawiać zarówno z Yilanè, jak i z Tanu. Teraz nie było to już prawdą.

- Przedmioty wiekiej radości - powiedział Imehei, wystawiając mapę na słońce, by przyjrzeć się lepiej barwom. - Wielka sztuka, patrz, jak linie przeplatają się z jednej strony na drugą.

- Mają swoją funkcję i cel - stwierdził Kerrick. - Służą do nawigacji, pomagają przy przekraczaniu oceanu.

- Nieważny cel, bez znaczenia - powiedział Imehei.

- Były niezbędne na uruketo, którym tu przybyliście - powiedział Kerrick z pewną złośliwością. - Bez nich wylądowalibyście na zamrożonym morzu.

- Nigdy już nic znajdę się na cuchnącym-nudnym uruketo, są przeto bezużyteczne. Nadają się tylko do powieszenia na ścianie, kolory ją ożywią, można je umieścić obok rzeźby neniteska, łaskawa prośba.

- Nie - odparł Kerrick. - Chcę je zbadać. Są z Ikhalmenetsu - czy wiecie gdzie to jest?

- Daleko - pełno-ryb.

- Mało ważna wyspa.

Obaj samcy, jak zwykle, nie interesowali się tym, co nie dotyczyło ich wygody i przetrwania. Nie mogło być inaczej, pomyślał Kerrick. W hanalè nie mieli żadnych obowiązków. Zmienili się jednak, byli teraz samodzielni, musi ich za to cenić.

Wracał z Arnwheetem, spoglądając od czasu do czasu na mapę w dziwnym zamyśleniu. To, że chłopiec zaczął mówić w yilanè, miało wielkie znaczenie. Czuł to, choć nie potrafił uzasadnić logicznie. Gdy w nocy wszyscy zasnęli, opowiedział cicho o tym Armun.

- Arnwheet potrafi trochę rozmawiać z murgu - wkrótce nauczy się tego.

- Nie powinien się do nich zbliżać, są wstrętnei. Dopilnuję, by Darras częściej się z nimi bawiła.

Kiedy wracamy do sammadów?

- Nie wiem. Nie wiem, co robić - wyznał jej w ciemnościach swe troski, po czym przytulił się mocno, a ona do niego. - Dolina jest daleko, a murgu będą obserwowały wszystkie drogi. Jak zdołamy im uciec? Ortnar nie może chodzić. Nie sądzę też, by zgodził się jak dziecko jechać na włóknach. Jeśliby do tego doszło, uciekłyby chyba sam do lasu. A reszta? Dzieci i niedorośli chłopak, który jest najlepszym wśród nas łowcą, lepszym ode mnie.

- Mam silne ręce i dobrą włócznię.

- Wiem - czuł świeży zapach jej włosów. - Twa siła wzmacnia i mnie, lecz równie mało znasz się na łowach. Potrzebna nam żywność. TU łowy są łatwe. Harl dostarcza wszystkiego, czego nam trzeba, możemy też łowić ryby w jeziorze. Gdybyśmy jednak odeszli, czekałaby nas długa, ciężka droga. Myślę, że mamy już za sobą dość takich wędrówek. O wiele za dużo.

- Chcesz więc, byśmy tu zostali?

- Jeszcze nie wiem, czego chcę. Gdy próbuję się zastanawiać, ścisła mnie ból i myśli odpływają. Na razie jednak jesteście tu bezpieczni. Musimy mieć czas do rozważenia, co robić dalej. I co zrobić z sammadami. Pomyślę i o nich, zastanowię się, czy mogę im w czymkolwiek pomóc. Murgu będą je ścigać.

- Mają dobrych łowców. Obronią się sami. Nie musimy się o nich martwić - powiedziała.

Taką odpowiedź dyktował życiowy praktycyzm. Rozumiała dobrze Kerricka, ale nie podzielała jego poczucia odpowiedzialności za wszystkich. To co osiągnęła w życiu zawdzięczała tylko sobie. Kerrick, ich syn, ten mały sammad - to było całym jej światem, jedyną ważną dla niej sprawą. Pragnęła żyć spokojnie i bezpiecznie. Los sammadów to nie jej zmartwienie.

Dla Kerricka nie było to takie proste. Skulił się, odwrócił i wreszcie zasnął.

Wstał o świcie, usiadł nad brzegiem jeziora i patrzył na spokojną wodę. Na powierzchni rozeszły się kręgi od niewidocznej ryby. Przeleciał klucz wielkich, nawołujących się, koralowych ptaków. Świat był spokojny, przynajmniej tu i teraz. Arnwheet porzrzucał mapy

Yilanè po całym obozowisku, Kerrick pozbiierał je, idąc nad jezioro. Teraz rozwinął jedną z nich i próbował zrozumieć, co przedstawia. Bez skutku. Jedne barwy mogą oznaczać ląd, inne ocean, ale przeplatały się i nakładały na siebie w sposób niepojęty. Przypominały ramki Paramutanów z powiązanych kości. Tamte jednak możliwe były do opanowania. Kalaleq pokazał czapę lodu, odległy ląd, tyle Kerrick pojmował. To, co widział teraz, było jednak poza jego zasięgiem. Może Paramutanie zrozumieliby te plamy barw, on na pewno nie. Może powinien dać je samcom, by powiesili je dla ozdoby. Rzucił mapy na ziemię, wpatrywał się w ich zwoje, nic nie widząc i nic nie pojmując.

Co ma robić? Zastanawiając się nad przyszłością, widział jedynie mrok. Biwak nad jeziorem dawał tylko chwilowe ocalenie; nie na zawsze. Byli jak zwierzęta zagrzebujące się w ziemi,

chroniące się tam przed wrogiem. Nad nimi latały szpiegujące ptaki, wokół obserwowały Yilanè, któregoś dnia zostaną wykryci. Wtedy koniec. Cóż jednak mu pozostaje? Powędrować na zachód do doliny? Niebezpieczna droga - ale na jej końcu znalazłby przyjaciół, wszystkie sammady, choć zagrożone zagładą, bo zmierzała tam i Vaintè. Co ma więc robić? Wszędzie, gdzie się zwracał, widział jedynie cierpienie, a na końcu pewną śmierć. Nie może nic zrobić, nic zupełnie, nie ma żadnego wyjścia. Siedział w cieniu nad wodą, aż słońce stanęło wysoko, a nieznośne muchy zaczęły krążyć wokół nosa i oczu. Odegnął je odruchowo, myśląc jedynie o tym, jak wielkie i poważne były jego problemy.

Gdy wrócił do obozu, zjedli udziec sarny upolowanej przez Harla. Wszyscy chwalili chłopca, aż ten pokraśniał z zadowolenia i odwrócił głowę. Jedynie Ortnar był krytyczny.

- Powinieneś się wstydzić. Potrzebowałeś trzech strzał.

- Poszycie było grube, strzelałem przez liście - sprzeciwił się Harl.

- Krzaki zawsze są gęste. Podejdź tu z łukiem. Powiedzmy, że to drzewko jest sarną. Zabij ją dla mnie.

Ortnar poruszał się z wielkim wysiłkiem. Nie mógł już strzelać z łuku, ale nadal sprawnie posługiwał się włócznią. Umiał świetnie polować, mógł Harla nauczyć wielu rzeczy. I Arnwheeta, pomyślał Kerrick, bo maluch pobiegł, by przyłączyć się do zabawy, patrzeć i uczyć się.

- Ortnar nie może jeszcze iść sam w głąb puszczy - powiedział Kerrick do Armun. Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

- Chłopcy muszą się u niego uczyć. Ortnar wie wszystko, co ważne o łowach.

- Ja, niestety nie.

Rozzłościła się na jego skromność.

- Znasz się za to na rzeczach, o jakich głupi łowcy nie mają najmniejszego pojęcia! Potrafisz rozmawiać z murgu i przepłynąłeś ocean. Tylko ty prowadziłeś sammady do zwycięstwa w bitwie. Każdy łowca może strzelać z łuku czy rzucać włócznią, ale czy wiedzieli, zanim im tego nie pokazałeś, jak posługiwać się śmiercio-kijami? Więcej jesteś wart niż wszyscy oni razem. - Gniew minął jej równie szybko, jak wybuchnął. - Wszystko to prawda - dodała.

- Skoro tak mówisz. Musisz jednak wiedzieć, że teraz niczego już nie jestem pewien. Patrzę na słońce, a widzę tylko mrok. Gdybyśmy tu zostali, na pewno kiedyś znalazłby nas murgu. Jeśli udamy się do innych sammadów, zginiemy razem z nimi po ataku Vaintè. Co mamy robić? - Zastanawiał się nad jej słowami, szukał w nich jakiejś otuchy. Coś mu zaświtało.

- Powiedziałaś przed chwilą o przepłynięciu oceanu. Zrobiłem to w brzuchu bestii murgu. Inni jednak pokonują ten szlak na powierzchni.

Armun przytaknęła.

- Paramutanie zamierzali przekroczyć ocean w pogoni za ularu-aqiem, tak nam powiedzieli.

- Tak, na pewno tego dokonają. Paramutanie, którzy przywieźli nas na południe, powiedzieli, że wrócą tu na połowy. Gdybyśmy tylko mogli popłynąć z nimi! Nie wiemy jednak, co znajdziemy za oceanem. Może czeka tam na nas ta sama śmierć co i tutaj? Nie możemy wyruszyć, póki nie dowiemy się o tym. Wtedy jednak może już być za późno. Co mamy robić? Może powinienem się do nich przyłączyć? Popłynąć z nimi na drugi brzeg oceanu. Mówili, że są tam zimne ziemie, ale dalej na południe będzie cieplej. Wiem o tym, bo tam byłem. To ziemia murgu, a one mogą żyć tylko tam, gdzie jest gorąco. Może jednak uda mi się znaleźć ziemię między żarem a mrozem, na której moglibyśmy żyć i polować. Może. - Chwycił ją za rękę drżąc z podniecenia. - Mogę wyruszyć teraz z Paramutanami i poszukać tam bezpiecznego schronienia, gdzieś na południe od lodu i na północ od murgu. Może to się udać, może da się tam polować. Wtedy wróciłbym po was. Dostalibyśmy się tam

i znaleźli bezpieczne miejsce. W czasie mojej nieobecności nie się wam nie stanie, jeśli tylko będziecie strzegli się ptaków i nie wychodzili spoza osłony. Do mego powrotu znajdziecie tu jedzenie i schronienie. Jak sądzisz, czy nie powinienem tak zrobić, czy nie mogłoby to nas ocalić?

Kerricka tak pochłonięły nowe plany, możliwość znalezienia wyjścia z pułapki, że nie zważał na jej reakcję, nie zauważył chłodu na jej twarzy, sztywności rysów.

- Nie. Nie możesz tego zrobić. Nie opuścisz mnie. Spojrzał na nią zaskoczony odmową, rozgniewał się.

- Nie możesz mi zakazywać. Robię to dla nas wszystkich, to ja narażam się, przepływając zimne morze...

Zamilkł, gdy podeszła bliżej i łagodnie położyła mu palec na ustach.

- Źle mnie zrozumiałeś, to moja wina. Ze strachu mówiłam bez namysłu. Chodzi o to, że cię nie opuszczę - już nigdy. Dokąd pójdziesz, tam i ja. Raz się rozstaliśmy i oboje o mało nie zginęliśmy, szukając się nawzajem. Było to straszne, nie może nigdy się powtórzyć. Jesteś moim sammadarem - a ja twoim sammadem. Jeśli chcesz przepłynąć morze, przepłyniemy je razem. Nie odejdziesz sam. Pójdę z tobą wszędzie tam, gdzie wyruszysz. Nigdy mnie nie opuszczaj. Pójdziemy razem.

Zrozumiał ją, bo sam czuł podobnie. Całe życie był sam, jak i ona, póki się nie spotkali. Nie znalazł słów, by wyrazić swe uczucia, objął ją więc mocno, a ona przytuliła się do niego.

Pozostawały jednak niebezpieczeństwa, nad których ominięciem trzeba się było zastanowić.

- Muszę iść - powiedział. - To dobrze, że chcesz popłynąć ze mną, ale nie możemy wziąć nikogo więcej, póki się nie przekonamy, że będą tam bezpieczni.

Dla Armun było to straszne. Czy musi zostawić syna, by przepłynąć morze? Czy nie ma innej możliwości? Nie dostrzegała jej. Musi tak być. To nie jest dobre wyjście - ale jedyne. Musi być teraz silna i praktyczna. Zastanawiał się nad każdym swym słowem.

- Sam powiedziałeś, że tu jest bezpiecznie. Harl będzie polował, nie jest już dzieckiem. Ortnar dopilnuje wszystkiego do naszego powrotu. Arnwheet i dziewczyna nie sprawią kłopotów. Ona już uczy się znajdować w lesie rośliny, gotować i wykonywać kobiece prace.

- Zostawiłabyś chłopca? - spytał ze zdumieniem. Nie spodziewał się tego.

- Tak. Jest dla mnie wszystkim i nie chcę się z nim rozstawać

- ale dla jego dobra go opuszczę. Mogę odejść od niego, zostawić do mego powrotu pod opieką innych, mogę to zrobić. Ale ciebie nigdy nie opuszczę.

- Muszę się nad tym zastanowić - powiedział Kerrick, wstrząśnięty kamienną twardością jej uczuć, zdecydowaniem.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - powiedziała z determinacją.

- Już postanowiłam. Teraz ułożysz dokładny plan i zrobimy to, co każesz.

Siła jej poparcia sprawiła, iż uwierzył, że to możliwe. Jaki mają inny wybór? Pójść za sammadami do doliny? Jeśli nie po drodze, to zginą tam, gdy nadciągnie Vaintè z trującymi cierniami i strzałkami, z rzeszami fargi. Zostać tutaj? To życie bez przyszłości. Kryliby się tylko bez końca w pobliżu miasta Yilanè, na pewno któregoś dnia zostaliby znalezieni. Było to może i szansą dla obu samców, nie mieli innego wyjścia, żadnego innego miejsca. Mimo wszystko postanowił zająć się i ich losem, musi powiedzieć im o swoim planie.

Gdy zaczął mówić, Imehai jęknął głośno.

- Nie odchodź znowu, to zbyt straszne.

- Dobrze tutaj, pragnienie twego pozostania - powiedział z mocą Nadaske.

Kerrick ustawił się w pozycji wysokiej do najniższych.

- Nie zostaniecie zjedzeni ani zabici. Teraz proszę was tylko o przejście ze mną do innego

obozowiska na rozmowę o tym. Pragnę przy wszystkich mówić o przyszłości. Nie boicie się świeżo-wysz-łego-z-morza, Arnwheeta, wędrowaliście też z Ortnarem. Nic się wam nie stało. Chodźcie.

Długo trwało, nim ich przekonał, był jednak uparty. Postanowił już; musi przepłynąć ocean i znaleźć bezpieczną przystań dla swego sammadu. Nie pozwoli, by ci dwaj stanęli mu na drodze. Zmusił ich, by poszli z nim; w obozie siedli, jak mogli najdalej, oparci o siebie i przestraszeni.

Kerrick stał między dwiema grupami. Po jednej stronie widział sztywnych z przerażenia lub przynajmniej na takich wyglądających samców Yilanè. Po drugiej stronie siedzący pod drzewem Ortnar rzucał groźne spojrzenia. Pozostali Tanu przyzwyczaili się już chyba do murgu, zwłaszcza Arnwheet, który podbiegł do Imehai, by pokazać mu swój najnowszy skarb: zrobioną przez Ortnara kościaną świstawkę. Nie było też żadnej broni, dopilnował tego.

Wszystko będzie dobrze. Musi być. Może to tylko plan zrodzony z rozpacz. To nieważne. Przekona się - upewniał się sam w duchu.

- To, co wam teraz powiem, jest ważne dla was wszystkich -powiedział w języku Tanu, po czym zwrócił się do Yilanè:

- Znaczenie-mówienia. Uwaga i posłuszeństwo. Potem powiedział im, że Armun i on odchodzą na jakiś czas, ale wrócą.



*umnuniheikel  
tsanapsoruud  
mariekso.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Nie da się przygotować dobrego mięsa  
bez śmierci zwierzęcia.

## ROZDZIAŁ XXVII

- No, są - powiedziała Vaintè, rozkadając przed sobą zdjęcia.

- Świeżo otrzymane - świeżo wywołane - powiedziała Anatempè, ustawiając odbitki w rzędzie, po czym wskazała kciukiem na pobliski model Gendasi\*. - Wysoko lecący ptak posuwał się nad tą częścią wybrzeża, niemal wprost na zachód od nas. Mogą tam być uciekające ustuzou.

- Ale tu nic nie widać! - Vaintè wykonywała ostre, szarpane ruchy niechęci i zaniepokojenia. - Na zdjęciu są tylko chmury.

- Niestety, to prawda. Wysłano jednak innego ptaka...

- Zanim tu wróci, ustuzou będą daleko. Chcę ich zdjęć - a nie chmur! - Ręce trzęsły się jej od emocji, nerwowym ruchem kciuków zrzuciła wszystkie zdjęcia na ziemię.

- Kieruję ptakami, a nie chmurami - powiedziała Anatempè, najpotulniej jak mogła, choć jej ruchy zdradzały trochę prawdziwych uczuć. Nie bawiło ją, że stale pada ofiarą podłych nastrojów Vaintè. Ta dostrzegła reakcję podwładnej i powiedziała w sposób chłodny, niosący niebezpieczeństwo.

- Sprzeciwiasz się moim rozkazom? Uważasz je za krzywdzące?

- Wykonuję twe rozkazy, bo nakazała mi to Ukhreb, słuchająca eistai. Pragnę tylko wypełniać me obowiązki. - Te ostatnie słowa wypowiedziała z kontrolerami wiecznej służby, posłuszeństwa.

Vaintè chciała już ją upomnieć, lecz zeszywniała i umilkła, nakazała tylko uczonej szorstkim gestem, by odeszła. Dopiero teraz pozwoliła sobie na okazanie niezadowolenia. Gdy była eistaą, taka obraza równałaby się niechybnie śmierci. Tamta jednak miała wiele racji. To Lanefenuu jest eistaą rozkazującą innym, w tym i jej. Musi się z tym pogodzić. Odwróciła się ze złością i zobaczyła fargi stojącą u wejścia do budynku zawierającego model. Stała tam cierpliwie do jakiegoś czasu, czekając, aż Vaintè zwróci na nią uwagę.

Wiadomość dla Vaintè powstrzymała jej nerwy; fargi zapomniała wiadomość lub umrze z rozpacz, gdy okaże jej, co czuje.

- Jestem Vaintè. Mów, uważnie-powoli, słucham cię.

- Yilanè-Naalpe-uruketo-obecność-port-rozmowa-prosi. Było to trudne do zniesienia, lecz Vaintè nadal panowała nad sobą, choć dziwiła się własnej cierpliwości.

- Potrzeba wyjaśnień. Czy zawiadamiasz mnie, że ta Naalpe jest teraz w porcie na pokładzie uruketo i pragnie ze mną porozmawiać?

- Zgoda! - Fargi chętnie uniknęła dalszej rozmowy i odeszła na znak Vaintè. Dzięki temu nie widziała wybuchu niezadowolenia spowodowanego okropną znajomością języka. Tymczasem pokazała się następna fargi, wyrażając pragnienie-przekazania.

- Mów - powiedziała zwięźle Vaintè. - Mocno pożądana lepsza mowa po ostatniej posłańcy.

Była rzeczywiście lepsza, bo przybywała od eistai, a ta używała wyłącznie takich fargi, które były już niemal Yilanè.

- Prośba od najwyższej poprzez najniższą do wysokiej Vaintè. Serdeczne pozdrowienia i pożądanie obecności w ambesed po zakończeniu bieżących zajęć.

- Przekaż radosne przyjęcie życzenia eistai, szybkie przybycie.

Rozkaz eistai, choćby ujęty w najuprzejmiejsze słowa był rozkazem, który należało wykonać natychmiast. Choć pragnęła porozmawiać z Naalpe, musiała odłożyć spotkanie z nią.

Vaintè nie zamierzała się jednak spieszyć, nie chciała przybyć zadyszana, niezdolna do rozmowy. Szła do ambesed ocienionymi chodnikami, wiedziała, że wyprzedzi ją wysłanniczka z meldunkiem o wykonaniu rozkazu.

Marsz tymi znajomymi korytarzami budził w Vaintè mieszane uczucia. Cieszyła się, że to miasto należy znowu do Yilanè ; martwiła się, że znaczna jego część nadal leży w ruinie, a ustuzou uciekły. Wierzyła, że może się to im udać. Zmykają, lecz zostaną odnalezione.

Wielkie ambesed było zupełnie puste, bo zza morza przyplłynęła jedynie czołówka Yilanè. Nim cały Ikhalmenets przybędzie do Alpèasaku, miasto musi zostać wyleczone, odrosnąć i wyzdrowieć. Najważniejsze to wzmocnić jego obronę. Nigdy już żadne ustuzou nie może postawić w nim nogi. Lanefenuu rozłożyła się w słońcu na tronie pod odległą ścianą. Siadywała tam szlachetna, zmarła Malsas<, siedziała i panowała Vaintè, było to dawno temu, gdy miasto było młode. Dziwnie teraz wyglądał tam ktoś inny - Vaintè natychmiast jednak zdławiła rodzącą się w niej nienawiść. Nigdy! Nie jest już eistaa, nie chce też więcej rządzić. Lanefenuu to potężna eistaa, jest szanowana i słuchana. W swej łaskawości pozwoliła Vaintè przygotowywać wojska i wykorzystać geniusz nauki do odzyskania miasta. Do zabijania ustuzou. Lanefenuu jest eistaa dwóch miast, przywódczynią przywódczyni.

Lanefenuu widziała wyraźnie myśli zbliżającej się Vaintè i przyjęła je za należne sobie. Doradczynie odsunęły się, by zrobić dla Vaintè miejsce w swym kręgu.

- Przybyło uruketo z wiadomościami i pytaniami - powiedziała Lanefenuu. - Gdy myślę o nim, czuję potrzebę odetchnięcia jeszcze raz powietrzem otoczonego-morzem Ikhalmenetsu. Jestem tu za długo, moje nozdrza zatyka smród ustuzou i przesycający miasto dym.

- Zostanie oczyszczone, eistao, tak jak oczyściłyśmy je z paskudnych ustuzou.

- Dobrze powiedziane, doceniam to. Zostanie tu Ukhereb, by wszystkiego doglądać. Zajmuje się nauką, a nie polityką, i to będzie jej zadaniem. Twoim zaś pilnowanie, strzeżenie i chronienie miasta dla Yilanè. Czy to jasne?

- Na pewno, Eistao. Nie będziemy współrządzić, lecz współpracować; jedna ma budować, druga bronić. Jest tylko jedna rządząca.

- Zgoda. Teraz powiedz mi o ustuzou.

- Te, które uciekły na północ, zginęły wszystkie. Mimo to ciągle uważamy, stale wystawiamy strażę ze wszystkich stron, bo może jakieś się ukryły, a są niebezpieczne jak węże w puszczy.

Lanefenuu wyraziła przejęcie i zrozumienie z dość silnym odcieniem smutku.

- Także o tym wiem. Zbyt wiele Yilanè zginęło, powinny żyć, ujrzeć, jak miasto znów do nich należy.

- Nie da się przygotować dobrego mięsa bez śmierci zwierzęcia.

- Vaintè powiedziała to, chcąc pocieszyć eistaę. Lanefenuu nie była jednak tego dnia w dobrym humorze.

- Tych śmierci było trochę za dużo, o wiele więcej, niż mi obiecywałaś. To jednak przeszłość - choć nadal czuję żal za bliską mi Erafnaiś. Noszę w sobie pustkę, którą kiedyś wypełniała ona i wielkie uruketo.

Sposób w jaki eistaa to wyraziła, wskazywał niemal na to, że bardziej odczuła stratę uruketo niż dowódczym. Krąg słuchaczek stał nieruchomo. Lanefenuu przypominała im dość często, że zanim została eistaa, sama prowadziła uruketo, można było przeto zrozumieć jej uczucia. Gdy Lanefenuu w milczeniu wykonała kciukami gest smutku-straty, powtórzyły ze współczuciem ten ruch. Eistaa ceniła jednak najwyżej działanie i nie rozpaczała długo. Spojrzała badawczo na Vaintè.

- A twoje ustuzou uciekły wszystkie.

- Zmykają przestraszone i zropaczone. Obserwujemy je bez przerwy.

- Nie ma żadnych w pobliżu?

- Żadnych. Na północy zginęły. Na zachodzie - ściga je śmierć, czeka pomsta.

- Pewna jesteś ich przeznaczenia?

- Wiem dokąd idą, bo byłam tam kiedyś, widziałam sama to miejsce. Ich miasto stało się dla nich pułapką, śmiercią. Nie uciekną.

- Udało im się to ostatnio - powiedziała Lanefenuu z brutalną szczerością.

Vaintè wyraziła skruchę i przyznanie racji, miała przy tym nadzieję, że jej ruchy będą na tyle mocne, by pokryć ujawniający się dość znaczny gniew z przypomnienia.

- Wiem o tym i przyjmuję naganę Eistai. Jediną korzyścią z poprzedniej porażki jest zapowiedź przyszłego zwycięstwa. Tym razem atak będzie bardziej przemyślany i dłuższy. Wokół ich miasta wyrosną pnącza śmierci, zadławiają je i zabijają. Zostaną tylko trupy.

- Na to zgoda - pod warunkiem, że będą to trupy ustuzou. Gdy byliście tu ostatnio, zżyliście się z fargi. Potrzebne będzie efenburu samców, by zapełnić plaże narodzin.

Vaintè, jak i innym, pozostało jedynie słuchać w milczeniu. Eistaa mogła być wulgarna jak zwykła załogantka, była jednak eistaa i mogła mówić, co chciała.

- Gdy odpłynę, pokierujesz Yilanè i fargi z mego miasta - każda z nich jest mi droga.

- Ich istnienie będzie szanowane - powiedziała Vaintè - bronić ich będę moim życiem. Jestem bardzo wdzięczna, że pozwoliłaś mi ścigać i zabijać te stwory, nim wrócą i zaatakują ponownie. Zrobię, jak każesz, przepelniona świadomością, jak cenne jest dla ciebie życie wszystkich z Ikhalmenestu.

Nie było już nic do dodania i gdy Vaintè poprosiła z szacunkiem o pozwolenie odejścia, eistaa odesała ją ruchem kciuka. Wyszła w niezwykłym pośpiechu, ale potem ruszyła jeszcze prędzej, bo zaczął zapadać mrok. Noc zbliżała się szybko, a bardzo chciała usłyszeć, co ma jej do przekazania Naalpè.

Uruketo stało przycumowane do nabrzeża, nadal je rozładowywano. Z boku tkwiła jego dowódczym, na widok Vaintè przekazała obowiązki jednej ze swych zastępczyń i podeszła bliżej.

- Pozdrawiam cię, Vaintè - powiedziała z najwyższym szacunkiem. - Informacje do przekazania, koniecznie na osobności.

Naalpè zaczęła mówić dopiero, gdy znalazły się poza zasięgiem wzroku innych.

- Jak prosiłaś, wracając z Ikhalmenetsu, zatrzymałam się w Ye-béisku. Rozmawiałam z wieloma Yilanè i łatwo dowiedziałam się o tej, której imię mi podałaś, bo nikt o niczym innym nie mówił.

- Prośba o wyjaśnienie znaczenia - Vaintè była grzeczna, powściągała rosnącą niecierpliwość.

- Enge, Córa Śmierci, o której mówiłaś, poszła śmiało do eistai i powiedziała jej o swych wierzeniach. Została za to uwięziona z innymi jej rodzaju...

- Wspaniale, to bardzo dobra i pocieszająca wiadomość, miła Naalpè... - przerwała jednak, ujrzawszy u dowodzącej gesty poruszenia i niepokoju.

- Ależ nie, zupełnie nie. Nie jest jasne, jak się to stało, szczegóły są niepewne z powodu czasu, jaki upłynął, i wielości zdań. Wiem jednak bez żadnych wątpliwości, co się stało, bo rozmawiałam z dowódczynią uruketo. Mówiła ze mną szczerze, jak z nikim innym, bo robimy to samo. Powiedziała mi, co nastąpiło.

- Ale - co nastąpiło?

- Enge, o którą pytałaś, wraz z wieloma innymi, wszystkimi Córami Życia z miasta Yebéisk, weszła na pokład uruketo i odpłynęła. Nie zdołano ich dogonić. Nie wiadomo, dokąd wyruszyły.

Vaintè zamarła, niezdolna do reakcji, jej myśli goniły w pustce. Co to może znaczyć? Jak tego dokonaly? Kto im pomagał? Ile ich jest? Dokąd uciekły?

Tę ostatnią myśl wypowiedziała głośno, lecz nikt nie mógł jej odpowiedzieć.

- Uciekły... ale dokąd?



## ROZDZIAŁ XXVIII

Brzegi otaczające deltę rzeki były niskie i przeważnie podmokłe. Na południowym cyplu zakorzenił się jednak cyprys, wyrósł wysoko i szeroko, jego pokryte liśćmi konary tworzyły miły cień, dawały wytchnienie przed oślepiającym słońcem. Zebrała się tam teraz większość Cór, oddawały się bliższemu poznawaniu słów Ugunenapsy. Krąg pilnych uczennic siedział sztywno w skupieniu, śledził każdy gest i słowo Enge. Gdy zakończyła objaśnienia, wpatrywały się w milczeniu w głąb siebie, sprawdzały, czy słowa Ugunenapsy są ich słowami.

- Pytania? - rzuciła Enge.

Minęło sporo czasu, nim jedna z niedawno nawróconych słuchaczek, młoda, smukła Yilanè, z wahaniem wykonała gest uwagi. Enge wyraziła pozwolenie-na-mówienie. Słuchaczka szukała w myśli jasnych wyrażen, potem się odezwała.

- Nim Ugunenapsa zanotowała swe myśli, dokonała tego doniosłego odkrycia, były inne, których, być może, wkład-wysiłku... Utknęła i Enge przysła jej z pomocą.

- Pytasz, czy Ugunenapsa, nasza nauczycielka, była pierwszą we wszystkim, czy też czerpała od wcześniejszych nauczycielek i myśli-cielek? - Uczennica wyraziła wdzięczność i potwierdzenie. - Jeśli bliżej poznasz dzieła Ugunenapsy, przekonasz się, że omawia tę sprawę. Szukała pomocy u wszystkich myślicielek Yilanè zajmujących się sprawą życia i śmierci, ale u żadnej nie znalazła wsparcia, nigdzie nie natknęła się na możliwość rozwiązania tego problemu. Gdy szukała tam wyjaśnienia, bo była pokorna i nie sądziła, że jako jedyna posiadała wiedzę, doszła do pewnego wniosku. Co żyje i co umiera? - zapytała siebie. Yilanè mogą umierać, lecz miasta Yilanè żyją wiecznie. Ale właśnie wtedy zmarło miasto Yilanè, pierwsze, o którym wiadano. Przedtem szukała, lecz nie znalazła żadnej o takim przypadku wzmianki. Miasto to zginęło z zimna. Odwróciła tę kwestię i podeszła do niej z drugiej strony. Jeśli miasto może żyć i nie umierać - dlaczego nie mogą tego Yilanè? Miasto zmarło, jak giną Yilanè. Była pokorna i nie wierzyła, że miasto zginęło tylko dlatego, by mogła dojść do swoich wniosków. Ale to dzięki tej śmierci mogła dojść, że życie...

- Uwaga, ważna wiadomość.

Wśród pomruków i ruchów przerażenia Ambalasei zasłoniła Enge, przerwała jej przemowę. Ten niegrzeczny czyn przyjęła ze spokojem jedynie Enge.

- W czym możemy pomóc Ambalasei, która nas ocaliła? - przypomniała wszystkim, że uczona zasługuje na najwyższy szacunek.

- Czekałam cierpliwie, aż skończysz mówić, lecz przekonałam się, że to nigdy nie nastąpi. Dlatego się wtrąciłam. Jest praca, która musi być wykonana przed zmrokiem. Potrzebuję pomocy silnych kciuków.

- Prośba o możliwość pomocy, gorliwość jej udzielenia. - Enge rozejrzała się po słuchaczkach. - Która z was pierwsza pośpieszy na pomoc Ambalasei?

Enge pragnęła pomagać, lecz siostry nie podzielały jej ochoty do zajęć fizycznych. Widać było wyraźnie, że nie są zadowolone z przerwy w dyspucie i nie chcą ciężko pracować, miast żarliwie filozofować.

Żadna się nie ruszyła, choć jedna szybko okazała ważność-nauki. Enge była bardziej zażenowana niż rozgniewana ich oporami.

- Zawiodłam jako nauczycielka - powiedziała. - Ugunenapsa uczyła nas, że każde życie jest równie, przeto i wszystkie Yilanè są sobie równe, a prośbę o pomoc należy traktować jak prośbę o życie. - Zwróciła się do Ambalasei i wyraziła pokorę-uległość. - Jako pierwsza pośpieszę ci z pomocą.

Uczennice zaniechały oporu i rzuciły się naprzód, by okazać swe zrozumienie i współczucie.

- Bez przewodnictwa Enge jesteście głupie jak fargi - powiedziała pogardliwie Ambalasei. - Potrzebuję pięć do noszenia i pomocy w sadzeniu. - Przyjrzała się im krytycznie, bo wiele było chudych i zdatnych tylko do pracy umysłowej. Wybrała najsilniejsze i wysłała ze swą asystentką po zapasy.

- Musisz im wybaczyć - powiedziała Enge. - Tak gorliwie szukają wiedzy, iż zapominają o codziennych pracach.

- W większości marnują czas. Chodź ze mną, musimy coś omówić.

- Przyjemność w spełnieniu życzenia.

- To prawda, jesteś szczerą, ale tylko ty tak uważasz, Enge, tylko ty. Nigdy nie pracowałam z istotami tak nieposłusznymi jak Córy Znużenia.

Enge wyraziła zrozumienie i przeprosiny.

- Jest tego powód - jak w każdym przypadku. Radość z wspólnego przebywania i ciągłej nauki oraz brak prześladowań tworzy poczucie swobody. Trudno jest zejść z wyżyn rozważań do głębin pracy rąk.

- Może. Ale praca musi być jednak wykonana. Aby jeść, musimy pracować. Chcę, byś przekazała im to z mocnymi-argumentami. Czy Ugunenapsa nie powiedziała tego kiedyś?

- Nigdy!

- Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdyby o tym pamiętała. Teraz podejź do brzegu i spójrz w dal. Czy widzisz tamten półwysep?

- Niezbyt wyraźnie - odparła Enge, patrząc nad mulistym nurtem rzeki. Wyspa była niska i płaska, jak wszystkie w ujściu. Ambalasei wykonała gest niesmaku i wskazała na pobliskie uruketo.

- Zobaczmy go lepiej z wierzchołka płetwy.

Ponieważ na niskim brzegu nie było żadnego basenu, uruketo nęczone świeżymi rybami swym uzębionym pyskiem wygrzebało kanał w błocie. Dobrze nakarmione trzymało teraz głowę wetkniętą w zrobiony przez siebie otwór. Weszły ostrożnie na śliski, zabłocony bok zwierzęcia i ruszyły ku płetwie grzbietowej. Okrągłe, wzmocnione kością oko uruketo poruszyło się lekko, gdy przechodziły, lecz nie spowodowało poza tym najmniejszego ruchu całego ciała. Zaczepiając kciuki i pazury stóp o nierówności skóry wspięły się na szczyt płetwy. Enge poruszała się bardzo wolno, by nie wyprzedzać starszej uczoney.

- Czasami... żałuję, że zdecydowałam się na opuszczenie Yebé-isku... - powiedziała Ambalasei, dysząc z wysiłku. - Ale dla zdobycia wiedzy żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie. Ty i ja wiemy o tym, ale ta prawda nie dociera do twoich naśladowczyń.

Enge nic nie odpowiedziała, wyraziła jedynie potwierdzenie. Szanowała wiek i mądrość Ambalasei, wiedziała też z doświadczenia, że nie mając neodpartyh argumentów, lepiej się z nią zgadzać niemal we wszystkim, inaczej niczego się nie osiągnie. Ambalasei ciężko łapała powietrze, rozejrzała się i wyraziła niezadowolenie, w końcu zdołała odezwać się zrozumiale.

- Spójrz tam, dostrzeżesz stąd zielony pasek na półwyspie.

Z tej odległości widać było wyraźnie długi wąski jezioro ziemi w zakolu rzeki, ich przyszłe miasto. Cała roślinność była żółta i uschnięta - z wyjątkiem zielonej linii na horyzoncie.

- Ściana cierni - powiedziała Amabalasei z zadowoleniem, okazując je tego dnia po raz pierwszy. - Zarażenie grzybem wyniszczyło resztę życia roślinnego - a zwierzęta uciekły lub padły z braku pożywienia. Nadeszła już pora, by nasza ekologia zastąpiła miejscową.

- Zasiej nasiono miasta, wyrosnie duże i silne. - Enge wyraziła wielkie zadowolenie, które zanikało wobec nagłego wybuchu gniewu Ambalasei.



- Koniec-rozumu, zamknięcie-umysłu. Próbowałam badać waszą absurdalną filozofię, czy nie wymagam od ciebie za wiele, gdy proszę cię, byś poświęciła swą uwagę zrozumieniu najważniejszych podstaw nauk biologicznych? Dlaczego przebywamy w niewygodzie na tej bagnistej wyspie? Robimy to, bo - jak wszystkie wyspy - otacza ją woda. Szybko-płynący nurt chroni nas przed pożarciem z kontynentu. Pozwala to także spać pod lichą osłoną, choć jemy jedynie niesmaczne ryby, które twoje siostry łowią z takimi oporami. Robimy to, czekając, aż wyrośnie ściana cierni, która osłoni nasze miasto. W tym czasie chronimy i karmimy młode hèsotsany, by szybko dorosły i mogły służyć nam za broń. Czekamy też, aż dojrzeją łodzie w sadzawce, byśmy mogły je wykorzystać zamiast uruketo nieprzydatnego na rzece. Czego nie robimy, to zasadzanie bardzo-cennego ziarna miasta!

- Pytanie wyrażone z pokornym pragnieniem wiedzy. Dlaczego?

- Dlaczego? Dlaczego? - Pomarszczona pierś Ambalasei płonęła czerwienią, podobnie jak wnętrza jej wysuniętych dłoni. - Bo gdybyśmy zasadziły je teraz, zostałyby zjedzone przez robaki, pożarte przez chrząszcze, zniszczone przez grzyby, zgniecione przez jedną z twych niezdarnych Cór!

- Teraz rozumiem - powiedziała Enge spokojnie. - Wielkie przeprosiny za niewiedzę.

Ambalasei odwróciła się, by spojrzeć na rzekę, mruzczała coś gniewnie i wykręcała kończyny. Gdy ochłonęła, podjęła wykład.

- Uważam, że ściana cierni jest już dostatecznie wysoka dla ochrony. Potrzebuję dużej grupy, przynajmniej połowy was, by przeprowadziły się ze mną rano. Jeśli będą osłonięte nasze boki, zaczniemy niezbędne prace nad uprzątnięciem terenu, rozsiewaniem starannie wyhodowanych larw, które oczyszczą glebę. Potem dodamy bakterie wiążące azot, po nich krzewy szybko rosnące i szybko wędnące, które użyźnią ziemię. Następnie, jeśli wszystko pójdzie dobrze, a ja stwierdzę, że czas już dojrzał, zasadzimy ziarno miasta. Czy to możliwe, byś choćby w drobnej części mnie zrozumiała?

- W ogromnej - powiedziała Enge, majestatycznie nieczuła na sarkazm pytania. - Dziękuję ci też za szczegółowe wyjaśnienia. Czekam teraz na twe polecenia.

- Chciałabym, by i inne to rozumiały. To następny problem. Potrzebna jest tu wam jakaś władza, ktoś kto powie tym bezwartościowym istotom, co mają robić.

- To rzeczywiście tylko nasz problem - przyznała entuzjastycznie Enge. - To on nas tu przywiódł. Moje siostry, gotowe umrzeć za swą wiarę, przybyły tu, bo rozumiały, że eistaa nie jest w stanie ich zabić, potem cieszyły się z uzyskanej wolności. Będą pracować wspólnie, nie muszą otrzymywać rozkazów.

- Skoro nie będą prowadzone - co skłoni je do posłuszeństwa?

- Bardzo poważne pytanie - zastanawiałam się nad nim głęboko.

- Lepiej zastanawiaj się płytko, ale za to szybciej - powiedziała gniewnie Ambalasei - bo możemy zginąć, nim znajdziesz odpowiedź. Wszystkie istoty żyjące stadnie mają przywódców, osobników podejmujących decyzje. Spójrz tam - wskazała na ławicę jasnych, małych rybek. Coś je zaniepokoiło i natychmiast zmieniły kierunek.

- Jedna zawsze przewodzi. Gdy roją się pszczoły, idą za nową królową. Mrówki mają królowe, z których płodnego łona rodzą się wszystkie inne. Siostry są jak mrówki. Muszą być prowadzone.

- Rozumiem ten problem...

- Nie rozumiesz. Gdyby tak było, stawiałbyś go przed inne, poświęciła mu najwięcej uwagi. Przerwałabyś zabawy i dyskusje i zajęłabyś się tym problemem, wyłącznie nim, póki byś go nie rozwiązała. Musi być przywództwo, władza na różnych szczeblach, współpraca.

- Opisałaś właśnie eistaa i jej wszystkie zastępczynie - stwierdziła zimno Enge. - To właśnie odrzuciłyśmy.

- To znajdź coś w zamian, nim wszystkie zginiemy z głodu lub zostaniemy pożarte przez mocne stworzenia. - Ambalasei zauważyła ruch prośby o uwagę i odwróciła się ku Elem, która weszła na płetwę. - Mów.

- Przepraszam za przerwanie; sprawa wielkiej wagi. Uruketo za długo przebywa na brzegu. Musimy wypłynąć na morze, poza ujście rzeki.

- To niemożliwe! - Ambalasei dodała ruchy odprawy-sprzed-oczu, zlekceważone przez Elem.

- Błagam o zezwolenie na podanie przyczyn. Dowódczym uruketo wytłumaczyła mi to dawno temu, kiedy służyłam w jej załodze. Gdy obserwuję teraz zwierzę, wraca mi pamięć. I enteesenaty nurkujące w wodzie i wydające ostre krzyki. Pora wypływać na morze, z dala od tych mulistych wód, bo to stworzenie musi jeść.

- Jutro. Gdy przeprawimy się na miejsce przyszłego miasta.

- Nie. To za późno. Wypłyniemy teraz z przyływym. Musimy spędzić na morzu dzień czy dwa. To bardzo ważne.

Enge naprężyła mięśnie w oczekiwaniu na moment, w którym Ambalasei rozprawi się siłą z tą nędzniczką sprzeciwiającą się jej woli. Zapomniała jednak, że Ambalasei jest przede wszystkim uczoną.

- Masz oczywiście rację. Upewnij się, czy dobrze sobie podjadło, nim tu z nim wrócisz, bo jest nam potrzebne. A w przyszłości uprzedzaj mnie zawczasu o tych wyprawach po pokarm.

- Rozkazujesz tak, więc posłucham.

- Nasza wyprawa poczeka. Może ta zwłoka będzie pożyteczna. Masz dwa dni na załatwienie tej sprawy. Zejdźmy na brzeg.

- Mam nadzieję, że w tym czasie znajdę odpowiedź. Nie będzie to łatwe, bo uderza w samo sedno naszej wiary.

Gdy zeszły na ląd, Ambalasei stanęła i opadła na swój ogon, poczuła nagle wielkie zmęczenie. Miała teraz za dużo pracy fizycznej, do której nie była przyzwyczajona. Czekać cierpliwie na uczoną, Enge pogрузyła się w rozmyślaniach. Patrzyła na wodę, lecz o mało nie przegapiła ruchów uruketo. Wśród plusków i szarpnięć wyswobodziło się z mułu, potem zawróciło i ruszyło w dół rzeki w ślad za podnieconymi enteesenatami. Ambalasei zamknęła na długo swe oczy, potem je otworzyła i spojrzała jednym na czekającą w milczeniu Enge.

- Pragnienie podpowiedzenia.

- Szacunek dla wielkiej mądrości, napięta uwaga.

- Odwróć sprawę podejmowania-decyzji, spójrz na tę sprawę z innej strony, jeśli mogę zacytować waszą Ugunenapsę. Niech decyzje płyną z dołu, a nie z góry. Jesteście Córami Życia, a więc waszymi podstawowymi zasadami muszą być najważniejsze potrzeby życia. Zaczniemy od jednej z nich. Jedzenie. Czy podążasz jeszcze za moim rozumowaniem?

Enge wyraziła szacunek i zrozumienie.

- Podziwiam jasność twych myśli i sposób ich przekazania.

- To dobrze - bo brzemień całej odpowiedzialności zdaje się spoczywać na mych silnych ramionach. Powtórzenie argumentu. Jedzenie. Gdy już skłonisz je do przyznania, że potrzebują go do życia, spytaj je, jak chcą je zdobywać, zbiorowo czy indywidualnie?

- Wspaniale! - Enge promieniowała potwierdzeniem i entuzjazmem. - Pozwól mi rozwinąć twą myśl. Tak jak w morzu wspólnie polowałyśmy na ławice ryb, tak powinnyśmy czynić z efenburu siostr. Będziemy wszystkie łapać ryby...

- Nie! Żle mnie rozumiałaś. Nie jesteście już młodymi yiliebe w oceanie, lecz Yilanè, które muszą pracować wspólnie dla swego wzajemnego dobra. Musicie wybrać niektóre spośród siebie,

by łowiły ryby dla wszystkich pozostałych, a jedna z rybaczek musi rozkazywać innym w sprawach dotyczących połowów.

- Rozumiem i przyjmuję twą uwagę, ale decyzja będzie trudna, bardzo trudna.

Ambalasei zgodziła się z nią całkowicie.

- Oto historia przetrwania: nic nie jest łatwe. Od tak dawna mamy swe miasta, że zapomnieliśmy, iż kiedyś rywalizowaliśmy na równych warunkach z wszystkimi innymi formami życia. Teraz naginamy je do naszej woli. I lepiej znajdziemy sposób nagięcia twych sióstr, nim przedwcześnie wymrą.

Potrzeba było niemal całego dnia dyskusji, nim siostry doszły do porozumienia. Ambalasei zajmowała się swymi sadzonkami i hodowanymi zwierzętami, wyrażając najwyższy wstręt jedynie wówczas, gdy zerknęła na gadające towarzystwo. Gdy przed wieczorem podeszła do niej Enge, spojrzała na nią z nadzieją i niecierpliwością.

- Czyżbyśmy kiedyś doczekały się ryb?

- Podjęto decyzję w pełni zgodną z naukami Ugunenapsy. Równość we wszystkim, równość w wysiłkach. Dziesięć nas będzie łowiło

ryby przez jakiś czas, bo dziesięć to okrągła liczba wyrażająca sumę palców obu rąk, które wykonują pracę. Pierwsza z dziesięciu pokieruje pozostałymi, będzie wydawała im polecenia w pierwszym dniu. Drugiego dnia rządy przejmie druga z dziesiątki, i tak dalej, aż do dziesiątej, a następnego dnia zostaną zastąpione przez nową dziesiątkę. Będzie się to powtarzało, aż wszystkie obejmą służbę - wtedy dziesiątki dziesiątek dziesiątek dziesiątek zaczną wszystko od początku. Czy nie jest to okrągłe, pełne i zadowalające rozwiązanie?

Ambalasei okazała wstręt i przerażenie.

- Co za brednie! W życiu nie słyszałam większego nonsensu. Cóż złego w wyznaczeniu kierującej-rybaczkami, która wybierze pozostałe? - Dobra. Widzę po twych szaleńczych ruchach, że to nie jest zgodne z Ugunenapsą. Róbcie więc, jak postanowiłyście. Kiedy zaczniecie połowy?

- Zaraz. Jestem pierwsza z dziesiątki. Z radością pójdziemy po żywność dla wszystkich.

Ambalasei patrzyła za oddalającą się Enge dumną i wyprostowaną. To niewiarygodne. Ale zrozumiałe i pojmowalne, gdy raz przyjmie się wiarę, trzeba iść za nią aż do końca - lub ją porzucić. Zaczęła żałować swej wyprawy do królestwa najmroczniejszych filozofii. Delikatnie usunęła zanieczyszczenia z korzeni przesadzanej rośliny. Jakże prawdziwa, jasna i dająca zadowolenie jest biologia w porównaniu z wiarą! Nie zawahała się jednak. Ich odstręcza-jąca filozofia daje biologiczne skutki. Była zdecydowana zbadać je, odkryć przyczyny. Trudno jest przodować w nauce, w inteligencji, w rozsądku. Ambalasei westchnęła radośnie; to brzemie musi nieść.

## ROZDZIAŁ XXIX

- Uwaga i pośpiech, uwaga i pośpiech!

Yilanè powtarzała to niezbornie, jak fargi. Ambalasei podniosła wzrok znad swej pracy, gotowa zaprezentować zgryźliwy nastrój. Spostrzegła jednak, że oblepiona błotem przybyła trzęsie się ze zmartwienia i lęku, tak iż wyraziła tylko żądanie wyjaśnienia--wy tłumaczenia.

- Jedna z nas została ranna podczas połowu. Ugryziona, wiele krwi.

- Czekał - zaprowadzisz mnie do niej.

Ambalasei miała pakunek ze środkami przygotowanymi specjalnie na taki wypadek. Odnalazła go i wręczyła przybyłej.

- Zabierz to - ruszaj.

Przepchały się przez krąg poruszonych Cór i ujrzały klęczącą w błocie Enge, podtrzymującą głowę skrwawionej Yilanè.

- Szybko - przynagliła. - To Efen, najbliższa mi. Przykryłam ranę, by powstrzymać upływ krwi.

Ambalasei spojrzała na przesiąknięty krwią tampon z liści, przyciskany przez Enge do boku rannej.

- Mądre działanie, Enge - powiedziała. - Trzymaj tak dalej, a ja przyniosę jej ulgę.

W koszyku zwijał się i poruszał mały wąż. Ambalasei chwyciła go poniżej głowy i ścisnęła, aż utworzył pysk, wystawiając jeden długi kieł. Wolną ręką wzięła nefmakel i wilgotną dolną stroną oczyściła skórę w pachwinie Efen. Zabieg nie tylko usunął błoto, ale i zniszczył wszystkie bakterie. Odrzuciła stworzenie i nacisnęła wilgotną skórę Efen, by uwydatnić przebiegającą tam tętnicę. Delikatnym ruchem wbiła w nią ostry kieł. Jad połączył się z krwią Efen; po chwili straciła przytomność. Dopiero wtedy Ambalasei odsłoniła ranę.

- Czyste ukąszenie. Wyszarpnęło kawał mięśnia, ale nie ściągnęło do nerwów. Muszę tylko trochę oczyścić ranę.

Oстрыm nożem usunęła poszarpane ciało. Gdy zaczęła znów płynąć krew, rozwinęła większy nefmakel i umieściła go na uszkodzonym miejscu. Zwierzę przylgnęło tam, powstrzymało krwawienie i całkowicie pokryło ranę. - Zabierzcie ją gdzieś, by odpoczęła. Wszystko będzie dobrze.

- Jak zawsze wdzięczność dla Ambalasei - powiedziała Enge, wstając powoli.

- Umyj się - pokrywa cię błoto i krew. Co ją ugryzło?

- To. - Enge wskazała na brzeg. - Zaplątało się w naszą sieć.

Ambalasei odwróciła się i po raz pierwszy w życiu odebrało jej mowę.

Zwierzę żyło jeszcze, rzucało się na ziemi, powalając krzaki i małe drzewa. Wielkie, szare i długie, lecz nie zwijające się. Grube jak fargi, miało długość dwóch, trzech Yilanè - a w wodzie tkwiła większa część wrzecionowatego ciała. Szczęki z wielkimi kościstymi płytkami rozwarte były szeroko, małe, groźne oczy patrzyły bezmyślnie.

- Znalazłyśmy go - powiedziała wreszcie Ambalasei z nie ukrywaną radością. - Widziałyście larwy na środku oceanu. To postać dorosła.

- Węgorz? - Enge wyraziła przerażenie i zrozumienie. - Nowy kontynent Ambalasei jest rzeczywiście lądem wielu niespodzianek.

- Musi być taki - powiedziała Ambalasei, odzyskując ponownie swój normalny pouczający ton, kiedy już minął wstrząs wywołany odkryciem. - Wątpię, byś była w stanie pojąć teorię płyt tektonicznych i dryfu kontynentalnego, dlatego nie będę nią zaprzętała twego umysłu. Zdołasz jednak zrozumieć skutki. Ten ląd łączył się kiedyś z odległym Entoban\*. Wszystkie zwierzęta były takie same. Działo się to wkrótce po pęknięciu jaja czasu. Potem powolne różnicowanie i proces selekcji

naturalnej doprowadziły do znacznych zmian - musiały spowodować duże zmiany gatunków. Przypuszczam, że natkniemy się na ich nowe rodzaje, choć może w mniej dramatycznej sytuacji.

Po kilku dniach Ambalasei wspomniała ze smutkiem te słowa. Okazało się bowiem, że było to najbardziej mylne przypuszczenie, jakie wysunęła w życiu.

Rana Efen goiła się szybko. Dzięki wypadkowi udało się schwytać wielkiego węgorza. Był gigantyczny i bardzo smaczny, wszystkie się nim najadły, a jeszcze wiele zostało. Teraz splotły silniejsze sieci, bardziej uważały przy połowach, miały natomiast zapewnione źródło pożywienia. Zmiękczone przez enzymy mięso stanowiło najlepsze jedzenie, jakie udało im się zdobyć od uwięzienia.

Po powrocie nakarmionego uruketo przepłynęły w nim rzekę na miejsce nowego miasta. Córy bardzo pragnęły je poznać i nie brakowało chętnych do udziału w wyprawie.

- Gdyby tylko zapał do pracy był lepiej rozłożony - mruknęła Ambalasei, wybierając jedynie najsilniejsze i odsyłając pozostałe. Na pokładzie uruketo, mimo sprzeciwów, skierowała wszystkie Yilanè do wnętrza, pozwalając zostać na płetwie jedynie Enge i Elem.

- Zauważcie - nakazała Ambalasei - że wasze siostry unikają prawdziwej pracy, ale zawsze chętnie wybierają się na wycieczkę. Może powinnyście rozważyć jakiś system nagradzania za pracę, skoro nie możecie do niej zmuszać.

- Jest w tym wiele prawdy, jak we wszystkim, co mówisz, i pomyślę nad tym - powiedziała Enge. - Rozumiem i dzielam ich uczucia, lecz wiem także, iż musimy wymyślić jakiś sposób dzielenia się pracą. Prześlę bliżej myśli Ugunenapsy, bo może zajmowała się i takim problemem.

- Śledź szybko, bo padniemy z głodu. Zauważyłaś, jak sędzę, zmiany w waszej organizacji ochotniczych połowów? Pierwsze dziesiątki uważają się za oszukane, bo późniejsze zespoły, łapiące węgorze, nie muszą pracować tak ciężko jak tamte. Żądają już zmiany systemu.

- Wiem - i ubolewam. Poświęcam temu wiele uwagi.

Uruketo pod nimi zadrzało, gdy niezdarne zwierzę omijało płynące rzeką w ich kierunku drzewo. Puszczańskie giganta podtopiła i obaliła powódź. Z ciągle zielonej korony zerwały się stada ptaków. Pod kierunkiem Elem uruketo skręciło ponownie i dobiło do cypla, na którym miało wyrosnąć miasto.

Ambalasei zeszła pierwsza na brzeg. Ziemię pokrywały pożółkłe, zeschłe krzaki, w górze sterczały nagie gałęzie martwego drzewa. Ambalasei wyraziła swe zadowolenie:

- Chrząszcze wkrótce zajmą się pniami i karczami. Każ swoim Cómom zwać niższe gałęzie i małe drzewka. Wrzucajcie wszystko do rzeki. Potem przyjrzymy się zaporze z cierni.

Ambalasei prowadziła, szła wolno w upale. Po drodze musiały zatrzymać się w łagodnym cieniu ogołoczonego drzewa, by ochłonać i iść dalej.

- Gorąco - powiedziała Enge z pewnym trudem, rozwierając szeroko szczęki.

- Niewątpliwie, bo jesteśmy dokładnie na równiku, ale na pewno nie znasz tego terminu geograficznego.

- Miejsce na powierzchni sfery równo oddalone od biegunów oznaczających oś obrotu. - Enge patrzyła na zaporę, tak iż nie zauważyła gestu irytacji Ambalasei. - Próbując zrozumieć dzieła Ugunenapsy przekonałam się, że jej filozofia opiera się częściowo na badaniach z dziedziny nauk przyrodniczych. Poszłam więc za jej wspaniałym przykładem..

- Pójdź za moim wspaniałym przykładem i ruszaj. Musimy mieć całkowitą pewność, że w zaporze nie ma żadnych przerw. Chodź.

Gdy szły wzdłuż ściany płaskich liści i ostrych cierni, Ambalasei sięgnęła między gałązki i zerwała dojrzały strąk, który podała Enge. Po dojściu do rzeki wskazała na przerwę między zaporą a

wodą.

- Zawsze tak jest na styku - powiedziała. - Zasadzę tu więcej nasion, a także nasiona gęstych zarośli ukorzeniających się w wodzie. Przytrzymajcie je.

Stara uczona wyćwiczonym ruchem pazurów jednej nogi wyryła bruzdy w błocie, potem pochyliła się, by sapiąc i narzekając posadzić nasiona.

Enge spojrzała na rzekę, gdzie do głównego nurtu wpadała mała odnoga. Coś się tam ruszało, jakaś wielka ryba. Obserwowała z ciekawością następną, która na chwilę wychyliła się z wody.

- Więcej nasion - powiedziała Ambalasei. - Nagły atak głuchoty - dodała z rozdrażnieniem, gdy obejrzawszy się na Enge zobaczyła, że ta w milczeniu wpatruje się w rzekę. - Co się dzieje? - spytała, gdy ciągle nie otrzymywała odpowiedzi.

- Tam w wodzie, widziałam, teraz zniknęło - Enge powiedziała to z kontrolerami takiej wagi, że Ambalasei natychmiast skierowała wzrok na rzekę, lecz niczego nie dostrzegła.

- Co to było?

Enge odwróciła się ku uczonej z ruchami na wagę życia i śmierci. Zawahała się, nim zaczęła mówić:

- Zamyśliłam się teraz głęboko na widok stworzenia, które zobaczyłam w wodzie. Z żadnym nie można go pomylić. Pierwsze widziałam niewyraźnie, mogło to być coś innego. Ale drugie wystawiło łeb nad wodę. Widziałam je dokładnie, nie popełniłam błędu. To było to.

- Pragnę wyjaśnienia - Ambalasei przerwała gniewnie zapadłe milczenie. Enge pozostawała w milczeniu i bezruchu, wreszcie spojrzała jej głęboko w oczy, po czym powiedziała:

- Doceniam nieprawdopodobieństwo tego, co zaraz powiem, ale się nie pomyliłam. Tam, w nurcie, widziałam młode elininył.

- To niemożliwe. Jesteśmy pierwszymi Yilanè, które tu dotarły; nie wzięłyśmy samców, brak więc jaj do składania, żadne młode nie weszły do morza, nie ma żadnych elininył, które by wyrosły na fargi. Chyba że...

Teraz z kolei Ambalasei zamilkła i zeszywniała, jej mięśnie wyrażały jedynie zarys przypuszczenia. Odezwała się dopiero po dłuższym czasie.

- To nie jest niemożliwe. Mówiąc to myślałam z właściwą każdemu gatunkowi etnocentrycznością. Ponieważ Yilanè zajmują wierzchołek piramidy ekologicznej, zakładamy automatycznie -sama to uczyniłam - że jesteśmy na nim same, że stanowimy specjalny, wyjątkowy przypadek. Czy wiesz, o czym mówię?

- Nie. Osobista nieznajomość pojęć technicznych.

- To zrozumiałe. Wyjaśnię ci. Odległe Entoban\* jak i pozostałe nasze miasta zajmują wszystkie nadające się do zamieszkania tereny między oceanami. Teraz jednak jesteśmy w nowym świecie, w którym rozwijały się i zmieniały formy życia. Nie ma podstaw do przyjmowania, iż nasz gatunek zajmuje wyłącznie Entoban\*. Może być i tutaj.

- A więc - widziałam elininył?

- Niewykluczone. To jedno z możliwych wyjaśnień. Musimy teraz prowadzić obserwacje, by stwierdzić, czy miałaś rację. Jeśli je widziałaś - to według mnie będzie to najważniejsze wydarzenie od rozbicia się jaja czasu. Chodź!

Ambalasei potoczyła się w stronę brzegu i wpadła do rzeki w nadmiarze naukowego zapału. Enge szybko ruszyła za nią, bojąc się, że w mulistych wodach kryć się może coś niebezpiecznego. Prąd był tu wolny, Ambalasei szybko dotarła do odnogi i weszła w jej głąb. Woda sięgała tylko do pasa i stwierdziła, że łatwiej jest iść niż płynąć.

Enge pospieszyła w jej ślady, wyprzedziła starą uczoną. Nad nurtem zwieszały się niskie

gałęzie, a powietrze było gęste i wilgotne, pełne gryzących owadów. Płynąca woda chłodziła je, ale gdy odnoga się rozszerzyła, zanurzyły się pod powierzchnię w ucieczce przed owadami. Brnęły tak w wodzie rozglądając się, mogły sobie przekazywać wyłącznie najprostsze pojęcia, aż wreszcie wyszły na trawiasty brzeg.

- Jesteśmy najwyraźniej na innej wyspie, oddzielonej od naszej odnogą rzeki. Ciepła woda o stałej temperaturze, ale na tyle głęboka, by powstrzymać większe drapieżniki. Jeśli - podkreślam, jeśli - są tu Yilanè, to mają wspaniałe miejsce na plażę narodzin. Woda chroni przed większymi formami życia w nurcie, młode mają też wiele ryb do jedzenia. Łatwy dostęp do rzeki i morza, gdy dorosną i staną się elininył.

- To może być ścieżka - Enge wskazała na ziemię.

- Albo szlak wydeptany przez zwierzęta. Pójdziemy nim.

Enge szła pierwsza, zaczynała żałować tej szaleńczej wyprawy. Były nie uzbrojone, a w dżungli mogło kryć się wszystko.

Ścieżką szło się łatwo. Okrążała szeroki pień drzewa o długich korzeniach sięgających rzeki, prowadziła dalej do piaszczystej plaży otoczonej miękką trawą. Pomyślała natychmiast to samo; doskonale miejsce na plażę narodzin. Coś pluskało się w wodzie, lecz gdy spojrzały tam, już zniknęło, pozostawiając jedynie kręgi na gładkiej powierzchni.

- Czuję się obserwowana - powiedziała Enge.

- Idziemy dalej.

Ścieżka wiodła skrajem plaży i prowadziła do gęstego gaju drzew po drugiej jej stronie. Zatrzymały się tam, próbowały zajrzeć w mrok pod gęstymi liśćmi. Enge uczyniła gwałtowny ruch, podkreślając chęć powrotu.

- Chyba doszliśmy dostatecznie daleko. Musimy wracać do pozostałych. Wrócimy tu lepiej przygotowane.

- Musimy dowiedzieć się czegoś więcej.

Ambalasei powiedziała to stanowczo, wyrażając pierwszeństwo nauki i wyminęła Enge.

Spod drzew wypadło z krzykiem jakieś stworzenie, trzymając między kciukami wielkiego pająka, którego usiłowało wepchnąć w usta Ambalasei.

## ROZDZIAŁ XXX

Zaatakowana niespodziewanie Ambalasei upadła. Enge skoczyła przed nią, wystawiła kciuki i sapiąc z gniewu, krzychała rozkazująco.

- Cofnij się! Przestań! Błędne-działanie!

Napastniczka nie ponowiła ataku, choć nadal trzymała przed sobą pająka. Patrzyła na obie Yilanè z widocznym strachem, potem odwróciła się i uciekła.

- Widziałas ją. - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Widziałam - odparła Ambalasei. - Fizycznie niemal identyczna jak my. Przeciwstawne kciuki trzymające owada. Niższa, bardziej krępa, barwy jasnozielonej, przechodzącej w ciemniejszą na plecach i wzdłuż grzebienia.

- Podziwiam spostrzegawczość. Widziałam tylko postać.

- Trening. Pomyśl teraz! Co to za wspaniałe, niezwykle, naprawdę doniosłe odkrycie. Dla historyczek społecznych i specjalistek biologii.

Enge śledziła dżunglę w obawie przed następnym atakiem, a drugim okiem patrzyła na Ambalasei. Wyraziła niewiedzę i ciekawość. Uczona była wylewna.

- Dla biologii znaczenie jest oczywiste. A ten pająk - czy nie przywodzi ci natychmiast na myśl ściany dziejów? Nie, na pewno. Słuchaj i uważaj. Musisz pamiętać pancerze homarów znajdujące się tam na znak świtu naszej historii, kiedy to podobno Yilanè używały ich do obrony samców. Mamy teraz dowód na prawdziwość tej teorii. Wspaniałe!

- Ale przecież nie widziałam żadnego homara...

- Istota-niewiedzy! Mówię o podobieństwie działania. W morzu broniono by się wywijaniem szczypcami homarów. Na lądzie, jak to widziałyśmy, temu samemu celowi służą jadowite owady.

- Informacja pojęta. Musimy jednak stąd odejść, wrócić do pozostałych, to bardzo niebezpieczne miejsce. Grozi nam śmierć od jadu.

- Bzdura. Straszyla nas tylko w odruchu obronnym. Czyż nie dostrzegalas w jej ruchach zmieszania? Jesteśmy z jej rodzaju -a jednak z innego. Niepewność zagrożenia, potem ucieczka. Muszę się zastanowić nad sposobem nawiązania kontaktu bez płoszenia ich.

- Ambalasei, nie mogę nakazać ci odejścia, nie mogę nalegać. Możemy wrócić tu później z pomocą...

- Odrzucenie. Im więcej nas będzie tym większy wzbudzimy strach. Zostałyśmy ostrzeżone - ale nie napadnięte. Taka jest obecna sytuacja i nie chcę jej zmieniać. Pozostanę tu. Ty idź do rzeki i złap rybę.

Enge mogła jedynie przekazać wątpliwości i zmieszanie.

- Pomyśl - mówiła Ambalasei. - Szczycisz się swą zdolnością rozumowania. Przy ważnych okazjach nadal dokonujemy obrzędu karmienia, musi to być stary obyczaj. Cóż bardziej siostrzanego od dania jedzenia? Dzielenia się żywnością i życiem. Potrzebna jest ryba.

Stara uczona odrzucała gniewnie wszystkie argumenty i próby nalegań, usiadła po prostu wygodnie na ogonie po wydaniu rozkazu--ryba! - i patrzyła w puszcę z gestem powitania i serdeczności. Enge pozostawało jedynie odwrócić się i pójść do rzeki, zanurkować pod jej powierzchnię.

Ujrzała wtedy widok napawający szczęściem Yilanè. Niedojrzałe efenburu płynęło czystą wodą, były to zaledwie elininył, najmłodsze z najmłodszych, takie małe, goniły stadko srebrnych ryb. Przyglądała się im długo, aż ją zauważyły i zawróciły z barwnymi oznakami strachu na dłoniach. Enge uniosła swe ręce okazując, że nie powinny się bać. Nie upokoilo to ich, była zbyt obca, zniknęły



po chwili. Jedna wlokła świeżo złapaną rybę z przegryzionym kręgosłupem, puściła ją w panicznej ucieczce. Enge podплыnęła ku rybie i wróciła z łupem na brzeg.

Ambalasei spojrzała podejrzliwie na małą rybę. - Pośpiech w połowie kończy się małym łupem - powiedziała.

- Nie złapałam jej. Zaskoczyłam niedojrzałe efenburu, przeszkodziłam im w posiłku. Były niezmiernie pociągające.

- Niewątpliwie. Ryba musi wystarczyć. Zostań tu, gdy pójdę w las.

- Możesz rozkazywać i tak nie posłucham. Pójdę za tobą, potem wyprzedzę cię, by pomóc w razie niebezpieczeństwa.

Ambalasei zaczęła protestować, ale zrozumiała, że będzie to tylko strata sił i wyraziła niechętną zgodę.

- Co najmniej pięć kroków za mną. Ruszamy. Trzymając przed sobą drobną rybę szła powoli ścieżką, stanęła przed wejściem do gaju.

- Ryba, smaczna, miła, przyjaźń - powiedziała głośno, lecz serdecznie. Potem usiadła powoli na ogonie, trzymając rybę nadal przed sobą i powtarzała powitanie. W mroku coś się poruszyło; starała się, jak mogła, w najprostszy sposób przekazać ciepło i przyjaźń.

Liście rozstąpiły się i obca wyszła z wahaniem. Przez chwilę przyglądały się sobie w milczeniu, Ambalasei ze spostrzegawczością uczonej. Wszelkie różnice były nieznaczące. Wzrost, budowa, barwa skóry. Co najwyżej podgatunek. Pochyliła się wolno i położyła rybę na trawie, potem wstała i cofnęła bez pośpiechu.

- Jest twoja. Dar przyjaźni. Weź i jedz. Weź, jest twoja.

Tamta wyglądała na zmieszaną, odeszła o krok i otworzyła usta z brakiem zrozumienia. Ambalasei zauważyła wspaniałe uzębienie. Musi mówić prościej.

- Ryba-jedzenie - powiedziała, używając najprostszych wyrażań, wyłącznie gestów i zmian barw dłoni. Tamta uniosła rękę.

- Ryba - stwierdziła barwami. Nachyliła się, chwyciła dar i znikła im z oczu.

- Doskonały pierwszy kontakt - powiedziała Ambalasei. - Na dziś wystarczy, zmęczyłam się. Wracamy. Czy widziałas, co powiedziała?

Z Enge biło podniecenie.

- Widziałam, to było wspaniałe! Jest taka teoria mowy, która zakłada, że nauczyłyśmy się języka w oceanie, w pierw miał on charakter gestów, potem zaczął się wzbogacać i werbalizować.

- Ma to sens biologiczny. Komunikacja niewerbalna wydaje się panować powszechnie w morzu. Gdy nasze gatunki się rozdzieliły, musiała już istnieć mowa barw, bo inaczej nie porozumiałybyśmy się teraz. Pytanie brzmi, to Yilanè czy yilibè? Czy znają wyłącznie prymitywne znaki? Muszę się dowiedzieć. Czeka nas w związku z tym wiele pracy.

Enge była równie rozentuzjasmowana.

- Takiej okazji nie było dotąd nigdy! Co za radość. Długo badałam mowę i nie mogę się doczekać kontynuacji.

- Cieszę się słysząc, że interesuje cię coś oprócz filozofowania o życiu-śmierci. Wspomożesz moje badania, bo wymagają wielkiego wysiłku.

Wróciły nad brzeg, lecz teraz niechętnie wchodziły do wody. Gdy minęło podniecenie, stały się w pełni świadome kryjących się pod powierzchnią niebezpieczeństw. Zbliżając się do zapory, starały trzymać się płycizny. Umazane błotem, brudne, szły przez zeszlą roślinność. Córy Życia zebrały się, rozmawiając przy uruketo. Ambalasei patrzyła na nie z rosnącym gniewem.

- Nic nie zrobiły! Żadnego usprawiedliwienia dla gnuśności-lenistwa-nieprzydatności.

Enge również wyraziła niezadowolenie, aż stojąca w środku Sat-sat poprosiła o zgodę na wyjaśnienia.

- Far< poprosiła o możliwości przemówienia do nas wszystkich. Zgodziłyśmy się oczywiście, bo jest głęboką myślicielką. Teraz dyskutujemy nad jej słowami...

- Niech mówi sama! - powiedziała Ambalasei z rosnącym niesmakiem. - Która to Córa Gadania, Far<?

Enge wskazała na szczupłą Yilanè o wielkich, głębokich oczach, analizującą ciągle myśli Ugunenapsy. Skinęła wszystkim, by uważały i zaczęła mówić:

- Ugunenapsa powiedziała, że...

- Milcz! - rozkazała Ambalasei w najbanalniejszy sposób, jak najwyższa do najniższej fargi. Far< pokraśniała z obrazy. - O wiele za długo słuchałyśmy słów Ugunenapsy. Pytałam, dlaczego przerwałaś prace?

- Nie przerwałam, zaproponowałam to tylko. Wszystkie przybyłyśmy na miejsce pracy z własnej woli, ale rozkazujesz nam, mówisz, co mamy robić, nie pytając, jak i dlaczego chcemy pracować, robisz to brutalnie i władczo jak wydająca polecenia eistaa. My jednak nie przyjmujemy rozkazów. Pokonałyśmy zbyt daleką drogę, cierpiałymy za bardzo za naszą wiarę, by porzucić ją teraz. Jesteśmy ci oczywiście wdzięczne, ale wdzięczność nie oznacza służalczości. Jak powiedziała Ugunenapsa...

Ambalasei nie słuchała teraz, co powiedziała Ugunenapsa, ale odwróciła się ku Enge z gestami pilnej uwagi.

- To koniec mojej cierpliwości, koniec pomocy. Wiem dokładnie, co należy robić; twoje Córy Głupoty nie potrafią nic poza prowadzeniem sporów. Mam dość, chyba że przekonasz je szybko, iż muszą zmienić postępowanie. Bez moich rad szybko zginiecie i zaczynani myśleć, że będzie to dla mnie bardzo szczęśliwy dzień. Idę teraz na uruketo, by się oczyścić, najeść, napić i uspokoić myśli. Gdy wrócę, powiesz też, jak będzie przebiegała współpraca. Teraz - cicho, póki nie zniknę wam z oczu. Nie chcę słyszeć ani słowa z waszej dyskusji, nie chcę też więcej słyszeć wypowiedzanego w mojej obecności imienia Ugunenapsy, chyba że na to pozwolę.

Wyrażając każdym swym ruchem gniew i zdecydowanie, odwróciła się i odeszła w stronę uruketo, zostawiając na błocie odciski swych pazurów. Po opłukaniu się w rzece wspięła się na zwierzę i usiadła w cieniu płetwy, wołając o uwagę. Z wnętrza płetwy wyszła Elem i spojrzała w górę.

- Jedzenia i wody - nakazała Ambalasei. - Szybkość dostarczenia. Pośpiech.

Elem sama przyniosła posiłek, bo szanowała uczoną za jej wielką inteligencję, wybaczała jej wszelkie obraźliwe słowa, będąc wdzięczną za czerpaną wiedzę. Ambalasei dostrzegła to w ruchach ciała i zmiękła.

- Twoje zainteresowania naukowe są o wiele silniejsze niż skłonności filozoficzne - powiedziała. - Jesteś przez to lepsza i znoszę twą obecność.

- Miłe uwagi wyższej równe są ciepłym promieniom słońca.

- A ty jesteś Yilanè o uprzejmej mowie. Przyłącz się do posiłku i posłuchaj o odkryciu naukowym o niewyobrażalnym znaczeniu.

Opowieść trwała długo, bo Elem była wdzięczną słuchaczką. Słońce chyliło się już, gdy Ambalasei skończyła i wróciła na brzeg. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła ku swemu zadowoleniu, były Córy trudzące się nad usuwaniem zeschłego poszycia. Enge położyła naręcze chrustu i obróciła się w stronę uczonej, starannie dobierając słów, by przestrzegać zakazu wspominania imienia Ugunenapsy.

- Rozważyliśmy pracę tutaj w świetle naszej wiary. Podjęliśmy decyzję. Musimy żyć, bo jesteśmy Córami Życia. Aby żyć, potrzebujemy miasta. Miasto musi wyrosnąć. Tylko ty potrafisz to sprawić.

Aby miasto wyrosło, przestrzegać będziemy twoich wskazówek, bo musimy to robić, by żyć. Dlatego teraz pracujemy.

- Widzę. Ale robicie to teraz, jak sama powiedziałaś. Gdy miasto wyrośnie, przestaniecie wypełniać moje rozkazy?

- Nie rozważyłam wszystkich wniosków sięgających tak daleko -powiedziała Enge, próbując się wykręcić od zobowiązań.

- Pomyśl. Mów.

Musiła kontynuować, choć z wielką niechęcią.

- Uważam, że po wyrośnięciu miasta Córy przestaną przestrzegać twych rozkazów.

- Nie sądzę. Chciałabym widzieć inną ich przyszłość aniżeli pewna śmierć. Tymczasowo dla mej własnej wygody przyjmuję tę słabą i rozczarowującą ugodę. Mamy tu teraz za wiele ważnych rzeczy do wykonania, by wdawać się w dalsze spory. Uniosła dłoń i pokazała wielki kawał galaretowatego mięsa, trzymany między kciukami. - Wracam do dżungli na dalsze rozmowy z tymi, które spotkałyśmy. Czy pójdziesz ze mną?

- Z najwyższą przyjemnością i radością-z-jutra. To będzie bogate miasto, bogate życiem i osiągnięciami naukowymi.

- Osiągnięciami naukowymi tak, nie widzę jednak wygodnego życia dla twoich Cór Niezgody, wyznawczyń tej-która-jest-bezimienna. Myślę, że wasza teoria życia spowoduje kiedyś waszą śmierć.

*Imarne qiviot ikagpularpot takuguvsetame.*

## POWIEDZENIE PARAMUTANÓW

Na morzu jest więcej ścieżek niż  
w puszczy.

## ROZDZIAŁ XXXI

Armun dręczyły oczekiwanie i brak pewności. Początkowo wszystko szło dobrze; gdy postanowili porzucić obozowisko nad jeziorem, nie wahała się już ani przez chwilę. To ona była stroną silniejszą, ciągle przypominała Kerrickowi, iż podjął słuszną decyzję, jedyną możliwą. Gdy tylko spostrzegła, że siedzi smutny i zmartwiony, cierpliwie po raz kolejny przytaczała mu wszystkie powody skłaniające do odejścia. Nie mają innego wyjścia. Muszą wyruszyć.

Amwheet, o którego oboje najbardziej się martwili, zdawał się w ogóle nie przejmować. Nigdy dotąd nie rozstawał się z matką i nie potrafił zrozumieć co to oznacza. Darras, której wreszcie minęły nocne koszmary, bała się zmiany i ciągle płakała. Ortnarowi wszystko było obojętne, a Harl nie mógł się doczekać ich odejścia. Cieszył się, że stanie się wówczas jedynym łowcą, wyłącznym dostarczycielem żywności.

Obaj Yilanè byli przekonani, że zbliża się ich koniec. Imehei układał swą pieśń śmierci. Nadaske postanowił zginąć w walce i nigdy nie rozstawał się z hesotsanam. Kerrick rozumiał te obawy, choć ich nie podzielał. Obie połowy jego sammadu doszły do pewnego porozumienia i liczył, że będzie tak dalej. Nie trzeba niczego zmieniać. Yilanè łapali w jeziorze ryby i skorupiaki, o świcie zastawiali w nim pułapki i sieci, ale byli słabymi myśliwymi. W pewnej chwili doszło do wymiany ryb na mięso, z której wszyscy byli zadowoleni. Amwheet, jedyny przyjmowny ufnie w obu obozach, zajmował się tą wymianą, dumnie dźwigał ciężkie pakunki. Samce będą bezpieczne - wszyscy będą bezpieczni, o ile nie zostaną wykryci.

Po opuszczeniu obozowiska wszystko szło łatwo. Pozostawili liczne obowiązki i troski, mogli zajmować się sobą, radować odzyskaną swobodą i bliskością. Często wędrowali w letnim słońcu, trzymając się za ręce. Nie postępowaliby tak żaden prawdziwy łowca, który na szlaku jest zawsze milczący i czujny, lecz Armun dawało to wiele szczęścia.

Trwało tak przez pierwsze dni, lecz teraz wykańczało ich czekanie w obozowisku nad zatoką, gdzie ciągle wpatrywali się w pusty ocean. Kerrick był coraz częściej ponury i zachmurzony, siedział z wzrokiem utkwionym w morzu, czekając, aż pojawi się ikkergak Paramutanów. Siedział tak i nie polował; jedzenie niemal się im skończyło, lecz nie wydawał się tym zmartwiony. Armun wiedziała, że lepiej nie odzywać się do niego, gdy jest w takim nastroju; może powiedziec mu za dużo lub za mało - trzymała się więc na uboczu, szukała korzonków i roślin, stanowiących teraz główną część ich posiłków.

Było już po południu i koszyk Armun nie był wypełniony nawet w połowie, gdy usłyszała, że Kerrick woła ją zza drzew. Coś się stało! Strach minął jednak, gdy usłyszała podniecenie w jego okrzykach. Pobieгла na brzeg, odpowiadając na wołanie, i spotkali się na polance porośniętej wysoką trawą i żółtymi kwiatami.

- Są, Paramutanie, zbliżają się do plaży!

Chwycił ją i okręcił, aż oboje upadli, przewracając koszyk. Napełniali go wspólnie, gdy naraz złapał ją znowu i położył w wysokiej trawie.

- Nie teraz - powiedziała łagodnie - jeszcze odpłyną bez nas.

Gdy wyszli nad małą zatokę, czarny ikkergak z opuszczonym żaglem kołysał się na falach blisko brzegu. Podbiegli do niego, machając rękoma i krzycząc; pomocne dłonie wciągnęły ich na pokład. Była tam Angajorqaq, siedziała z szeroko rozwartymi oczyma, jej twarz pokryta gładką sierścią wyrażała smutek, ręce przyciskała do ust.

- Sami - lamentowała. - Dwaj chłopcy - zginęli... Armun usiłowała ją uspokoić, gdy podszedł do nich Kalaleq, niosąc na powitanie kawałki zgniętego mięsa.

- Jedzcie, bądźcie szczęśliwi, jest wiele rzeczy do opowiedzenia... - Kerrick powstrzymał go uniesioną dłonią.

- Powoli, proszę... słabo rozumiem.

Zapomniał tej odrobiny języka, której nauczył się podczas zimy; przywołał Armun, która tłumaczyła zalew słów.

- Odeszli - cała reszta Paramutanów, za ocean, do miejsca, które zwie się Allanivok. Ten ikkergak wyrusza ostatni. Znaleźli stado ularuaqow i dobry brzeg, na którym mogą się osiedlić. Nie wiem, co znaczy słowo ćwiartować. Zabrali wszystko, małe łodzie, paukaruty, dzieci, wszystko. - Mówiła o tym ze strachem.

- Jak sądzisz, czy jeśli popłyniemy z nimi, to będziemy mogli tu wrócić? Zapytaj go o to teraz.

- To długa wyprawa - powiedział Kalaleq. - Spodoba się wam tam - nie będziecie chcieli wracać.

- Zakuty łeb, zaślepione oczy! - powiedziała głośno Angajorqaq, uderzając go pięścią w pokrytą brunatną sierścią rękę. Nie był to silny cios, miał na celu wyłącznie podkreślenie znaczenia jej dalszych słów. - Powiedz Armun, że jeśli zechce tu wrócić, przywieziesz ją. Chyba nie chcesz rozdzielić jej na całe życie z pierworodnym synem?

Kalaleq uśmiechnął się i uderzył w czoło na znak zrozumienia.

- Oczywiście, łatwy rejs, popłyniemy, kiedy zechcesz, nie jest to trudne dla kogoś znającego się na wiatrach i morzu.

Gdy już przywitali się ze wszystkimi na pokładzie, zaczęto mówić, że być może, jest to dobry dzień na wyruszenie do Allanivok. Mogą odpływać zaraz, nic ich nie zatrzymuje. Mając oboje Tanu na pokładzie nie pozostało im już nic do roboty po tej stronie oceanu. Po podjęciu decyzji, z typowym dla Paramutanów entuzjazmem, zabrali się do wcielania jej w życie. Zabrali na brzeg wszystkie bukłaki, wypłukali je i napełnili wodą z potoku. Gdy tylko znaleźli się z powrotem na pokładzie, odbili od brzegu i wykręcili ikkergak, by złapać wiatr. Naprężyły się liny żagla, rozpoczęła się podróż. Wybrali kurs północno-wschodni, tak iż wolno oddalili się od brzegu. Ład nikał powoli i przed nocą stracili go z oczu. Gdy słońce zapadło pod horyzont, zostali sami na oceanie.

Kołysanie ikkergaka sprawiło, iż oboje Tanu zwrócili morzu ofiarowane im podgniłe mięso i tłusty tran; męczyła ich choroba morska. Po skończonym posiłku większość Paramutanów wpełzła pod osłonę na dziobie i zasnęła. Noc była ciepła, a powietrze świeże, dlatego Armun i Kerrick zostali na pokładzie.

- Czy wiesz, ile czasu zajmie przepłynięcie oceanu? - spytał Kerrick. Armun roześmiała się.

- Pytałam Kalaleq. Powiedział, że wiele dni. Albo słabo liczą, albo nie dbają o czas.

- I jedno, i drugie. Nie wyglądają wcale na zmartwionych, mimo że są tak daleko od brzegu. Jak znajdują drogę, nie obawiasz się, że płyną w kółko?

Jakby w odpowiedzi na te pytania Kalaleq stanął obok masztu i trzymając go jedną ręką kołysał się wraz z nim na łagodnych falach. Nie było księżyca, lecz w świetle jasnych gwiazd widać było wyraźnie jego sylwetkę. Wyciągnął coś w stronę nieba i spojrzał na to, potem krzyknął wskazówki sternikowi, który pociągnął za wiosło sterowe. Żagiel lekko załopotał, więc Kalaleq poluzował węzły, naciągnął jedne liny i popuścił inne, aż żagiel znowu wypełnił się wiatrem. Gdy skończył to robić, Armun zawołała go i zapytała, dlaczego patrzył w gwiazdy.

- Szukałem drogi do paukarutów - powiedział z pewną dumą. - Pokazują ją gwiazdy.

- Jak?

- Poprzez to.

Podał im ramkę z kości. Kerrick przyglądał się jej, wreszcie pokręcił głową i oddał.

- Nic mi to nie mówi, dla mnie to tylko cztery kości połączone na rogach, tak iż tworzą kwadrat.

- Tak, masz oczywiście rację - przytaknął Kalaleq. - Ale połączył je Nanuaq, stojąc między paukarutami na brzegu Allanivoka. Tak to zrobił. To ważna wiedza tajemna, którą wam teraz zdradzę. Widzicie tamtą gwiazdę?

Przy wielu okrzykach i pokazywaniu palcami doszli wreszcie do tego, o jaką gwiazdę chodzi. Kerrick słabo znał się na niebie, to Armun ją rozpoznała.

- To Oko Ermanpadara, tyle wiem. Wszystkie inne gwiazdy są tharmami dzielnych, zmarłych łowców. Każdej nocy wkraczają na wschodzie na niebo, wznoszą się ponad naszymi głowami i idą na spoczynek na zachodzie. Kroczą razem jak wielkie stado saren dogłądane przez Ermanpadara, który nie porusza się wraz z nimi.

Stoi tam na północy i patrzy, a ta gwiazda jest jego okiem. Tkwi w miejscu, zaś wszystkie inne gwiazdy wędrują.

- Nigdy tego nie zauważyłem.

- Przypatrz się. dzisiaj, a zauważysz.

- Ale w jaki sposób pomaga to nam odnaleźć drogę?

Wywołało to dalsze objaśnienia Kalaleq, który mówił głośno, myśląc, iż Kerrick dlatego nie rozumie Paramutanów, że jest głuchy, sądził, że jeśli wrzaśnie do niego dostatecznie mocno, to na pewno zrozumie. Przy pomocy Armun wyjaśnił działanie ramki.

- Ta gruba kość musi być na dole. Trzeba trzymać ją przed oczami i patrzeć wzdłuż niej na miejsce zetknięcia wody z niebem. Pochylaj ją w górę i w dół, aż nie będzie widać jej długości, lecz jedynie okrągły otwór. Potem - pamiętaj, że musisz cały czas trzymać ją dokładnie tak samo - spójrz szybko w górę wzdłuż tej kości, kości Allanivok, i zerknij na gwiazdę. Musisz celować w nią dokładnie. Spróbuj.

Kerrick mozolił się z ramką, zerkał i mrużył oczy, aż zaszyły łzami.

- Nie potrafię - stwierdził w końcu. - Gdy kieruję tę kość na horyzont, tamta wskazuje powyżej gwiazdy.

Usłyszawszy to Kalaleq krzyknął radośnie i zawołał innych Paramutanów, by zobaczyli jak szybko, już po jednym dniu od wyruszenia Kerrick nauczył się prowadzić ikkergak. Kerrick nie pojmował skąd to poruszenie, był przekonany, że nic mu nie wychodziło.

- Masz rację - upierał się Kalaleq. - To ikkergak się myli. Jesteśmy za bardzo na południu. Przekonasz się wkrótce, że gdy znajdziemy się dalej na północ, kość wskaże na gwiazdę.

- Powiedziałeś przecież, że ta gwiazda nie porusza się jak inne?

Kalaleq dostał napadu śmiechu, aż się zataczał. Dopiero po jakimś czasie mógł dalej tłumaczyć Kerrickowi. Okazało się, że gwiazda stoi w miejscu, gdy statek się nie porusza. Gdy płynie na północ gwiazda wznosi się na niebie, przy rejsie na południe - obniża. Oznacza to, że patrząc z każdego miejsca na Ziemi, gwiazda ma inną pozycję. Dzięki temu można odnajdować drogę. Kerrick nie był pewny, czy to rozumiał i zasnął, zastanawiając się nad tym wszystkim.

Choć Kerrick i Armun czuli się trochę nieswojo od kołysania, wznoszenia się i opadania łodzi, to po kilku dniach przestali chorować. Jedli niewiele tłuszczu i mięsa, lecz wypijali cały wydzielany im starannie na cały dzień przydział wody. Pomagali łapać ryby, bo świeżo wyciśnięty z nich sok zaspokajał pragnienie jeszcze lepiej niż woda.

Kerrick każdego wieczoru zajmował się kościaną ramką i widział, że obserwowana gwiazda wznosi się wyraźnie na niebie. Pewnego dnia Kalaleq zawołał radośnie po pomiarach, wszyscy po kolei patrzyli wzdłuż kości, aż orzekli, iż wskazuje jednocześnie na horyzont i na gwiazdę. Zmienili

wtedy kurs na wschodni i ustawili w innej pozycji żagiel. Kalaleq spośród swych rzeczy wyciągnął większą ramkę z wieloma kośćcami, którą Kerrick widział już wcześniej.

- Jesteśmy tutaj - powiedział z dumą, wskazując na jedną z bocznych kości. Prowadził po niej palcem w prawo, aż doszedł do innej, krzyżującej się z poprzednią. - Popłyniemy tędy i znajdziemy się tam - w Allanivok. To łatwe.

- Można to nazwać rozmaicie, ale nie łatwe - powiedział Kerrick, obracając w dłoniach skomplikowaną plecionkę. Potem coś mu się przypomniało. - Armun, mapy murgu. Mam je w torbie. Powiedz Kalaleqowi, czym one są, a ja ich poszukam.

- Ale - czym są?

- Wy tłumacz mu, choć to trudne. Powiedz, że murgu przepływają ocean w swych wielkich rybach. Korzystają przy tym z płaskich rzeczy mających kolorowe linie, które pokazują im drogę. Nie mam pojęcia, jak ich używać, może on coś zrozumie.

Wszyscy Paramutanie zebrali się wokół Kalaleqa i podziwiali mapy. Stojący z tyłu prosili o ich opisanie. Najpierw zachwycali się tylko barwami i wzorami, przypatrywali się im dokładnie. Szczególne wrażenie zrobiło na nich to, że ślinienie czy drapanie paznokciami nie szkodziło liniom, tkwiły one bez zmian w mocnej, na wół przezroczystej substancji. Kalaleq poczekał, aż wszyscy przyjrzeni się mapie, potem przyklęknął i zbadał dokładnie wszystkie jej szczegóły.

Jeszcze tego samego dnia zaczął wzmagać się wiatr, pędził przed sobą czarne chmury. Zdarzały się już przedtem szkwały i deszcze, ale to wyglądało na prawdziwy sztorm. Kerrick wpatrywał się w niebo z drżeniem, ale Paramutanie byli radośnie poruszeni, zaczęli wyciągać coś z głębi łodzi. Gdy ogarnął ich sztorm i lunął deszcz, rozpostarli wielką płachtę skóry, trzymając ją za brzegi łapali deszczówkę. Wiatr szarpał płachtę, próbował ją wyrwać z rąk, gdy tymczasem błyskały pioruny i huczały gromy. Była to ciężka praca, ale warta trudu, bo nim minął sztorm napelnili wodą trzy bukłaki; wszyscy też napili się do syta.

Po sztormie oziębiło się, chmury niemal zawsze zasłaniały niebo. Choroba morska Kerricka przeszła w stały, słaby niepokój, tak iż mógł z całą energią poświęcić się nauce angurpiaqu, języka Paramutanów. Armun mu pomagała, podpowiadała słowa, gdy miał trudności, choć starał się jak najczęściej rozmawiać samodzielnie z Paramutanami. Nie miał z tym kłopotów, bo byli wielkimi gadułami, mówili do siebie, nawet, gdy nikt ich nie słuchał. Czas mijał mu szybko, aż pewnego ranka obudził się wśród ogólnego zamieszania. Wszyscy wpatrywali się w dwa ptaki lecące nad nimi, czerwone od porannej zorzy. Kerrick nie rozumiał powodu podniecenia, dopóki nie wyjawili go Kalaleq.

- Tam jest ląd - nie może być daleko!

Odtąd wszyscy tkwili przy burcie i wpatrywali się w wodę, aż jedna z kobiet wrzasnęła i o mało nie wypadła. Dwaj Paramutanie chwycili ją za nogi, a trzeci za ogon, który wyszedł spod skóry, gdy runęła głową w ocean. Wyciągnęli ją mokrą i uśmiechniętą -trzymającą w ręku pasmo wodorostów.

- Rosną tylko w pobliżu brzegu - zawołała radośnie, ściskając zielone łodygi rośliny.

Do brzegu było jeszcze jednak daleko. Napotkali sztormy i przeciwne wiatry, aż wreszcie zaniepokojeni Paramutanie spuścili żagiel i rzucili na wodę jedną z mniejszych łodzi. Przywiązali ją do dziobu ikkergaka splecioną ze skór liną i po kolei, we czwórkę, mężczyźni i kobiety, zasiadali do wiosł. Nie ominęło to Armun i Kerricka, którzy dysząc i splywając potem ciągnęli wielki ikkergak w ślimaczym tempie po spokojnej wodzie. Ucieszyli się jak wszyscy inni, gdy powiało słabo z zachodu i przy licznych okrzykach radości wciągnięto łódkę na pokład i ponownie rozpostarto żagiel.

Następnego dnia, tuż przed zmierzchem, ktoś dostrzegł przed nimi na horyzoncie ciemną linię.



Spierano się długo i głośno, czy jest to ląd, czy chmura, aż przy radosnych okrzykach przekonali się, że widzą jednak ziemię. Opuszczono żagiel i wyrzucono za rufę długą linę, która miała zapobiec znoszeniu przez fale.

Gdy przebudzili się o świcie, ujrzeli słońce wznoszące się nad porośniętymi lasem wzgórzami, które przez noc znacznie się przybliżyły. Kalaleq wszedł na maszt, wypatrując na brzegu znajomych miejsc, aż wreszcie krzyknął i wskazał na małe, ledwo widoczne wysepki leżące na północy. Skręcili ku nim, w porannej bryzie płynęli szybko. Przed południem minęli wyspy i ujrzeli za nimi, przy piaszczystej plaży, okrągłe czarne półkule paukarutów.

- Allanivok! - krzyknął ktoś i wszyscy Paramutanie przyłączyli się do radosnej wrzawy.

- Puszczaj i poszycie - powiedział Kerrick. - Łowy powinny być tu dobre. Ziemia bez murgu, żaden Paramutanin ich nie widział. To może być miejsce dla nas. Może zapomnimy tu o murgu, nigdy już o nich nie pomyślimy.

Armun stała cicho, nie znajdowała słów radości i niepokoju. Wiedziała, że nigdy nie opuszczą ich wspomnienia o sammadach i ścigających je murgu. Nie rozmawiali o tym dawno, ale poznawała po twarzy Kerricka, że myślał o nich stale. Oni może i będą bezpieczni. Ale co z pozostałymi?

## ROZDZIAŁ XXXII

Jak zawsze u Paramutanów, ich przybycie było okazją do radosnych krzyków, śmiechów i uctowania. Gorliwe ręce wyciągaty ikkergak na plażę obok innych łodzi, przy chichotach i wzajemnym przeszkadzaniu sobie rozładowano go, racząc się przy tym resztkami zapasów. Zostały szybko zjedzone, mięso po tylu dniach na morzu było mocno zgniłe i dlatego bardzo im wszystkim smakowało. Armun pomagała innym kobietom, ale Kerrick chciał jak najprędzej ujrzeć nowy ląd, wiedział też, że nie na wiele się przyda przy stawianiu paukarutu Kalaleqa. Wziął łuk, włócznię, i poszedł między paukarutami w stronę porośniętych drzewami wzgórz. Po wielu dniach spędzonych w ikkergaku cieszył się, że jest znowu na twardej ziemi, choć czasami zdawała mu się kolebać pod nogami. Gdy doszedł do drzew, odetchnął głęboko zapachem ich liści. To dobry kraj.

Mroźne zimy docierały jednak i tutaj. Był środek lata, lecz w głębokich jarach nadal leżał śnieg. Na drzewach siedziały krzykliwe ptaki, lecz nie znajdował śladów większych zwierząt. Może dostrzegłby je lepszy łowca, sam jednak nie mógł nic natrafić. Zmęczył się też szybko, bo po tylu dniach w morzu odwykł od długiego chodzenia. Mimo to czuł się bardzo dobrze na stałym lądzie i szedł dalej, nie zważając na znużenie. Wąchał powietrze. Wiatr niósł zapachy lasu, gleby, trawy - i słaby odór padliny. W pewnym momencie przyniósł także nieznaną mu odgłos.

Kerrick stanął bez ruchu, potem pochylił się powoli i położył włócznię na ziemi. Podniósł ją dopiero po umieszczeniu strzały na cięciwie. Dalej szedł cicho, z przygotowania w obu rękach bronią. Niepokojący odgłos stał się głośniejszy i ujrzał, że przed nim, na polanie, coś się rusza. Powoli trzymając się cienia, posuwał się naprzód, aż nagle stanął zdumiony.

Na ziemi leżała sarna, rozdarta i krwawiąca, ale nigdy dotąd nie widział stworzenia tak łapczywie rwącego zdobycz. Było wysokie, szczupłe, pochylone tak, że głowa kryła się we wnętrzościach. Potem wyprostowało się, ciągnąc kawałek mięsa. Zakrwawiony łeb i dziób, bystre oczy, jakieś murgu. Nie - to ptak! Wyższy od niego, z nogami grubszymi niż u człowieka, małymi skrzydłami. Kerrick musiał się poruszyć, bo padlinożerca zobaczył go, puścił kęs i zaczął ochryple krzyczeć machając skrzydłami. Łowca rzucił włócznię i unósł łuk, naciągnął szybko cięciwę i wypuścił strzałę.

Chybił haniebnie. Ptak dalej stał skrzecząc, a Kerrick chwycił za włócznię i cofnął się powoli pod osłonę drzew. Któregoś dnia wytropi i zabije jedno z tych stworzeń. Gdy cofając się, stracił je z oczu, odwrócił się i poszedł z powrotem nad brzeg.

Ich paukarut już stał i Kalaleq siedział przed nim na słońcu, trzymając na kolanach rozpostartą mapę Yilanè. Uśmiechnął się, ujrzawszy Kerricka, i machnął ku niemu arkuszem.

- Coś łapię, wkrótce to zrozumieję. Już sporo wiem. Widzisz tę zieleń, przypominającą łuski - czy wiesz, co oznacza? Ocean. Niedługo zrozumieję więcej.

Na odgłos ich rozmowy z namiotu wyszła Armun. Opowiedział jej o lesie i spotkaniu z wielkim ptakiem.

- To nowy ląd, musimy więc liczyć się z nowymi rzeczami - powiedziała z naturalnym spokojem. - Muszę pójść tam i sama zobaczyć. Będą tu rośliny i krzewy, o których nic nie wiesz. Jeśli wie się, jak szukać, zawsze w lesie znajdzie się coś do zjedzenia.

- Będą też niebezpieczeństwa. Nie idź sama. Musimy chodzić razem.

Gdy to powiedział, zmieniła się na twarzy. Chwyciła Kerricka za ramię, jakby chcąc go zatrzymać.

- Czekali tylko na przybycie naszego ikkergaka, by ruszyć na północ i polować na ularuaqa. Idą tylko dorośli mężczyźni, w obozie zostaną nawet podrośnięci chłopcy. Te łowy uważają za

najważniejsze.

Ujrzał jej posmutniałą twarz, strach w oczach.

- Co się stało?

- Chcą, byś poszedł z nimi.

- Nie muszę.

- Są pewni, że zaproszenie cię ucieszy. To wielki zaszczyt i spodziewają się twojej zgody. Nie chcę jednak, byś mnie opuszczał.

Rozumiał jej uczucia, zbyt długo byli rozdzieleni. Próbował ją uspokoić, zagłuszyć własny niepokój.

- To nie potrwa długo, jak każde polowanie. Zobaczysz.

Po ostatnim rejsie Kerrick nie miał najmniejszej ochoty patrzeć nawet na morze. Nie mógł jednak wykręcić się od wyprawy. Chłopcy patrzyli na niego z zazdrością, a kobiety klepały go, gdy przechodził, bo dotknięcie kogoś udającego się po raz pierwszy na ularuaq przynosi szczęście. Resztę dnia wypełniło przygotowanie ikkergaków, w nocy zaś dojadano stare mięso, bo wiadano, iż wrócą z nowymi zapasami.

Wyruszyli rankiem; Armun została w paukarucie, nie chciała patrzeć, jak odpływają, wyszła dopiero wtedy, gdy mała flota była jedynie plamką na horyzoncie.

Żeglowali prosto na północ i Kalaleq, oddając się właściwemu Paramutanom gadulstwu, szybko wytłumaczył Kerrickowi, dlaczego to robią.

- Łód, płyniemy do lodu, tam są ularuaqi.

Kerrick nie mógł zrozumieć, dlaczego te stworzenia trzymają się mrozów i lodów północy, bo Kalaleq użył słowa, jakiego nigdy dotąd nie słyszał. Pozostało mu jedynie mieć nadzieję, że gdy dotrą do celu, wszystko się wyjaśni.

Przebywali na morzu wiele dni, aż wreszcie w oddali ukazała się biała kreska lodu. Wśród okrzyków podniecenia podpłynęli bliżej, aż pod samą zamrożoną ścianę. Biły o nią łamiące się fale, a w dolinach między nimi widać było zwisające z lodu ciemne kształty.

- Qunguleq - powiedział Kalaleq i pogładził się po brzuchu. - Ularuaqi przyplływają tutaj, jedzą to. My przyplwamy i polujemy na nie. Co za zabawa!

Gdy skręcili i ruszyli wzdłuż lodu, Kerrick dostrzegł, iż qunguleq był jakimś zielonym wodorostem, jego bardzo długie plechy czepiały się ściany i spadały do morza. Nigdy czegoś takiego nie widział. Nie wszystko stawało się jasne. Ularuaqi przybywały tu, by jeść qunguleq, a Paramutanie za nimi. Wpatrywał się niecierpliwie w dal, by zobaczyć, jakie to stworzenia pasą się na tych zamarzniętych łakach północy.

Niespodziewanie Kerrickowi udzieliło się podniecenie łowami. Ikkergaki skręciły na zachód wzdłuż ściany lodu. Po dopłynięciu do pierwszych gór lodowych łodzie rozstawiły się w linię, by przeszukiwać kanały między nimi. Nigdy jednak nie byli sami. Wysięk był zbiorowy i zawsze widać było jakiś inny ikkergak. Łódź Kalaleqą znajdowała się blisko środka linii, ikkergaki po lewej i prawej łatwo było zobaczyć, dalsze znikwały często z oczu, gdy kryły się za górami lodowymi.

Dowodzący ikkergakiem Kalaleq siedział na dziobie z włócznią. Miała ona długie drzewce i wyrzeźbiony kościany grot o licznych bocznych zadziórach, które po zagłębieniu się w ciele ularuaqa zapobiegały wypadnięciu. Kalaleq smarował tranem długą linę i układał ją w precyzyjnych zwojach. Wszyscy inni wypatrywali zdobyczy.

Płynęli tak przez pięć dni, wypatrując od świtu do zmierzchu i zatrzymując się tylko na noc. Ruszali z pierwszym brzaskiem, gdy tylko było coś widać, ustawiając się w szyku właściwym polowom. Szóstego dnia Kerrick wyciągnął właśnie linkę wędki, gdy jeden z wypatrujących krzyknął

z wielką radością.

- Sygnał, tam, patrzcie!

Ktoś w ikkergaku po ich lewej ręce machał nad głową czymś ciemnym. Kalaleq uniósł skórę i przekazał sygnał wzdłuż linii, skręcając jednocześnie we wskazanym kierunku. Widać już było stado; łowy się rozpoczęły.

Pierwsze ikkergaki lawirowały w oczekiwaniu na pozostałe, potem wszystkie razem ruszyły na zachód.

- Są tam - krzyczał Kalaleq. - Jakie piękne - nigdy nie widziałem czegoś tak pięknego!

Dla Kerricka były to tylko ciemne plamy na lodzie - lecz dla Paramutanów oznaczały jedzenie i materiały niezbędne do życia. Całe ich istnienie uzależnione było od ularuaqow, w poszukiwaniu ich przebyli ocean z kontynentu na kontynent. Nadeszła pora nagrody.

Zbliżali się coraz bardziej, aż Kerrick dojrzał wielkie, ciemne grzbiety zwierząt. Miały tępo zakończone głowy z grubymi wargami. Chwytały nimi qunguleq i odrywały wielkie plechy. Przypominały mu uruketo, były równie wielkie, choć bez wysokiej płetwy grzbietowej. Co chwilę któryś wynurzał się wysoko z wody i spadał w nią z ogromnym pluskiem. Ikkergaki podpływały bliżej, kierując się do skraju stada zaczęły się rozpraszać. Kalaleq pochwalił ten manewr.

- Zachodzą je od przodu, zaganiają w naszym kierunku. - Wskazał na inne ikkergaki; po spuszczeniu żagli unosiły się w miejscu na falach.

Druga grupa łodzi płynęła z żaglami naprężonymi do ostateczności, by jak najszybciej dotrzeć do stada, zając właściwe pozycje. Wielkie zwierzęta pasły się dalej, nie zwracając uwagi na podpływające ikkergaki. Łódź kołysała się na falach, żagiel ledwo łopotał. Narastało napięcie, Kalaleq trząsał włócznią i przestępował z nogi na nogę.

- Nadciągają! - krzyknął ktoś.

Wszystko nastąpiło potem jakby w jednej chwili - Kerrick został zepchnięty na bok, wciągnięto żagiel i naprężono go, a sternik, wpatrując się po raz pierwszy w dziób, kierował łódź ku nadpływającemu stadu, które przestraszone uciekało teraz przed innymi ikkergakami. Kalaleq stał w pogotowiu na dziobie, mocno i nieruchomo, nie zwracając uwagi na udzielane mu rady. Zbliżały się ku nim ciemne postacie ularuaqów.

- Teraz! - krzyknął Kalaleq. - Skręcać!

W nagłym wysiłku sternik naparł na wiosło, a pozostali ciągać liny przrzucili żagiel na drugą stronę masztu. Płachta oklapła, zało-potała i znów wypełniła się wiatrem. Kerrick zrozumiał wkrótce cel tego manewru. Ikkergak nie mógł się mierzyć z pędzącym stadem, nigdy by go nie dogonił, ale w chwili gdy gigantyczne zwierzęta morskie wyprzedzały łódź, ich względna szybkość zmalała i Kalaleq był w stanie wybrać zdobycz. Robił to uważnie, wskazywał sternikowi ruchami dłoni, gdzie ma skręcać, nie słuchał wskazówek załogi na temat wielkości ofiary.

Znaleźli się wśród stada, z obu stron otaczały ich smukłe, mokre kształty.

- Teraz! - zawołał Kalaleq i dźgnął włócznią w pęcherz zwisający na linie z dziobu. Wyciągnięty grot był czarny, a z rozprutego pęcherza rozchodził się odpychający smród. Ikkergak podskoczył, gdy ostrze wbiło się w grzbiet ularuaqa.

Kalaleq pchnął włócznię z całej siły, wbił ją głęboko w bok zwierzęcia i odskoczył, gdy zaczęły rozwijać się szybko zwoje liny przyczepionej do drzewca. Smród z przebitego pęcherza był nie do zniesienia, Kerrick wychylił się za burtę i zwymiotował. Ujrzał przez łyzy, jak Kalaleq odciął linę - pęcherz wpadł do morza i utonął.

Zaraz potem Kalaleq wyrzucił za burtę wydętą skórę, przyczepioną do liny. Balon unosił się na falach, a ikkergak płynął w ślad za nim.

Kalaleq wszedł na maszt i wykrzykiwał polecenia. Jeśli stracą z oczu napelnioną powietrzem skórę, cały wysiłek pójdzie na marne.

Sternik zerknął na Kerricka i roześmiał się.

- Silna trucizna, dobra i mocna. Zwróciłeś cały posiłek na sam jej zapach. Nawet ularuaq nie pożyje z nią długo, zobaczysz.

Miał rację; wkrótce dopłynęli do balonu unoszącego się na falach. Dalej widać było ogromny, spokojny kształt ularuaqa. Reszta stada zniknęła, zbliżały się do nich inne ikkergaki.

- Dobry cios, prawda? - pochwalił się Kalaleq, schodząc z masztu i wpatrując dumnie w zdobycz. - Czy widziałeś kiedyś równie dobry?

- Nigdy - powiedział Kerrick. Paramutanów nie cechowała skromność.

- Wkrótce wypłynie, a potem zatonie, nim jednak to się stanie, zobaczysz, co zrobimy.

Po jakimś czasie grzbiet ularuaqa ukazał się na powierzchni, obmywany przez fale. Otoczyły go już pozostałe ikkergaki. Kerrick patrzył ze zdumieniem, jak Paramutanie, jeden po drugim, zrzucają futra i wskakują do lodowatej wody. W rękach mieli kościane haki, przypominające powiększone haczyki wędk, przywiązane do skórzanych lin. Trzymając je w zębach nurkowali obok ularuaqa. Wypływali po chwili i wciągano ich do ikkergaków. Z sierści spływała woda. Drżąc z zimna i wykrzykując, jacy to byli dzielni, wycierali się i ubierali.

Nikt nie zwracał na nich uwagi, bo wszyscy zajęci byli ciągnięciem lin. Kerrick, z natury silny, pomagał im, bo czynność ta nie wymagała żadnych umiejętności. Wkrótce cielsko ularuaqa poruszyło się w wodzie, a następnie powoli przekręciło. Haki wbite zostały w płetwy. Uniosło się teraz na morzu jaśniejszym brzuchem do góry.

Spod krat tworzących podłogę łodzi wyciągnięto jakiś zwój. Były to jelita zakonserwowane w grubej warstwie tranu. Do ich końca przyczepiono długą, ostro zakończoną kość. Po ściągnięciu futer Kalaleq wziął kość do ust i skoczył za burtę. Na wpół płynąc, na wpół się podciągając, posuwał się wzdłuż ciała ularuaqa, wlokąc za sobą rurkowate, długie jelito. Klęcząc na elastycznej skórze kłuł ją palcami, uderzał pięścią. Przesunął się w inne miejsce, powtarzając te czynności, aż machnął do Paramutanów i wyjął z ust zaostrzoną kość. Uniósł ją nad głowę i uderzywszy z całej siły zagłębił w twardej skórze zwierzęcia. Potem wwiercał ją w głąb, aż zniknęła z oczu.

- Spróbujcie teraz - zawołał, obejmując rękoma zmarznięte ciało.

W pierwszej chwili Kerrick myślał, że dwaj Paramutanie wypompowują z ikkergaka wodę. Potem ujrzał, że pompa przyłączona jest do drugiego końca jelita i napelnianie je powietrzem, nie wodą. Rurka prostowała i sztywniała. Kalaleq przyglądał się, aż uznał, że wszystko jest w porządku. Wtedy wszedł do wody i wrócił na ikkergak.

Po wytarciu się i ubraniu wybuchnął głośnym śmiechem, próbował mówić, lecz nie mógł opanować szczękania zębów.

- Daj, to mnie rozgrzeje - powiedział do jednego z Paramutanów szaleńczo pracujących przy pompie. Tamten, zdyszany i wyczerpany z chęcią przyjął zmianę. - Teraz... napelniamy... go powietrzem. Będzie pływać - powiedział Kalaleq.

Kerrick zastąpił drugiego Paramutanina, pompował równie szaleńczo co tamten i wkrótce przekazał rączkę następnemu ochotnikowi.

Widzieli, jak ich wysiłki spowodowały unoszenie się wielkiego cielska coraz wyżej na wodzie. Gdy już pływało bezpiecznie, przyczepione hakami do płetw, liny przekazano na inne ikkergaki, gdzie je umocowano. Wciągnęli żagle i ciągnąc za sobą powoli wielkie morskie stworzenie, ruszyli na południe.

- Jedzenie - powiedział radośnie Kalaleq. - Będzie to dobra zima, najemy się do syta.



## ROZDZIAŁ XXXIII

Wracali w gęstych opadach śniegu; zwiastowało to koniec jesieni. Paramutanów cieszyła ta pogoda, radośnie wdychali mroźne powietrze i zlizywali śnieg. Gdy dotarli na brzeg, padało jeszcze mocniej, a ciemne kształty paukarutów były ledwo widoczne wśród wirujących płatków. Minęli obozowisko, kierując się w stronę starannie wybranego skalistego brzegu. Jego wybór zdecydował, że tu rozbili namioty.

Fale łamały się na nachylonej, wyżłobionej masie skał znikających w morzu. Ich przydatność okazała się oczywista, gdy przekazano liny czekającym na brzegu kobietom. Wybiegły z paukarutów na widok małej floty, krzycząc i machając rękoma. Kerrick dostrzegł Armun stojącą z boku, zawołał ją, aż go zauważyła i również pomachała. Wszystkich ogarnęło podniecenie, gdy wielkie cielsko ularuaqa zostało przyciągnięte do skał i przytrzymane linami. Skierowano je ogonem do brzegu i poczekano, aż przyływ podniesie zwierzę. Gdy nastąpił odpływ, zostało na wpół zanurzone w wodzie. Zdjęto wówczas liny z płetw i przywiązano je mocno do ogona, czekając na następny przyływ.

Kerrick przepchał się w stronę Armun, nie mógł jednak dostać się do niej, bo przeszkadzał mu tłum wrzeszczących Paramutanów. Kalaleqa niesiono na ramionach, przekazywano go sobie jak drogocenny dar, aż znalazł się bezpiecznie na ogromnej płetwie. Wyjął nóż i wyciął krwisty kawał mięsa. Posmarował nim na czerwono całą twarz, potem ugryzł duży kęs i rzucił w tłum, który śmiejąc się histerycznie usiłował chwycić zdobycz. Kerrick wy dostał się z ciżby i znalazł wreszcie Armun. Wskazał na gigantyczne ciało.

- Udane łowy.
- Najważniejsze, że jesteś z powrotem.
- Nie było się czego bać.
- To nie strach, lecz obawa przed rozstaniem. Nie może się już ono powtórzyć.

Nie opowiadała mu o każdym dniu bez niego, kiedy to siedziała na brzegu, wpatrując się w morze, myśląc o ich wspólnym życiu. Gdy spostrzegła, że trzymaną skórą zasłania sobie rozszczepione usta, jak czyniła to kiedyś, zrozumiała, iż dopiero przy nim rozpoczęła nowe życie, w którym nie była wyrzutkiem. Rozstanie powodowało, że stawała się znów tamtą zalęknioną dziewczyną. Nie podobało się jej to, nie chciała doświadczyć tego znowu. Poszli razem do paukarutu, rozebrała Kerricka i zmyła z niego brud podróży. Gdy wszedł pod ciepłe futra, zdjęła swój strój i dołączyła do niego. Nikt im nie przeszkadzał; wszyscy Paramutanie byli na brzegu. W objęciach mieszały się ich oddechy, odgłosy jej radości nakładły się na jego pomniki.

Wstała potem, ubrała się i przyniosła jedzenie dla obojga.

- Rozpaliłam ognisko i uwędziłam świeże ryby. Mam już dość zgniętego mięsa. A te korzonki zebrałam w puszczy; smakują tak samo jak te, które kiedyś kopałam. - Gdy zobaczyła zatroskaną minę Kerricka, z uśmiechem dotknęła palcem jego ust. - Nie byłam sama. Poszliśmy razem, wiele kobiet i chłopcy z włóczniami. Widziałyśmy wielkie ptaki, ale nie podchodziłyśmy do nich.

Paramutanie dopiero o zmroku wrócili do paukarutów, najedli się i zaraz zasnęli, by wstać przed nocnym przyływem. Chłopcy, którzy pozostali, by obserwować ocean, przybiegli wkrótce i obudzili wszystkich głośnymi krzykami. Mężczyźni wyszli pod jasne gwiazdy, by znów chwycić za liny. Tym razem, ciągnąc mocno za ogon zwierzęcia, wciągnęli je wysoko po nachylonej skale. Teraz już nie groziło mu zmycie przez fale.

Rankiem przystąpiono do ćwiartowania. Usunięto wielkie płyty skóry i tłuszczu, oddzielono mięso od kości. Skała poczerwieniała od krwi stworzenia. Kalaleq nie brał w tym udziału,

przyglądał się tylko, a gdy praca nabrała tempa, wrócił do paukarutu i wziął ponownie mapy. Potem zawołał Kerricka.

- Gdy płynęliśmy na poszukiwanie ularuaqów, cały czas nad tym myślałem. Obserwowałem wodę, niebo, aż zacząłem rozumieć. Murgu żeglują inaczej, wszystko robią inaczej, ale na oceanie są rzeczy niezmiennie. Pokażę ci, co wymyśliłem, a ty powiesz mi, czy moje domysły są słuszne.

Rozpostarł na ziemi mapę Yilanè i obszedł ją wokół z własnym przyrządem nawigacyjnym z krzyżujących się kości. Obracał go ciągle w dłoniach, potem przykleknął i położył go ostrożnie na mapie, poprawił jeszcze odrobinę, aż znajdował się dokładnie tak, jak chciał.

- Jak pewnie pamiętasz, płynąc przez ocean, śledziliśmy nieruchomą gwiazdę. Oto nasz kurs - a teraz jesteśmy tutaj. To ląd, to lód, na tym brzegu cię znaleźliśmy, tutaj.

Kerrick śledził brunatny palec przesuwający się po kościach, lecz nie dostrzegł tego, co było tak oczywiste dla Paramutanina; dla niego były to tylko kości. Kiwał jednak potwierdzająco głową, nie chcąc przerwać Kalaleqowi.

- Tu zacząłem rozumieć. Murgu żeglują tylko na południu, bo jak mi powiedziałaś, nie mogą żyć w śniegu. My przebywamy tylko na północy, w śniegu i lodzie. Ale są rzeczy wędrujące z południa na północ, z północy na południe. Tu w morzu jest rzeka ciepłej wody, płynie z południa, w niej łowiliśmy ryby. Jest bogata w życie i biegnie daleko na północ, pływa w niej dużo ryb. Skąd jednak bierze początek? Czy możesz mi powiedzieć? - Uśmiechnął się i wygładzał sierść na policzkach, czekając na odpowiedź.

- Z południa? - Odpowiedź nie wydawała się trudna, ale ucieszyła Kalaleqę.

- Tak, też tak myślę. Spójrz na mapę murgu. Jeśli to jest lądem, a tamto wodą, wówczas ta pomarańczowa barwa może oznaczać ciepłą wodę płynącą z południa na północ. Prawda?

- Może - przytaknął Kerrick, choć dla jego niewprawnych oczu kolor ten mógł być wszystkim. Zachęcony poparciem Kalaleq rozważał dalej.

- Kończy się tu, na krawędzi mapy, bo murgu nigdy nie płyną na północ, a więc ta strona wskazuje na północ. Lecz przed końcem mapy jest to miejsce - według mnie, moje miejsce! Jeśli mam rację, wówczas tutaj ich jest moim tutaj, gdzie teraz stoimy!

Kerrick nie rozumiał układanki z kości Paramutanów, lecz w mapie Yilanè był jakiś logiczny układ. Pomarańczowy wir mógł być ciepłą wodą, to miało sens, choć nie miał pojęcia, co oznaczały przecinające go błękitne wiry. Czy zielona masa to ocean? Ciemna zieleń to ląd? Być może. Przesuwał palcem w lewo po ciemnej zieleni, potem w dół, aż przeszła w jasną zieleń morza. Przypominało to trochę model w Deifoben. A te łuski złotego metalu zatopione pod powierzchnią, w oceanie, co mogą oznaczać?

Alakas-aksehent. Poruszył lekko rękoma i nogami na wspomnienie tej nazwy. Alakasaksehent.

Sznur złotych, rozsypanych kamieni. Pokazano je mu, gdy płynęli obok na uruketo w drodze powrotnej do Alpèasaku. Myśląc o tym, śledził palcem kurs na jasnej zieleni, doszedł do ciemniejszej zieleni lądu. Do dwóch krótkich żółtych kresek. Alpèasak.

Piękne plaże.

- Kalaleq - masz rację. Rozumiem te mapy, czytam je. Jesteś Paramutaninem o wielkiej mądrości, a twa wiedza obejmuje cały świat.

- To prawda! - zawołał Kalaleq. - Zawsze o tym wiedziałem. Skoro zrozumiałeś - powiedz mi o innych dziwnych znakach.

- Tu jest spalone miasto. Spotkaliśmy się z tobą w tym miejscu, jak sam to powiedziałaś. Potem przepłynęliśmy ocean do tego punktu, niemal na skraju mapy. A tam, widzisz tę rozszerzającą się w ocean cieśninę? To Genaglè. Isegnet sięga do lądu na pomocy. Cała reszta rozciągająca się na



południe to Entoban\*.

- To bardzo wielki ląd - zauważył z przejęciem Kalaleq.

- Tak, i pełen murgu.

Kalaleq pochylił się w przerażeniu i podziwieniu, wodził palcem po zarysach kontynentu. Wrócił potem wybrzeżem na północ i stuknął w miejsce, gdzie znajdowali się teraz, a potem ruszył dalej na północ do wielkiej wyspy obok wybrzeża.

- To się nie zgadza - powiedział. - Tam jest teraz lód i nie tający nigdy śnieg. Nic nie wiem o żadnej wyspie.

- Ta mapa jest stara, bardzo stara, albo też skopiowano ją ze starej mapy. Ten ląd znajduje się teraz pod lodem. Murgu musiały kiedyś tam docierać. Widzisz, jest tu jeden z ich znaków, czerwony punkt na lądzie.

Kalaleq przyjrzał się bliżej i przytaknął. Potem znów wrócił wybrzeżem do ich obozowiska.

- Paukaruty są tutaj. A dalej na południe, niedaleko, widzisz ten mały czerwony znak? Wygląda jak ten na północy. Nie rozumiem tego.

Kerrick przyglądał się znakowi z rosnącą rozpaczą. Leżał dość blisko, na wybrzeżu na północ od Genaglè. Oba czerwone znaki miały ten sam kształt.

- Tam są murgu, niezbyt daleko od nas. Musimy stąd uciekać, bo znajdują się tuż, tuż!

Z Kerricka opadły wszystkie siły. Czy nie ma ucieczki przed Yilanè? Czy po to przebyli zimne morze północne, by trafić w ich groźne łapy? Wydawało się to niemożliwe. Nie mogą żyć tak daleko na północy, z dala od upałów. A jednak czerwony znak tkwił tam, dwa znaki. Ten na północy znajdował się teraz pod nie topniejącym lodem. A tamten na południu... Uniósł wzrok i spojrzał w zaniepokojone oczy Kalaleq a.

- Czy myślisz, to co i ja? - spytał Paramutanin. Kerrick przytaknął.

- Tak. Jeśli murgu są tak blisko, to nie jesteśmy tu bezpieczni. Musimy tam popłynąć, zobaczyć, co oznacza czerwony znak. Popłynąć jak najszybciej, przed zimowymi sztormami. Nie mamy wiele czasu.

Kalaleq zebrał mapy, uśmiechając się radośnie.

- Chcę zobaczyć te murgu, o których opowiadałeś. Będzie to miła wycieczka, miły czas.

Kerrick nie dzielił radości Paramutanina. Czy po to przybył tak daleko, by znów zacząć walkę? Przypomniało mu to powiedzenie w języku Yilanè; poruszył ciałem. Nieważne jak daleko wyruszysz, ile czasu będziesz w drodze, i tak nigdy już nie znajdziesz ojca. Enge nauczyła go tego i nie rozumiał znaczenia przysłowia mimo jej wyjaśnień. Będąc w jaju jesteś bezpieczny, ale po opuszczeniu ojcowskiej osłony i wejściu do morza nigdy nie wrócisz do tego stanu. Kresem podróży życia jest zawsze śmierć. Czy i jego wyprawy muszą zawsze kończyć się śmiercią?

Armun podzieliła jego niepokój, gdy opowiedział o swych odkryciach.

- Jesteś pewny, że murgu są tak blisko? Po to opuściliśmy Arn-wheeta i przepłynęliśmy ocean, po to?

- Nie jestem niczego pewny, dlatego muszę dojść do tego miejsca na mapie o zobaczyć, co tam jest.

- Dlatego musimy pójść. Razem.

- Oczywiście. Razem. Zawsze.

Kalaleq mógł znaleźć ochotników na wiele ikkergaków. Po zakończeniu łowów na ularuaqa, w przeciwieństwie do wyprawy,

ciężka praca przy krojeniu i przygotowywaniu mięsa wielkiego zwierzęcia nie była już tak przyjemna. Kalaleq wybrał załogę, załadowano zapasy i następnego dnia znaleźli się znów na morzu.

Kerrick stał na dziobie, wpatrując się to w wybrzeże, to w mapę. Dokąd płyną?

*mareedege mareedegeb deemarissi.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Jedz, bo będziesz zjedzona.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Vaintè siedziała na karku tarakasta, podkreślając siłę i władzę każdym swym ruchem; trzymała mocno w dłoniach żywe wodze wyrastające z warg stworzenia. Wierzchowiec stał nieruchomo, zmęczony oczekiwaniem; odwrócił długą szyję, by spojrzeć na nią, syczał i kłapał wydłużonym pyskiem. Ostрым szarpnięciem wodzy przywołała go do porządku. Jeśli zechce, będzie tu stał cały dzień. Pod urwiskiem ostatni uruktop brnął przez szeroką rzekę, by dołączyć do pozostałych. Jego osiem nóg poruszało się po długim i męczącym płynięciu, popędzała go samotna Yilanè siedząca mu na barkach. Po odpoczynku będzie mógł dźwigać ładunki lub fargi; już zbliżały się w łodziach. Wszystko szło zgodnie z planem. Szeroka równina nad rzeką roiała się od fargi, które wylądowały wczoraj i zwijały teraz nocny tabor. Kolczaste pnącza, niegroźne w świetle dnia, były rolowane, pakowano też stworzenia-reflektory i wielkie hèsotsany. Wkrótce będzie można wyruszyć. Kampania rozwijała się dobrze.

Vaintè odwróciła się i spojrzała na wzgórza poza falistą równiną, myślą pobiegła jeszcze dalej, do doliny, w której kryły się ustuzou. Dotrze do nich, pokona wszelkie przeszkody; znajdzie je. Ciało jej skręciła silna nienawiść, cofnięte wargi ukazywały zęby; tarakast zadrżał pod uściskiem jej nóg, uspokoiła go dzikim szarpnięciem za wargi. Ustuzou zgina, wszystkie. Nagłym kopnięciem zerwała wierzchowca, zjechała po stoku ku straży przedniej.

Melikelè odwróciła się od fargi, którymi kierowała i ujrawszy nadjeżdżającą Vaintè, ustawiła ręce w geście powitania, serdecznego pozdrowienia najwyższej przez najniższą. Czuła tak naprawdę, nie potrafiła skryć zadowolenia z przybycia Vaintè. Odległy, otoczony-morzem Ikhalmenets nic już dla niej nie znaczył, ani też jego eistaa, którą widywała tylko z wielkiej odległości. W tamtym mieście była jedną z wielu fargi, nieznaną i niepotrzebną, mimo jej umiejętności mówienia. Vaintè zmieniła to, pozwoliła Melikelè wspinać się szybko w służbie. Vaintè karała za niepowodzenia, lecz hojnie nagradzała te, które służyły jej rozumnie. I wiernie. Melikelè była posłuszna, pozostała taką, jedynym jej pragnieniem było służenie Vaintè w każdy możliwy sposób.

- Wszystko gotowe - odpowiedziała na pytający gest. Vaintè, ześlizgnęła się zgrabnie z wierzchowca i spojrzała na krzątanicę grup roboczych fargi.

- Dobrze się sprawujesz, Melikelè - powiedziała z gestami wzmocnienia pochwały.

- Wykonuję twe rozkazy, najwyższa Vaintè. Moje życie tkwi między twymi kciukami.

Vaintè przyjęła to, bo Melikelè mówiła z podkreśleniem silnego obowiązku. Pragnęła mieć więcej takich zauszników. Trudno było teraz o lojalność i inteligencję, nawet wśród pomocnic Lanefenuu. Tak naprawdę były bandą pochlebczyń, wybranych bardziej ze względu na służalczość niż jakiegokolwiek zdolności. Lanefenuu była zbyt silna i niezależna, by dopuścić do swego orszaku kogoś równego sobie. Vaintè przewidywała, że pewnego dnia problem ten stanie między nimi. Miała jednak jeszcze wiele czasu. Dopóki wyteżała wszystkie swe siły i zdolności dla niszczenia ustuzou, nic nie zagrażało władzy Lanefenuu nad miastem. Niszczenie; poruszyła kończynami pod wpływem swych uczuć i wypowiedziała je na głos:

- Idź teraz, mocna Melikelè, weź swoje fargi, a ja pójdę z głównymi siłami o dzień drogi za tobą. Przed tobą z kolei są zwia-dowczyni. Wszystkie dosiadają tarakastów, tak iż będą w stanie przeszukiwać nasz szlak z obu stron. Jeśli dojrzą jakiś ślad ustuzou, niech zatrzymają się i zaczekają na twój silniejszy oddział, by je złapać. Czy znasz położenie następnych obozów?

- Dokładnie przestudiowałam zdjęcia, ale nie będę miała pewności, póki nie ujrzę tych miejsc na ziemi. W razie najmniejszych wątpliwości poradzę się dwu przewodniczek.

- Zrób to, bo szły kiedyś tędy ze mną - Vaintè doceniała szczere przyznanie się Melikelè do

słabości czy braku wiedzy, znała swe siły, wiedziała też, kiedy powinna oprzeć się na innych. - Czy wiesz, gdzie na nas czekać?

- Tak. Na brzegach rzeki o żółtych zakolach. - Uniosła kciuki i palce obu rąk. - Będzie to dziesiąty obóz od dzisiejszego, nie zapomnę liczyć dni.

- Cały czas bądź czujna. Ustuzou mają zwierzęcy spryt w zabijaniu. Licz się z pułapkami i zasadzkami, pamiętaj, jak zaatakowały nas na wyspie, a potem uciekły w noc ulewnego deszczu. Nie może im się to więcej udać. Musimy je znaleźć i zabić, nie zapominaj jednak ani na chwilę o niebezpieczeństwie, bo same zginiemy.

- Jedz, bo będziesz zjedzona - powiedziała ponuro Melikelè, potem zacisnęła w pięści silne dłonie i wyraziła nieskończoną napastliwość. - Mój apetyt jest ogromny!

- Dobrze powiedziane. Spotkamy się za dziesięć dni.

Vaintè wbiła pazury w bok wierzchowca; ten stanął dęba, syknął z bólu i ruszył szybkim biegiem. Melikelè wróciła do pracy. Szybko ładowano uruktopy. Fargi stały w pogotowiu, wyciągały ku niej broń, gdy robiła ostatni przegląd. W czasie długiego marszu z miasta wybrała te, które okazywały najmniejsze zdolności myślenia i umiejętności mowy. Miała dzięki temu pewność, że na każdym uruktopie jest jedna fargi, której obowiązkiem było pilnowanie porządku. Właściwe pakunki na właściwych miejscach. Teraz wszystko było jak powinno; podeszła szybko do pierwszego uruktopa i wspięła się na niego, potem nakazała ruszać zwiadowczym tarakastom. Vaintè dała jej jednego, ale nie potrafiła na nim jeździć. Nie martwiła się tym wcale. Potrafiła kierować innymi i wypełniać rozkazy Vaintè; była bardzo szczęśliwa w tej roli. Na jej sygnał nastąpił wymarsz.

Uruktop szedł wolno, lecz wytrwale na ośmiu silnych, dobrze umięśnionych nogach. Zwierzęta nie były szybkie, ale mogły iść bez odpoczynku od świtu do zmierzchu. Ich inteligencja prawie nie istniała, gdyby ich nie zatrzymano, szłyby do końca sił. Melikelè wiedziała o tym i dbała o zdrowie wielkich stworzeń, pilnowała, by pod koniec dnia prowadzono je do wodopoju, by miały dla siebie mokradła czy kępy młodych drzew, gdzie mogły się najeść. Odkryła na samym początku długiego marszu, że ciężkie paznokcie na ostatnich dwóch parach nóg mają skłonność do zdzierania się i pękania. W takich przypadkach rana krwawiła stale, aż tępe stworzenie słabło i padało. Przy zezwoleniu Vaintè wzięła dwie bystre fargi wyszkolone przez Akotolp w opatrywaniu i leczeniu skaleczeń. Mimo to sama co wieczór sprawdzała uruktopy.

Dzień mijał jak wszystkie inne, w otepiającym, jednostajnym ruchu. Tarakasty hasały po obu stronach, potem wybiegały naprzód. Monotonny krajobraz zostawał powoli z tyłu. Po południu oziębła je nagła ulewa, ale wkrótce ukazało się słońce, wysuszyło i ogrzało ich skóry. Słońce tkwiło teraz przed nimi, zbliżało się do horyzontu, gdy doszły do grupy tarakastów, czekających przy szerokim strumieniu. Grunt był płaski, poszycie rzadkie i połamane. Widać było, że kiedyś obozowały tu wielkie grupy. To właściwe miejsce. Przy potwierdzających znakach zwiadowczyń wydała rozkaz rozbicia obozu.

Ściśle wypełniając jej polecenia, w wyćwiczonym porządku, fargi napoiły i nakarmiły tarakasty. Musiały być doglądane, bo inaczej uciekłyby. Inaczej uruktopy, które nie zaczęłyby jeść, gdyby nie zmuszono ich do chwycenia pierwszych porcji liści. Potem żarły, dopóki im nie przerwano. Były niewiarygodnie głupie.

Dopiero po rozwinięciu i rozstawieniu większości pnączy ochronnych następowała pora jedzenia dla fargi. Tuż przed zmierzchem przyprowadzono i spętano ostatnie zwierzęta, przygotowano ostatnie pnącza. Noce były chłodne, wszystkie fargi miały płaszcze do spania. Melikelè rozesała swój, lecz nie zawinęła się weń, póki widać było ostatnie promienie światła. Wtedy z pnączy wysuwały się kolce. Czekwała na tę chwilę, patrzyła z zadowoleniem jak ukazywały

się trujące ciernie, wiedziała, że dzień dobiegł końca, obrona jest silna i że wypełniła swe obowiązki. Dopiero wtedy kładła się i otulała płaszczem, rada, że kolejny dzień minął jej na lojalnym wypełnianiu rozkazów wielkiej Vaintè. Zamykała oczy i natychmiast zapadała w sen.

Wokół niej bezpieczne pod osłoną kręgów zatrutych cierni, źródeł-światła i nocnych hesotsanów strzelających przy najmniejszych poruszeniu, spały fargi. Tarakasty szarpały się i syczały gniewnie na siebie, ale wkrótce zwiły się we śnie, chroniąc głowy pod skręcone ogony. Yilanè i ich zwierzęta pogrążone były we śnie.

Większa część taboru zajmowała płaski teren, z jednej tylko strony wznosił się lekko i wystające skały zatrzymywały nawiewaną ziemię, tworząc płaski wzgórek. Większość głązów była zasypana, choć u stóp zbocza leżały luźne, wymyte przez deszcze, które stoczyły się w dół.

Jeden z tych głązów poruszył się i odsunął z trzaskiem.

Kilka śpiących w pobliżu otworzyło oczy i obudziło się natychmiast. Nie słyszały żadnych dalszych odgłosów, widziały tylko jasne gwiazdy, zamknęły więc oczy i zasnęły znowu. W nocy widziały zresztą tak słabo, iż nie mogły zauważyć cichego ruchu innego kamienia.

Powoli, ostrożnie Herilak uniósł głowę ponad zwalone głązy.

Wielki łowca rozejrzał się po obozowisku. Rosnący księżyc dopiero wschodził, lecz gwiazdy na bezchmurnym niebie wyraźnie ukazywały śpiący tabor. Wysoko wznoszące się kształty ośmionogich bestii, mniejsze, ciemne wzgórki śpiących murgu. Z boku bębny mięsa murgu, pęcherze z zapasami piętrzyły się wysoko.

Nagle rozbłysło światło, rozległ się ostry trzask hesotsanów. Jakieś pustynne zwierzę dotknęło trujących pnączy. Herilak zamarł w bezruchu. Śpiące najbliżej światła murgu usiadły i spojrzały poza obóz. Światła powoli pogasły i zniknęły, więc zapadły znów w sen. Wówczas Herilak ostrożnie i cicho odsunął kamienie, by móc swobodnie pełzać.

Trzymając się blisko ziemi, odwrócił się i zawołał w głąb czarnego otworu.

- Teraz. Szybko. Wyłaźcie.

Odsunął się na bok, a spod ziemi wyłonił się następny uzbrojony łowca. W jaskini było ich dwudziestu. Wykopali ją, wypełnili ziemią z rzeki, przykryli grubymi balami i zamaskowali głązami, które podsuwali z wielkim wysiłkiem. Kopanie rozpoczęli rano, gdy tylko zniknęły im z oczu murgu, które spędziły tu poprzednią noc. Teraz wychodzili po kolei, wciągali w płuca rześkie powietrze nocy. Znajdowali się pod ziemią od południa, było tam gorąco, duszno, cuchnąco. Nikt się nie skarżył, wszyscy byli ochotnikami.

- Jest, jak powiedziałaś, Herilaku - szepnął łowca do ucha sam-madara. - Zawsze nocują w tym samym miejscu.

- Tak. A teraz zrobimy to, co należy. Zabijemy je.

Masakra była bezlitosna, dokonana przez doświadczonych zabójców murgu. Czasem tylko rozległo się stłumione sieknięcie zabijanych nożami i włóczniami. Śpiące murgu ginęły jedna po drugiej. Dopiero po zabiciu ostatniej zastrzelili wierzchowce zdobycznymi śmiercio-kijami. Kilka z nich obudziło się i ryczało, czując wokół zapach śmierci, próbowało ucieczki i wpadało w śmiercionośne pnącza. Zostały po kolei uśmiercone. Masakra została zakończona. Żaden z łowców nie mógł zasnąć. Starli krew z dłoni, usiedli i rozmawiali cicho do świtu. Gdy można już było widzieć w bladym świetle, Herilak wstał i wydał rozkazy.

- Potrzebuję pomocy. Trzeba zamknąć otwór, w którym się kryliśmy, by nic nie było widać. Wciągnijcie część ciał na głązy. Może znajdą dziurę, lecz jeśli nie, będą miały czym się martwić. Zaczną się zastanawiać, jak do tego doszło, jak minęliśmy ich osłony i zwolnią.

- Czy wówczas zawrócą? - spytał Nenne.

- Nie, nie zawrócą - odpowiedział Herilak w rosnącym gniewie. - Będą szły dalej. Możemy jednak je powstrzymać, zabijać. Zaczekamy teraz, aż zrobi się zupełnie widno i ciernie się cofną. Niczego nie dotykać, jedynie odsuwać pnącza włóczniami. Zostawicie wszystko, co jest. Zabierzemy śmiercio-kije i trochę mięsa, nic więcej. Po przejściu ułóżcie pnącza na miejscu. Ten widok bardzo, ale to bardzo zmartwi murgu. Chcę, żeby tak było.

## ROZDZIAŁ XXXV

Płynęli wzdłuż wybrzeża na południe. Podróż w nieznane podniecała Paramutanów, witali okrzykami podziwu każdy nowy przylądek i skrawek plaży. Kerrick nie podzielał ich entuzjazmu, pograżał się w coraz bardziej ponurym niepokoju. Armun widziała to, lecz mogła jedynie podzielać jego rozpacz, wiedziała, że nie potrafi mu pomóc. W miarę żeglowania na południe zaczęła się poprawiać pogoda, ale nie wpływało to na jego nastrój. Niemal z radością przywitała gorszą pogodę, bo musiał wraz z innymi refować żagle i wypompowywać zęzę, tak iż pozostawało mu mało czasu na myślenie o przyszłości.

Wybrzeże zaczęło skręcać, widzieli to na mapie, aż wreszcie płynęli prosto na zachód. Słońce grzało mocno, lecz północne zimowe sztormy przynosiły rześiste deszcze. Ósmego dnia rejsu, począwszy od świtu, dopadła ich jedna chmura po drugiej, lecz przed wieczorem minął ostatni szkwał i wiatr pędził ich teraz do brzegu.

- Widzę tęczę - powiedziała Armun, wskazując wielki łuk rozpięty na niebie, sięgający od morza w głąb lądu. Kończył się na skalnym cyplu. - Mój ojciec mówił zawsze, że gdy dotrzesz do końca tęczy, znajdziesz tam jelenia, który do ciebie przemówi. Nie ucieknie i będzie musiał odpowiedzieć na każde twoje pytanie. Tak mówił mój ojciec.

Kerrick milczał, wpatrywał się w ląd, jakby jej nie słyszał.

- Jak sądzisz, co będzie? - spytała. Kerrick pokręcił głową.

- Nie wiem. Nigdy nie słyszałem bajki o jeleniu. Jego mięso jest smaczne, ale nie sądzę, by doradził mi w czymkolwiek.

- Ale to szczególny jelen. Musisz tylko znaleźć koniec tęczy. Wierzę, że naprawdę tam jest.

Powiedziała to z przekonaniem, patrząc jednocześnie, jak tęcza blakła coraz bardziej, aż wreszcie zniknęła, gdy sztorm rozszalał się nad lesistymi wzgórzami. Kerrick nic nie powiedział, pograżył się znów w zamyśleniu.

Po sztormie wiatr zamarł, słońce świeciło mocno. Armun zwróciła twarz w jego kierunku i przeczesywała palcami włosy, by szybciej wyschły. Tylko Paramutnie byli niezadowoleni, ściągali futrzane kurtki, skarżąc się na upał. Byli stworzeniami północy i źle się czuli w cieplejszym klimacie. Kalaleq stał na dziobie, bryza rozwiewała dłuższą sierść na jego plecach, wpatrywał się w brzeg.

- Tak! - krzyknął nagle. - To nowa rzecz, nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Kerrick podskoczył do niego, mrużąc oczy przyglądał się odległym pasmom zieleni na wybrzeżu, czekał aż upewni się całkowicie.

- Skręć, podpłyn do brzegu - powiedział. - Wiem, co to jest. To - zabrakło mu słów i zwrócił się do Armun w marbaku.

- Nie ma na to słowa, ale to miejsce, do którego murgu przyprowadzają swe pływające stworzenia. Murgu są tam.

Armun odezwała się szybko w angurpiaqu i Kalaleq zrobił wielkie oczy.

- Rzeczywiście tam są - powiedział, pochylając się nad wiosłem sterowym, gdy inni skoczyli do lin. Zrobili zwrot i przeciwnym halsem zbliżali się ukośnie do brzegu, z dala od basenu Yilanè. Kerrick wpatrywał się w mapę, wodził po niej palcem.

- To tutaj, na pewno. Musimy wylądować na brzegu i podejść pieszo. Musimy zobaczyć, co tu się dzieje.

- Myślisz, że są tam jakieś murgu? - spytała Armun.

- Stąd tego nie widać, ale to możliwe. Musimy być ostrożni, iść uważnie, grupą.

- Jeśli pójdziesz, to ze mną.



Zaczął protestować, lecz zauważył stanowczość jej głosu i przytaknął.

- Dobrze, my dwoje. I jeden, najwyżej dwóch Paramutanów.

Kalaleq wskazał na siebie, gdy formowali oddział zawidowców. Po wielu krzykach i sporach zdecydowano się też na Niumaka, będącego dobrym tropicielem. Przybili ikkergakiem do piaszczystej plaży. Mała grupka uzbrojona we włócznie stanęła na piasku.

Plaża sięgała do skalistego cypla, musieli więc iść między drzewami. Puszcza była niemal nie do przejścia, zwalone pnie tarasowały drogę, grube drzewa splecione były z cieńszymi. Starali się jak najszybciej wyjść znowu na brzeg, kierując się odgłosem fal bijących o skały.

- Umrę, upał mnie zabija - powiedział Kalaleq. Zataczał się, był bliski wyczerpania.

- Śnieg, lód - powiedział Niumak. - To dobre dla prawdziwych ludzi. Kalaleq mówi prawdę, bliscy jesteście śmierci z upału.

Ukazało się czyste niebo. Paramutanie wystawili twarze na chłodzący wietrzyk, a Kerrick rozsunął liście i zerknął na skały, pod którymi rozbijały się fale. Było już bardzo blisko basenów portu. Za nimi widniały jakieś okrągłe kopce, lecz z tej odległości nie mógł rozpoznać czym są. Nic się nie poruszało, wszystko wyglądało na opustoszałe.

- Podejdę bliżej...

- Idę z tobą - powiedziała Armun.

- Nie, lepiej pójdę sam. Jeśli są tam murgu, to zaraz wrócę. Znam je, wiem, jak reagują. Z tobą groziłoby nam znacznie większe niebezpieczeństwo. Paramutanie idą za mną - jeśli będą w stanie. Zostań z nimi. Wrócę jak najszybciej.

Chciała się spierać, iść z nim, lecz wiedziała, że proponuje jedyny rozsądny sposób. Objęła go na chwilę, złożyła mu głowę na piersi. Potem odsunęła się od niego i odwróciła do sapiących Paramutanów.

- Zostanę z nimi. Idź już.

Trudno mu było iść bezszelestnie przez las, zbyt wiele gałęzi musiał odsuwać, trzaskały mu pod nogami. Ruszył szybciej po wyjściu na ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta schodzące z wzgórza. Skręcała we właściwym kierunku, do brzegu i poszedł nią ostrożnie. Stanął przed skrajem lasu i wyjrzał zza osłaniających go liści. Tuż przed sobą miał pusty basen, a za nim wysokie, okrągłe kopce. Były zbyt gładkie i regularne na naturalne pogórki, prowadziły też do nich otwory w kształcie drzwi.

Czy ma podejść bliżej? Jak może się przekonać, czy w środku są Yilanè ? W basenie nie ma uruketo, lecz nic z tego nie wynika, mogło odpłynąć, zostawiając tu Yilanè.

Ostrego trzasku hèsotsanu nie mógł z niczym pomylić. Rzucił się w bok i upadł śmiertelnie przerażony. Strzałka chybiła. Musi się wycofać.

Rozległ się tupot ciężkich stóp; usiłując przedrzeć się przez zaporę młodych drzewek zauważył biegnącą, unoszącą hèsotsan Yilanè. Stanęła nagle na jego widok, zwinęła ręce w geście zdziwienia. Potem uniosła i wycelowała broń.

- Nie strzelaj! - zawołał. - Czemu chcesz mnie zabić? Nie mam broni i jestem przyjacielem.

Upuścił jednocześnie włócznie i wepchnął ją nogą w krzaki.

Jego słowa wywarły ogromne wrażenie na napastnicze. Cofnęła się trochę i odezwała z niedowierzaniem:

- To ustuzou. Nie może mówić - ale mówi.

- Mogę i mówię dobrze.

- Wyjaśnienie obecności tutaj; natychmiastowe i pilne.

Broń trzymała w pogotowiu, lecz nie celowała w niego. W jednej chwili mogło się to zmienić.

Co ma powiedzieć? Cokolwiek, byleby słuchała go dalej.

- Przybywam z bardzo daleka. Nauczyła mnie mówić Yilanè o wielkim rozumie. Była dla mnie miła, wiele jej zawdzięczam, jestem przyjacielem Yilanè.

- Słyszałam kiedyś o mówiącym ustuzou. Dlaczego jednak jesteś sam? - Nie czekając na wyjaśnienia, uniosła i wycelowała broń. - Uciekłeś właścicielce, oto co się stało. Zostań tam i nie ruszaj się.

Kerrick zrobił to, co mu rozkazała, nie miał wyboru. Stojąc w milczeniu, usłyszał za sobą kroki, ścieżką z lasu wyszły dwie fargi dźwigające ciało wielkiego ptaka. Zaklął w duchu, że pomylił wydeptaną dróżkę ze ścieżką zwierząt. A jednak są tu Yilanè. Ta wygląda na okrutną, jest łowczynią jak kiedyś Stallan. Musiała wyjść na polowanie i po prostu wpadła na niego. Powinien był to przewidzieć, łowca poznałby od razu, że to nie ścieżka zwierząt i zachowywałby się ostrożniej. Nie poruszył się. Fargi minęły go, przyglądając się przy tym jednym okiem, wymieniając niewyraźne uwagi, ciężar utrudniał im mówienie.

- Idź za nimi - nakazała łowczyni. - Spróbuj ucieczki, a zginiesz. Kerrick nie miał wyjścia. Zdrętwiała z przerażenia ruszył ścieżką w stronę okrągłych budowli na brzegu.

- Mięso zanieście rzeźniczkom - nakazała łowczyni. Obie fargi minęły pierwszą kopułę, lecz jemu łowczyni przekazała znaki wejścia.

- Wchodzimy tutaj. Esspelei zechce chyba cię zobaczyć. W boku kopuły znajdowały się skórzane drzwi; rozstały się po naciśnięciu na płamiste miejsce. Za nimi był krótki tunel zamknięty drugimi drzwiami, ledwo widocznymi w świetle jarzących się na ścianie pasków. Yilanè została z tyłu z wystawioną bronią i kazała mu iść przodem. Dotknął drugich drzwi i owionęła go fala ciepłego powietrza, gdy wszedł do pomieszczenia. Jarzące się paski były większe i widział lepiej. Na półkach tkwiło wiele dziwnych stworzeń, domyślił się, że trafili do laboratorium. Na ścianach wisały mapy, a nad jednym z przyrządów pochylała się Yilanè.

- Czemu mi przeszkadzasz, Fafnege - powiedziała z pewną irytacją, gdy się odwróciła. Ale natychmiast zmieniła gesty na wyrażające zdziwienie i strach.

- Ohydne ustuzou! Czemu jest żywe, czemu przyprowadziłaś je tutaj?

Fafnege wyraziła wyższość wiedzy i pogardę dla strachu. Bardzo przypominała Stallan.

- Jesteś bezpieczna, Esspelei, nie okazuj więc przepelniającego cię lęku. To bardzo niezwykle ustuzou. Patrz, co się stanie, gdy każę mu mówić.

- Nie ci nie grozi - stwierdził Kerrick. - Ale ja mam obawy. Rozkaż tej wstrętnej istocie opuścić hèsotsan. Jestem nie uzbrojony.

Esspelei zeszywniała ze zdumienia. Dopiero po dłuższej chwili przemówiła.

- Wiem o tobie. Rozmawiałam z kimś, kto rozmawiał z Akotolp, która powiedziała jej o mówiącym ustuzou.

- Znam Akotolp. Jest bardzo-bardzo gruba.

- To musisz być ty, to Akotolp jest gruba. Skąd się tu wzięłaś?

- To uciekło - powiedziała Fafnege. - Nie ma innego wyjaśnienia. Widzisz pierścień wokół szyi? Widzisz urwaną smycz? Uciekło swej pani.

- Czy to prawda? - spytała Esspelei.

Kerrick milczał, czuł zamęt w głowie. Co ma im powiedzieć? Cokolwiek, nie potrafią kłamać, bo ruchy ich ciał zdradzają najskrytsze myśli. Ale on może - i będzie kłamał.

- Nie uciekłem. To był wypadek, sztorm, uruketo miało kłopoty. Wypadłem do morza, dopłynąłem do brzegu. Byłem sam. Jestem głodny. Jak to dobrze móc znowu mówić z Yilanè.

- To bardzo ciekawe - powiedziała Esspelei. - Fafnege, przynieś mięso.

- Ucieknie znowu, jeśli na to pozwolimy. Wydam rozkaz fargi.

Wyszła, lecz Kerrick wiedział, że jest w pobliżu. Ucieknie, kiedy zechce, ale wpierrw powinien skorzystać z tego, że wpadł w pułapkę. Musi się dowiedzieć, co te Yilanè robią tak daleko na północy.

- Od kogoś bardzo głupiego do posiadającej najwyższy rozum; pokorna prośba o wiedzę. Czego szukają Yilanè w tym zimnym miejscu?

- Informacji - odparła bez namysłu Esspelei, zdziwiona obecnością znajomego yilanè ustuzou. - To miejsce nauki, w którym badamy wiatry, ocean, pogodę. Wszystko to, oczywiście, cię przerasta; nie wiadomo, po co trudzę się wyjaśnianiem.

- Z wielkoduszności najwyższej do najniższej. Czym mierzycie mroźność zim, chłodne wiatry wiejące z północy z coraz większą siłą?

Esspelei wyraziła zaskoczenie z odrobiną szacunku.

- Nie jesteś fargi, ustuzou, potrafisz mówić z krztyną rozumu. Badamy wiatry, bo doświadczenia to nauka, a nauka to życie. Dlatego prowadzimy badania.

Wskazała na przyrządy, mapy na ścianie, zaczęła mówić z troską w ruchach, bardziej do siebie niż do niego.

- Z każdym rokiem zimy są coraz chłodniejsze, każdej zimy lód postępuje bardziej na południe. Tu jest martwy Soromset i martwy Inegban\*. Zmarłe miasta. A mróz idzie coraz dalej. Tu Ikhalmenets, które umrze jako następne, jeśli zimno będzie się dalej posuwać.

Ikhalmenets! Kerrick drżał z wrażenia, dopiero po chwili był w stanie na tyle panować nad głosem, by nie zdradzić swego podniecenia. Ikhalmenets, miasto, o którym na plaży powiedziała mu przed śmiercią Erafnaiś, miasto, z którego wyszedł atak, który odbił Deifoben. Ikhalmenets, wróg.

- Ikhalmenets? W mej głupocie nigdy nie słyszałem o takim mieście.

- Twa głupota jest rzeczywiście piramidalna. Otoczony-morzem Ikhalmenets, lśniąca wyspa na oceanie. Nie jesteś Yilanè, skoro nie wiesz o istnieniu Ikhalmenetsu.

Mówiąc to, wyciągnęła rękę i lekko stuknęła kciukiem w wiszącą mapę.

- Jestem taki głupi, iż nie wiem, dlaczego jeszcze żyję - przytaknął Kerrick. Pochylił się i zapamiętał dokładnie położenie kciuka. - Cóż za wspaniałomyślność okazałaś, najwyższa do najniższej, skoro zechciałaś w ogóle ze mną rozmawiać, a tym bardziej straciłaś swój niewiarygodnie cenny czas na zwiększenie mej wiedzy.

- Mówisz prawdę, Yilanè-ustuzou. - Otworzyły się drzwi i weszła fargi z pęcherzem mięsa. - Zjemy teraz, a potem odpowiesz na moje pytania.

Kerrick jadł w milczeniu, przepełniało go nagłe szczęście. Nie miał innych pytań, nie interesowało go już nic więcej.

Wiedział, gdzie pośród ogromu oceanu, całego świata, znajduje się wrogi Ikhalmenets.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Kerrick skończył właśnie jeść zakonserwowane mięso i wycierał poplamione tłuszczem palce w futro, gdy drzwi znów się otworzyły. Tym razem nie była to fargi z wybałuszonymi oczami, lecz stara i tęga Yilanè, która spojrzała na niego z oznakami wątpliwości i podejrzliwości. Esspelei stała w postawie służalczości i natychmiast wziął z niej przykład. Przybyła miała ciężkie szczęki i grube ręce wymalowane w spiralne wzory, nosiła je nawet w tym prymitywnym miejscu, tak daleko od miasta. Na pewno tu rządziła. Za nią weszła Fafnege uzbrojona nadal w hèsotsan, również wyraziła szacunek dla władzy. Kerrick wiedział, że nowej Yilanè nie oszuka tak łatwo jak tamte. Uważnie przyjrzała się jednym okiem jego twarzy, jednocześnie drugim zmierzyła go od stóp to głów.

- Co to za okaz wstrętnych ustuzou? Co tu robi?

- Najniższa Esspelei do najwyższej Aragunukto - padło z pokorą - łowczynie znalazła to w lesie. Jest Yilanè.

- Tak? Jesteś? - Na ten władczy rozkaz Kerrick odpowiedział z wszelkimi oznakami czci:

- Rad jestem, że mówię, że nie jestem tępy jak inne ustuzou.

- Zedrzyjcie te ohydne okrycia - trudno zrozumieć to zwierzę.

Esspelei podeszła do Kerricka, który bez sprzeciwu tkwił w pokornym posłuszeństwie, gdy rozcinała mu futra mocnym nożem. Zaczął krwawić, nim jego ubranie opadło na podłogę.

- Paskudnie-różowy, odpychający - powiedziała Aragunukto. -Niewątpliwie samiec. Nie wpuszczaj tu żadnych fargi, ten widok wzbudzi w nich niepożądane myśli. Odwróć się. Wiedziała, żadnego ogona. Widziałam zdjęcia takich jak to, martwych, w dalekim otoczonym-morzem Ikhalmenetsie. Jak się tu dostało?

- Wypadło z uruketo podczas sztormu, dopłynęło do brzegu - powiedziała Esspelei. Podała to jako fakt; skoro tak powiedział, to musiało być prawdą. Rysy Aragunukto zwarzył gniew.

- Jak to się mogło stać? Wiem na pewno, że jest tylko jedno ustuzou znające yilanè, że uciekło i zdziczało. Jesteś tym ustuzou?

- Jestem, o wielka. Zostałem schwytany, wysłany w uruketo przez ocean, potem zmyty za burtę.

- Jakie uruketo? Pod którym dowództwem? Kto cię schwycił? Kerrick poczuł się zaplątany w pajęczynę własnych kłamstw. Aragunukto była za sprytna, by ją okpić, ale nie mógł się teraz wycofać.

- Tego nie wiem. Zostałem uderzony w głowę, był sztorm, noc... Aragunukto odwróciła się i nakazała Fafnege gotowość-przyjęcia-rozkazów.

- To wstrętne stworzenie mówi jak Yilanè. A jednak nią nie jest. W jego mowie są cienie odsłaniające naturę ustuzou. Czuję się zbrukana tą rozmową. Zabij to, Fafnege, uwolnij nas od tego.

Z gestami zadowolenia i szczęścia Fafnege uniosła hèsotsan, wycelowwała.

- Nie, nie masz powodu - krzyknął ochryple Kerrick. Ale rozkaz został wydany i musiał zostać wykonany. Odkoczył w bok, z dala od broni, znalazł się obok wstrząśniętej uczonej. W śmiertelnym strachu chwycił ją za ramię i szarpnął przed siebie, tak iż zasłaniała go przed strzałem. - Mogę wam pomóc, podać ważne informacje!

Nie mogły go jednak zrozumieć, bo słyszały tylko głos, grube ciało Esspelei przesłaniało ruchy.

- Zabij to! Natychmiast-natychmiast! - ryczała Aragunukto.

Fafnege przykucnęła z wymierzoną bronią, podchodziła go jak dzikie zwierzę. Esspelei szarpała się, wrywała. Jeśli Kerrick odsłoni się, zginie. Zerknął poza ramię uczonej, gdy poczuł, że wyswobodziła się z jego uchwytu i skoczyła do przodu. Zobaczył, że drzwi się otwierają. Ujrzał w nich wstrząśnięte, porośnięte brunatną sierścią oblicze Paramutanina.

- Zabij tą ze śmiercio-kijem - zawołał głośno Kerrick, choć nic go nie zasłaniało przed wzniesioną bronią.

Zrozumiał, że krzyczy w marbaku. Przetoczył się po podłodze, gdy hèsotsan szczęknął głośno. Strzałka minęła mu twarz tak blisko, że poczuł jej lot. Fafnege wodziła za nim bronią.

- Co się dzieje? - krzyknął Kalaleq.

Fafnege okręciła się na dźwięk jego głosu. Kerrick przypomniał sobie słowa angurpiaqu.

- Zabij! Tę z kijem!

Ręka Kalaleqa, która zatopiła śmiercionośny harpun w gigantycznym ularuaqu, teraz cisnęła włócznię z tą samą celnością i siłą. Trafiła Fafnege w brzuch, siła uderzenia zgięła ją we dwoje. Strzałka wbiła się w podłogę, gdy padając ścisnęła hèsotsan.

Przez otwór wpadł Niumak z nastawioną włócznią, tuż za nim Armun. Kerrick podniósł się, gdy podbiegła ku niemu.

- Nie - nie tę! - zawołał. Za późno. Esspelei krzyknęła z bólu, złapała włócznię Armun, która wbiła się jej w szyję. Trysnęła z niej krew, upadła martwa.

- Była uczoną, chciałem z nią pogadać - powiedział cicho i rozejrzał się. Armun wyszarpnęła swą włócznię i obróciła się, by osłonić Kerricka.

Nie było potrzeby, Aragonukto też już nie żyła. Kalaleq odwracał się od jej ciała. Paramutanin sapał z emocji, oczy podeszły mu krwią. - Inne? - spytał - Czy są jeszcze inne?

- Tak, w tamtych budynkach. Ale...

Zniknęli, nim zaczął im tłumaczyć o fargi. Wyczerpany podniósł pocięte futra, spojrzał na resztki ubrania. Armun dotykała ran na jego skórze, mówiła cicho.

- Gdy nie wracałeś, szalałam ze strachu. Paramutanie także. Niumak poszedł twym tropem, znalazł włócznię, zobaczył, że ślady murgu łączą się z twoimi. Czy cię zraniły?

- Nie. To tylko drobne skaleczenie. Nic więcej.

Zbierając pokrojone futra, próbował uporządkować myśli. Wszystkie Yilanè są już na pewno martwe. Niech tak będzie. Aragonukto kazała go zabić tylko dlatego, że nie spodobał się jej jego sposób mówienia. Znów tylko śmierć; pokój był nieosiągalny. Może to i lepiej. Spojrzał na wracającego Kalaleqa, dyszącego i ociekającego krwią, która kapała też z jego włóczni.

- Co za dziwne i przerażające stworzenia! Jak się wierciły i wrzeszczały, gdy je zabijaliśmy.

- Wszystkie zginęły? - spytała Armun.

- Wszystkie. Wchodziliśmy do każdego z tych wielkich paukaru-tów, szukaliśmy ich i zakłuwaliśmy. Niektóre uciekały, ale też padły.

- Musimy coś zrobić - powiedział Kerrick, zmuszając się do myślenia. - Nie możemy zostawić śladów naszej obecności. Gdyby murgu domyśliły się, że jesteśmy po tej stronie oceanu, odszukałyby nas i zabiły.

- Wrzucmy ciała do oceanu - powiedział rozsądnie Kalaleq. - Wytrzymajmy krew.

- Czy przybędą tu inne? - spytała Armun.

- Tak, w swych pływających łodziach, mają tu baseny. Jeśli nie zastaną nikogo, będzie to dla nich zagadka, lecz nie będą nas podejrzewały. Nic nie zabieramy, niczego nie ruszamy.

- Nic nie chcemy! - zawołał Kalaleq, machając włócznią. - Żadnej z tych rzeczy. Musimy dokładnie zmyć krew z naszych włóczni, bo przyniesie nam najgorsze z nieszczęść. Opowiadałeś, jakie straszne i silne są te murgu, byłem ich ciekaw. Nie powiedziałaś mi jednak, że na ich widok będę drżał z gniewu i nienawiści. To bardzo dziwne i nie podoba mi się. Do oceanu z nimi, potem chętnie wrócimy na zimną północ.

„Nie, na południe...” - pomyślał Kerrick, ale nie powiedział tego głośno. To nie jest właściwa

chwila. Przed wyjściem odwrócił się jednak po raz ostatni ku mapie. Wyciągniętą dłonią dotknął lekko nierównego zielonego kółka umieszczonego na jasnej zieleni morza. Otoczony-morzem Ikhalmenets.

Armun zobaczyła, jak wykrzywia ciało w tej nazwie i wzięła go za rękę.

- Musimy iść. Chodź!

Gdy wyszli, zapadł już zmrok. Morze przyjęło ciała i splamione krwią kawałki futra Kerricka. Był akurat odpływ, ciała zostaną zabrane daleko. Ryby zniszczą dowody ich obecności.

Niumak bez większego trudu prowadził ich w mroku. Droga była jednak stroma i zmęczeni się bardzo, nim między liśćmi ujrzeli migotanie ogniska. Gdy wreszcie wyszli na piasek przywitały ich radosne okrzyki.

- Jesteście! Wszystko w porządku?

- Coś się stało, coś strasznego!

- Śmierć i krew, niewiarygodne stworzenia. Kerrick opadł na piasek, potem wypił chciwie przyniesioną mu przez Armun zimną wodę.

- Jesteś bezpieczny - dotykała jego twarzy, jakby się upewniając. - Złapały cię, lecz potem zginęły. Żyjesz.

- Jestem bezpieczny, ale co z innymi?

- Wrócimy do nich przez ocean. Są bezpieczni nad jeziorem. Nie bój się o Arnwheeta.

- Nie myślałem o nich. Co z innymi sammadami, z Sasku -co z nimi?

- Nic o nich nie wiem i nic mnie nie obchodzą, Ty jesteś moim sammadem.

Rozumiał jej uczucia, żałował, że sam myśli inaczej. U Para-mutanów są bezpieczni, jeśli tylko pozostaną na dalekiej północy i będą unikać tego niebezpiecznego wybrzeża. Wiosną mogą znów przepłynąć ocean, sprowadzić tu resztę małego sammadu. Wtedy będą bezpieczni. Zrobią to. Inne sammady są silne, mogą bronić się same, walczyć z Yilanè, gdy zostaną napadnięte. Nie będzie odpowiadał za ich życie.

- Nie mogę tego zrobić - powiedział z zaciśniętymi zębami, drżąc cały z emocji. - Nie mogę tego zrobić, nie mogę pozwolić, by zginęli.

- Możesz. Jesteś sam, a murgu mnóstwo. To nie twoja sprawa. Walka nigdy się nie skończy. Będziemy trzymać się od nich z dala. Potrzebujemy twych silnych rąk i twojej włóczni. Arnwheet cię potrzebuje. Powinieneś pomyśleć przede wszystkim o nim.

Roześmiał się, choć bez cienia wesołości.

- Masz rację - nie powinienem myśleć. Coś odkryłem w obozowisku murgu, widziałem mapę bardzo podobną do tej, którą mamy, widziałem na niej miejsce, miasto murgu, z którego pochodzą zabójczy nie...

- Jesteś zmęczony, musisz zasnąć.

Gniewnie odtrącił jej dłonie, wstał i uniósł pięści ku niebu.

- Nie rozumiałaś. Prowadzi je Vaintè, będzie ścigała sammady, póki ich nie zniszczy. Wiem jednak, gdzie jest Ikhalmenets. Wiem teraz, skąd zdobywa broń i fargi.

Armun walczyła z własnym strachem, nie rozumiała dręczących go koszmarów.

- Wiesz o tym, lecz nic nie możesz zrobić. Jesteś jednym łowcą przeciwko światu murgu. Sam niczego nie osiągniesz.

Zniechęciła go tymi słowy, usiadł znów obok niej. Był teraz spokojniejszy, rozważniejszy. Gniewem nie wypłeni Yilanè.

- Masz oczywiście rację, co mogę zrobić? Kto mi pomoże? Wszystkie sammady świata nie wystarczą przeciwko odległemu miastu leżącemu na wyspie pośród morza.

- Sammady nic nie poradzą, ale inni mogą ci pomóc. Spojrzał na ciemny zarys ikkergaka, na Paramutanów rozmawiających z ożywieniem przy ognisku i rwących surowe mięso ostrymi, białymi zębami. Przypomniawszy sobie wzrok Kalaleq, jak opanowała go nienawiść wobec Yilanè, murgu, tych nowych, ohydnych i obcych istot.

Czy można jakoś wykorzystać tę nienawiść? Czy da się coś zrobić?

- Jesteśmy zmęczeni i musimy iść spać - mówiąc to, przytulił się mocno do Armun. Mimo wyczerpania nie zasnął jednak od razu, słuchał jej cichego, równego oddechu, wpatrując się przymkniętymi oczyma w gwiazdy. W głowie kotłowało mu się od myśli.

Rankiem siedział w milczeniu nad mapą Yilanè, gdy Paramutanie załadowali ikkergak. Gdy byli już gotowi do odpłynięcia, zawołał Kalaleq.

- Znasz tę mapę?

- Trzeba ją wrzucić do morza jak murgu - w nocy osłabł jego gniew, oczy nie płonęły już wściekłością, lecz ciągle czaił się w nich niepokój. Kerrick pokręcił głową.

- Jest zbyt cenna. Mówi nam rzeczy, które musimy wiedzieć. Pokażę ci. Tu są nasze paukaruty, a tu jesteśmy teraz. Spójrz jednak tam, dalej na południe wzdłuż tego brzegu, widzisz ten wielki ląd za wąskim paskiem oceanu...

- Ląd murgu, tak mi powiedziałeś, nie chcę o nim myśleć.

- Spójrz tylko tu, na te wyspy przy brzegu. Tam są murgu, które zabitych moich braci. Chciałbym je zabić. Ten ikkergak łatwo by tam dopłynął.

Kalaleq cofnął się i wysunął przed siebie rękę.

- Ten ikkergak popłynie tylko w jednym kierunku. Na północ. Ten ikkergak pożegluje szybko od murgu - nie ku nim. Nie mów mi tak więcej, bo nie wolno o tym nawet myśleć. - Potem roześmiał się i machnął szeroko ręką.

- Chodź, paukaruty czekają. Pomyśl ile tam dobrego mięsa do jedzenia, tranu do lizania. Co za zabawa! Nie myśl o tych murgu. Nigdy o nich nie myśl ani nie spotykaj się z nimi.

Gdyby mógł. Gdyby tylko mógł.

*Ardlerpoq, tingavoq, misugpoq,  
muluvoq - nakoyoark!*



Polować, kochać się, jeść, umierać - co za zabawa!

## ROZDZIAŁ XXXVII

To było wielkie święto. Nie, to było coś znacznie więcej. Znacznie, znacznie więcej, niż przypuszczał Kalaleq, gdy o tym wspominał.

Była to największa uroczystość, jaką Paramutanie kiedykolwiek obchodzili. Uczta zwycięstwa dla uczczenia śmierci nowego i strasznego wroga. Czegóż to nie opowiadano o bitwie! Jakichż pchnięć włócznią i koszmarnych okrzyków śmierci nie odtwarzano. Och, jakież to wywoływało wspaniałe wrzaski przerażonych kobiet. Ucztowali bez końca. Co to było za jedzenie, jęczeli z bólu, gdy naprężona do ostateczności skóra nie pozwalała na dalsze napychanie brzuchów, potem spanie, znowu jedzenie, dalszy sen. W paukarucie było gorąco, wszyscy się w nim tłoczyli, pozrucano więc wszystkie skóry i futra. Kalaleq obudził się raz w mocnym uścisku ciepłego, pachnącego ciała Angajorqaq. Powąchał miękką, brunatną sierść jej piersi i polizał je. Czując przez sen jego ruchy, jęknęła i podnieciła go strasznie. Zaczął wtedy gorączkowo działać, wciągnął ją na futra i wziął na oczach innych, którzy nie spali. Ich głośne okrzyki zachęty obudziły resztę. Wszyscy się podniecili, kobiety wrzeszczały w udawanym strachu i uciekały, ale niezbyt daleko. Było to wspaniałe, co za zabawa! Kalaleq jęczał głośno od radosnych wspomnień, jęknął znowu, gdy poczuł, jak boli go głowa. Jasne, walka! To też było wspaniałe.

Z kim walczył? Nie pamiętał. Wiedział jednak, że było wspaniałe. Jak to się zaczęło? Tak, to sobie przypomniał. To mężczyzna

Erqigdlit, tak właśnie. Był taki głupi. Kalaleq rozchylił tylko futra jego kobiety. Tak dla zabawy. Wtedy tamten go uderzył, a on się podniecił i walnął Nanuaqa. Ten mu oddał. Dobra zabawa.

Kalaleq ziewnął i przeciągnął się - potem roześmiał, poczuwszy obolałe mięśnie. Angajorqaq spała jeszcze, mrużąc coś do siebie. Kukujuka nie było widać pod skórą. Kalaleq wyszedł z paukarutu, ziewnął i przeciągnął się w porannym słońcu. Nanuaq stał również przed swoim paukarutem, podszedł do niego i uniósł wielką pięść.

- Mocno cię tym walnąłem!

- A potem ja ciebie.

- To była prawdziwa uczta.

- Była - Nanuaq, mówiąc to, śmiał się, zasłaniając usta grzbietem dłoni. Kalaleq na ten widok zmarszczył brwi, bo śmiech w grzbiet dłoni oznaczał tajemnicę. Dalsza zabawa.

- Powiedz mi, musisz mi powiedzieć - zawołał głośno - musisz.

- Powiem ci. Erqigdlit odszedł. Musiał wyjść, gdy spałeś. I zabrał ci łódź!

Rozśmieszyło ich to obu tak bardzo, że padli na śnieg i tarzali się w nim, aż rozboleły ich boki.

- Lubię tych Erqigdlit - wydyszał wreszcie Kalaleq - robią rzeczy, jakie nigdy by nam nie przysły do głowy.

- Obudź innych. Niech też się pośmieją. Weź ikkergak. Musimy go złapać przed nocą.

Krzyki na dworze obudziły Armun. Zobaczyła odrzuconą połę namiotu, biegających i nawołujących się Paramutanów. Po walce i nocnych wyczynach Kerrick rozłożył swe futra między nią a pozostałymi uczestnikami zabawy, by uniknąć dalszych niepożądanych zaczepek. Przyciągnęła swoje ubranie i nałożyła je pod futrami. Widok jej gładkiej, bezwłosej skóry przyciągał i podniecał Paramutanów, a nie chciała dalszych kłopotów. Po wyjściu na dwór zobaczyła, że jeden z

ikkergaków jest spychany w morze. Podeszła do niej Angajorqaq, jej pokrytą brunatną sierścią twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Twój Kerrick jest taki śmieszny. Gdy spaliśmy, wypłynął na łodzi, byśmy go gonili.

Armun poczuła strach. Nic w tym zabawnego - ani dla niej, ani dla Kerricka. W nocy nie śmiał się z innymi, ledwo ich zauważał, siedział ponury i smutny, pogrążony w myślach, ocknął się dopiero wtedy, gdy któryś z Paramutanów szarpnął za jej ubranie. Uderzył go w wielkim gniewie, zabiłby, gdyby go nie odciągnęła. To nie był żart. Skoro wziął łódź, to tylko z jednego powodu. Chce płynąć na południe, odszukać wyspę; o niczym innym nie mówił.

- Płynę z wami - zawołała, gdy ikkergak ześlizgiwał się na wodę. - Zaczekajcie na mnie, musicie poczekać.

Chichocząc radośnie Paramutanie pomagali jej wdrapać się na pokład, starali się ją dotykać choćby przez grube futra. Gdy waliła ich po dłoniach, śmiali się jeszcze głośniej. Nie mogła się na nich gniewać, bo byli tacy inni od Tanu, śmiali się ze wszystkiego i dzielili żonami.

Armun usunęła się na bok, gdy wciągnięto żagiel. Nanuaq siedział u rumpła, kierując ikkergak pod wiatr. Kalaleq spojrział krytycznym okiem na ustawienie żagla, potem poluzował linę i zamocował ją w nowym położeniu.

- Jak go znajdziecie? - spytała Armun, wpatrując się w szary bezmiar pustego, spienionego morza.

- Nie mógł popłynąć na zachód na ocean, na północy jest tylko lód, ruszymy więc na południe i szybko go znajdziemy, bo lepiej żeglujemy. - Kalaleq umocował linę i spróbował wsadzić jej rękę pod futra. Odsunęła się i poszła na dziób, z dala od wszystkich.

Było tam zimno, bryzgi fal zalewały jej twarz, ale tkwiła tam prawie cały dzień. Brzeg przesunął się wolno, a morze przed nimi pozostawało puste. Dlaczego to zrobił? Czy naprawdę sądził, że zdoła dopłynąć samemu do tego dalekiego miasta murgu? A gdyby nawet zdołał, co by tam zdziałał? To szaleństwo.

Szaleństwem było nawet myślenie o tym. Musiała teraz stawić czoła niepokojom, bo unikała ich zbyt długo. Zbyt jednak długo usiłowała bagatelizować te różnice. Nadeszła pora spojrzenia w twarz prawdy. Było w nim coś złego, coś niebezpiecznego w sposobie jego działania. Czasami przypominał jej starca, nigdy nie знаła jego imienia z sammadu swego dzieciństwa. Mówił tylko do siebie i nie słuchał innych, choć słyszał słowa kierowane do niego. Dawali mu jedzenie i uważali na jego słowa, w końcu jednak poszedł do puszczy i nigdy nie wrócił. Kerrick nie słyszał głosów duszy, ale zniknął w morzu tak jak starzec w lesie. Czy dzieje się z nim to samo? Czy można mu jakoś pomóc?

Strach trzymał ją na dziobie ikkergaka przez cały dzień, wpatrywała się w puste morze. Kalaleq przyniósł jej jedzenie, lecz odepchnęła je. Nie było widać łodzi. Może się mylą, może popłynął na zachód, w ocean, nie pozostawiając żadnych śladów. Nie, nie będzie o tym myślała, nie powinna. Wyruszył na południe szukając wyspy murgu, tak właśnie zrobił. Strach jej nie opuszczał, narastał coraz bardziej, gdy niebo ciemniało wraz z wieczorem.

- Tam - zawołał Niumak. Wspiął się do połowy masztu i wisząc na jednej ręce, wskazywał w morze. Na fali unosiła się maleńka ciemna plamka, potem zniknęła. Kalaleq przesunął rumpel.

- Jaki sprytny ten Tanu - zawołał. - Trzyma się morza, a my szukaliśmy przy brzegu.

Wołali Kerricka, gdy ikkergak doganiał łódkę, śmiali się i wykrzykiwali pochwały. Musiał ich słyszeć, ale się nie odwracał. Wpatrywał się przed siebie i płynął dalej. Gdy znaleźli się obok, odwrócił od nich twarz. Spojrzał na nich dopiero wtedy, gdy ikkergak go wyprzedził, przeciął drogę. Puścił wiosło sterowe i usiadł przygarbiony, żagiel opadł. Ręce położył na udach, brodę wsparł na

piersi i nie ruszał się ani nie odpowiadał na okrzyki. Ktoś rzucił mu linę, ale nie zauważył jej i spadła do morza. Podpłynęli bliżej i chwycili za żagiel. Gdy kadłuby się zetknęły, Armun przeszła przez burtę i wpadła do łódki.

- Kerrick - zawołała łagodnie. - To ja, Armun. Jestem tutaj. Poruszył się i uniósł głowę, zobaczyła łzy spływające mu po twarzy.

- Umierają - powiedział - wszyscy zginą. Mógłbym temu zapobiec, mógłbym. Teraz zginą, i to przeze mnie.

- Nie! - krzyknęła, chwyciła go i mocno przycisnęła do piersi. - Nie możesz się winić. To nie ty stworzyłeś ten świat. To nie ty sprowadziłeś murgu. Nie możesz się oskarżać.

Postradał zmysły, była teraz tego pewna. To nie był Kerrick, walczący nieustraszenie z murgu, spieszący za nią na mroźną północ. Stało się z nim coś strasznego i nie wiedziała, co ma robić. Był już taki w obozie nad jeziorem, choć wtedy było lepiej. Jego samopoczucie poprawiło się po wyruszeniu na północ. Teraz jednak choroba wróciła, silniejsza niż kiedykolwiek.

Kerrick tulił się do niej przez całą noc, wyczerpany, pogrążony w głębokim śnie, gdy płynęli z powrotem na północ.

Rankiem wydawał się spokojniejszy, zjadł coś i napił się wody.

Nie odpowiadał jednak na pytania i Paramutanie spochmurnieli, bo uważali, iż popsuł zabawę. Wkrótce o tym zapomnieli, zaczęli natomiast krzyczeć radośnie, gdy o świcie ujrzeli paukaruty. Armun nie mogła jednak zapomnieć. Patrzyła na ponurą, milczącą twarz i czuła, jak opuszcza ją nadzieja. Odezwał się do niej dopiero wtedy, gdy zostali sami.

- Tak, płynąłem na wyspę. Nic innego mi nie pozostaje. Liczą na mnie.

- Ale co byś zrobił sam, gdybyś nawet ją znalazł?

- Nie wiem! - zawołał z bólem. - Wiedziałem tylko, że muszę spróbować.

Armun nie znalazła na to odpowiedzi, żadnych słów pocieszenia. Mogła tylko trzymać go, najmocniej jak potrafiła, i pozwolić, by przemawiało jej ciało.

Tego samego dnia zaczął padać śnieg. Najpierw lekki, potem coraz gęstszy, aż za każdym paukarutem powstała długa zaspą. Nadciągały zimowe zawieje.

Mieli mnóstwo jedzenia i Paramutanie dużo spali w długie zimowe noce. W krótkie dni między sztormami wychodzili na polowanie i połowy, ale nigdy nie oddalali się daleko. Kerrick nie przyłączał się do nich, zamykał się w sobie i pozostawał w paukarucie. Armun lękała się o przyszłość, pomimo wysiłków nie potrafiła wyrwać go z mrocznych myśli.

W końcu zwyciężyła jego obsesja.

- Nie mogę patrzeć, jak się męczysz - zawołała Armun.

- Nie mam wyboru. Nie ma innego wyjścia. Muszę znaleźć tę wyspę. I powstrzymać Vaintè. Nie znam spokoju, póki tego nie uczynię.

- Wierzę ci. Pójdę z tobą.

Przytaknął z powagą, jakby jej ból spowodował rozsądną decyzję.

- To dobrze. Jestem więc w połowie drogi. Dwoje nas to za mało, potrzebujemy jeszcze kogoś. Paramutanina potrafiącego żeglować. To wystarczy. W trójkę zdołamy tego dokonać, przemyślałem dokładnie, co trzeba zrobić.

- Co?

Spojrzał na nią podejrzliwie, jakby obawiał się podsłuchu, potem pokręcił głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. Muszę dopracować wszystkie szczegóły, nim opowiem komukolwiek. Musisz teraz poprosić Kalaleqą, by z nami popłynął. Jest mocny i nie zna strachu, potrzebujemy kogoś takiego.

- Odmówił, gdy prosiłam go ostatnim razem.

- To było wtedy. Poproś go jeszcze raz.

Kalaleq leżał pod skórą, żując leniwie kawałek starej ryby, usiadł jednak z uśmiechem na widok podchodzącej Armun.

- Wiele dni sztormu, jeszcze więcej zimy - podniósł futro i wyciągnął rękę ku niej. Odsunęła jego dłoń.

- Czemu więc nie odpłyniesz zimą, nie żeglujesz na południe, gdzie jest lato?

- To niemożliwe. Paramutanie należą do północy i gina, gdy dni są bez przerwy gorące.

- Nie tak daleko, nie do bezkresnego lata. Tylko w tamtą stronę. Popłyn do wyspy Kerricka i z powrotem. Pomóż mi.

- Do wyspy? Ciągle o niej myśli?

- Musisz mi pomóc, Kalaleq, pomóc jemu. Coś dziwnego stało się z jego głową, boję się.

- To prawda! - zawołał poruszony Kalaleq, potem zasłonił twarz dłonią, gdy Angajorqaq i Kukujuk zwrócili się ku niemu. Milczał, póki nie odwrócili głów, i dalej mówił szeptem. - Podejrzywałem to, tak dziwnie mówi, ale nie sądziłem, że jest tak naprawdę. Jaka musisz być szczęśliwa.

- Szczęśliwa? Co masz na myśli?

- Tak bardzo ci się poszczęściło. Do twego łowcy przemawiają duchy oceanu i wiatru. Mówią do niewielu ludzi - i bardzo rzadko. A słyszący ich głosy mówi do nas wszystkich. Tak nauczyliśmy się wszystkiego. Dzięki nim potrafimy robić różne rzeczy. Te głosy odpowiedziały nam, jak budować ikkergaki, dzięki nim możemy łapać ularuaqi i porastać w tłuszcz. Teraz duchy przemawiają do Kerricka, a on przekaże nam ich słowa.

Armun nie wiedziała, co ma robić, śmiać się czy płakać.

- Czy wiesz, co mówią? Powtarzają ciągle tylko jedno. Płyn na południe do wyspy. Mówią tak stale. Kalaleq kiwnął głową i przygryzł wargę.

- Tak mówią? Cóż, musi więc tak być. Popłyniemy na południe do wyspy.

Armun mogła jedynie pokręcić głową z niewiarą.

*yilanèhesn farigi nindasigi ninban*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Fargi nie ma miasta, dopóki nie stanie się Yilanè.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Nowe miasto miało pierwszeństwo, Ambalasei wiedziała o tym, ale żal jej było każdej chwili, której nie poświęcała na badanie Sorogetso. Tak nazwała bliskich krewniaków Yilanè, stworzenia milczące, bo choć można się było z nimi porozumieć, to jedynie w ograniczonym zakresie, jakby nie przestały być młodymi elininył w morzu. Nawet to pozostało jedynie przypuszczeniem, gdyż po pierwszym spotkaniu nie doszło do następnych. Sorogetso nie zbliżały się do pustkowiec na półwyspie i kryły się w dżungli. Ambalasei była zaś zbyt pochłonięta nie kończącymi się kłopotami z tworzeniem miasta przy niewielkiej pomocy Cór Rozpaczy, by miała czas na poszukiwanie Sorogetso. Czuła także swój wiek.

Leżała teraz w cieniu szybko rosnącego krzewu i przyglądała w się sanduu próbkom kultur. Soczewki oczu zmutowanego stworzenia wystawione były na słońce, wyświetlany obraz widać było dobrze w cieniu. Większość kultur mikroskopijnego życia była jej znajoma, nie dostrzegała w wysterylizowanej glebie żadnych zarazków czy szkodliwych grzybów. Dobrze.

- Poślij po Enge - poleciła swej asystentce Setèssei.

Położyła się na płycie wypoczynkowej i westchnęła. Nie starczy życia na wszystko, czego chciała dokonać. Lanefenuu była dla niej szczodra i w dalekim Ikhalmenetsie mogła sobie pozwolić na przyjemne, powolne badania. Ile lat tam spędziła? Straciła rachubę. Nadal by tam była, gdyby nie rosnące zainteresowanie dla biologicznych aspektów filozofii Cór. Potem w nagłym impulsive porzuciła całą wygodę dla tej twardej ławki pod kolczastym krzakiem. Nie! - wykręciła ciało w gwałtownym proteście. Badanie Cór Rozpaczy może i było błędem, ale nie ta podróż. Ileż nowego materiału odkryła, z jaką czcią by się spotkała, gdyby przedstawiła go uczonym w Entoban\*. Rozkoszowała się tą myślą. Już gigantyczne węgorze byłyby czymś zaskakującym, a co dopiero cały nowy kontynent. Zapowiadało to badanie o znaczeniu po wielokroć większym.

Sorogetso. Cierpliwości, musi być cierpliwa. Postępować małymi krokami. Do pracy potrzebuje bezpieczeństwa, spokoju i ciszy. Potrzebuje miasta, musi wpłynąć na te nic nie warte siostry, by dostarczyły jej wygod i wszystkiego co konieczne dla badania Sorogetso. Już z tego jednego powodu, nie mówiąc o innych, miasto musi wyrosnąć szybko i doskonale. Westchnęła ponownie, zbyt często jej myśli biegły tym torem. Czy się jej to podoba, czy nie, musi o to zadbać.

Poczuła cień i zobaczyła, iż przyszła Enge. Czekwała cierpliwie, aż skończy rozmowę z sobą. Ambalasei zwróciła ku niej jedno oko i dała znak bacznej uwagi.

- Doszliśmy do ważnej chwili w rozwoju nowego miasta. Ściana jest mocna, niepotrzebna roślinność usunięta, wyrosły krzewy ocieniające. Zagon ziemi za mną został skopany, wyjąłowany i użyźniony, jest gotowy, że bardziej nie można. Pozostała tylko jedna czynność. Zasadzenie nasienia miasta.

Wyjęła je z pojemnika i podniosła. Enge opadła na kolana w milczącej adoracji. Długo wpatrywała się w pozwijany brązowy kształt, nim się odezwała.

- Pierwsze i najważniejsze w moim życiu było odkrycie Ugunenapsy. Teraz nastąpi na pewno drugi co do ważności moment. Możemy ci tylko za to podziękować, wielka Ambalasei, i uczcić cię, nadając twe imię temu nowemu lądowi. Dałaś nam wolność, przewiozłaś przez ocean, doprowadziłaś do Ambalasoeki, gdzie wyhodujesz nam miasto. Czy mogę przywołać inne, by widziały zasadzenie?

- Liczy się zasadzenie, a nie chwila. Powinny pracować.

- Zechcą uczcić to wydarzenie. Uczcić ciebie.

- No, jeśli nalegasz. Ale to wielka strata czasu.

Wieść rozniosła się szybko i Córy zbiegały się od swych prac, głęboko oddychając w upale południa. Skupiły się w milczeniu wokół Enge, pchały się, by ujrzeć zagłębienie wygrzebane w miękkiej ziemi. Pod kierunkiem Ambalasei zalewano je teraz wodą.

- Wystarczy, nie chcemy, by zgniło czy zostało utopione - powiedziała stara uczona. Trzymała ziarno, a Córy kołysały się w milczącej czci. - Teraz - która z was je zasadzi?

Ku utrapieniu Enge wybuchła gorąca dyskusja, ręce poruszały się szybko, dłonie błyskały barwami.

- Musimy to przedyskutować...

- Co uczyniłaby Ugunenapsa?

- To sprawa pierwszeństwa. Najmądrzejsze są niewątpliwie te, które najwcześniej doszły do Ugunenapsy. Musimy więc wybrać pierwszą, zapytać wszystkie...

- Pokorna prośba o milczenie - powiedziała Enge i powtarzała to z kontrolerami ważności i pilności, aż wreszcie zamilkły.

- Jest tylko jedna Yilanè godna tego wiekopomnego zadania; doprowadziła nas tutaj, przywiozła nasienie miasta i ona je zasadzi.

- Głupia strata czasu - stwierdziła Ambalasei, wstając z jękiem, choć propozycja jej pochlebiała. Córy są gadatliwe i skłonne do dyskusji, ale przynajmniej potrafią docenić inteligencję i umiejętności. Podeszła do wilgotnej dziury w ziemi trzymając ziarno w kciukach.

- Z tą uroczystością... - zaczęła Enge i przerwała wstrząśnięta, gdy uczona po prostu wrzuciła ziarno w otwór, zasypała go nogą i wróciła na ławkę wypoczynkową, wołając po drodze:

- Podlejcie je trochę, a potem wracajcie do pracy. Enge pierwsza odtrząsnęła się z pełnego zgrozy milczenia, podeszła bliżej, szukając właściwych określeń.

- Dzięki, wielkie dzięki dla Ambalasei, najwyższej z najwyższych. Uczyniła nam zaszczyt, sadząc ziarno naszego miasta, pierwszego miasta wyznawczyń Ugunenapsy. Jak to wielokrotnie omawialiśmy. ...

- Jestem tego pewna!

- ... miasto może mieć tylko jedno imię. Będzie się nazywało Uguneneb. Miasto Ugunenapsy i zawsze będzie znane pod tym mianem.

Nastąpiły chwile zadowolenia, okrzyki radości. Ruchami pogardy Ambalasei przerwała zamieszanie.

- Dość. Do pracy. Jest jej wiele. Zostań, Enge. Rozkaż jednak innym, by wracały do swych zadań.

- Im nie można rozkazywać... - Enge dostrzegła rosnący gniew Ambalasei i zwróciła się szybko do Cór: - Przez szacunek do Ambalasei i dla Ugunenapsy, która kieruje nami wszystkimi, musimy wyhodować to miasto. Konieczny jest przeto powrót do wybranych przez nas obowiązków. Przypominam o naszej decyzji. Robimy to, co musimy.

Odwróciła się znów do Ambalasei, która gestem ważności wskazała na dżunglę.

- Myślę, że powinniśmy teraz zabrać się do Sorogetso. Czy nas obserwują?

- Tak. Jak prosiłaś, każde ich zauważenie jest mi meldowane. Bardzo często wyglądają zza drzew, jeszcze bliżej podchodzą brzegiem.

- Czy ktoś się do nich zbliżał?

- Nie, jak nakazałaś. Są jednak obserwowane. Teraz trzy się nam przyglądają.

- Co? Dlaczego nikt mi nie powiedział?

- Twoje instrukcje mówiły o obserwacji i zapamiętywaniu, a nie działaniu.

- Czasami sytuacja prosi o samodzielne myślenie. Dziwi mnie twój brak przedsiębiorczości,

Enge.

Enge wiedziała, że lepiej nie odpowiadać na to obraźliwe stwierdzenie. Ambalasei wstała i rozejrzała się.

- Gdzie są? Nic nie widzę.

- Patrzysz w złym kierunku. Za tobą, na skraju rzeki, jest półko nad wodą, gdzie rosną nowe krzaki. Podpływają tam codziennie i przyglądają się nam z ukrycia.

- Nie przeszkadzano im?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Niekiedy, prawdopodobnie przez czysty przypadek, robicie coś jak należy. Zabierzemy się teraz do kontaktu z Sorogetso. Pójdę tam i zacznę rozmowę.

- Nie - sprzeciwiła się Enge ze znakami siły i polecenia.

Ambalasei opadła wstrząśnięta, bo nie pamiętała, by ktoś ją tak potraktował. Enge zwróciła się szybko do uczonej, bojąc się, że ta zmiecie ją wybuchem swego temperamentu.

- Mówiłam ci już o moich badaniach nad porozumiewaniem się. Wspomniałam też, że rozwinęłam teorię dźwięku-barwy-ruchu, którą teraz ci chętnie objaśnię. Zajmowałam się również długo badaniami porozumiewania się fargi i elininyil, podobnie jak i samców w hanalè. Przeszukałam zapisy i odkryłam, że jako jedyna robiłam to przez dłuższy czas. Ponieważ jestem specjalistką, to na pewno zechcesz wysłuchać mych sugestii. - Zobaczyła, że Ambalasei nadyma się z gniewu, zaraz wybuchnie. - Nie ukarałaś Elem, gdy wyraziła swą specjalistyczną wiedzę i zażądała nakarmienia uruketo - dodała szybko.

Ambalasei opadła i dała znak docenienia rozumowania.

- Nie możesz się ze mną równać, lecz czasami wyskakujesz z czymś błyskotliwym, to mnie bawi. Jestem bardzo zmęczona, chętnie więc skorzystam z możliwości poleżenia w cieniu i wysłuchania twych wyjaśnień.

- Po pierwsze - zaczęła Enge, wznosząc kciuk, bo rozważała to długo i dogłębnie - musi iść tylko jedna, tak jak poszłaś z rybą.

- Zgoda. Ja nią będę.

Enge nie traciła czasu na spory, lecz mówiła dalej.

- Po drugie, należy nawiązać kontakt. Zabrały nasze jedzenie, symbol dzielenia się, lecz teraz trzeba przejść na inny poziom. Zastanawiają się, jakimi jesteśmy stworzeniami, co tu robimy, lecz nie można im odpowiedzieć od razu. Wiedzą też, że trzeba się dzielić. Jeśli coś ci daję, oczekuję czegoś w zamian.

- Jak można to osiągnąć?

- Jeśli popatrzysz, to się dowiesz.

Enge odwróciła się szybko, nim skora zawsze do złości Ambalasei zdołała ją zatrzymać. Podeszła powoli do krzaków skrywających Sorogetso.

Szła coraz wolniej na widok zmieszanych ruchów, wreszcie stanęła i usiadła wygodnie na ogonie. Była na tyle blisko, by ją rozumiano, lecz nie aż tak, by się jej bać. Wyciągnęła dłonie.

- Przyjaciółka - powtarzała ciągle, w najprostszy z możliwych sposobów, używając wyłącznie barw, bez dźwięków. Przerwała wreszcie i spojrzała na krzaki. Gdy ukryte obserwatorki nie zareagowały, powtórzyła wszystko od początku. Rozluźniona, cierpliwa, promieniowała spokojem i pogodą. - Przyjaciółka. - Mówiła tylko tyle. Czekwała na ich ruch. - Przyjaciółka.

Słońce przesunęło się po niebie, a Sorogetso leżały bez ruchu. W końcu jedna u nich wyszła z krzaków i stanęła przed nimi, w blasku jej oczy były pionowymi szparkami. Nie tę spotkały w dżungli, była wyższa, lepiej umięśniona i wysuwała wyniosłe podbródek. Gdy



Enge nie wykonała żadnego ruchu, przeciągnęła pazurami po ziemi sygnalizując groźbę.

- Nie bój się - powiedziała Enge. - Nie bój się mnie. - Widząc zaskoczenie Sorogetso, powtórzyła to na różne sposoby, zawsze możliwie jak najprościej, aż tamta zrozumiała i wyprostowała w gniewie grzebień.

- Ja... bać się... nie! Ty... bać się.

Kontakt został nawiązany, ale Enge nie okazywała zadowolenia. Wyświetliła tylko powtórnie barwy przyjaźni. Potem swe imię.

Obserwująca ich z dali Ambalasei nie dostrzegła żadnych szczegółów pierwszego kontaktu, lecz rozmowa ciągnęła się, aż słońce opadło nisko. Wtedy urwała się nagle, Sorogetso odwróciła się, przedarła przez krzaki i skoczyła głową w dół do wody. Enge wróciła powoli, jej sztywne ciało nie wyrażało żadnych uczuć.

- Mam nadzieję, że mądrze spędziłaś ten czas - powiedziała Ambalasei. - Choć z tego co dostrzegłam, niewiele zaszło.

- Dużo zaszło, dużo-porozumienie - Enge mówiła niewyraźnie, pogrążona była głęboko w myślach. - Nalegałam by ta, która wyszła, robiła to co ja. Powiedziałam me imię i zapewniłam, że przybyliśmy tu w pokoju. Powtarzałam, że chcemy im tylko pomóc, możemy dawać im jedzenie. To dość jak na pierwszy kontakt, wystarczy, że przekazałam te podstawowe pojęcia.

- Rzeczywiście, podstawowe. Mam nadzieję, że nie była to strata czasu. Czy przynajmniej poznałaś imię tego stworzenia?

- Tak.

- Dobrze, powiedz. Jak się ona nazywa?

- Eeasassiwi. Mocny-rybak. Ale to nie jej imię. - Enge zawahała się, widząc zmieszanie Ambalasei, potem wyjaśniła wolno i precyzyjnie.

- Nie można powiedzieć, że to jej imię.

- Musimy stwierdzić, że to jego imię.

- Tak, to prawda, ten mocny-rybak jest samcem.

## ROZDZIAŁ XXXIX

- To, coś powiedziała, jest zupełnie niemożliwe.

Ambalasei podkreśliła swe stwierdzenie kontrolerami nieograniczonego wzmocnienia. Enge pochyliła się pod wrażeniem jej wściekłości i pewności siebie, ale niczego nie odwołała.

- Może i tak, wielka Ambalasei, bo w nauce o życiu nie ma nikogo mądrzejszego od ciebie. Korzę się pokornie przed twą wiedzą, lecz mimo to wiem, to co wiem.

- Skąd możesz wiedzieć? - syknęła Ambalasei, jej ciało drżało, grzebień nabrzmiął i poczerwieniał.

- W bardzo prosty sposób. Sorogetso rozgniewał się, gdy nie odpowiedziałam zgodnie z jego życzeniem, zaczął grozić, między innymi otworzył sakwę płciową. Widziałam, co widziałam. To samiec, a nie samica.

Ambalasei cofnęła się, zbladła nagle i głośno dysząc, starała się uspokoić. To nie pomyłka; Enge widziała, co widziała. W zamieszaniu poruszała rękoma, szukając jakiegoś wyjaśnienia, możliwego wytłumaczenia. Wnioski były logiczne, lecz odpychające.

- Jeśli to stworzenie wykonało gesty grożenia, a jednym z nich jest pokazanie narządów płciowych, to należy wnioskować, że musi to być płć agresywna. Co z kolei prowadzi w sposób nieunikniony do wniosku, że... - Nie była w stanie mówić dalej, lecz zdradzała ów wniosek ruchami ciała. Enge wypowiedziała go na głos:

- Dominują tu samce, a samice są im co najwyżej równe, a być może - podporządkowane.

- Cóż za plugawstwo nie do przyjęcia! Dla Yilanè nie jest to właściwy porządek. Tak może się zdarzać u zwierząt niższych, bo są nierozumne-bydłęce, ale inteligencja wiąże się z samicami, podobnie myśl, źródło życia, jaja - wszystko to niezaprzeczalnie należy do samic. Samce spełniają prymitywne biologiczne funkcje dostarczenia połowy zasobu genów i nie wymagającej rozumu opieki przed narodzinami. Tylko do tego się nadają, do niczego więcej. To, co zauważyłaś, jest niedorzeczne, nienaturalne - bardzo ciekawe.

Ambalasei odzyskała pewność siebie, rozumowała teraz jak prawdziwa uczona, a nie bezmyślna fargi. Czy to możliwe? Oczywiście, że tak. Podział zadań między płciami, stosunki między nimi, wymiana i odwracanie ról miało nieskończoną liczbę postaci wśród gatunków świata. Dlaczego i w ich gatunku nie miałyby dojść do zmiany? Jak dawno nastąpiło jego rozszczepienie? Musi to rozważyć. Możliwość porozumienia, choćby prymitywnego, wskazywała na stosunkowo niedawne rozejście się obu odmian. Chyba że podstawowe formy komunikacji zapisane są w genach, a nie nauczane. Staje się to coraz bardziej interesujące. Dość. Najpierw obserwacje, tworzenie teorii na końcu. Potrzebne są fakty, dalsze fakty.

Ona to odkryje... ! Skoczyła na nogi.

- To rozkaz! Muszę wiedzieć, zapisywać wszystko na temat Sorogetso.

Enge wyraziła cierpliwość.

- Będziesz to miała, to twój naukowy umysł wszystko rozwikła. Wpierw jednak konieczny jest kontakt. Muszę nauczyć się rozmawiać z Sorogetso, zdobyć ich zaufanie, zgłębić ich kulturę. To musi potrwać.

Ambalsei odchyliła się do tyłu z westchnieniem.

- Oczywiście. Zaczynij natychmiast. Nie zajmuj się niczym innym. Zabierz z sobą Setèssei, zwalniaj ją z wszystkich innych obowiązków. Ma wszystko rejestrować. Trzeba prowadzić szczegółowe zapisy. Moje imię rozejdzie się w annałach czasu jak ryk neniteska za dokonanie tego odkrycia. Ty, oczywiście, też znajdziesz w nich pewne miejsce.

- Twoja łaskawość jest nieskończona - powiedziała z szacunkiem Enge, ukrywając większość swych uczuć. Ambalasei była na szczęście zbyt mocno pochłonięta swymi rojeniami, by spostrzec ironię tego stwierdzenia.

- Tak, oczywiście, jestem z niej szeroko znana. Muszę też nauczyć się ich języka - Setèssei będzie mi co dzień dostarczać zapiski. Nauczysz się z nimi porozumiewać, uzyskasz dostęp do ich społeczności, dasz im jedzenie, może zachorują i będę mogła udzielić pomocy lekarskiej, a przy okazji zbadam ich fizjologię. Otwierają się wrota nauki - fakty zebrane, szybko zrozumiane! - Spojrzała na Enge i spoważniała. - Ale nauka przeznaczona jest dla tych, które są w stanie ją pojąć. Tak jak fargi-nieprzywykłe chronione są przed przypadkowym ujrzeniem samców, tak samczość Sorosetso musi być ukrywana przed twymi towarzyszami. Enge zmartwiła się.

- Ależ otwartość jest podstawą naszego życia. Dzielimy się wszystkim.

- Wspaniale. Ale to nie nadaje się do podziału. - Nalegała, aż zrozumiała, że Enge nie jest przekonana. - Zrobię porównanie. Yilanè nie dawały hèsotsanu do ręki yiliebe fargi, której boki są jeszcze mokre od morza. Spowodowałoby to śmierć jej, czy innych. Samczość Sorosetso może być bronią, jadem kulturowym, zagrożeniem. Czy rozumiesz to i czy się zgadzasz?

- Tak - z oznakami poważnych wątpliwości.

- Proszę więc tylko o powściągliwość naukową, na razie. Gdy dowiemy się czegoś więcej, wtedy omówimy to ponownie. Zgoda?

- Zgoda - z mocnymi kontrolerami. - Musimy odkryć prawdę, potem ocenić, jaki wywrze na nas wpływ. Dopóki do tego nie dojdziemy, zachowam milczenie.

- Bardzo dobrze. Ponieważ zgodziłaś się ze mną, wzrasta mój podziw dla twojej inteligencji. Przyślij tu Setèssei, bym mogła pouczyć ją o wszystkim, co należy zrobić.

Miasto rosło wspaniale, a Ambalasei poświęcała mu coraz mniej uwagi. Tak się złościła, gdy przychodzono do niej z jakimiś kłopotami, mówiła tak obraźliwie, że zaczęto się jej bać. Córy powoli dochodziły do samodzielnego rozwiązywania problemów. Było to możliwe, jak wkrótce odkryły, bo Uguneneb mało miało z wygód, jakie pamiętały ze starszych, większych i dłużej istniejących miast. Odpadki nie były pochłaniane i wykorzystywane, wodę czerpano z rzeki. Brakowało wielu, jeśli nie wszystkich udogodnień. Mimo wszystko wołały to od uwięzienia w sadzie. Nie liczyło się, że śpią pospołu pod konarami z szerokimi liśćmi i jedzą monotennie, tylko węgorki i ryby. Cenniejsza od jedzenia i picia była dla nich możliwość dyskusowania o Ugunenapsie i jej naukach, poszukiwanie prawdy i odkrywanie odpowiedzi. W tej chwili było to cudowne, choć momentami ciężkie życie.

Enge przez większość dnia zapominała o istnieniu Ugunenapsy, bo mozoliła się nad tajemnicą Sorosetso, uczeniem się ich języka.

Eeasassiwi nie pojawił się więcej po pierwszym spotkaniu, ale zdołała nawiązać kontakt z inną Sorosetso, lękliwą i nieśmiałą, którą wreszcie pozyskała cierpliwością i darami jedzenia. Miała na imię Mooraweas, czyli barwa-pomarańczy, może z powodu jasnopoma-rańczowego grzebienia. Była samicą i Enge stwierdziła, że lepiej się z nią pracuje, łatwiej rozmawia.

Nauka języka Sorosetso postępowała powoli, ale stale. Mieli bardzo niewiele kontrolerów, większość znaczeń wyrażali zwykłą zmianą barw. Zauważono tylko kilka wyrażeń werbalnych. Wkrótce po tym Enge odkryła, że może rozmawiać z Mooraweas o podstawowych pojęciach. Stało się nareszcie możliwe włączenie Ambalasei.

- Wyjątkowa okazja - sygnalizowała, śpiesząc do uczonej, która natychmiast porzuciła swą pracę i wyraziła posłuszną uwagę. Zmieszało to Enge, nie spodziewała się, że Ambalasei zna takie pokorne gesty.

- Pośpieszne wyjaśnienia - powiedziała Ambalasei.

- Już. Moja informatorka wspomniała, że jedna z jej towarzyszek - w słowie użytym przez nią nie ma żadnych odniesień do samczości-samiczości - została ranna. Powiedziałam Mooraweos, że jedna z nas potrafi poprawiać ciała i bardzo to ją poruszyło. Sądzę, że zaprowadzi nas do rannej.

- Cudownie. Badałam ich język na podstawie twych zapisków. Stała wyprostowana i mówiła w sposób właściwy Sorogetso.

- Pomoc-dawać, osoba-prowadzić, wdzięczność. Enge była pod wielkim wrażeniem.

- Doskonale. Nadeszła pora pójścia do dżungli. Boję się tylko o twoje bezpieczeństwo. Może powinnam zabrać wpierw Setèssei, potrafi leczyć, może będzie to właściwe przy pierwszej wizycie...

- Ja pójdę - powiedziała to z całą władczością i mocą. Enge zgodziła się, wiedziała, że tym razem nie można się jej sprzeciwić.

Ambalasei nacisnęła narośl na boku niesionego stworzenia; otworzyło pysk, ukazując schowany w środku sprzęt medyczny. Po starannym sprawdzeniu zawartości Ambalasei dorzuciła kilka ne-fmakeli, wielkich, na poważne rany, a także parę drobiazgów, które mogły się przydać. Zadowolona zamknęła stworzenie i zwróciła się do Enge.

- Nieś to sama, nie chcę, by ktoś nas widział. Prowadź. Sorogetso czekała w rzece, z wody wystawała jej tylko głowa.

Przestraszona widokiem Ambalasei zrobiła wielkie oczy, odwróciła się i weszła głębiej w nurt. Ruszyły za nią, ale pływała lepiej i szybko straciły z oczu jej pomarańczowy grzebień. Ambalasei zobaczyła, że wynurzyła się na dalekim brzegu, dyszała ze zmęczenia. Mooraweos stała na skraju lasu, weszła między drzewa, gdy tylko się do niej zbliżyły. Ruszyły za nią, znów zniknęła im z oczu, ale szły dobrze wydeptaną ścieżką. Czekala na nie na brzegu strumienia.

- Stać - błysnęła dłońmi, z gestem oznaczającym bliskość --niebezpieczeństwa. Obie Yilanè stanęły od razu, rozejrzały się na wszystkie strony, lecz nie widziały żadnego niebezpieczeństwa.

- W wodzie - wskazała Mooraweos, potem otworzyła szeroko usta i wydała wysoki, szczebioczący krzyk. Powtórzyła go, aż z drugiego brzegu dobiegła odpowiedź. Z krzaków wyszły dwie dalsze Sorogetso, patrząc podejrzliwie przez nurt.

- Zagrożenie od obcych, duży strach - wyraziła jedna.

- Większym zagrożeniem śmierć Ichikchee - odparła z pewną stanowczością Mooraweos. Dopiero po dalszych wahaniach i głośnych rozkazach Mooraweos podeszły do wielkiego pnia leżącego przy brzegu i wepchnęły go w nurt. Jednym końcem pozostał na piasku, drugi spłynął swobodnie i utknął na brzegu, tworząc w ten sposób most przez strumień. Mooraweos szła pierwsza, uważnie czepiając się pazurami szorstkiej kory i przytrzymując się sterczących kikutów konarów. Enge czekała, aż ruszy Ambalasei, lecz uczona tkwiła sztywno i milcząco.

- Pójdę przodem - powiedziała Enge. - Nie ma się chyba czego bać.

- Głupota i brak pojęcia - powiedziała Ambalasei z pewną gwałtownością. - Nie boję się tych prostych istot. Powstrzymały mnie myśli i obserwacje. Czy widziałaś, co zrobiły?

- Oczywiście. Spławiły ten kloc, by mogły przebyć strumień suchą stopą.

- Mózg-najniższej-fargi! - prychnęła Ambalasei w nagłym gniewie. - Widzisz oczami, lecz nie ogarniasz umysłem. Posłużyły się wyrobem, przedmiotem, jak to robią ustuzou, a nie Yilanè. Rozumiesz teraz, co się stało?

- Oczywiście! Radość-odkrycia, przyznanie głupoty. Choć przypominają nas fizycznie, tkwią społecznie na poziomie ledwo co wyższym od niższych zwierząt nie mających wiedzy Yilanè.

- Niewątpliwie. Ale zrozumiały dopiero po wskazaniu palcem. Prowadź.

Przeszły most równie uważnie jak Sorogetso, choć Ambalasei stanęła w połowie drogi i pochyłona przyjrzała się uważnie wodzie. Sorgetso krzyczała ze strachu, aż uspokoiła ją i zeszła na drugi brzeg.

- Nie dostrzegłam żadnego niebezpieczeństwa - powiedziała, patrząc z wielkim zainteresowaniem, jak Sorogetso przyciągają wystające gałęzie i zwisające pnącze, pilnując się, by nie wejść dowody, aż pień umieszczony został w pierwotnym położeniu. Zaraz potem dwie Sorogetso zniknęły wśród drzew. Enge poprosiła o uwagę.

- Mooraweos poszła tędy, musimy iść za nią.

Szły następną wyraźną ścieżką przez gąszcz drzew, aż znalazły się na polanie. Widziały tylko czekającą na nich Mooraweos, choć czuły, iż obserwuje je wiele innych, ukrytych w krzakach. Ambalasei wyraziła radość z nowej wiedzy.

- Spójrz na tamten brzeg za drzewami. Jesteśmy otoczone przez wodę, to wyspa na strumieniu pełniącym rolę zapory, zawierającym jakieś niebezpieczeństwo-do-zbadania. Zauważ pierwotne i wstrętne zwyczaje - wyrzucone kości czarne od much.

- Mooraweos nas woła - powiedziała Enge.

- Weź zapasy medyczne i idź za mną.

Mooraweos usunęła nisko rosnące gałęzie, odsłaniając znajdujące się pod drzewem gniazdo z suchej trawy. Leżała tam nieprzytomna, mająca zamknięte oczy Sorogetso. Na pewno samica, jej sakwa rozchyliła się lekko, rzucała się i jęczała z bólu. Lewa stopa została niemal odgryziona przez jakieś zwierzę, była spuchnięta, czarna i pokryta muchami. Kostka i noga powyżej również nabrzmiały i zmieniły barwę.

- Zaniedbanie i głupota - powiedziała z pewnym zadowoleniem Ambalasei, otwierając zwierzę-pojemnik. - Muszę zastosować drastyczne środki, pomożesz mi. Jest to również okazja dla pewnych eksperymentów i obserwacji naukowych. Odeślij Mooraweos. Powiedz jej, że ocale to życie, ale nie może się przyglądać, bo nic nie zrobię.

Sorogetso odeszła chętnie i szybko. Gdy tylko zniknęła, Ambalasei szybkim, dokładnym ruchem wstrzyknęła środek znieczulający. Poczekała, aż Ichikchee się uspokoi, a wtedy owinęła zranioną nogę stworzeniem bandażowym, ustawiając jego głowę na wielkiej tętnicy pod kolanem. Stworzenie gładko łykało swój ogon, aż zacisnęło się, wgłębiło w ciało, odcinając dopływ krwi. Dopiero wtedy uczona wyjęła struno-nóż i odcięła zakażoną stopę. Enge odwróciła głowę, lecz mimo to usłyszała zgrzyt noża na kości. Ambalasei zauważyła jej ruch i wyraziła zdumienie.

- Cóż za wrażliwość! Czyżbyś była fargi bez doświadczenia życiowego? Patrz i ucz się o życiu. Stopę można było wyleczyć, lecz nie do końca. Lepsze jest całkowite jej usunięcie. Czy raczej odrzucenie wszystkiego co niepotrzebne. Wycięłam człony palców i połowę śródstopia. Ostrożnie i umiejętnie usunę je do końca. Dalej nie trzeba. Teraz - wielki nefmakel, tak, ten, oczyść ranę. Daj mi pojemnik.

Ambalasei odszukała mały pęcherz lepkiej czerwonej galaretki. Przecięła go i przy pomocy małego nefmakela wyjęła z otoczki białą pestkę, położyła ją na kikucie odciętej stopy. Dopiero gdy leżała we właściwy sposób zamknęła ranę i przykryła ją dużym ne-fmakelem. Na końcu odszukała zwierzę z jednym kłem i zrobiła następny zastrzyk.

- Antybiotyk. Po wszystkim.

Wyprostowała się i pogładziła bolące plecy. Zobaczyła wtedy, że nie są już same. Z ukrycia wyłoniło się cicho wiele Sorogetso, stały blisko, poruszyły się i cofnęły, gdy na nie spojrzała.

- Koniec bólu - powiedziała głośno na ich sposób. - Śpi. Będzie słaba, ale ból odszedł. Musi odpoczywać wiele dni, będzie cała, jak przedtem.

- Stopa... odeszła - powiedziała Mooraweas patrząc wielkimi oczami na owinięty kikut.
- Wrócę i zajmę się nią. Zobaczycie coś, czego nie widziałyście nigdy dotąd.
- Co zrobiłaś? - spytała Enge, równie zaciekawiona, jak i Sorogetso.
- Umieściłam grupę komórek, z których wyrośnie nowa stopa. Jeśli te istoty są nam tak bliskie genetycznie, na jakie wyglądają, to w miejsce straconej stopy odrośnie nowa.
- A jeśli nie odrośnie?
- Z punktu widzenia nauki będzie to równie ciekawy przypadek. Każdy wynik będzie miał wielkie znaczenie.
- Największe dla Ichikchee - powiedziała Enge z wyraźną przy-ganą. Ambalasei wyraziła zdumienie.
- Postęp wiedzy ma na pewno pierwszeństwo nad tą prymitywną istotą, która na pewno by umarła, gdybym się nią nie zajęła. Takie współczucie jest nie na miejscu.
- Sorogetso zbliżyły się jeszcze bardziej, było ich w sumie dziesięcioro, z rozwartymi szczękami usiłowały pojąć niezrozumiałą dla nich rozmowę. Patrzyły czujnie, jak mówiła Ambalasei, niektóre nawet podeszły bliżej, by lepiej widzieć jej barwy.
- Są tu - Ambalasei zwróciła się nagle do Enge. - Musimy zdobyć nowe dane. Porozum się teraz z nimi. Cóż to za doniosła chwila. Doniosła!
- Sorogetso cofnęły się przestraszone szybkością jej niezrozumiałych słów, lecz powróciły, gdy łagodnie je przywołała.
- Są jak fargi prosto z morza - powiedziała Enge. - Musimy być cierpliwe.
- Cierpliwe, to oczywiste, ale i spostrzegawcze. Tu my jesteśmy fargi, gotowymi do nauki, bo Sorogetso prowadzą własne życie, które musimy zgłębić. Zaczynamy.

*kakhashasak burundochi ninustuzochi  
ka'asakakel.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Świat bez ustuzou jest lepszym światem.

## ROZDZIAŁ XL

Przed spotkaniem z Lanefenuu Vaintè nie czuła rozpaczy ani strachu. Miały straty, przerażające straty, ale przecież zwyciężają. W bitwie trzeba pogodzić się z pierwszym, aby uzyskać drugie. Liczył się tylko końcowy sukces, tylko o nim będzie się pamiętało. Sama była tego pewna, nie miała nawet krztyny wątpliwości, a jednak ciągle to sobie powtarzała. Lanefenuu mogłaby w to zwątpić, gdyby Vaintè nie otoczyła się pewnością-powodzenia niby wszechogarniającą skorupą.

- Pragnienie zmiany położenia, niedostatek światła - powiedziała załogantka z pędzlem i farbą, przekazując tę chęć z kontrolerami najwyższej pokory.

Uruketo zmieniło kurs, muszą się zbliżyć do Ikhalmenetsu, bo słup światła z góry otwartej płetwy przesunął się w bok. Vaintè pochyliła się, uniosła ogon i weszła w blask, by obejrzeć malunek. Wzory złotych liści schodziły spiralnie od ramion, kończąc się wizerunkami owoców na grzbietach dłoni. Może zbyt ozdobne, ale odpowiednie dla ważnego spotkania. Wyraziła zadowolenie i pochwałę; załogantka odpowiedziała najwyższą wdzięcznością.

- Wspaniałe, lekkie dotknięcia, delikatne wzory - powiedziała Vaintè.

- Z radością pomogę Zbawicielce we wszystkim.

Vaintè słyszała ostatnio coraz częściej to określenie. Początkowo w postaci prowadząca-nas, lecz stopniowo przechodzącej w wyba-wiająca-nas. Takie są poglądy i słowa Yilanè z Ikhalmenetsu. Nie miały wątpliwości, nic ich nie obchodziły fargi, które zginęły w walce. Widziały śnieg coraz niżej na szczycie górskim, czuły zbliżający się oddech bezkresnych zim. Eistaa musi w jakimś stopniu dzielić to uczucie.

Gdy uruketo wpływało do portu Ikhalmenetsu, Vaintè stała na wierzchołku płetwy obok dowódczym. Ogromne stworzenie z ociążalym wdziękiem mijalo szereg innych uruketo, kierując się do swego miejsca przy nabrzeżu. Enteesenaty rzucały się naprzód w wirach piany, niecierpliwie oczekując nagrody. Niewielka fala zalała drewniane nabrzeże, przetoczyła się przez grzbiet uruketo, które zostało przyciągnięte i przymocowane. Vaintè spojrzała w dół i rzuciła stojącej w dole uruketo załogantce:

- Pożądana obecność wysokiej-pozycji Akotolp.

Rozejrzała się po opustoszałym porcie i skryła swe niezadowolenie w nieruchomym oczekiwaniu na uczoną. Eistaa wiedziała o powrocie Vaintè, o jej obecności na pokładzie uruketo. Nikt jednak nie czekał na nabrzeżu, nie witała jej żadna Yilanè o wysokiej pozycji. Jeśli to nie obraza, to niewątpliwie ostrzeżenie. Vaintè go nie potrzebowała. Lanefenuu nie kryła swych poglądów na metody prowadzenia walki z ustuożu. Z dołu rozległo się sapanie Akotolp.

- Co za wspinaczka - skarżyła się gruba uczona. - Podróż w uruketo to niewygoda.

- Pójdiesz ze mną do eistai?

- Chętnie, silna Vaintè. Będę służyć ci wszelką pomocą i wsparciem. - Zwróciła jedno oko na dowodzącą, sprawdziła, że odwrócona plecami nadzoruje przybijanie i dodała: - Niech wzmocni cię świadomość, że postępowałaś jedynie zgodnie z rozkazami. Nigdy nie potępiano fargi czy Yilanè za wypełnianie rozkazów.

Vaintè wyraziła wdzięczność-za-zrozumienie i dodała:

- Gdyby to było takie proste, dobra Akotolp. Dowodziłam jednak i muszę ponosić odpowiedzialność za wszelkie porażki. Chodź.

Po wejściu do ambesed przekonały się, że jednak są oczekiwane. Eistaa była tam, siedziała na swym miejscu chwały, z tyłu otaczały ją doradczynie, ale poza nimi cała wielka przestrzeń ziała pustką, piaszczysta podłoga była gładka i pokryta wzorami. Podchodząc do Lanefenuu pozostawiły za



sobą podwójne ślady stóp. Eistaa siedziała prosto i nieruchomo. Dopiero gdy stanęły przed nią, wyraziły lojalność i uwagę, obdarzyła Vaintè zimnym wzrokiem.

- Doszło do porażki i śmierci, Vaintè, porażki i śmierci. Vaintè przed odpowiedzią ustawiła kończyny w geście szacunku do władzy.

- Śmierci, zgoda, Eistao. Zmarły dobre Yilanè. Nie było jednak porażki. Natarcie trwa. Lanefenuu od razu się zdenerwowała.

- Czyż zniszczenie całej armii nie jest dla ciebie porażką?

- Nie jest. Na tym świecie zjadamy lub jesteśmy zjadane, sama wiesz o tym najlepiej z wszystkich Yilanè. Byłyśmy gryzione przez ustuzou, lecz przeżyłyśmy, by połknąć je żywcem. Mówiłam ci, że to niebezpieczny przeciwnik, nigdy nie obiecywałam, że obejdzie się bez strat.

- Rzeczywiście, mówiłaś. Zaniedbałaś jednak podać mi liczbę zwłok Yilanè, ilość padłych tarakastów i uruktopów. Jestem bardzo niezadowolona, Vaintè.

- Korzę się przed twą naganą, silna Lanefenuu. Masz całkowitą rację. Zaniedbałam podać ci liczbę tych, które zginą. Podam ci ją teraz, Eistao.

Vaintè rozłożyła szeroko ręce w geście obejmującym wszystko, wypowiadając jednocześnie nazwę wielkiego miasta.

- Ikhalmenets zginie, wszystkie zginie, to będzie miasto śmierci. Jesteście skazane.

Doradczynie Lanefenuu jęknęły, przerażone tymi słowami patrzyły w ślad za palcem Vaintè na wielką górę, wygasły wulkan górujący nad wyspą, widziały wbrew chęci lśniący na niej śnieg.

- Nadchodzi zima, Eistao, zima bez końca. Co roku śnieg sięga niżej. Już niedługo dojdzie do miasta i nigdy nie stopnieje. Wszystkie, które tu pozostaną - zginą.

- Mówisz o nie swoich sprawach - krzyknęła Lanefenuu zrywając się z objawami wielkiego gniewu.

- Mówię tylko prawdę, wielka Lanefenuu, Eistao Ikhalmenetsu, przywódczyni jego Yilanè. Nadciąga śmierć. Ikhalmenets musi przenieść się na ląd Gendasi\* przed tą katastrofą. Moje wysiłki mają jedynie na celu ocalenie miasta. Jak ty boleję nad śmiercią naszych sióstr i naszych zwierząt. Ktoś jednak musi zginąć, by żyły pozostałe:

- Dlaczego? Mamy Alpèasak. Według twych raportów rośnie dobrze i wkrótce Ikhalmenets będzie mógł się do niego przenieść. Jeśli tak jest, czy konieczne były te wszystkie śmierci?

- Konieczne jest zniszczenie ustuzou. To zagrożenie musi być ostatecznie zlikwidowane. Póki żyją, grozi nam niebezpieczeństwo. Pamiętaj, że kiedyś zniszczyły i zajęły Alpèasak. Nie może się to więcej powtórzyć.

Gniew nadal ogarniał Lanefenuu, lecz mimo to starannie rozważała słowa Vaintè. Chwilę milczenia wykorzystała Akotolp.

- Wielka Lanefenuu, Eistao morzem-otoczonego Ikhalmenetsu, czy mogę powiedzieć ci, co zostało osiągnięte, a co należy jeszcze wykonać, by przenieść Ikhalmenets do Entoban\*?

Ta uwaga rozgniewała Lanefenuu, lecz powściągnęła swą reakcję, bo złością tu nic nie osiągnie. Vaintè nie drżała przed nią ze strachu jak inne, podobnie też ta gruba uczona. Usiadła i kazała Akotolp mówić.

- Zwierzęta dysponują wieloma sposobami ataku, od choroby po zabijanie. Po każdym zarażeniu dobra uczona określa przyczynę i znajduje lekarstwo. Powtórny atak nie przynosi już powodzenia. Ustuzou spaliły nasze miasto, lecz teraz wiemy jak wznosić miasta, których nie da się spalić. Ustuzou napadły nas w nocy pod osłoną ciemności. Teraz rozpraszają je silne światła, napastników zabijają strzałki i pnącza.

Lanefenuu odrzuciła pogardliwym ruchem informacje o dawnych sukcesach.

- Nie lekcja historii jest mi potrzebna, ale zwycięstwo.

- Będiesz je miała, Eistao, bo jest nieuniknione. Atak i ucieczka, cios i wycofanie się, tak postępują zwierzęcy ustuzou. Powolny postęp, zapewnione powodzenie są sposobami Yilanè.

- Zbyt powolny!

- Dostatecznie szybki, aby dać zwycięstwo.

- W śmierci mych Yilanè nie dostrzegam zapowiedzi zwycięstwa.

- Uczymy się. Nie dopuścimy więcej do porażki.

- Czego się nauczyłyście? Wiem tylko, że zginęły, co do jednej, za zaporą nie do przebycia.

Akotolp wyraziła potwierdzenie, ale z dodatkiem siły-rozumu.

- Głupie fargi mogą uciekać w panice, krzycząc o niewidzialnych ustuzou. To gadanie z niewiedzy. Nauka nie zna tajemnic, których nie można by rozwikłać poprzez pracowitość i pilność. Co potrafią ustuzou, jestem w stanie zgłębić. Dokonałam badań, potem przy pomocy zwierząt o dobrym węchu tropiłam ustuzou. Wykryłam, jak dostały się do taboru, znalazłam drogę, którą go opuściły.

Eistaa była zaintrygowana, słuchała uważnie, zapominając na chwilę o gniewie. Vaintè widziała, co robi Akotolp, i była jej wdzięczna.

- Wykryłaś, jak nadeszły i jak wyszły - powiedziała Lanefenuu. - Ale czy wiesz też, jak zaatakowały i zabijały?

- Oczywiście, Eistao, bo bestialskie ustuzou muszą zawsze przegrać w starciu z nauką Yilanè. Ustuzou zauważyły, że nasze siły obozują zawsze w tym samym miejscu. Dlatego przed przybyciem oddziału zagrzebały się w ziemi niby zwierzęta, jakimi zresztą są, i leżały w ukryciu. Jakie to proste. Nie przyszły do nas - lecz my do nich. Wylazły w mroku nocy i zabijały.

Lanefenuu była zdumiona.

- Tak zrobiły? Mają tyle rozumu? To proste - ale niebezpieczne.

- Mają zwierzęcy spryt, którego nie wolno nam nigdy nie doceniać. Teraz ten rodzaj ataku już się nie powiedzie. Nasze oddziały zatrzymywać się będą na noc w różnych miejscach. Zabiorą z sobą zwierzęta tropiące i znajdujące ukrytych wrogów, zamaskowane wejścia i nory.

Lanefenuu, słuchając, zapomniała o swym gniewie, Vaintè wykorzystała jej lepszy nastrój.

- Nadeszła pora, o Eistao, odwrócenia się plecami do śnieżnej góry i spojrzenia na złote plaże. Alpèasak jest już wolne nie tylko od ustuzou, ale i od wszystkich śmiercionośnych roślin, które je wyгнаły. Zapory odrosły, wzmocnione roślinami, których nie można spalić. Ustuzou wycofały się na wielką odległość, między nimi a miastem są nasze oddziały. Czas już wracać do Alpèasaku. Stanie się on znów miastem Yilanè.

Słyszając te zapewnienia Lanefenuu wstała i zaczęła w zwycięskim geście drapać pazurami ziemię.

- Odpływamy więc, jesteśmy bezpieczne!

Vaintè wzniosła obie dłonie płonące różowym ograniczeniem.

- To początek, a nie koniec. Potrzebna jest pomoc przy umacnianiu miasta, przyspieszaniu jego wzrostu. Nie ma tam jeszcze żywności dla ludnego miasta. To dopiero początek. Możesz wysłać jutro uruketo Yilanè i wyćwiczonych fargi, najwyżej dwa.

- Kilka kropel, gdy potrzebny jest ocean - powiedziała gorzko Lanefenuu. - Niech i tak będzie. A co z ustuzou, co z nimi?

- Uważaj je za martwe, Eistao, wykreśl je ze swych myśli. Akotolp potrzebuje materiałów do badań, ja dalszych fargi. Potem odpłyniemy. Nie będzie końcowego ciosu, lecz trwać będzie powolne, nie powstrzymane zaciskanie chwytu, jak u wielkiego węża dławiącego się swą ofiarą. Ta

może się jeszcze wyrwać, lecz nie umknie swemu losowi. Gdy przybędę do ciebie następnym razem, zamelduję o ostatecznym zwycięstwie.

Lanefenuu usiadła i zastanowiła się nad relacją Vaintè. Stożkowate zęby zgrzytały lekko, odzwierciedlając przebieg jej myśli. Wszystko to trwa zbyt długo, są za duże straty. Ale czy jest inne wyjście? Kto mógłby zastąpić Vaintè? Nikt, odpowiedź była prosta. Nikt nie zna ustuzou tak jak ona. Ani nie ma jej nienawiści. Ustuzou muszą być ścigane i zabijane, była o tym przekonana. Są zbyt groźne, by pozostawić je przy życiu. Vaintè je zniszczy. Patrząc na nią lewym okiem, prawym skręcała powoli, aż spojrzało na pokryty śniegiem wierzchołek. Tej zimy po raz pierwszy śmiertelna biała powłoka doszła do skraju zielonych drzew. Muszą odpłynąć nim dojdzie do miasta. Nie ma wyjścia.

- Idź, Vaintè - rozkazała z gestem odesłania. - Weź, co ci trzeba i ścigaj ustuzou. Nie chcę cię widzieć, nim nie przybędziesz z wieścią o ich zniszczeniu. - Znowu wybuchnęła gniewem. - Jeśli nie zginą, ty umrzesz zamiast nich, zaręczam. Czy zrozumiałaś?

- Całkowicie, Eistao - Vaintè wyprostowała się, biła od niej siła i pewność. - Nie stanie się inaczej. Widzę to wyraźnie. Jeśli nie zginą - umrę. To moje zapewnienie. Własne życie. Kładę je w zastaw.

Lanefenuu wyraziła przyjęcie i niechętny podziw. Vaintè robi to, co konieczne.

Vaintè przyjęła to jako odprawę, odwróciła się i odeszła z sapiącą z tyłu Akotolp. Uczona z trudem za nią nadążała, bo Vaintè szła coraz szybciej. Śpieszyła ku swemu przeznaczeniu.

Ku zwycięstwu.

*Nangeguaqavoq sitkasiagpai.*

## POWIEDZENIE PARAMUTANÓW

Nieważny cel, lecz podróż.

## ROZDZIAŁ XLI

Gdy zapadła decyzja o wyprawie, szaleństwo w oczach Kerricka jakby zmalowało. Choć nadal rozdzierał go niemożliwy do rozwiązania konflikt wewnętrzny. Jemu i Armun nic nie groziło, ale za oceanem sammady Tanu i Sasku żyły zagrożone wyrokiem śmierci. Im bardziej czuł się bezpieczny, tym mocniej odczuwał ich zagrożenie. Winił siebie za to, widział Vaintè jako ducha śmierci wyzwolonego przez siebie. Nie miał żadnych wątpliwości, iż niszczy ona wszystko na swej drodze tylko po to, by zabić jego. On za to odpowiada. I siedzi bezpieczny. Dopiero teraz przestał umykać. Jak zapędzone w kąt zwierzę odwraca się i atakuje. Jak zwierzę nie zastanawia się nawet przez chwilę, czy przeżyje. Wie tylko, iż musi bić, rwać i drapać.

To Armun dostrzegła, jak wysoka jest cena bezpieczeństwa. Gdy patrzyła, jak ślęczy nad mapami, pragnęła, by znalazło się inne wyjście. Ale wiedziała, że nie było innego, poza wyprawą na południe, w nieznaną. Alternatywą było zostanie tu, póki Kerrick nie oszaleje. Widziała, że po podjęciu decyzji był szczęśliwy, uśmiechał się porównując mapy, wybierając kurs, jakim muszą popłynąć. Choć przyszłość była mroczna i nieznaną, Armun rada była ze swej decyzji. Kerrick wypełnił jej puste życie, zabrał z wygnania, sprawił, że los jej się odmienił. Różnił się od wszystkich łowców, potrafił robić rzeczy, jakich oni nie umieli. Poprowadził ich do zwycięstwa przeciwko murgu. Mimo to po zdobyciu miasta został odrzucony. Wiedziała dobrze, co znaczy odrzucenie. Teraz pójdzie za nim wszędzie. Mała, jednoosobowa armia. Nie, dwuosobowa, nie może zapominać o małym Paramutaninie, który w tym szaleństwie dojrzał mądrość, żeglował chętnie pomimo zawiei arktycznej zimy.

Kalaleq był rzeczywiście bardzo szczęśliwy. Śpiewał pod nosem pieśni łowieckie, gdy pochylony nad żaglem sprawdzał ścieg po ściegu, wzmacniał je jelitami w każdym słabszym miejscu. Przeglądał też kadłub, przepatrywał go i uszczelniał. Najtrudniejsza będzie pierwsza część rejsu, przed wyruszeniem muszą wszystko przygotować. Zebrano i umocowano żywność, załadowano bukłaki z wodą. Kalaleq wiedział dobrze, czym grożą zimowe sztormy. Będą mieli dwie pompy a nie jedną, bo gdyby zawiodła, byłiby zgubieni. Co za zabawa! Śmiał się głośno przy pracy, udawał, że nie dostrzega zawistnych spojrzeń innych. Cóż to będzie za wyprawa!

Po zakończeniu wszystkich przygotowań musieli czekać, bo teraz, w pełni zimy, wiały najsilniejsze wiatry, zasypując paukaruty śniegiem i rycząc nad nimi. Mogli jedynie czekać. Z każdym dniem opóźnienia powracał ponury nastrój Kerricka, choć usiłował z nim walczyć, wiedząc, iż nic nie można zrobić. Kalaleq spał i nabierał sił. Armun pozostawała spokojna, zrezygnowana, co miało zbawienny wpływ na Kerricka. Wyruszą, gdy tylko pozwoli na to pogoda.

Rano Kerrick poznał od razu, że coś się zmieniło. Zniknęła wyjąca, szarpiąca paukarut od wielu dni wichura. Było cicho. Kalaleq odsznurował wejście wpuszczając jaskrawe światło.

- Co za pogoda! Jak dobrze!

- No to wyruszamy?

- Teraz, zaraz, już, bez zwłoki! Duch wiatru powiedział nam, że musimy odpływać natychmiast, póki spoczywa. Nie odszedł na długo, trzeba spróbować przebyć zatokę sztormów zanim nie powróci. Do łodzi!

Wszyscy wiedzieli, że koniec zawiei oznacza początek długo odwlekanego rejsu. Paukaruty opustoszały, mieszkańcy z okrzykami i śmiechem spieszyli do łodzi. Oczyszczono ją ze śniegu i zaniesiono na skraj oceanu. Fale nadal łamały się w kłębach piany i wbiegały wysoko po pochyłości półki do ćwiartowania. Spierano się głośno o najlepszy sposób spuszczenia łodzi na wodę, ale szybko osiągnięto porozumienie. Bez trudu znaleziono ochotników, którzy przepchali łódź przez

przybój, krzykiem i śmiechem przyjmując zimne bryzgi wody, przytrzymywali ją tam wśród nadciągających bałwanów. Jeszcze inni chwycili trójkę żeglarzy, posadzili na ramionach i weszli do morza. Kalaleq wciągnął żagiel, gdy tylko znalazł się na pokładzie, a Paramutanie odepchnęli kadłub od przyboju. Łódź skoczyła naprzód, a pomocników zalały wysokie fale, zaniósł śmiejących się na brzeg. Aimun patrzyła na to ze zdumieniem, nigdy nie mogła zrozumieć tych dziwnych, futrzastych łowców.

Przy przeważających wiatrach zachodnich musieli bardzo często halsować, by posuwać się na południe i zachód. Kalaleq wiedział, że łąd na południe od nich biegnie ze wschodu na zachód i że nigdy nie miną przylądka na jego końcu, jeśli pozwoli się unosić wiatrom. Obserwując żagiel i niebo utrzymywał kurs, który prowadził podskakujący, maleńki statek z dala od brzegu.

Choroba morska niemal natychmiast opanowała Armun, leżała bezwładnie pod okryciami z futer. Kołysanie nie działało na Kerricka, pomagał przy linach, gdy tylko było to konieczne. Uśmiechał się, a nawet jak Paramutanin witał radośnie rozbryzgi zamarzające na włosach i brodzie. Kalaleq podzielał jego entuzjazm i tylko Armun zdawała się dostrzegać grożące im niebezpieczeństwo, ogrom szaleństwa tego rejsu. Było już jednak za późno na powrót, o wiele za późno.

Dobra pogoda, z umiarkowanymi wiatrami i czystym niebem, trwała jedynie dwa dni. Potem wróciły sztormy, słabsze jednak niż uprzednio. Żeglowali następne trzy dni, aż na takielunku narosło tyle lodu, że musieli przybić do brzegu, by go usunąć. Wciągnęli łódź daleko na piasek małej plaży, odłamywali lód, aż wszyscy się spocili i przemarzli, potem stłoczyli się przy rozpalonym przez Kerricka ognisku. Szczekając zębami starali się wysuszyć ubrania, które zaczęły parować i skwierczeć.

W czasie sztormu minęli bazę murgu, nie dostrzegli jej nawet, nie spodziewali się zresztą o tej porze roku zastać na zimnych, północnych morzach tych uwielbiających ciepło stworzeń. Z każdym jednak dniem pogoda się poprawiała. Sztormy słabły coraz bardziej, gdy ich stateczek powoli, lecz stale płynął na południe wzdłuż skalistego wybrzeża.

Ranki były mgliste, zalewał ich drobny deszcz, mocniej ziębiący niż mroźne, lecz suche wiatry północy. Kerrick tkwił na dziobie, przyglądał się brzegowi. Nad mgłą wznosiły się skały, zbliżali się ku nim szybko gnani przez wiatr. Kerrick przenosił wzrok z mapy na łąd, przygryzając nerwowo usta. To musi być tu, nie miał wątpliwości. Odwrócił się szybko i zawołał do Kalaleqa:

- Skreć, kieruj się, jak można najbardziej na zachód. Jestem pewny, że bliżamy się do Genaglè, jest tu mocny prąd spychający na pełne morze.

- Jesteśmy tu? To wspaniale! - zawołał głośno Kalaleq, ze śmiechem przesunął rumpel, umocował go i skoczył przestawiać żagiel.

- Och, zobaczę to, cały nowy świat, pełen murgu. Czy murgu mogą być teraz na morzu?

- Wątpię, nie o tej porze roku. Ale gdy miniemy ujście Gengalè, znajdziemy się obok wielkiego kontynentu Entoban\*, gdzie zawsze jest ciepło. Tam będziemy musieli być ostrożni.

Murgu, Yilanè, te dwa słowa mieszały mu się w umyśle. Wkrótce dopłyną do wyspy. Muszą tam zaatakować, tak jak one zaatakowały Tanu po drugiej stronie morza. Jak atakują ich na pewno teraz.

- Nie walczą - powiedział Herilak z pianą wściekłości na ustach.

- Nie atakują nas, a napadane kryją się za trującymi zaporami, gdzie nie możemy ich osiągnąć.

- To murgu, a od murgu nie można wymagać, by walczyły jak Tanu czy Sasku - odparł Sanone. Pogrzebał kijem w ognisku, aż iskry wzbily się wysoko i uleciały w zimnym wietrze. Zimą noce były chłodne w tej osłoniętej dolinie, a on był stary, nie grzała go już młoda krew. Otulił się ciaśniej grubą szatą i rozejrzał po śpiącej dolinie. Czuwał tylko on i Herilak; wszyscy inni spali.

- Uczą się, te murgu się uczą - powiedział gorzko Herilak. - Początkowo mogliśmy zakłuwać je nocami, zarzynać i zabijać. Teraz są dla nas niedostępne. Podobnie w dzień. Pozostają za osłoną i czekają, póki nie odejdziemy. Wtedy ruszają i wolno, lecz stale zbliżają się do nas.

- Jak blisko są teraz? - spytał Sanone.

- Otaczają nas ze wszystkich stron. Nie widać ich jeszcze, ale są tam, odległe o cztery dni marszu w każdym kierunku. Krąg nie jest pełen, tworzą oddzielone obozy, ale mimo to są niedostępne. Atakowane, pozostają w środku i nie wychodzą, lecz w tym czasie zbliżają się inne. Któregoś dnia znajdą się tu wszystkie, otoczą dolinę i wtedy koniec.

- Musimy więc odejść, nim będzie za późno, nim znajdziemy się w pułapce.

- Dokąd? - Niepewność rozszerzała oczy Herilaka, w świetle ogniska błyszczały mu białka. - Czy jest jakieś bezpieczne miejsce przed nimi? Jesteś mandukto Sasku, przewodnisz swym łowcom i kobietom. Czy znasz miejsce, gdzie bylibyśmy bezpieczni?

Sanone poruszył się niespokojnie i powiedział:

- Za zachodnią pustynią.

Mówią, że jest tam woda i zielona trawa.

- Chcesz tam zaprowadzić swych Sasku? Ognisko trzaskało, płonął wielki kloc. Sanone odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Nie, nie chcę ich zabierać z tej doliny. Żyjemy tu od zawsze. Jeśli mamy gdzieś zginąć, to najlepiej tutaj.

- Nie chcę umierać, ale mam już dość uciekania. Podobnie moje sammady. Zabrałbym je stąd, gdyby tego chciały, ale są chyba tego samego zdania co my. Minął czas ucieczki. Prędzej czy później musimy się zatrzymać i stawić czoła murgu. Niech stanie się to jak najprędzej. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

Woda w rzece opadła bardziej niż zwykle. Niegdyś o tej porze deszcze w górach wypełniały ją po brzegi.

- Wezmę rano kilku łowców, zaprowadzę ich do wzgórz. Sądzisz, że to sprawka murgu?

- Nie wiem, ale boję się.

- Wszyscy się boimy, mandukto. Murgu spadają na nas jak śnieg zimy i są równie trudne do powstrzymania. Jedna kobieta widziała zielone pnącze spuszczone ze szczytu urwiska. Nie mogła podejść bliżej, ale dojrzała trujące rośliny murgu.

- Urwiska są wysokie.

- Pnącza rosną długo. Śnią mi się pieśni śmierci. Czy wiesz, co to oznacza?

Uśmiech Sanone był zimny i ponury.

- Niepotrzebny ci mandukto, silny Herilaku, by odczytać ów sen. Też słyszę pieśń śmierci.

Herilak spojrział ze smutkiem na gwiazdy.

- Zaczynamy umierać, gdy się rodzimy. Wiem, że któregoś dnia znajdzie się tam mój tharm. Bliskość tej chwili ziębi mnie bardziej niż wiatr. Czy nic nie możemy zrobić?

- Kiedyś Kerrick prowadził nas przeciwko murgu, wiódł do zwycięstwa.

- Nie wymieniaj jego imienia. Odszedł i zostawił nas na pewną śmierć. Już nas nie poprowadzi.

- Zostawił was, czy ty zostawiłeś jego, silny Herilaku? - spytał cicho Sanone.

Herilaka opanowała złość i miał coś gniewnie odpowiedzieć, lecz zamilkł. Uniósł dłonie i zacisnął je w pięści, potem rozwarł.

- Gdyby zapytał mnie o to łowca, odezwał się w ten sposób, uderzyłbym go. Ale nie ciebie, Sanone, bo potrafiśz zaglądać w głąb innych, czytać ich najbardziej skryte myśli. Od wyniszczenia mego sammadu tkwią we mnie dwie osoby. Jedna z nich zawsze wrze gniewem, pragnie zabijać, nie

słucha żadnych rad, odrzuca przyjaźń. Ten Herilak odwrócił się od Kerricka, gdy potrzebował pomocy. To już się stało. Gdyby tu był, znalazłbym dla niego słowa. Odszedł jednak, zginął na północy. Teraz, gdy jesteśmy w dolinie otoczonej przez murgu, gniew mój słabnie, czuję się znowu jednym człowiekiem. Może trochę za późno.

- Nigdy nie jest za późno wejść na ścieżkę Kadaira.

- Nic nie wiem o Kadairze. Masz jednak sporo racji. Erman-padar rozdmuchał iskierkę, z której powstał mój tharm. Niedługo zapłonie on wśród gwiazd.

- W skale została wydeptana dla nas droga. Możemy iść jedynie nią.

Ognisko zagasło, pozostawiając rozpalone węgle, zaczął mocniej dmuchać wiatr z północy. Na czystym, nocnym niebie gwiazdy były jasne i wyraźne. Sanone spojrział na spuszczoną głowę Herilaka i zastanowił się, kto w dolinie ujrzy pierwsze zielone kielki wyłaniające się wiosną z ziemi.



## ROZDZIAŁ XLII

Wybrzeże Entoban\* na wschodnim horyzoncie było mrocznym paskiem ledwo widocznym w świetle. Gdy łódź wspiwała się na fale, dostrzegali szczyty leżących w głębi łądu, pokrytych śniegiem, wysokich gór, nadal zalanych czerwonym blaskiem zachodzącego słońca. Wiatr słabł, ledwo wydymał żagiel.

Kerrick zerknął na Kalaleqę opierającego się na wiosle sterowym i odezwał się jeszcze raz, tym razem starannie dobierając słowa, pilnując się, by nie wpaść w gniew:

- Woda prawie się skończyła.
- Nie chce mi się pić.
- Ale ja jestem spragniony. I Armun. Musimy wylądować i napełnić bukłaki.

Mimo zapadającego zmroku Kerrick dojrzał, jak drży ciało Kalaleqę, jak nastroszyła się wokół jego szyi sierść. Ubranie zrzucił już przed wieloma dniami, gdy tylko zaczęło się robić cieplej. - Nie - powiedział i zadrzał ponownie. - To ziemia murgu. Widziałem je raz, zabijałem. Nigdy więcej. Gorąco mi, musimy wracać na północ.

Naparł na wiosło i żagiel załopotał, gdy łódź zawróciła. Bardziej rozgniewany niż uprzednio Kerrick ruszył do steru, lecz stanął, gdy Armun położyła mu dłoń na ramieniu.

- Pomówię z nim - szepnęła. - Krzykiem niczego nie osiągniesz, widzisz przecież.
- Dobrze, pomów - odepchnął jej dłoń i zaczął mocować żagiel. - Przekonaj go. Musimy zdobyć słodką wodę.

Kalaleq zadygotał pod jej dotknięciem, głaskała go po ramieniu, aż przestał drzeć.

- Mnóstwo wody - mruknął.
- Wiesz, że to nieprawda. Niedługo skończy się zupełnie, musimy lądować.
- Na wyspach, gdy zawrócimy, nie na tym brzegu. Pogłaskała go znowu, mówiła jak do dziecka.
- Nie wiemy, ile jeszcze zostało do wysp, nie możemy też zawrócić. Nie spodobałoby się to duchowi wiatru. Na razie zsyła nam pomyślne wiatry.
- Nie dziś, nie wczoraj.
- Bo usłyszał cię i wpadł w gniew.
- Nie!

Kalaleq przytulił się do niej, zrozumiała, co robi, i pozwoliła mu błądzić rękoma pod jej lekkim strojem, położyć je na nagich plecach. Nie odepchnęła go, nie pora. W mroku Kerrick nie mógł nic widzieć. Muszą dobić do brzegu pomimo lęków Kalaleqę. Teraz on sprawiał największy kłopot, bo rejs na południe rozproszył złe myśli Kerricka. Wpędził je za to do głowy Paramutanina! Teraz jego musi podtrzymywać na duchu, musi być nadal silna. Wiedziała dobrze, jak to robić. Łowcy Tanu i mężczyźni Param u tanów niewiele się różnili; łatwo wpadali w gniew, byli zażarci w walce, ulegali nastrojom. Ona musi to znosić. Ulegać, gdy to konieczne, upierać się, gdy tak trzeba. Przedtem musiała pomagać Kerrickowi, teraz jemu. Kalaleqowi było tego za mało. Wodził po niej dłońmi, przesunął je z pleców - aż odepchnęła go łagodnie.

- Kalaleq nie bał się wielkiego ularuaqę pływającego po morzach północnych - powiedziała. - Jest najpotężniejszym zabójcą ularuaqów, jego silne ręce żywią nas wszystkich.

- Tak - przyznał i znów po nią sięgnął, lecz się cofnęła.
- Kalaleq zabił nie tylko ularuaqę ale i murgu. Widziałam, jak zabijał murgu. To wielki zabójca murgu!

- Tak - powiedział głośniej. - Tak! - dźgnął niewidoczną włócznią. - Tak, zabiłem je, ja je zabiłem!

- Nie musisz się więc ich bać, gdy je spotkasz, zabijesz znowu.

- Oczywiście! - Jego nastrój zmienił się całkowicie, młócił pięściami po owłosionych piersiach.

- Potrzebujemy wody - do brzegu. Może natrafimy na jakieś murgu do zabijania.

Spojrzał na wiatr i splunął ze smutkiem. Klnąc odczepił wiosła i włożył w dulki.

- Za słaby wiatr, za niski żagiel. Pokażę wam, jak się wiosłuje. Ale nie miał okazji tej nocy.

Wkrótce zaczął dyszeć i oblewać się potem. Pozwolił, by Armun napoiła go resztką wody. Jego miejsce zajął Kerrick, naparł mocno

na wiosła, kierując się do brzegu. Kalaleq zapadł w niespokojny sen, a Armun miała nadzieję, że obudzi się w lepszym humorze. Noc była cicha i ciepła, gwiazdy kryły się za niskimi chmurami. Gdy Kerrick się zmęczył, Armun zastąpiła go przy wiosłach, tak iż stale zbliżali się do brzegu. Wyłaniający się na krótko księżyc pozwalał im na sprawdzanie kursu. W czasie snu Kalaleqa zmieniali się przy wiosłach, aż usłyszeli w oddali szum przyboju. Kerrick stanął na dziobie, próbując coś wypatrzyć poza pianą fal wbiegających na brzeg.

- Wygląda to na plażę, a nie na skały, fale są niewysokie. Czy mamy płynąć prosto?

- Obudź Kalaleqą. Niech on zdecyduje.

Paramutanin obudził się natychmiast, na szczęście nie trapił go żaden z wcześniejszych lęków. Wspiął się na maszt, powąchał wiatr i opuścił rękę.

- Łądujemy - powiedział zdecydowanie. - Wiosłuj prosto, ja będę sterował.

Wkrótce dojrzał zatoczkę i skręcił ku niej, potem skierował łódź między piaszczystymi łachami do ujścia strumienia czy rzeczki.

- Nikt nie zna łodzi, nie zna oceanu tak jak Kalaleq!

- Nikt - przytaknęła szybko Armun, nim Kerrick zdołał zgasić odzyskaną pewność siebie Paramutanina. Miał już coś powiedzieć, lecz przezornie z tego zrezygnował. Wiosłował, aż łódź zazgrzytała o dno, wtedy wyskoczył z niej z liną i wyciągnął na brzeg.

Woda u ujścia była słona, ale trochę dalej w górze nurtu stała się nagle świeża i słodka. Pił ją ze złączonych dłoni, potem zawołał pozostałych. Kalaleq rozkoszował się przyjemnym chłodem, zapominając o wcześniejszym strachu. Wciągnęli łódź, jak mogli najdalej i umocowali, potem padali wyczerpani. Bukłaki napełnią rano. Bładym świtem Kerrick szarpaniem za ramię zbudził Armun.

- Tam - pokazał. - Chodź szybko.

Kalaleq leżał za wysoką wydumą, machał włócznią i wykrzykiwał głośnie wyzwiska, ale uważał, by nie wychylić się poza osłonę. Podbiegli do niego, opadli i podpełzli do szczytu, by zza niego wyjrzeć.

Morzem, tuż przy brzegu, przepływało powoli wielkie zwierzę z wysoką płetwą. Przed nim gnały dwa mniejsze stworzenia.

- Uruketo - powiedział Kerrick. - Wiezie murgu.

- Jakże chciałbym, by byli bliżej, bym mógł je zadźgać, zabić wszystkie! - Oczy Kalaleqa czerwieńiały z nienawiści, odzyskał dobry humor, po poprzednich lękach nie zostało ani śladu.

- Patrz, w jakim kierunku płynie - powiedział Kerrick, spoglądając na słońce nad horyzontem i znów na morze. - Pomocnym, zmierzają na północ.

Patrzyli na uruketo, aż zniknęło im z oczu, potem ruszyli do łodzi i wygrzebali mapy Yilanè.

- Zapuściliśmy się za bardzo na południe, widzisz, musimy być tutaj. Uruketo płynie na północ, do wysp.

Kalaleq rozumiał mapy, gorzej było z Armun.

- Może płynąć na ten ocean, za ujściem - powiedział Paramutanin. Kerrick pokręcił głową.

- Nie o tej porze roku, jest za zimno, być może na wybrzeżach Isegnetu nie ma już żadnego miasta. Musi płynąć tu, do Ikhal-menetsu.

Spierając się napełniali bukłaki.

Przed południem mieli tyle wody, ile mogli tylko zmieścić i zdecydowali o nowym kursie. Podążają za pływającym stworzeniem murgu. Zgodzili się, że poszukiwana przez nich wyspa znajduje się w tamtym kierunku. Wiała teraz bryza od lądu, wypełniając żagiel, niosła ich szybko ku horyzontowi i temu, co się za nim kryło.

Przez cały dzień pokonywali pusty ocean, stracili z oczu pozostawiony ląd, niczego nie widzieli przed sobą. Gdy powracał strach Kalaleq, Armun pytała go, jak zabił ularuaq. Pokazywał jej swe umiejętności, krzycząc radośnie. Kerrick siedział cicho na dziobie, wpatrując się przed siebie. Pierwszy dojrzał pokrytą śniegiem górę.

- Tam jest Ikhalmenets, to nie może być nic innego.

Przyglądali się w milczeniu, jak wyspa powoli wyłaniała się z morza. Kalaleq zawołał ze zmartwieniem, gdy ukazały się inne plamki lądu.

- Tam - i tam. Inne wyspy. Jest ich więcej. Której szukamy? Kerrick wskazał na biały wierzchołek, błyszczący teraz ciepło w wieczornym słońcu.

- To ta, na pewno, taką mi opisano. Wyspa z jedną, wysoką górą w swym środku. W pobliżu są inne, ale ta jest największa, z najwyższą górą. Żegluj ku niej.

- Miniemy inne wyspy, zauważą nas.

- Nie, są nie zamieszkane. Murgu żyją w jednym tylko miejscu, w swym mieście. Tam płyniemy...

- Po naszą śmierć! - zawołał Kalaleq, szcękając zębami ze strachu. - Murgu są niezliczone. Nas jest tylko troje, co możemy zrobić?

- Możemy je pokonać - powiedział Kerrick z siłą i pewnością. - Nie płynąłem tak długo po to, by umrzeć. Stałe o tym myślałem, zaplanowałem wszystko dokładnie. Zwyciężymy, bo znam te stworzenia. Nie są takie jak Tanu czy Paramutanie. Nie postępują jak my, każde z nich wypełnia rozkazy. Bardzo się od nas różnią.

- Boli mnie głowa. Boję się i nic nie rozumiem.

- No to posłuchaj, a pojmiesz mnie dokładnie. Powiedz mi o Pa-ramutanach. Powiedz mi, dlaczego to ty, Kalaleq u, zabiłeś ularuaq, a nie ktoś inny?

- Bo jestem najlepszy! Najsilniejszy, o najpewniejszym oku.

- Ale inni też zabijali?

- Oczywiście, kiedy indziej, płynąc na innych ikkergakach.

- Widzisz. Tanu przewodzą sammadarzy, ale gdy się nam nie spodobają, szukamy sobie innych, tak jak ty może znajdziesz lepszego od siebie harpunnika na ularuaq.

- Nie - jestem najlepszy.

- Wiem o tym, ale nie o to mi chodzi. Pokazuję ci, jak jest u Paramutanów i Tanu. Murgu mają inne zwyczaje. Jedna z nich przewodzi wszystkim innym, tylko jedna. Jej rozkazy są zawsze wypełniane, nikt nie śmie ich podważać.

- To głupie - powiedział Kalaleq, napierając na wiosło, bo wiatr zmienił kierunek i żagiel załopotał. Kerrick skinął głową.

- Tak uważasz i ja także. Ale murgu nie patrzą na to w ten sposób. Będąca na szczycie rządu, a wszystkie inne jej słuchają.

- Głupie.

- Tak, ale dla nas to bardzo dobrze. Mogę pomówić z rządzącą, kazać jej zrobić to, co

konieczne...

- Nie, nie możesz - zawołała Armun. - Nie możesz tam iść. To pewna śmierć.

- Nie, jeśli oboje mi pomożecie, zrobicie, o co poproszę. Wszystkie murgu są nieważne oprócz przywódczyni, którą nazywają eistaa. Wiem, jak rozumuje, i wiem, jak ją skłonić, by mnie posłuchała. Dzięki temu - wyciągnął rzeźbione pudełko Sasku - i pęcherzowi z trucizną ularuaqa, zabranemu przez Kalaleq.

Armun spojrzała na pudełko, a potem na jego twarz.

- Nic z tego nie rozumiem. Naśmiewasz się ze mnie. - Nieświadomie zasłoniła swe usta połą ubrania.

- Nie, nigdy. - Odłożył pudełko i przyciągnął Armun, odsunął skórę i dotknięciem wargi ukoił jej lęki. - Wszystko będzie dobrze, będziemy bezpieczni.

W zapadającym zmroku zbliżyli się do wyspy na ile starczyło im odwagi, potem rzucili żagiel i czekali. Nie było chmur, śnieg na wysokim szczycie lśnił jasno w świetle księżyca. Kerrick zaczął wciągać żagiel i Kalaleq krzyknął, by go zatrzymać.

- Zauważą nas, jeśli się zbliżymy!

- Śpią wszyscy. Nikt się nie obudzi, mówiłem już, że je znam.

- A warty?

- To niemożliwe. Żadna nie rusza się w nocy, tak już z nimi jest.

Kalaleq sterował ostrożnie, ciągle nie przekonany. Wyspa zbliżała się, wkrótce płynęli powoli na północ wzdłuż jej skalistego brzegu.

- Gdzie jest miejsce murgu? - Kalaleq szeptał, jakby ktoś mógł go podsłuchać z brzegu.

- Na tym brzegu dalej na północ, płyn prosto.

Skaliste wybrzeże ustąpiło miejsca piaszczystem plażom otoczonym gajami drzew. Potem brzeg cofnął się, tworząc port z widocznym na tle jasnego drewna nabrzeży szeregiem ciemnych kształtów.

- Tam - powiedział Kerrick. - To uruketo, ich zwierzęta-ikker-gaki, widzieliście już jedno. To tutaj jest ich miasto. Wiem, jak jest, bo wszystkie rosną w ten sam sposób. Na zewnątrz plaże narodzin otoczone zaporą, w środku ambesed, otwarte na wschód, tak iż eistaa, siedząca na swym miejscu chwały, przyjmuje pierwsze blaski słońca. To Ikhalmenets.

Armun nie lubiła, gdy tak mówił, bo wydawał dziwne dźwięki i poruszał ciałem. Odwróciła się, lecz ją przywołał:

- Widzicie ten wyschnięty potok wpadający do oceanu? Tam wylądujemy i tam się spotkamy. Steruj do brzegu, Kalalequ. To dobre miejsce, bliskie miasta, ale poza otaczającymi je zaporami.

Brzeg pokrywał muł i piasek zmywany ze wzgórz w porze deszczowej. Wylądowali na piaszczystej ławicy łagodnie obmywanej drobnymi falami.

- Zostaniemy tu prawie do świtu - powiedział Kerrick. - Odpłyniemy, gdy jeszcze będzie ciemno. Armun, zostaniesz z tyłu, poczekasz, aż rozjaśni się na tyle, byś mogła spróbować wspinaczki.

- Potrafię chodzić po ciemku - powiedziała Armun.

- Nie, to zbyt niebezpieczne. Czasu będzie dosyć. Musisz wspiąć się ponad miasto. Przygotuj wszystko tak, jak ci powiedziałem.

- Suche drewno na wielkie ognisko, zielone liście dla dymu.

- Tak, ale nie wkładaj liści, nim słońce nie uniesie się na dwie dłonie nad ocean. Ognisko musi być wielkie i tak rozpalone, aż węgle zbieleją. We właściwej chwili musisz włożyć wszystkie liście, by dały wiele dymu. Zaraz potem musisz tu wracać. Szybko - ale nie aż tak, byś upadła. Kalaleq będzie na ciebie czekał. Ja przyjdę brzegiem i dołączę do was jak najszybciej. Czy wszystko jasne?

- Wszystko to jest szalone i bardzo się boję.

- Nie lękaj się. Pójdzie tak, jak zaplanowałem. Jeśli zrobisz swoje, będę bezpieczny. Musisz jednak uczynić to we właściwym czasie, nie wcześniej i nie później. Zrozumiałaś?

- Tak, rozumiałam. - Był taki od niej odległy, mówił tak zimno, myślał jak murgu i działał jak one. Pragnął jedynie posłuszeństwa. Otrzyma je, choćby po to tylko, by mieć to już za sobą. Świat to samotność.

Drzemała lekko w kołyszącej się łodzi, zbudziło ją chrapanie Kalaleq, potem znów zasnęła. Kerrick nie mógł spać, leżał z otwartymi oczami wpatrzonymi w wolno przesuwające się gwiazdy. Wkrótce wstanie gwiazda poranna, a po niej nastąpi świt. Do zmroku będzie po wszystkim. Może go nie dożyć, wiedział o tym. Zaryzykował ogromnie, zwycięstwo wcale nie jest takie pewne, jak o tym zapewniał Armun. Przez chwilę żałował, że nie są na mroźnym wybrzeżu, bezpieczni w paukarutach Paramutanów, oddaleni od wszelkich zagrożeń. Odsunął tę myśl, przypomniał sobie mrok, który tak długo ogarniał jego myśli. Tkwiło w nim zbyt wielu ludzi. Czuł się Yilanè i Tanu, sammadarem i wodzem w bitwie.

Spalił Alpèasak, potem próbował go ocalić, wreszcie utracił. Następnie uciekał przed wszystkimi, a teraz wiedział, iż nie umknął przed niczym. Myśli kotłowały mu się w głowie. Wszystko, co robił, było słuszne, jedynie możliwe do uczynienia. Sammady muszą być uratowane, a na całym świecie tylko on może tego dokonać. Wszystkie jego wysiłki, wszystkie czyny wiodły go do tego miejsca, do tego miasta, do tej chwili. Stanie się to, co musi się stać. Gwiazdy wzniosły się nad horyznot; zaczął budzić pozostałych.

Armun wyszła w milczeniu na brzeg. Miała tyle do powiedzenia, że łatwiej było nie mówić nic. Stała po kolana w wodzie, trzymając kurczowo ogniowe pudełko, patrzyła, jak cicho odpływa ciemny kształt łodzi. Księżyc zaszedł, światło gwiazd nie wystarczało, by oświetlić twarz Kerricka. Potem wszystko zniknęło, stało się czarną plamą w ciemnościach. Odwróciła się i ruszyła powoli do brzegu.

- Och, już zginęliśmy - mruczał Kalaleq przez szczękające zęby. - Pożarci przez te olbrzymie murgu.

- Nie ma się czego bać. Nie ruszają się w nocy. Wysadź mnie teraz na brzeg, bo już niemal świt. Wiesz, co masz zrobić?

- Wiem, powiedziałaś mi.

- Powiem ci jeszcze raz, by się upewnić. Czy jesteś przekonany, że trucizna ularuaqa zabije któreś z tych stworzeń?

- Już nie żyją. Nie są większe od ularuaqa. Mój cios to pewna śmierć.

- To wykonaj go, szybko, gdy tylko znajdę się na brzegu. Zabij je - ale tylko dwa, nie więcej. Pamiętaj, to bardzo ważne. Muszą zginąć dwa.

- Zginą. Teraz idź - idź!

Łódź odpłynęła szybko, nim jeszcze Kerrick osiągnął suchy piach. Gwiazda poranna świeciła jasno na horyzoncie, za nią widać było pierwszy szary blask świtu. Nadszedł czas. Zdjął skórzane okrycia, osłony na nogi, aż do zwisającego mu z szyi noża, nie miał on ostrza, był tylko ozdobą.

Z wypiętą piersią i uniesioną głową, z rękoma lekko wygiętymi w geście wyższości, zupełnie sam szedł do miasta Yilanè, Ikhalmenetsu.

*ninlemeistaa halmutu eisteseklem.*

## PRZYSŁOWIE YILANÈ

Nad eistaa jest tylko niebo.

## RODZIAŁ XLIII

Lanefenuu obudziły głośne krzyki i wprawiły ją od razu we wściekłość. Przezroczystry krąg w ścianie jej komory, sypialnej ledwo się rozjaśnił; musi być tuż po świcie. Któż to ośmiela się tak wydzierać w jej ambesed! Było to przynaglenie-do-słuchania, głośne i bezczelne. W jednej chwili skoczyła na nogi, wypadła z komory złobiąc pazurami głębokie wyrwy w wyściółce podłogi.

W środku ambesed stała Yilanè, dziwnej barwy i postaci. Na widok Lanefenuu krzyknęła, trochę niewyraźnie ze względu na brak ogona.

- Lanefenuu, eistao Ikhalmenetsu, zbliż się. Pogadam z tobą.

Obrażliwy sposób zwracania się wywołał ryk wściekłości Lanefenuu. Na podłogę padał snop światła, weszła w niego z uniesionym w zdziwieniu ogonem. Ta Yilanè potrafi mówić - ale to nie Yilanè.

- Ustuzou! Tutaj?

- Jestem Kerrick. Wielkiej mocy i wielkiego gniewu.

Lanefenuu podeszła powoli, oszołomiona i zaskoczona. To ustuzou o bladej skórze, z futrem w środku ciała, na głowie i twarzy, z pustymi rękoma, błyszczącym metalem wokół szyi. Ustuzou Kerrick! Dokładnie takie, jak opisała je Vaintè.

- Przybyłem z ostrzeżeniem - powiedziało ustuzou, mówiąc bezczelnie i obraźliwie. Pierś Lanefenuu zapłonęła nagłym gniewem.

- Ostrzeżeniem? Dla mnie? Prosisz się śmierci, ustuzou. Podeszła jeszcze bliżej, każdym ruchem wyrażając groźbę, lecz stanęła, gdy ułożył ciało w pewnym-zniszczeniu.

- Przynoszę wyłącznie śmierć i ból, eistao. Śmierć już tu jest, a będzie jej więcej, jeśli mnie nie wysłuchasz. Śmierć podwójna. Śmierć dwukrotna.

W wejściu do ambesed coś się nagle poruszyło i pojawiła się idąca spieszenie Yilanè, sapiąca, rozgrzana nagłym ruchem.

- Śmierć - oznajmiła przybyła, z tymi samymi kontrolerami pilności i siły, których użył Kerrick. Lanefenuu opadła na swój ogon, zeszywniała i wstrząśnięta słuchała słów Yilanè. - Wiadomość od Muruspe, pilna. Uruketo, którym dowodzi - zmarło. Nie żyje. Nagła śmierć w nocy. I drugie uruketo. Martwe. Oba martwe.

Powietrze przeszył krzyk bólu Lanefenuu. Sama była dowódczynią uruketo, żyła w miłości dla tych wiekich stworzeń, jej miasto bardziej niż inne z nich słyszeło. A teraz. Dwa. Martwe. Wijąc się w przerażeniu, spojrzała na wielką płaskorzeźbę uruketo ponad nią, własną podobiznę na jego płetwie. Dwa zmarły. Co powiedziało to ustuzou? Odwróciła się powoli ku straszliwej istocie.

- Dwa zmarły - powtórzył Kerrick z kontrolerami smutku. - Teraz porozmawiamy, eistao.

Dał wysłannicze znak natychmiast-odejść, najwyższej wobec najniższej. Yilanè odwróciła się i odeszła. Nawet ta uzurpacja władzy umknęła uwadze Lanefenuu, nie przebiła się przez barierę żalu z powodu straty nie do odrobienia.

- Kim jesteś? - spytała z gestem zatartym przez ból. - Czego tu szukasz?

- Jestem Kerrick-najwyższy, eistaą wszystkich Tanu, których nazywacie ustuzou. Przyniosłem wam śmierć, teraz chcę przynieść życie. To ja kazałem zabić uruketo. To był mój rozkaz.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Masz czelność pytać dlaczego? Ty, któraś posłała Vaintè, by mordowała mych podwładnych, ściagała ich i zabijała bez ustanku? Powiem ci, dlaczego zostały zabite. Jedno zginęło, byś poznała mą siłę, dowiedziałaś się, że mogę sięgnąć, gdzie zechcę, zabić, kogo zechcę. Ale jedną śmierć mogłabyś uznać za przypadek. Dwa zgony nim nie są. Równie łatwo mogły zginąć wszystkie.

Zrobiłem to, byś wiedziała kim jestem, jaką siłą dowodzę, byś uczyniła to, czego od ciebie chcę.

Przerwał mu ryk gniewu Lanefenuu. Podeszła chwiejnie naprzód z wyciągniętymi kciukami i rozwartymi ustami, wystawionymi zębami. Kerrick nie ruszył się, lecz powiedział z pogardą i butą.

- Zabij mnie, a zginiesz. Zabij mnie i wszystkie twe uruketo będą martwe. Czy chcesz tego, eistao? Śmierci swych uruketo i swego miasta? Jeśli tego pragniesz, uderz szybko, nim zaczniesz myśleć i zmienisz zdanie.

Miotana sprzecznymi uczuciami Lanefenuu, drżała, przez całe życie przywykła rozkazywać, mieć władzę życia i śmierci, od nikogo nie przyjmowała poleceń. Jak to ustuzou śmie tak do niej mówić! Traciła opanowanie.

Kerrick nie cofał się przed nią ani nie zmieniał aroganckiej postawy. Chwila słabości z jego strony byłaby klęską. Może posunął się za daleko, ale nie miał wyboru. Rzucił szybkie spojrzenie na wzgórze ponad miastem. Nic.

- Chcę ci coś jeszcze powiedzieć, eistao - dodał. Musi mówić, zaprzętać jej uwagę, pozwolić, by emocje wzięły w niej górę nad rozsądkiem. - Ikhalmenets to wielkie miasto, klejnot wśród miast Yilanè, otoczony-morzem Ikhalmenets. Ty jesteś Ikhalmenet-sem, a Ikhalmenets jest tobą. Twym obowiązkiem i nagrodą. Rządzisz tu.

Zaryzykował drugie zerknięcie na wzgórze. Widać nad nim chmurę - czy to chmura? Nie. Dym. Lanefenuu sunęła ku niemu. Krzyknął głośno, by przebić się przez jej złość.

- Jesteś Ikhalmenetsem, a miasto zostanie zniszczone. Spójrz za siebie, tam, na stok góry. Widzisz tę chmurę, która nie jest chmurą? To dym. Wiesz czym jest dym? Pochodzi z ognia, a ogień pali i niszczy. Ogień pochłonął Alpèasak, zabił wszystkie jego mieszkanki. Wiesz o tym. Teraz przynoszę ogień do Ikhalmenetsu.

Lanefenuu odwróciła się, spojrzała i wydała okrzyk zgrozy. Dym wzbijał się ze szczytu, wznosił aż do chmur. Kerrick zawołał w żądaniu uwagi i spojrzała na niego jednym okiem, drugim nadal patrząc w dym.

- Nie przybyłem sam do twego otoczonego-morzem Ikhalmenetsu, eistao. Moje oddziały zabiły twe uruketo, gdy szedłem do ambesed. Otaczają cię teraz ze wszystkich stron, a jak wiesz, są mistrzami ognia. Przygotowali go już i czekają na mój znak. Jeśli go dam - Ikhalmenets spłonie. Jeśli doznam jakiegokolwiek krzywdy - Ikhalmenets spłonie. Wybieraj więc, szybko, bo ogień jest głodny.

Wrzaski gniewu Lanefenuu przeszły w jęki bólu. Załamana opadła na ogon, zwiesiła ręce. Najważniejsze jest jej miasto i wszystkie uruketo. Śmierć tego stworzenia nie ma znaczenia. Musi ocalić Ikhalmenets.

- Czego chcesz? - spytała. W pytaniu nie było pokory, ale brak było też siły.

- Chcę dla moich tego, czego ty dla swoich, eistao. Żyć dalej. Wygnałaś nas z Alpèasaku. Zostaniesz tam ze swymi Yilanè i fargi, bo to miasto Yilanè. Nikt was tam nie skrzywdzi. Widzę śnieg na górze ponad wami, z każdym rokiem sięgający coraz niżej. Nim dojdzie tu, Ikhalmenets uda się do Alpèasaku i będzie tam bezpieczny pod ciepłym słońcem. Przetrwa tam. Ale równie bezpieczni muszą być moi ustuzou. W tej chwili Vaintè wypełniając twe rozkazy ściga ich i zabija. Musisz kazać jej się wycofać, przestać zabijać. Zrób to, a Ikhalmenets ocaleje. Nie chcemy tego, co twoje. Zatrzymasz swe miasto. Prosimy tylko o życie. Musisz powstrzymać Yilanè. Zrobisz to, a Ikhalmenets i wszystkie twoje uruketo żyć będą w jutrze jutra, jak żyli we wczoraj wczoraj.

Lanefenuu długo się nie ruszała, siedziała oklapnięta i milcząca, starała się znaleźć wyjście z labiryntu swych sprzecznych uczuć. Gdy się w końcu poruszyła, wróciły jej w części siły i znów mówiła głosem pełnym władzy.

- Tak się stanie. Powstrzymam Vaintè. Nigdy nie było potrzeby napadania twego świata ustuzou.



Zostanie odwołana. Odejdiesz. Zostaniecie w swym miejscu, a my w naszym. Nie chcę więcej cię widzieć ani dłużej z tobą rozmawiać. Byłabym szczęśliwa, gdyby ktoś rozdeptał twe jajo, gdybyś się nigdy z niego nie wyklął.

Kerrick skinął na zgodę.

- Żeby powstrzymać Vaintè, musisz zrobić coś jeszcze. Znasz ją i ja ją znam. Może nie posłuchać twego rozkazu. Jest do tego zdolna, czyż nie?

- Jest - powiedziała ponuro Lanefenuu.

- Musisz więc sama się do niej udać, odnaleźć ją i nakazać powrót. Wtedy będzie musiała przestać, bo jej Yilanè są twoimi Yilanè, jej fargi twoimi fargi. To trzeba zrobić.

Oczy Lanefenuu lśniły z wściekłości, ale panowała nad swym ciałem.

- Zrobię to.

- Dobrze. - Kerrick sięgnął do pierścienia na szyi, do zwisającego z niego noża. Złapał go i zerwał, wręczył Lanefenuu. Nie wyciągnęła ręki i nóż upadł w kurz u jej stóp. - Zabierz to dla Vaintè. Zna go, wie, co będzie oznaczał. Od ciebie dowie się, dlaczego to zrobiłem. Będzie wiedziała, że nie miałaś wyjścia.

- Nic mnie nie obchodzi, co Vaintè wie i czuje.

- Oczywiście, eistao - Kerrick mówił powoli, z kontrolerami zimnego gniewu. - Chcę tylko, by wiedziała, że to ja, Kerrick, powstrzymałem ją. Chcę, by zrozumiała dokładnie, co uczyniłem.

Kerrick odwrócił się na pięcie i odszedł. Opuścił ambesed, mijając gapowate fargi zgromadzone w wielkie tłumy. Odsuwały się od niego ze strachem, bo wszystkie śledziły z oddali ich rozmowę. Nie wiedziały, co się stało - ale czuły, że było to niewiarygodnie straszne. Zmarły dwa uruketo, a to ustuzou-Yilanè szło, grożąc śmiercią.

Kerrick przeszedł przez miasto na brzeg, tam odwrócił do Yilanè i fargi.

- W imieniu waszej eistai rozkazuję warn. Wszystkim. Macie się zebrać w ambesed. Idźcie.

Same niezdolne do kłamstwa, przyjęły jego słowa jako polecenie i pośpieszyły do ambesed.

Gdy tylko Kerrick został sam, zeskoczył na piasek i zaczął oddalać się od miasta.

## ROZDZIAŁ XLIV

- Posłałaś po mnie - powiedziała Enge. - Wiadomość podkreślała wielki pośpiech.

- Każdy mój rozkaz jest pilny, choć twoje leniuchy tego nie rozumieją. Gdybym nie podkreśliła pilności, wtedy wysłanniczka zaczęłaby się zastanawiać, czy powinna występować jako moja fargi, a także nad innymi głupstwami.

- To racja, bo jak powiedziała Ugunenapsa...

- Milcz! - ryknęła rozkazująco Ambalasei, jej pierś unosiła się i opadała w gniewie. Asystentka uczoney, Setèssei, uciekła ze strachu, a Enge pochyliła się przed burzą wściekłości. Wyraziła przeprosiny, posłuszeństwo i zastygła w milczeniu.

- Trochę lepiej. Przynajmniej po tobie spodziewam się pewnej uwagi i odrobiny uprzejmości. Spójrz teraz na ten wspaniały widok.

Ambalasei wskazała na leżącą w cieniu Sorogetso. Był to widok wspaniały tylko dla uczoney, bo chora drżała w lęku, skuliła się w kłębek i z zamkniętymi oczami oczekiwała śmierci.

- Nie na ciebie krzyczałam, głupia, gniewam się na inne - stwierdziła Ambalasei, z wielkim trudem hamując złość. Mówiła na sposób Sorogetso. - Uwaga, mała. Przyjaźń i pomoc. - Poglądziła Ichikchee po zielonej piersi, aż ta otworzyła oczy. - Bardzo dobrze. Widzisz, przyszła Enge, by cię odwiedzić, zobaczyć, jak ci się poprawiło. Spokojnie, obejdzie się bez bólu.

Ambalasei ostrożnie zdjęła nefmakel zasłaniający i chroniący kikut nogi Ichikchee. Sorogetso zadrżała, lecz nie zaprotestowała.

- Spójrz - rozkazała Ambalasei. - Patrz i podziwiaj.

Enge pochyliła się, by spojrzeć na pofałdowany kikut, kawałki skóry przykrywające wystającą kość. W środku rośło coś żółtawego. Nic jej to nie mówiło, lecz milczała, nie chcąc znów ściągnąć na siebie gniewu Ambalasei.

- Goi się dobrze - powiedziała wreszcie. - Ambalasei jest mistrzynią uzdrawiania. Amputowana noga nie tylko się goi, ale tu, w środku, coś z niej wyrasta. Czy to rzecz-godna-podziwu?

- Na pewno, ale nie liczę, byś w swej głupocie zdołała docenić jej znaczenie. Wyrasta tam nowa stopa, żółto nakrapiana stopa zielonej Sorogetso, niższej od nas o głowę. Czy waga tego doświadczenia zdołała przebić się przez grube kości twojej czaszki do śpiącego wnętrza mikroskopijnego mózgu?

Enge przełknęła zniewagę, co w rozmowie z Ambalasei było jedynym sposobem.

- Znaczenie-nie-pojmowane. Przyznanie się do niewiedzy.

- Żądanie wielkiej uwagi. Odrzucenie wcześniejszych teorii. Zapomnij wszystko, co mówiłam o tektonice płyt i dryfie kontynentalnym. Okres oddzielenia się byłby zbyt wielki. Zważyłam w to po raz pierwszy, gdy zobaczyłam, że możemy porozumiewać się z Sorogetso, choć na najniższym, podstawowym poziomie. Nasze gatunki nie mogą być oddzielone dziesiątkami milionów lat, nawet miliony to za wiele. Na pozór wydajemy się odmienne, lecz genetycznie jesteśmy takie same. Inaczej nie wyrosłaby ta stopa. Tajemnica coraz ciekawsza. Kim są Sorogetso - jak się tu dostały?

Enge nie próbowała odpowiadać, wiedziała, że stara uczona patrzy przez nią, poza nią, rozważa sprawy, o których nie ma pojęcia.

- To mnie dręczy. Podejrzewam dokonywanie eksperymentów, jakich nie powinno się robić. Już przedtem trafiałam na ślady nieudanych doświadczeń, ale znacznie częściej w morzach niż na lądzie, na prace, które się nie powiodły, a których efektem były wstrętne stworzenia, jakich nie powinno się oglądać. Musisz zrozumieć, że nie wszystkie uczone są takie jak ja. Na tym świecie są nie tylko kalekie ciała, ale i umysły.

Enge przeraziła ta myśl.

- To niemożliwe.

- Czemu? - Ambalasei panowała nad sobą na tyle, by ostrożnie nałożyć nefmakel z powrotem. - Czemu! - Odwróciła się od Sorogetso i prychnęła gniewnie. - Zawsze będą niedouczone. Widziałam w laboratoriach eksperymenty tak nieudane, że przeraziłyby cię ich pokraczne wyniki. Pamiętaj - wszystko, co widzisz wokół siebie, to sukcesy. Kadzie trawienne skrywają porażki. Dość łatwo znalazłyśmy Ambalasokey; inne mogły tu trafić przed nami. Nie zapisano tego, nie przekazano. Yilanè nie doceniają znaczenia czasu. Wiemy, że jutro jutra będzie takie samo jak wczoraj wczoraj, dlatego uważamy za zbędne zapisywanie mijającego czasu, przeszłych wydarzeń. Te zapiski, jakie mamy, to po prostu wynik pychy. Coś odkryto, czegoś dokonano, coś rozděło czyjeś małeńkie ego. Nigdy nie powstają zapiski o porażkach.

- Sądzisz więc, że Sorogetso są wynikiem nieudanego eksperymentu?

- Albo udanego, a może takiego, jaki nigdy nie powinien być przeprowadzony. Grzebanie w genach ustuzou i innych niższych stworzeń to jedno, ale nie słyszałam, by Yilanè zmieniały geny Yilanè.

- Nawet dla ich ulepszenia, pokonania chorób?

- Cicho! Mówisz zbyt wiele, wiesz zbyt mało. Choroby usuwa się przez zmienianie innych organizmów. Jesteśmy, jakie jesteśmy, takie same od jaja czasu. Temat zamknięty.

- Otwieram go znowu - powiedziała Enge z wielką stanowczością. - Stwierdzenie-obecne zaprzecza stwierdzeniu-poprzedniemu. Przywiodłaś nas tutaj, bo chciałaś badać związki naszej filozofii ze zmianami fizjologicznymi naszych ciał. Czyż nie jest to właściwie eksperyment na Yilanè?

Ambalasei otworzyła usta i poruszyła rękoma, by odpowiedzieć, lecz pozostała milcząca, nieruchoma. Potem na dłużej zastygła w myślach. Gdy wreszcie przemówiła, uczyniła to z kontrolerami szacunku.

- Struno-nóż twego umysłu zadziwia mnie stale. Masz oczywiście rację, muszę się nad tym zastanowić. Może moja odraza wobec eksperymentów na Yilanè nie była naturalna, ale uczę się, chociaż jeszcze podkreślam wstręt. Chodź, zjemy coś, bo wymaga to więcej czasu do namysłu, niż mam go teraz.

Ambalasei rozejrzała się uważnie, ale jej asystentka zniknęła. Wyraziła niezadowolenie-z-nieobecności.

- Powinna przynieść jedzenie. Dobrze wie, że lubię jeść o tej porze dnia.

- Chętnie ci usłużę, wielka Ambalasei. Przyniosę mięso.

- Pójdę sama. Dłuższe oczekiwanie nie zmniejszy głodu. Szły przez rosnące miasto, minęły grupę Yilanè zatopionych w rozmowie. Enge wyraziła zadowolenie z obserwacji.

- Jak nigdy przedtem możemy szukać prawd Ugunenapsy, nie lękając się nikogo.

- Te bezwartościowe stworzenia powinny mnie się lękać. Miasto potrzebuje mniej gadania, a więcej pracy. Czy twoje Córy nie rozumieją, że przy braku fargi muszą pobrudzić swe rączki Yilanè i wykonywać prace fargi?

- Wykonujemy prace Ugunenapsy.

- Ugunenapsa was nie nakarmi.

- Zrobi to - powiedziała Enge z dumą. - Przyprowdziła cię do nas, bo zainteresowałaś się wpływem jej myśli na nasze ciała. A tu widzimy owoce tej ciekawości.

Ambalasei nie zaglądała do miejsca przygotowywania jedzenia, odkąd przypilnowała technologii przetwarzania enzymatycznego. Odkrycie w rzece gigantycznych węgorzy zapewniło im

stałe, choć monotonne, źródło pożywienia. Nie dochodziły też do niej skargi ze strony Cór na trudy związane z przygotowaniem żywności dla wszystkich. Teraz zobaczyła dlaczego.

Jedna z Cór, Omal, siedziała wygodnie w cieniu, a troje Soro-getso pracowało przy kadziach z enzymami.

- Szybko się uczą - powiedziała Enge - odwdzięczając za żywność, jaką im dajemy.

- Nie wiem, czy to słuszne. - Ambalasei położyła kawałek węgorka na liść podany jej przez Sorogetso, która następnie z opuszczonym wzrokiem przygotowała szybko porcję dla Enge.

- Brak zrozumienia - powiedziała Enge i wzięła mięso.

- Luka w rozkazie. - Ambalasei oderwała wielki kęs węgorka. - Przeszkoda w obserwacjach naukowych. Twe Córy nie potrafią niczego robić dobrze. - Skończyła jeść i w gniewie odrzuciła liść, potem wskazała na daleki brzeg rzeki.

- Te pseudo-fargi muszą wracać do swego naturalnego środowiska. Odeślij je. Niech twe leniwe siostry same wezmą się do roboty. Czyś zapomniała, że Sorogetso nie żyją jak my, lecz razem z samcami, którzy nie są zamknięci w hanalè ? Muszę odkryć, jak do tego doszło i przeprowadzić badania. Muszę obserwować i zapisywać szczegóły ich codziennego życia. To niepowtarzalna okazja. Należy je badać w naturalnym otoczeniu, a nie przy krajaniu węgorka dla waszych żarłocznych brzuchów! Czy nie widziałaś ruchomego pnia, strzegącego ich osiedla? Jak ustuzou używają martwych przedmiotów, a nie żywych stworzeń jak Yilanè. Trzeba przerwać to naruszenie przyrodzonego porządku - zaraz. Natychmiast odeślij Sorogetso.

- To nie będzie łatwe...

- To będzie bardzo proste. Rozkaż, by zgromadziły się tutaj twe wszystkie Córy Znużenia, co do jednej. Przemówię do nich. Wydam polecenia.

Enge zawahała się, pomyślała, jak to wykonać, potem wyraziła zgodę. Nadeszła wreszcie pora konfrontacji. Wiedziała, że odwlekała się, trwało to już długo, a oczekiwania Ambalasei i zasadnicze potrzeby Cór różniły się jak dzień i noc. Zawdzięczały uczonej swe życie, ale też przestało to już mieć znaczenie. Są tutaj. Mają to za sobą. Starcie jest nieuniknione.

- Uwaga - przekazała najbliższej Yilanè. - Najwyższe znaczenie, wszystkie mają się zgromadzić w ambesed. Konieczny pośpiech, mało czasu.

Szły tam w milczeniu. Choć w tym mieście nie było eistai i nie uzgodniono jeszcze, jak będzie zarządzane, to wyhodowano ambesed, bo stanowiło ono centrum wszystkich miast Yilanè. Ze wszystkich stron napływały Córy, posłuszne pilności rozkazu, popędzane wspomnieniami wcześniejszych rozkazów i kar. W lęku działały jednakowo. Ustępowały drogi Enge i Ambalasei. Szły one obok siebie do wzniesienia, na którym zasiadałaby eistaa, gdyby ją miały. Enge zwróciła się do tłumu, poprosiła o ciszę, zebrała myśli i przemówiła:

- Siostra Ambalasei, którą podziwiamy i szanujemy, która nas tu przywiodła, dała nam wolność i życie, którą czcimy ponad wszystkie, chce zwrócić się do was w ważnych sprawach, mających znaczenie dla nas wszystkich.

Ambalasei weszła na szczyt wzniesienia i spojrzała na czekające, milczące Yilanè, potem zaczęła mówić, spokojnie i beznamiętnie:

- Jesteście istotami inteligentnymi i pojętnymi. Nie mogę temu zaprzeczyć. Wszystkie studiujecie i badacie myśli Ugunenapsy, nie brak wam rozumu, by stosować je we własnym życiu, brać dzięki nim odpowiedzialność za swe życie. Ale czyniąc to, zrywacie nić ciągłości wiążącą fargi i Yilanè z eistaa. W tym świecie wprowadzacie nowe zwyczaje, nowe społeczeństwo. Pochłania was to, tak powinno być. Musicie więc poświęcić znaczną część swego czasu na rozważanie wpływów nauk Ugunenapsy na wasze życie.

Przez siostry przeszły pomruki zgody. Słuchały Ambalasei z całą uwagą. W tym momencie uczona rzuciła się na nie z ciałem sztywnym od gniewu, w głosie brzmiał ton rozkazu.

- Część waszego czasu - tylko część! Odrzuciłyście eistaę i jej rozkazy, dzięki którym miasto żyje i rośnie. Przeto w imię życia, dla zachowania go, ocalonego przed klątwą eistai, musicie poprzez bliższe zbadanie nauk Ugunenapsy znaleźć sposób zarządzania tym nowym społeczeństwem. Lecz tylko przez część czasu, jak już powiedziałam. Przez resztę będziecie pracować dla życia i rozwoju miasta. Żadna z was nie wie, jak ma ono się rozwijać, dlatego będę wami kierowała, a wy będziecie słuchały mych rozkazów. Bez żadnych dyskusji - możliwe jest tylko natychmiastowe posłuszeństwo.

Przemówienie spotkało się z głośnymi protestami. Enge wyszła do przodu, wyrażając myśli wszystkich sióstr.

- To niemożliwe. Stałabyś się naszą eistaą, a to odrzuciłyśmy.

- Masz rację. Będę oczekującą-eistaą. Oczekującą, aż znajdziecie inny, bardziej wam odpowiadający sposób kierowania miastem. Gdy tylko go wypracujecie, usunę się z funkcji, do której mnie nie ciągnie, ale którą z oporami przyjmę, bo tylko w ten sposób można zapewnić przetrwanie miasta. Składam wam nie propozycję, lecz ultimatum. Odrzucicie mą ofertę, a odrzucę was. Bez mojej wiedzy miasto umrze, bez mojej umiejętności przygotowywania żywności zaczniecie głodować, bez mojej opieki medycznej zginiecie od trucizn. Odplynę w uruketo, zostawię was na pewną śmierć. Ale wy odrzucacie śmierć i przyjmujecie życie. Przyjmijcie moje warunki, a będziecie żyły. Możecie więc tylko przystać na mą szczerą ofertę.

Powiedziawszy to, Ambalasei odwróciła się gwałtownie i sięgnęła po wodo-owoc, zaschło jej w gardle od mówienia. Wstrząśnięte Córy milczały, jedynie Far< poprosiła o uwagę i weszła na wzgórek.

- Ambalasei powiedziała prawdę - mówiła z wyraźną emocją, jej oczy były wielkie i wilgotne jak u fargi. - Ale za jej prawdą kryje się inna. Nikt nie wątpi, że to siła myśli Ugunenapsy nas tu przywiodła. Do oczekujących nas prostych Sorogetso. Zostaną wyszkolone we wszystkich pracach dla miasta, zostawiając nam czas na poświęcanie się badaniu prawdy.

- Sprzeciw! - powiedziała Ambalasei, wbiegając na wzniesienie, przerywając niegrzecznymi ruchami i słowami. - To niemożliwe. Sorogetso, wszystkie, wrócą do swych dawnych zwyczajów, nie wolno już im będzie wchodzić do miasta. Możecie jedynie przyjąć lub odrzucić mą wspaniałomyślną propozycję. Żyć lub umrzeć.

Far< stanęła przed starą uczoną, młodość przeciw wiekowi, spokój przeciwko wściekłości.

- Musimy więc cię odrzucić, sroga Ambalasei, przyjąć śmierć, jeśli tym skończy się nasze życie. Gdy Sorogetso odejdą, pójdziemy z nimi, będziemy żyły równie prosto jak one. Mają jedzenie, podzielę się nim z nami. Może któreś zginą, ale przetrwają myśli Ugunenapsy.

- To niemożliwe. Nie można zakłócać życia Sorogetso.

- Jak zdołasz nas powstrzymać, miła przyjaciółko? Zabijesz nas?

- Tak - odparła Ambalasei po chwili wahania. - Mam hèsotsan. Zabiję każdą z was, która ośmieli się wtrącić do dawnego trybu życia Sorogetso. Dość już sprawialiście szkód.

- Siostro Far<, kierująca nami Ambalasei - Enge weszła między nie. - Bardzo proszę, nie mówcie rzeczy, których będziecie żałować, nie obiecujcie rzeczy trudnych do dotrzymania. Posłuchajcie. Jest wyjście. Jeśli w naukach Ugunenapsy są prawdy, to mają one też zastosowanie w życiu. Wierzmy w powstrzymanie śmierci innych jak i naszej. Róbmy więc, jak powiedziała Ambalasei, pokornie przyjmujemy jej polecenia jako oczekującej-eistai, póki nie znajdziemy bardziej trwałego rozwiązania tego, dzielącego nas, ważnego problemu.

- Mów za siebie - odparła Far<, prostując ciało, jej kończyny przyjęły gest odrzucenia. - Mów za te, które będą cię słuchały. Nie możesz jednak mówić za nas wszystkie, nie możesz mówić za wierzące w Efeneleiaę, w Ducha Życia, w siłę napędzającą całe życie, wszystkie myśli. W to, co odróżnia życie od śmierci. Myśląc o Efeneleiai doznajemy ekstazy i potężnych uczuć. Nie możemy z tego zrezygnować na rzecz prostych robót i brudnych rąk. Nie zmusisz nas do tego.

- Nie dostaniesz jedzenia - powiedziała Ambalasei praktycznie.

- Dość! - rozkazała Enge grzmiącym głosem i wszystkie zamilkły, bo nigdy nie słyszały, by mówiła z taką mocą. - Omówimy te sprawy - ale nie teraz. Będziemy wypełniać polecenia Ambalasei, póki badając myśli Ugunenapsy, nie znajdziemy sposobu rządzenia nami.

Odwróciła się ku Far<, która cofnęła się przed siłą jej myśli.

- Proszę cię o milczenie. Potępiłaś eistaę rozkazującą nam umierać, lecz sama przyjęłaś rolę eistai-wiedzy, prowadzącej swe zwolenniczki do zgonu. Lepiej byś już zginęła, aby one żyły. Nie chcę tego, ale rozumiem teraz uczucia eistai, która skazuje jedną na śmierć, by mogły żyć inne. Odrzucam to uczucie - ale je rozumiem.

Rozległy się jęki rozpaczyci siostr. Far< zamknęła swe wielkie oczy, drżąc na całym ciele. Potem zaczęła mówić, lecz musiała usłuchać wezwania Enge o milczenie w imieniu Ugunenapsy, którą czczą. Gdy Enge odezwała się ponownie, opuścił ją cały gniew, mówiła z pokorą i smutkiem:

- Siostry, bardziej mi jesteście drogie niż życie, umarłabym szczęśliwa, gdyby dzięki temu przeżyła najniższa z was. Hańbimy siebie i Ugunenapsę, pozwalając, by kierowała nami niezgoda. Służmy Ugunenapsie poprzez służenie Ambalasei. Opuśćmy to miejsce w milczeniu, rozważmy głęboko to, co tu zaszło. Potem omówimy nasze problemy między sobą i dojdziemy do trwałych, zadowalających wyników. Idźmy.

Zrobiły to, przeważnie w milczeniu, bo czekały je dalsze głębokie rozważania. Gdy pozostały tylko Enge i Ambalasei, stara uczona powiedziała z wielkim znużeniem:

- Pomoże to na chwilę, ale tylko na chwilę. Masz wielki kłopot, przyjaciółko. Uważaj na Far<, to wichrzycielka, powoduje podziały i przyciąga inne. Stanowi wyłom w waszych mocnych szeregach.

- Wiem i żałuję. Już przedtem była siostra tłumaczka po swojemu myśli Ugunenapsy, ale zmarła, gdy zrozumiała błędność swych poglądów. Zginęło przez nią wiele Cór. Może to się więcej nie powtórzy.

- Już się powtórzyło. Lękam się o przyszłość miasta.

## ROZDZIAŁ XLV

Pierwsze wiosenne deszcze przyniosły niemiłą zmianę w dolinie Sasku. Cienkie kiedyś pnącza zwisające z krawędzi kamiennych ścian stały się pączkującymi łodygami opadającymi co dzień coraz niżej. Nie dawało się ich spalić, próbowali tego nieraz, trudno też było się do nich zbliżyć, ze względu na jadowite ciernie. Widać było jak na pnączach dojrzewają i nabrzmiewają zielone, trujące owoce.

- Co się stanie, gdy owoce opadną? Co ukryły w nich murgu? - spytał Herilak, spoglądając na rosnący w górze gąszcz.

- To może być wszystko - odparł Sanone, jego słabszy niż zwykle głos dobiegał z trudem, jak nigdy odczuwał brzemień liczących lat. Mandukto i sammadar oddalili się od innych, często tak teraz robili, by szukać odpowiedzi na problemy nie mające rozwiązania. Sanone spoglądał ze wstrętem na splątany gąszcz otaczający górą ściany doliny. - Może z nich wydobyć się wszystko, trucizna, śmierć, zmieniają się nieustannie. Albo są w nich jedynie nasiona, z których wyrosną dalsze. To też będzie groźne.

- Wczoraj w rzece woda ledwo płynęła. Dziś wyschła zupełnie.

- Mamy wiosnę, wody nie brakuje.

- Chcę sprawdzić, co się stało z rzeką; musimy wiedzieć. Zabiorę dwóch łowców.

- Pójdzie też z tobą młody mandukto. Otul się w tkaninę, owiń nogi i stopy.

- Wiem - odparł ponuro Herilak. - Zmarło następne dziecko. Wystarczy poruszyć piasek, by wyskoczyły kolce, są bardzo trudne do zauważenia. Musieliśmy zapędzić mastodonty do strzeżonej zagrody. Jedzą wszystko, co zielone. Jak to się skończy?

- Koniec może być tylko jeden - powiedział Sanone cicho i głucho. Odwrócił się i odszedł.

Herilak poprowadził swój mały oddział obok straży i zapory zamykającej dolinę. Było mu gorąco w osłonie tkanin, ale musiał chronić ciało. Murgu trzymały się z daleka, atakowane zawsze się wycofywały, ale miotacze-strzałek rosły teraz wszędzie.

Szli ostrożnie dnem doliny wzdłuż wyschłego łóżyska rzeki, jej muł zdążył już stwardnieć. Coś się przed nim poruszyło i Herilak uniósł śmiertcio-kij, lecz nic nie dostrzegł, słyszał jedynie tupot uciekających nóg. Po kilku dalszych zakrętach doszli do zapory.

Od ściany do ściany, niby pionowa dżungla, rozciągała się splątana masa pnączy i innych roślin, pokrytych jaskrawymi kwiatami. Przez tę żywą tamę przesączał się maleńki strumyk wody, rozlewał w sadzawkę u stóp zapory.

- Możemy to ściąć, spalić - powiedział Sarotil. Herilak powoli pokręcił głową, twarz ściemniała mu z gniewu, nienawiści i rozpacz.

- Ścięta, wyrośnie znowu. Nie płonie. Jeśli podejdziemy bliżej, wpadniemy na trujące kolce. Chodźcie, muszę sprawdzić, gdzie po-dziewa się woda.

Gdy wychodzili z suchego koryta, rozległ się świst strzałek, które wbijały się w ich ubrania. Herilak strzelił również i szybko podbiegł. Murgu nie było. Mandukto wskazał na krzak, chwiejący się jeszcze po uwolnieniu z obciążenia, jego długie korzenie zwisały ze zbocza.

- Nadeptując na korzenie wyzwoliliśmy pułapkę. Cały czas sadzą wokół nas te rośliny, coraz ich więcej.

Nie było nic do dodania. Ominęli jeden krzak, potem następne i szli wysokim brzegiem, aż żywa tama znalazła się pod nimi. Utworzyło się za nią małe jezioro, które podmyło leżący dalej brzeg. Rzeka znalazła sobie nowe koryto przez pustynię, z dala od doliny.

Dobrze, że mieli jeszcze źródło z czystą wodą.

Gdy znaleźli się znowu za względnie bezpieczną zaporą, ostrożnie wyjęli trujące strzałki i zrzucili krępujące ich warstwy tkaniny. Herilak zastał Sanone w ich zwykłym miejscu spotkań i powiedział mu o swych odkryciach.

- Nawet przez chwilę nie widzieliśmy murgu, nauczyły się trzymać od nas z dala.

- Należy przerwać tamę...

- To bezskuteczne. Odrośnie znowu. Pnącza z każdym dniem zbliżają się do doliny. Trzeba sobie to powiedzieć. Murgu dowiedziały się wreszcie, jak nas pokonać. Nie w bitwie, lecz przez powolny, nie powstrzymany rozrost trujących roślin. W końcu zwyciężą. Nie możemy ich powstrzymać, jak nie da się zatrzymać przypływu.

- Przypływ codziennie się cofa.

- Murgu nie. - Herilak opadł na ziemię, czując się pokonany, stary i zmęczony jak mandukto. - Zwyciężą, Sanone, zwyciężą nas.

- Nigdy nie słyszałem u ciebie takich słów, silny Herilaku. Czeka nas bitwa. Prowadziłeś nas przedtem, wygrywałeś.

- Teraz przegramy.

- Przejdziemy pustynią za zachód.

- Pójdą za nami.

Sanone spojrział na zgarbione ramiona wielkiego łowcy i czując jego rozpacz, złamał się. Czy Kadair pragnie zetrzeć Sasku z powierzchni ziemi? Czy po to szli śladami mastodonta, by znaleźć na ich końcu zagładę? Nie mógł w to uwierzyć. Ale jak można wątpić?

Niespokojne okrzyki przerwały mu ponure rozmyślenia. Obejrzał się, by sprawdzić, co oznaczają. Łowcy biegli ku nim wskazując rękoma i krzycząc. Herilak chwycił śmiercio-kij, skoczył na nogi. Z wielkim hukiem wyschłym łożyskiem gnała żółta od mułu ściana wody i szybko wypełniała koryto. Przerażeni Sasku i Tanu uciekali przed pędzącą masą.

- Tama pękła! - zawołał Herilak. - Czy wszyscy są bezpieczni?

Sanone przyglądał się rwącej przez dolinę mętnej wodzie, nie dostrzegł w niej ciał, jedynie wymyte krzaki i inne śmieci. - Rzeka pozostała w starych brzegach. Widzisz, już opada. Jest jak zawsze.

- Póki nie odbudują tamy, nie odtworzą jej. To nic nie znaczy.

Nawet ten nieoczekiwany widok nie był w stanie rozproszyć rozpacz Herilaka. Stracił wszelką nadzieję, gotował się na śmierć. Nie uniósł nawet głowy, gdy wokół rozległy się krzyki, rozejrzał się dopiero wtedy, gdy Sanone szarpnął go za ramię.

- Coś się stało - zawołał mandukto, po raz pierwszy z nadzieją w głosie. - Pnącza, spójrz na pnącza! Kadair nie porzucił nas, nadal podążamy jego śladami.

Wysoko nad nimi masa pnączy oderwała się od urwiska, zadrżała i spadła na dno doliny wzbijając pył. Gdy opadł, zobaczyli, że podtrzymujące je, grube łodygi są szare i popękane. Woskowane, zielone liście w oczach opadały i traciły połysk. W oddali oderwała się następna wielka płatanina pnączy i ześlizgnęła się do doliny.

- Coś się tam stało, coś niezrozumiałego - powiedział Herilak, wyrwany z rozpacz przez zaskakujące wydarzenie. - Muszę sprawdzić.

Z nastawionym śmiercio-kijem biegł doliną, wspinał się na barykadę. Po drugiej stronie rzeki urwiska przeciwnego brzegu odległe były jedynie o strzał łuku. Coś się na nich poruszyło; przyklęknął z wycelowaną bronią. Na szczycie ściany pokazało się murgu, potem dalsze. Ich wstrętne dłonie o dwóch kciukach były puste. Stały bez ruchu, gapiąc się rozszerzonymi oczami.

Herilak opuścił broń. Były za daleko, chciał zresztą zrozumieć, co się dzieje.



Przyglądały mu się w milczeniu, jak i on im. Rozdzielała ich szeroka rzeka, lecz przepaść dzieląca była szersza od morza. Herilak nienawidził murgu i wiedział, że szparki ich oczu lśniły od takiej samej nienawiści. Co się więc stało? Dlaczego zerwały tamę, zwały pnącza?

Duże murgu, stojące najbliżej, odwróciło się i poruszyło rękoma w nagłym skurczu, gdy podeszło drugie i coś podało. Pierwsze chwyciło to w obie dłonie, spojrzeło - potem zwróciło wzrok na Herilaka. Wykrzywiło otwarte usta w niezrozumiałym uczuciu, okręciło się na pięcie i rzuciło trzymany przedmiot przez zwężenie doliny. Herilak patrzył, jak wznosi się powoli, uderza w zaporę i niknie wśród skał.

Gdy spojrzeł znów na urwisko, murgu już nie było. Łowca czekał, lecz nie powróciły. Dopiero wtedy zszedł po ścianie zapory i stanął nad rzuconym mu przedmiotem. Z sapaniem przyłączył się do niego Sanone.

- Widziałem... to - powiedział. - Stały i patrzyły się na ciebie, nic nie robiły, rzuciły coś tylko - potem odeszły. Co to jest?

Był to jakiś pęcherz w kształcie dyni, szary i gładki. Herilak trącił go nogą.

- To może być niebezpieczne - ostrzegął go Sanone. - Uważaj.

- To może być wszystko - łowca uklęknął i dotknął palcem. - Jest tylko jeden sposób sprawdzenia.

Odłożył śmiercio-kij i wyciągnął kamienny nóż, sprawdził kciukiem jego ostrze. Przerazony Sanone cofnął się, gdy Herilak nachylił się i naciął pęcherz.

Skóra zewnętrzna była twarda. Przycisnął mocniej i pociągnął nożem, aż nagle ustąpiła. Wyciekł z niej pomarańczowy płyn.

W środku było coś ciemnego. Herilak wyciągnął to czubkiem noża. Sanone stał obok, przyglądał się pilnie.

Patrzył na ukryty wewnątrz srebrny nóż Kerricka. Nóż z gwiazdowego metalu, który zawsze nosił na szyi.

- To Kerricka - powiedział Sanone. - Nie żyje. Zabiły go, zabrały mu nóż i przysłały jako znak jego śmierci.

Herilak wziął ostrze i uniósł wysoko, aż zaśniło w słońcu.

- Tak, to znak - ale mówi nam, że Kerrick żyje! On to sprawił -nie wiem jak - ale to on. Nie zginął na północy, lecz żyje. I pokonał murgu. - Herilak rozłożył ramiona w geście obejmującym całą dolinę.

- To wszystko dzięki niemu. Pokonał je. Przerwały tamę i zniszczyły swe pnącza - a teraz odeszły. Tak mówi nóż. Możemy tu zostać. Dolina znów należy do nas.

Trzymał nóż wysoko w świetle słońca, krzyczał z radości i obracał nim tak, że lśnił i rzucał błyski.

- Zwyciężyliśmy! Zwyciężyliśmy!

- Przegrałaś, Vaintè - powiedziała Lanefenuu, patrząc jednym okiem na stojącą przy niej wyprostowaną postać, drugim na ohydne, pokryte futrem ustuzou tkwiące po drugiej stronie doliny, które przyglądało się im również. Potem skinęła na Akotolp, by podeszła. - Czy zniszczenie się dokonało?

Uczona ustawiła kończyny w wykonanie-jak-polecono.

- Wypuszczono wirus. Jest nieszkodliwy dla innych roślin i zwierząt, lecz oznacza pewną śmierć dla wszystkich świeżo zmutowanych komórek. Zginą. Wirus pozostanie w ziemi, tak iż zginą również niedojrzałe nasiona.

Vaintè ledwo zauważyła Akotolp, odepchnęła ją na bok, by podejść bliżej do eistai i zaprzeczyć jej ostatnim słowom.

- Nie możemy przegrać. Muszą być zniszczone.

Mówiła tak gwałtownie, że ruchy towarzyszące jej słowom czyniły całą wypowiedź niewyraźną. W ostatnim geście zwróciła się do Lanefenuu, grożąc jej każdym swym ruchem.

- Nie można przerwać walki. Nie możesz jej zakończyć. Wyrażenia były tak mocne, że Akotolp odskoczyła z krzykiem przerażenia, a przyglądające się Yilanè uniosły broń w obawie o bezpieczeństwo Lanefenuu. Odesłała je machnięciem ręki, po czym zwróciła się ze wstrętem do Vaintè.

- Ustuzou-Kerrick zna cię dobrze, Vaintè. Powiedziało, że mnie nie posłuchasz, że zlekceważysz me rozkazy, jeśli nie przekażę ich osobiście. Miało rację. Nie posłuchałaś mnie, Vaintè, choć przysięgałaś być mą fargi.

- Nie możesz tego zrobić...

- Już zrobiłam! - ryknęła wściekle Lanefenuu, tracąc całą cierpliwość. Inne Yilanè uciekły. - Chcesz mi się sprzeciwić? A więc mój ostatni rozkaz dla ciebie to śmierć - posłuchasz go. Umrzyj, wyrzutku, umrzyj!

Vaintè odwróciła się i cofnęła. Lanefenuu stała krok przed nią, jej rozpalona pierś drżała z wściekłości.

- Co to znaczy? Nie umierasz! Stałaś się jedną z tych, których nienawidzisz. Jesteś Córá Zniszczenia. Nie chcącym-umrzeć-wyrzutkiem. Dołączyłaś do tych, którymi się brzydziłaś. Sprawię, że umrzesz. Wszystkie obecne słuchają rozkazów!

Umykające Yilanè stanęły, odwróciły się, chwyciły za broń. Zimny rozsądek przebił się przez gniew Vaintè ; zwróciła się szybko do Lanefenuu, plecami do innych, mówiła cicho i poruszała rękoma, na tyle tylko, by była rozumiana.

- Wielka Lanefenuu, eistao Ikhalmenetsu, rządząca z mocą, służąca ci Vaintè korzy się nisko. Zawsze wypełniam twe polecenia.

- Nie posłuchałaś rozkazu, nie chcesz umrzeć, Córo Śmierci -syknęła.

- Posłuchałabym, ale nie mogę. Żyję, by ci służyć.

- Wątpię. Każę cię zabić.

- Nie próbuj - w słowach Vaintè była teraz zimna groźba. -Są tu Yilanè, które zapomniały o Ikhalmenetsie, służą mi wiernie, może nawet widzą we mnie swą eistą. Nie wystawiamy na próbę ich lojalności - może to okazać się bardzo niebezpieczne.

Lanefenuu przepełniał chłodny gniew, była bliska wybuchu, patrzyła na stojącą przed nią istotę, rozważała jej groźby. Jednocześnie przyglądała się zmieszanym Yilanè. Przypomniła sobie o zagrożeniu dla Ikhalmenetsu, które zawiodło ją tak daleko od otoczonego-morzem miasta. W słowach jadowitej Vaintè może tkwić wiele prawdy. Lanefenuu odezwała się wreszcie cicho.

- Żyj. Na razie. Wrócimy do Ikhalmenetsu, pojedziesz ze mną.

Nie ufałabym ci, gdybyś została tu sama. Koniec z wojną z ustuzou. Nie znajdziesz się też więcej w moim mieście. Jesteś wygnana z Gendasi\*, z Alpèasaku, zabraniam ci na zawsze stawać przede mną. Gdybym mogła wrzucić cię do morza, zrobiłabym to. Nie zrobię tego jednak, bo inne by się dowiedziały. Zostaniesz wysadzona sama - zupełnie sama - na brzegu Entoban\*, z dala od jakiegokolwiek miasta Yilanè. Będziesz znów jak fargi. To zrobię, taki czeka cię los. Masz coś do powiedzenia?

Vaintè nie ośmieliła się wyrazić swych uczuć - bo jedna z nich musiałaby zginąć. Nie może tak ryzykować. Z całą siłą powstrzymywała swe ciało; musiała naprężyć mięśnie do ostateczności, by

unieść kciuk i wyrazić zgodę.

- Dobrze. Teraz opuścimy to miejsce ustuzou i będę z radością liczyła dni, aż nadejdzie jutro jutra, w którym zobaczę cię po raz ostatni.

Wspięły się na swe wierzchowce, towarzyszące im fargi na uruktopy i odjechały. Gdy opadł powoli wzbity przez nie kurz, na drodze nie pozostał żaden ślad.

- Miałam w nocy sen - powiedziała Armun. - Był tak wyraźny, że widziałam barwy liści i nieba, czułam nawet dym z ogniska.

Stała na dziobie ikkergaka, przymykała oczy w blasku zachodzącego słońca. Kerrick stał za nią, otulał ją ramionami, cieszył się, że jest tak blisko. Odwróciła się, by spojrzeć w jego ogorzałą od wiatru twarz.

- Alladjex zawsze słuchał, gdy opowiadano mu sny - powiedziała. - Potem tłumaczył, co oznaczają.

- Stary Fraken był głupi. Podburzał.

- Uważasz więc, że mój sen jest nieprawdziwy? W jej głosie wyczuł ból, pogładził ją po długich włosach, uspokajał.

- Sen może być prawdziwy - na pewno. Nie śnimy bez powodu. Chodziło mi tylko o to, że możesz sama go wytłumaczyć, nie potrzebujesz starego, by ci powiedział to, co wiesz sama. O czym był ten sen?

- Znaleźliśmy się znowu nad okrągłym jeziorem. Arnwheet jadł upieczone przeze mnie mięso. Dziewczynka Darras także, była już większa, niż ją pamiętam.

- Jest teraz starsza. Czy widziałaś we śnie Harla i Ortnara?

- Ortnar był tam, siedział i jadł również, chora ręka zwisała mu z boku. Ale chłopca brakowało. Czy oznacza to, że nie żyje? Wyczuł lęk w jej głosie i odparł szybko:

- To wygląda na prawdziwy sen. Mówiłaś, że widziałaś w nim kolor nieba, musiał to więc być dzień. Harl na pewno wyszedł na polowanie.

- Oczywiście - roześmiała się głośno z ulgą. - A może to tylko sen wywołany nadzieją?

- Nie! Jest prawdziwy. Widziałaś, co nas czeka, widziałaś jezioro, do którego zdążamy, i wszystkich, którzy tam na nas czekają. I są bezpieczni.

- Chcę tam być.

- Ikkergak płynie szybko, minęły już wiosenne sztormy. Wkrótce się tam znajdziemy.

- Jestem szczęśliwa. Nie chciałam urodzić drugiego dziecka na zimnej północy.

Mówiła spokojnie, ze szczęściem i radością, a on śmiał się głośno z zadowolenia, podzielał jej myśli i uczucia, przytulił ją mocno do siebie. Nigdy się nie rozstaną, już nigdy. Lekko burząc jej włosy, czuł spokój, zrozumiał, że będzie mu towarzyszył od tego poranka w Ikhalmenetsie, kiedy to nagiął eistaę do swej woli, zmusił ją do zaprzestania ataków na sammady. Ten jeden czyn usunął dręczące go tak długo lęki, wygnał wszystkie demony kryjące się w głowie.

Płyną nad jeziora, wracają do jego sammadu. Znow stanie się on pełny.

Ikkergak kołysał się na długich falach, skrzypiały jego rozporki, przed dziobem wzbijała się piana. Na rufie rozległ się nagły śmiech, gdy jakiś Paramutanin usiadł przy sterującym Kalalequ. Dla nich była to łatwa żegluga, dobra zabawa. Znow się roześmiali.

Niebo było czerwone, zapowiadało dobrą pogodę, ławica tkwiących wysoko chmur podróżowała w zachodzącym słońcu.

Świat był spokojny.

Daleko na południu, w świecie, który opuszczali, Vaintè stała w morzu, obmywana ciepłą wodą. Patrząc na uruketo niknące w czerwonym, zachodzącym słońcu, wykrzywiła ramiona w krzyku nienawiści, wygięła kciuki aż do bólu. Była sama, nikt nie słyszał jej głośnego wołania, nie pomagał, nie podzielał jej uczuć. Była sama.

Może to i lepiej. Nienawiść ciągle dodaje jej sił, niczego więcej nie potrzebuje. Przed nią jutro i jutro jutra, przyszłe dni układają się jak kamyki na plaży. Wystarczy ich, by dokonała to, co sobie przysięgła.

Odwróciła się, wyszła z oceanu na nie tknięty piasek. Ściana dżungli była mocna i nieprzystępna. Skręciła i ruszyła wzdłuż brzegu, pozostawiając na piasku równy rząd śladów. W zapadającym zmierzchu szła powoli i wytrwale.

Dzieje Ziemi zapisane są w jej skałach. Niektóre problemy nie zostały jeszcze rozwiązane, lecz ogólna historia naszej planety od ery paleozoicznej do chwili obecnej jest znana dzięki zachowanym skamieniałościom. W epoce pierwotnego życia, przed 605 milionami lat, jedynymi stworzeniami zasiedlającymi ciepłe, płytkie morza były robaki, meduzy i inne zwierzęta bezkręgowce. Kontynenty łączyły się nadal z sobą tworząc jeden wielki ląd nazywany Pangeą.

Już wówczas niektóre stworzenia morskie budowały z wapnia muszle, w których się chroniły i których używały do podparcia ciała. Rozwój szkieletu wewnętrznego nastąpił później, wraz z pojawieniem się pierwszych ryb. Te następne wykształciły płuca i wachlarzowate płetwy, którymi się podpierały, gdy wyszły z morza i wkroczyły na ląd. Stały się one wówczas, około 290 milionów lat temu, płazami, przodkami pierwszych gadów.

Pierwsze dinozaury pojawiły się na Ziemi przed przeszło 205 milionami lat. Nim 200 milionów lat temu Pangeą pokryła się pęknięciami wypełnionymi morzami, dinozaury rozprzestrzeniły się na cały świat, na każdą część pierwotnego, gigantycznego kontynentu, który podzielił się później na znane nam obecnie lądy. To był ich świat, zapełniły w nim wszystkie nisze ekologiczne, przez 135 milionów lat panowały niepodzielnie.

Kres ich dominacji położyła katastrofa na skalę światową - dziesięciokilometrowej średnicy meteoryt uderzył w ocean, wypychając w atmosferę miliony ton pyłu i wody. Dinozaury wymarły. Zginęło siedemdziesiąt procent żyjących wówczas gatunków. Otworzyła się droga przed drobnymi, przypominającymi ryjówki ssakami - przodkami wszystkich dzisiejszych ich gatunków - mogły się odtąd rozwijać i zająć cały świat.

Trzeba było tej galaktycznej szansy, trwającej wieczność gry w kości, by ów wielki kawał skały uderzył i właśnie wtedy, w ten właśnie sposób, spowodował takie właśnie zakłócenie na skalę światową.

A gdyby chybił? Gdyby z rachunku prawdopodobieństwa wyszło inne rozwiązanie i ta bomba kosmiczna nie uderzyłaby w Ziemię? Jak wyglądałby dzisiaj nasz świat?

Pierwszą i najwyraźniejszą różnicą byłby brak Islandii, bo ta wulkaniczna wyspa znaczy miejsce uderzenia meteorytu, przebicia się go przez płaszcz Ziemi.

Drugą wielką różnicę stanowiłyby dzieje klimatu ziemskiego, nadal nie w pełni rozumiane. Wiemy o przychodzeniu i odchodzeniu różnych epok lodowych - nie wiemy, dlaczego tak się działo. Wiemy, iż w przeszłości zmieniała się biegunowość Ziemi, północny biegun magnetyczny był tam, gdzie teraz południowy - ale nie znamy przyczyn. Wydaje się pewne, iż gdyby nie upadek meteorytu i wywołane tym niewiarygodne zmiany atmosferyczne, to następstwo epok lodowych i towarzyszące im budowanie kontynentów nie wystąpiłoby dokładnie w ten sam sposób.

Spójrzmy na świat, jakim mógłby być.

Panowanie dinozaurów jest niczym nie zakłócone. Świat jest ich, dominują na wszystkich kontynentach - a nad nimi górują Yilanè.

Wyjątek stanowi półkula zachodnia. Ameryka Południowa jest opanowana przez gady, lecz na północy rzecz ma się inaczej. Most lądowy Ameryki Środkowej łączący północną i południową część kontynentu w różnych epokach geologicznych ulegał zatopieniu. W pewnym kluczowym momencie przerwanie mostu zbiegło się z powstaniem rozległego morza zajmującego większą część Ameryki Północnej. Pokrywa lodowa sięgała na południu niemal do brzegu tego morza śródlądowego, przez co przez miliony lat panował tam klimat polarny, stający się bardziej umiarkowany jedynie w środku lata. Gatunki zimnokrwiste wymarły, a rozwinęły się stworzenia

ciepłokrwiste, stając się panującą formą życia tego lądu.

Z czasem, gdy pokrywa lodowa się wycofywała, ssaki wędrowały na północ. Gdy most lądowy Ameryki Środkowej wynurzył się ponownie z morza, zwierzęta ciepłokrwiste zajmowały kontynent rozciągający się między oceanami. Nie mogły się jednak przeciwstawić powolnemu powrotowi gadów. Oprócz ucieczki nie ma żadnej obrony przed opancerzonymi stworzeniami ważącymi po 80 albo i więcej ton.

Ssaki mogły przetrwać jedynie na północy, na pogórzu i w górach. Były wśród nich naczelne Nowego Świata, z których rozwinęli się Tanu.

Nie było żadnych ssaków Starego Świata, ponieważ był on jeszcze jaszczurzy. Nie było żadnych niedźwiedzi ani psów. Nowy Świat obfitował natomiast w jeleniowate, tak w drobne, jak i duże, wielkości łosia. Były tam mastodonty, jak i liczne torbacze, łącznie z tygrysami szablozębnymi. Bardzo różnorodne ssaki zamieszkiwały żyzny pas na południu od lodu, a na północ od zimnokrwistych jaszczurów.

Większość Tanu, uwięziona w surowym środowisku, nigdy nie wyszła poza fazę łowiecko-zbieracką. Do niej jednak byli doskonale przystosowani. Było kilka wyjątków, między innymi Sasku. Grupy te przeszły do osiadłego trybu życia, zajmowały się rolnictwem neolitycznym. Opanowały umiejętności garncarstwa i tkactwa, rozwinęły też bardziej złożone i rozwarstwione społeczności. Nie oznacza to jednak, by pod jakimkolwiek względem stały wyżej od Tanu łowieckich, posiadających bogaty język, prostą sztukę, wiele umiejętności umożliwiających przetrwanie oraz podstawowe związki rodzinne i grupowe.

To samo można powiedzieć o Paramutanach, zajmujących niebezpieczną niszę ekologiczną w subarktyce. Posiadają rozliczne umiejętności, prostą, wspólną kulturę. Ich istnienie zależy całkowicie od polowania i od jednego zwierzęcia morskiego, ularuaqa.

## JĘZYK MARBAK

Marbak, podobnie jak i inne języki używane przez Tanu, jest współczesnym dialektem zaginionego, pierwotnego języka, nazywanego Wschodnim Wybrzeżowym. W maraku „mężczyzna” to han-nas, w liczbie mnogiej hannasan. Podobnie hennas w wedamańskim, hnas w lewrewasanskim, neses u Lebnaroi, i tak dalej.

Wszystkie te nazwy małych plemion są opisowe, na przykład Wedamianie to „wyspowcy” a Levrewasanie „namiotoczarni”, czyli ludzie z czarnych namiotów. Podobnie jak mężczyzna hannas, szeroko rozpowszechniony jest wyraz określający kobietę, linga, w liczbie mnogiej lingai. Człowiek, bez oznaczenia płci, to ter, w liczbie mnogiej tanu, który to wyraz używany jest powszechnie dla określenia wszystkich innych ludzi.

Oto najszerzej używane formy deklinacji rzeczownika w rodzaju męskim:

Mianownik	hannas	hannasan
Dopełniacz	hannasa	hannasanna
Celownik	hannasi	hannasanni
Biernik	hannas	hannasan
Narzędnik	hannasom	hannasom
Miejscownik	hannsi	hannasanni

## PARAMUTANIE

Paramutanie, jak i Tanu, pochodzą od naczelných Nowego Świata. Pomimo braków dowodów kopalnych, badania genów wykazły, iż Tanu i Paramutanie są sobie dość bliscy pochodzeniem, a jedynie wielkie różnice w wyglądzie zapobiegają dotąd wzajemnemu krzyżowaniu. Choć trudno w to uwierzyć z zewnętrznych oznak, porośnięci sierścią Paramutanie i stosunkowo słabo owłosieni Tanu mają tę samą liczbę cebulek włosowych. Wielu Tanu rodzi się ze szczątkowym ogonem, zewnętrznym wyrostkiem kości ogonowej, zawierającym dokładnie tyle samo kości co ogon Paramutanów.

Z tych względów zewnętrzne różnice fizyczne obu grup nie mają większego znaczenia; ważniejsze są czynniki społeczne i kulturowe. Możemy zakładać, że doszło do nacisku innych populacji albo opracowania odpowiedniej techniki, dzięki której życie na terenach subarktycznych stało się najpierw możliwe, a następnie konieczne. Uzależnienie Paramutanów od jednego głównego źródła pożywienia, surowców, całego istnienia (czyli od ularuaqow) nie dopuszcza innych możliwości. Nie straciły na znaczeniu surowce z północnej części pasa klimatu umiarkowanego (drewno na lodzie, tanina dębowa do wyprawiania skór), lecz w ich ówczesnej kulturze ularuaqow nie dało się niczym zastąpić;

Należy wskazać, iż określenie Paramutanów jest niewłaściwe, gdyż to słowo oznacza w marbaku „jedzących-surowe-mięso”. We własnym języku nazywają się Angurpiaq, co oznacza „prawdziwych ludzi”, bo tak myślą o sobie. Prowadząc samotne życie na północnych pustkowiach uważają się, i nie bez pewnej racji, za ludzi prawdziwych, jedynych. Dlatego też nazywają Tanu Erqigdlit, ludzie wymyśleni. Sądzą, że obcy przybywający z nierealnego świata muszą być sami wymyśleni.

## ŚRODOWISKO

W morzu żyje o wiele więcej istot żywych niż na lądzie, tworzą dużo więcej gatunków. Życie zaczęło się w morzu i nadal przebywają w nim liczni przedstawiciele wszystkich ważniejszych grup zwierząt. Podstawą całego życia otwartego oceanu są pływające, jednokomórkowe glony. Te mikroskopijne rośliny żyją jedynie na głębokościach do kilku metrów od powierzchni, dokąd dociera energia słoneczna. Istnieje około 600 rodzajów glonów stanowiących podstawę łańcucha pokarmowego. Są one zjadane przez małe plankton zwierzęcy, w którym najpospolitsze są skorupiaki widłonogie z gatunku Calanus. (Najbardziej rozpowszechnione zwierzę Ziemi - zarówno pod względem liczebności jak i wagi). Je z kolei zjadają większe, podobne do krewetek skorupiaki, jak także liczne inne zwierzęta, w tym również meduzy, robaki szczecioszczękie, drobne ryby, larwy mięczaków i kalamarnic, a nawet większe skorupiaki denne, w rodzaju krabów czy homarów.

Wynikiem tego wszystkiego jest deszcz martwych szczątków i wydzielin opadających powoli na dno oceaniczne. Pochłaniają je bakterie, które wraz z substancjami odżywczymi, szczególnie azotem i potasem, są przenoszone przez prądy głębionowe. Stanowi to pierwotne źródło obfitego życia w oceanach polarnych. Pomimo niskiej temperatury i braku światła ich produktywność jest wysoka i dosłownie ciągła. Zimno jest w istocie źródłem składników zasilających życie. Temperatura wody powierzchniowej wynosi cztery stopnie, podczas gdy cieplejszych prądów z południa od pięciu do ośmiu. Woda cieplejsza unosząca się nad zimniejszą i gęstsza zasila obfite życie na powierzchni.

Niezwykłym zjawiskiem ławic lodowych są qunguleq, zajmujące pustą niszę ekologiczną w znanym nam świecie. Zimny ekosystem qungulequ nie przypomina jakiegokolwiek innego w oceanie. Zakorzenione w lodzie, zwieszają wielkie kotary zielonych plech sięgających do morza, czerpią pokarm z wody, a energię ze słońca. Owe północne łąki spasa ularuaqi, największe z żywych istot

świata. Rwą plechy grubymi, umięśnionymi wargami, czerpią z qunguleq u pożywienie i życie, są całkowicie uzależnione od tego jednego źródła pokarmu. Wraz z posuwaniem się na południe arktycznej pokrywy lodowej doszło do zmian prądów oceanicznych, przesunięcie się ich na zachód. Ularuaqi powędrowały za qunguleqiem i z kolei Paramutanie musieli pójść w ich ślady. Każde ogniwo łańcucha pokarmowego zależy od ogniwa poprzedniego.



## JĘZYK ANGURPIAQ

Każdy badacz tego języka odkryje szybko, jak niewiele określonych dźwięków się nań składa. Z tego względu może się początkowo wydawać bardzo prosty, lecz dalsze badania odsłaniają jego bogactwo i złożoność.

Dla mówiących marbakiem trudne jest odróżnienie głoski k od głoski q. la druga jest wymawiana przy języku znacznie mocniej cofniętym. Dla tych, dla których angurpiaq nie jest językiem ojczystym, najbliższym odpowiednikiem tej głoski byłoby -rk.

Istnieją również dwie odmienne postacie l, dźwięczna i bezdźwięczna. Aby zaznaczyć tę ważną różnicę, forma bezdźwięczna jest zapisana tu jako -dl lub -rl.

Kłopoty językowe nie dotyczą tylko jednej strony. Angurpiaq mieli kłopoty z niektórymi dźwiękami marbaku, uważali je za niemożliwe do wymówienia. Na przykład zamiast Armun mówili „Ar-ramun”, zamiast Harl „Harral” i tak dalej.

Jedną z najciekawszych cech tego języka jest to, iż składa się on wyłącznie z rzeczowników i czasowników. Stanowią one początek każdego słowa. Do tego rdzenia doczepiane są liczne wrostki, które z kolei mogą łączyć się z sobą na różne sposoby. Powstają dzięki temu wyrazy-zdania. Na przykład:

qingik	dom
qingirssuak	duży dom
qingiliorpoq	on buduje dom
qingirssualiorpoq	on buduje duży dom
qingirssualiorfilik	człowiek może zbudować duży dom

i tak dalej, praktycznie bez końca.

Należy koniecznie zaznaczyć zasadę dokładania z prawej. Jesteśmy przyzwyczajeni do konstrukcji rozrastających się z lewej strony, takich jak:

dom
ten dom
ten duży dom.

Dla kogoś używającego jednego z tych systemów staje się on „naturalny”, co znacznie utrudnia nauczenie się nowego porządku.

Oprócz wrostków, rzeczowniki i czasowniki mają także przyrostki. Używane są one do przekazywania przypadku, osoby czy trybu. Czasowniki mogą się znajdować w trybie wskazującym, pytającym, łączącym podrzędnie, życzącym, łączącym współrzędnie czy stać w bezokoliczniku. Jako ich przykład weźmiemy „lubić”, w bezokoliczniku mające postać „alutora”.

alutoroq	on lubi
alutorut	ona lubi
alutorauk	czy on lubi?
alutorassuk	czy oni lubią?
alutorliuk	niech polubią (tryb życzący)

alutorlissuk	może polubią
alutorpagit	może lubić (trym łączący podrzędnie)
alutorpatigik	mogą lubić

Choć marbak i angurpiaq nie są z sobą spokrewnione językoznawczo, to występuje między nimi pokrewieństwo strukturalne, choćby w postaci odwrócenia. Gdyby na przykład Armun powiedziała alutora w znaczeniu „lubić”, a następnie wskazała na siebie i przedmiot, który lubi, to zostałaby zrozumiana. Angurpiaq mogliby uznać ją za głupią, bo użyłaby błędnej końcówki, ale pojęliby, co chciała powiedzieć. W przeciwieństwie do tego, u Yilanè nie można niczego zrozumieć, co nie jest wyrażone w ściśle określony sposób.

Angurpiaq wyrażają czas z bardzo małą dokładnością, są w najlepszym razie obojętni wobec jego upływu. Mają nieokreśloną formę czasu przyszłego, ale jest ona rzadko używana. Najczęściej stosowanym terminem jest tamnagok, które może oznaczać kiedyś, wtedy lub teraz - a nawet kawałek. Jedynym innym słowem dotyczącym czasu jest eetchuk oznaczający dawno, dawno temu. Jest tak nieokreślony, że może się to odnosić zarówno do czterdziestu jak i dwu tysięcy lat.

Jak można się spodziewać, język Paramutanów odzwierciedla tryb ich życia. Wyraża wiele różnic nie istniejących w marbaku, choć całkowicie pomija inne. Z oczywistych powodów mają wiele określeń śniegu. Odróżniają śnieg zbity, pylisty, zmrożony, wilgotny, nadający się do cięcia na bloki, a nawet śnieg skrzypiący pod nogami. Z drugiej strony zielony i niebieski nie są odróżniane jako oddzielne kolory. Istnieją osobne określenia dla czerwieni i żółci, ale nie dla barwy pomarańczowej. Ponieważ mają one wyłącznie postać wrostków, a nie samodzielnych wyrazów, w istocie trudno określić ich właściwe znaczenie.

Wysuwano teorię, iż skłonność do tworzenia przyrostków, niezliczonych powiązań i połączeń ma pewien wpływ na zręczność Angurpiaq i ich zdolność do mechaniki. Choć rzeczywiście składają i łączą szkielety swych łodzi czy map nawigacyjnych, to należy podkreślić, że związki tego z językiem są jedynie teorią.

# SŁOWNIK

## YILANÈ - POLSKI

(Uwaga: poniższa lista obejmuje zarówno pojedyncze elementy, jak i niektóre powszechnie powtarzane jednostki.)

aa	w
aga	odjazd
aglè	przejście
aka	wstręt
akas	pokryty roślinnością ląd
akel	dobroć
akse	kamień
alak	następstwo
Alakas-aksehent	Florida Keys
alè	klatka
alpè	piękno
ambei	wysokość
ambesed	centralne miejsce spotkań
anat	wyrostek ciała
ankanaal	ocean otoczony lądem
ankè	obecność
apen	żądanie
asak	plaża
ast	ząb
asto	ruch
awa*	ból
ban*	dom
buru	otoczenie
dee	to
ee	na zewnątrz
eede	tamto
eesen	płaskość
efen	życie
efenburu	grupa powstała w dzieciństwie
efenselè	członek efenburu
eisek	błoto
eisekol	zwierzę brodzące
eiset	odpowiedzialność
eistaa	przywódczyni miasta
eksei	ostrożność

elin	mały
elininyil	okres życia poprzedzający fargi
elinou	mały gad drapieżny
embo	ciśnienie
empè	pochwała
end	widzenie
enet	jezioro
ènè	giętkość
enge	miłość
enteesenat	plezjozaur
ento	każdy pojedynczy
Entoban*	Afryka
erek	szybkość
esek	szczyt
esekasak	strażniczka plaży narodzin
esik	południe
espei	postawa ciała
estekel*	ptero daktyl
eto< .	strzał

fafh	łapać
far<	śledztwo
fargi	ucząca się mówić

gen	nowy
Genaglè	Cieśnina Gibraltarska
Gendasi*	Ameryka Północna
gul	słuchanie
gulawatsan	zwierzę syrena

hais	umysł
han	samczość

Uwaga: te dwa pojęcia są zawsze rozróżnialne wyborem kontrolera

hanalè	}	kwatery samców	samica
has		has	
hè		Żółć	
hen		cyfra 1	
hent		samiec, samica	
hèsotsan		obrót	
hornsopa		broń stworzenie strzelające strzałkami	
		postać genetyczna	

huruksast	monoclonius (gatunek dinozaura)
igi	wejście
ihei	zmysł węchu, dotyku, czucia
ineg	stary
inlè	duży wymiar
intè	polować
ipol	trzeć, polerować
Isegnet	Morze Śródziemne
isek	północ
ka<	zaprzestanie
kain	linia wzroku
kakh	sól
kał	trucizna
kalkasi	ciernisty krzew
kasei	cierń
kem	światło
khets	wypukłość
kiyis	wschód
kru	krótki
lan<	kopulacja
leibe	trudność
lek	lichość
mal	brak zmartwień
man<	ostatni
Maninlè	Kuba
masinduu	wyświetlacz
melik ciemny	
melikkasei	pnącza z trującymi cierniami
natè	przyjaciel
nefmakel	stworzenie-bandaż
neni	czaszka
nenitesk	dinozaur triceratops
nin	nieobecność
ninsè	nie odpowiadający
nu*	odpowiedniość
okhalakx	zwierzę trawożerne
okol	jelito
onetsensast	stegozaur

pelei	odkrycie
rubu	nieważkość
ruud	zaprzestanie
ruutsa	ankylozaur
sanduu	mikroskop
sas<	szybkość
sat	równość
selè	wież
sèsè	ruch
setę	grupa powstała w jakimś celu
shak	zmiana
shan	wola
shei	zimno
sokèi	oczyszczony teren
son*	pierwiastek
stal	zdobycz
takh	czysty
tarakast	wierzchowiec
tesk	wklęsłość
top	bieg
tsan	zwierzę
tso	odchody
trumal	wspólny atak
tuup	gruby, tłusty
ugunkshaa	urządzenie zapisujące
umnun	zenzymowane mięso
unut	pełzać
unutakh	ślimak zjadający włosy
uruketo	zmutowany ichtiozaur
uruktop	ośmionożne zwierzę juczne
uruktub	brontozaur
ustu	kwadrat
uu	wzrastać
ustuzou	ssaki
yil	mowa
yiliebe	niezdolna do mowy

## MARBAK - POLSKI

alias	ścieżka
alladjex	szaman

amaratan	nieśmiertelni (istoty boskie)
arnwheet	jastrząb
as	jak
atta	tata
bana	synek
beka	splatać
benseel	mech torfowiec
bleit	zimno
dalas	zupa
dalasstar	mocna zupa
drija	krwawić
eghoman	ślubujący
ekkotaz	orzechy z jagodami
elka	świecić
erman	niebo
Ermanpadar	niebo-ojciec, duch
es	jeśli
ey	zawsze
fa	patrzeć
falla	czekać
faldar	ogień
gentinaz	przywódca
grunnan	nieszczęście
ham, hammar	móc (Ip, Im)
hannas	mężczyzna
hannasan	mężczyźni
hanas	oddział wojowników
hardalt	kałamarnica
harian	radośni
hault	dwadzieścia (liczba ludzi)
himin	góra
hoatil	każdy
istak	ścieżka
Kargu	ludzie gór
katisak	wesoły
kell	klin
kurmar	rzeka

kurro	wódz
las	w dół
levrelag	obozowisko
Levrewasan	Lud Czarnych Namiotów
ley	polana (wypalana)
linga	kobieta
lingai	kobiety
lissa	wiedzieć
madrap	mokasyn
mai	dobry
man	musi
margalus	doradca w sprawach murgu
mar	włosy
marag	zwierzę zimmokrwiste
marin	gwiazda
markiz	zimno
marsk	ichtiozaur
mensa	urządzać
modia	może
mo trig	moje dziecko
murgu	liczba mnoga od marag
nat	zabójca
naudinz	łowca
nenitesk	triceratops
nep	długi
parad	bród
Paramutanin	jedzący-surowe-mięso, człowiek z Północy
rath	gorący
sammad	grupa mieszana mężczyzn i kobiet
sammadar	wybieralny przywódca sammadu
sassi	kilka
sia	iść
skerm	okres
so	jak, tamto, kto
stakkiz	lato
stessi	plaża
tais	kukurydza
tanu	ludzie



tarril	brat
ter	człowiek
terred	grupa ludzi w jakiejś misji
terredar	przywódca takiej grupy
tharm	dusza lub duch
tina	nosić
to	w
trosk	ichtiozaur
torskan	ichtiozaury
torskanat	jad ichtiozaura
ulfadan	długobrody
veigil	ciężki, ważny
wedam	wyspa

### SESEK - POLSKI

basnsemnilla	drapieżny trobacz
charadis	len
Deifoben	miejsce złotych plaż
Kadair	bóg nieba
Karognis	bóg zła
mandukto	kapłan
porro	piwo
tagaso	kukurydza
waliskis	mastodont

### ANGURPIAQ - POLSKI

#### RZECZOWNIKI

angurpiaq	prawdziwi ludzie
erqigdlit	wymyśleni ludzie
etat	puszcza

ikkergak  
imaq  
inge

duża łódź  
otwarte morze  
pochwa

munga

mała ryba, dorsz

nangeq

cel

paukarut

namiot

qingik  
qivio  
qunguleq

dom, szałas  
ścieżka  
arktyczne wodorosty

takkuuk

trucizna

ularuaq

wielki ssak arktyczny

## CZASOWNIKI

alutora  
ardlerpa

lubić  
polować

ikagput

obfitować

liorpa

budować

misugpa  
muluva

jeść  
brakować

nagsoqipa  
nakoyoark

nie różnić się, być jednakowym  
być doskonałym

siagpai

być ważnym

takugu  
tingava

widzieć  
spać z sobą

## PRZYROSTKI

- adluinar	całkowicie
- eetchuk	dawno temu
- guaq	wewnętrzny
- kaq	mały
- luarpoq	za dużo
- qaq	szybko
- taq	świeżo-złapany
- tammagok	wtedy, teraz, wkrótce

# ZOOLOGIA



## **BANSEMILLA**

*(Metatheria: Didelphys dimidata)*

Rudawoszary torbacz z trzema smoliście czarnymi paskami na grzbiecie. Ma chwytny ogon i przeciwstawne palce na tylnych nogach. Jest drapieżny, poluje głównie na szczury i myszy, hodowany przez Sasku dla tępienia szkodników w żłobach.



## **DŁUGOZĄB**

*(Metatheria: Machaerodus neogeus)*

Mający długie kły przedstawiciel rodziny tygrysów workowatych. Duży, groźny drapieżnik polujący na swą zdobycz bardzo wydłużonymi górnymi kłami. Niektórzy łowcy Kargu oswoili te zwierzęta -pomagają one im w łowach.



## EISEKOL

(*Eutheria: Trichechus latirostris muta tus*)

Roślinożerny ssak wodny, w pierwotnej, nie zmienionej postaci żerował na roślinności podwodnej. Inżynieria genetyczna znacznie zwiększyła wymiary zwierzęcia, tak iż może być wykorzystywane dla oczyszczania kątów, jak również dla ich pogłębienia.



## ELINOU

(*Saurischia: Coelurosaurus compsognathus*)

Mały, ruchliwy dinozaur, bardzo ceniony przez Yilane za ściganie i tępienie małych szkodników wśród ssaków. Ze względu na kolorowe ubarwienie i miłe usposobienie często trzymany dla rozrywki.



## ENTEESENAT

(*Sauropterygia: Elasmosaurus plesiosaurus*)

Drapieżny gad morski dobrze przystosowany do życia na pełnym morzu, niewiele zmieniony od okresu kredy. Ma małą, krótką głowę i długą, węzowatą szyję. Wiosłowate płetwy podobne jak u żółwi morskich. Wyhodowano nowsze odmiany o większej pojemności czaszki, dzięki czemu można je tresować, by dostarczały pożywienia dla większych uruketo (*Ichthyosaurus monstrosus mutatus*).





## **EPETRUK**

*(Saurischia: Tyrannosaurus rex)*

Największy i najpotężniejszy z ogromnych tyranozaurów mięsożernych. Długość na ponad 12 metrów, waga samców przekracza 7 ton. Przednie łapy są małe, lecz silne. Z powodu swej wielkiej wagi jest dość powolny, dlatego atakuje tylko największe zwierzęta. Sporą część pożywienia zdobywa, odpędzając od upolowanej zdobyczy mniejszych drapieżników.



## **ESTEKEŁ\***

*(Pterosauria: Pterodactylus Quetzalcoatlus)*

Największy z latających gadów o rozpiętości skrzydeł wynoszącej ponad dziewięć metrów. Ich kości są bardzo lekkie i mocne, a ciężar wielkiego, uzębionego dzioba równoważy kościsty wyrostek

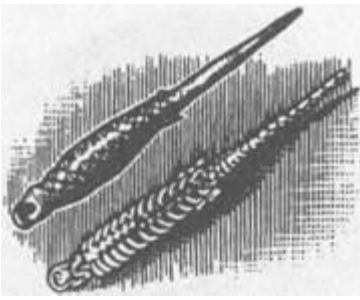
z tyłu czaszki. Występują wyłącznie w ujściach wielkich rzek, bo mogą wzbijać się w powietrze tylko w takich miejscach, gdzie wielkie fale płyną w przeciwnym kierunku niż wiatr.



## **GULAWATSAN**

*(Ranidae: Dimorphognathus mutatus)*

Bliższe zbadanie gulawatsana może wywołać podziw dla zastosowania techniki rozszczepiania genów w sterowaniu mutacjami. To stworzenie było pierwotnie uzębioną żabą, lecz obecnie mało przypomina swych przodków. Ich rozgłośnie rechotanie, rozlegające się w dżunglach tropikalnych podczas okresu rozrodczego, zostało wzmocnione i przekształcone tak bardzo, że wydawany przez nich głos powoduje ogłuszenie w bliskiej odległości.



## HÈSOTSAN

(*Squamiata: Paravaranus comensualis mu t a tus*)

Ten gatunek jaszczurki (ostrzegacz) został tak przekształcony, iż obecnie niewiele przypomina postać wyjściową. Wytwarzające parę gruczoły, zapożyczone z chrząszczy *Brachinus*, gwałtownie wyrzucają strzałki, zatrutowane podczas przejścia przez narządy płciowe współbiednej ryby *Tetradonitid*. Trucizna ta, najbardziej jadowita ze wszystkich znanych, powoduje paraliż i śmierć już przy obecności 500 jej cząsteczek.



*(Columbae: Columba palumbus)*

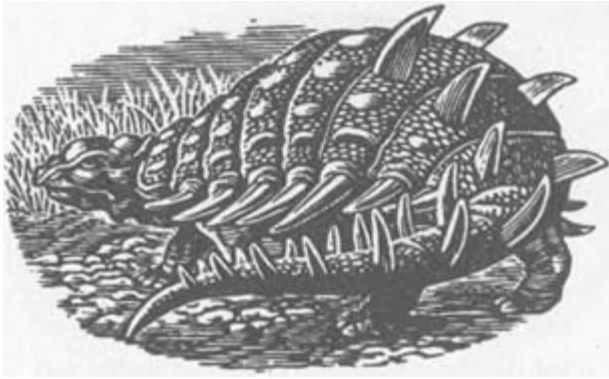
Ien łagodny ptak stanowi idealny przykład praktycznego zastosowania wiedzy Yilane. Podobnie jak wiele innych gatunków stosuje on mieszczące się w mózdzku cząsteczki *żelaza* do wykrywania ziemskiego pola magnetycznego i stosowania go przy nawigacji. Dzięki selektywnemu chowowi Isekul\* wskazuje obecnie głową w dowolnie wybranym kierunku przez długi okres, póki nie przeszkodzi temu pragnienie czy głód.



## **JELEŃ OLBRZYMI**

*(Eutheria: Alces machlis gigas)*

Największy ze wszystkich jeleniowatych. Od innych członków rodziny Cervidae różni się szerokim, ogromnym porożem samców. Obiekt polowań Tanu, nie tylko dla mięsa, ale i skóry, używanej na ściany namiotów.



## **KOLCOGRZBIET**

*(Nodosauńd ankylosaurus: Hylaeosaurus)*

Te niegroźne stworzenia o małych zębach i słabych szczękach żywią się niskimi roślinami. Ich jedyną obronę przed drapieżnikami stanowi giętki pancerz z kościanych płytek i guzów oraz kolce, wyrastające z twardej skóry i osłonięte rogami.



## **ŁÓDŹ**

*(Cephalopoda: Archeololigo olcostephanus mutatus)*

Środek transportu nawodnego Yilane. Napędzany mocnym strumieniem wody wystrzeliwanym w tył. Stworzenia te mają jedynie szczątkową inteligencję, lecz dają się tresować do wykonywania pewnych prostych poleceń.



## **MASINDUU**

*(Anuwa: Rana catesbiana mutatus mutatus)*

Sar.duu jest stworzeniem laboratoryjnym powiększającym obrazy aż do 200 razy. Mimo jego

wszechstronności może z niego korzystać tylko jeden obserwator na raz. Odmianą sanduu jest masinduu pozwalające na wyświetlenie obrazów na każdej białej powierzchni, gdzie mogą je oglądać dwie czy więcej badaczek (Yilane).



## **MASTODONT**

*(Eutheria: Mastodon americanus)*

Wielki ssak oznaczający się długimi górnymi siekaczami. Ma chwytłą trąbę sięgającą do ziemi. Udomowienie go przez Tanu umożliwiło im pokonywanie dużych odległości podczas łowów i zbieranie pożywienia. Używają oni mastodontów do ciągnięcia wielkich włóków.



## **NAEBAK**

*(PsittacosauŃa: Psittacosaurus)*

Przedstawiciel małych „jaszczurek papugowych”, nazywanych tak ze względu na małe, bezrogię głowy i ostre, przypominające dziób papugi pyski, używane do ogryzania twardych liści i zdrewniałych łodyg. Chodzą na czterech łapach, lecz mogą również biegać jedynie na mocnych, tylnych nogach.

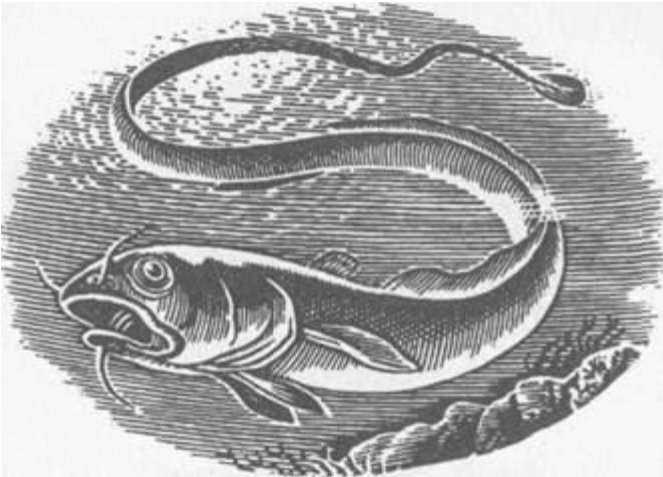




## NENITESK

(*Omithischia: Triceratops elatus*)

Roślinożerny czworonóg charakteryzuje się trzema rogami osadzonymi na kościstej tarczy ochronnej, nie zmieniony od epoki kredowej. Neniteski rozmnażają się poprzez składanie jaj. Ich mózgi są małe, a rozum jeszcze mniejszy. Wolno rosną, dlatego nie mają wielkiego znaczenia jako zwierzęta dające mięso, są jednak bardzo dekoracyjne.



## **NESHAKK**

*(Gadus macrocephalus)*

Zmutowana ryba ciepłowodna, przystosowana do różnych środowisk i tak zmieniona, że można określać temperaturę wody poprzez zmiany barwy skóry na jej bokach.



## **NINKULILEB**

*(Archéoptéryx compsognathus)*

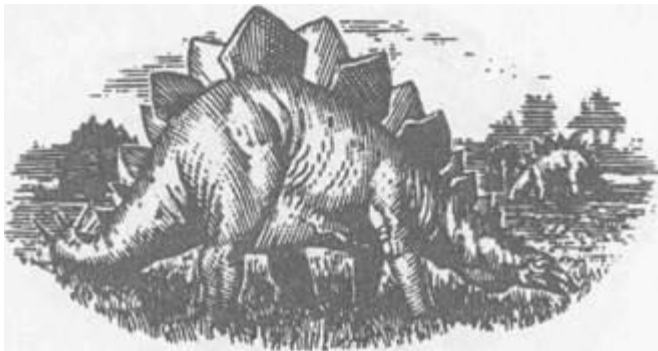
Przejściowa forma pomiędzy ptakami a dinozaurami. Proste pióra, palce na końcach skrzydeł i wąskie, uzębione szczęki różnią go wyraźnie tak od przodków, jak i możliwych potomków.



## **OKHALAKX**

*(Plateosauridia: Plateosaurus edibilus)*

Jedna z większych „płaskich jaszczurek”, nazywanych tak ze względu na potężne ciała i mocne czaszki. Choć zwykle chodzą na czterech łapach, to wspinają się na tylne przy żerowaniu na wierzchołkach drzew. Ich mięso jest uważane za szczególnie smaczne i bardzo poszukiwane.



## **ONETSENSAST**

*(Omithischia: Stegosaurus variants)*

Największy z dinozaurów opancerzonych. Ci olbrzymi roślino-żerocy bronią się przed atakiem dwoma rzędami płyt na szyi i grzbiecie, jak również ciężkimi kolcami na ogonie. Powstały w późnej jurze i jedynie uważna ochrona Yilane uchroniła tę żywą skamieniałość przed wyginięciem.



## **PŁASZCZ**

*(Selachii: Elasmobranchus kappe mutatus)*

Używany przez Yilane dla ogrzewania w nocy lub podczas złej pogody. Te stworzenia są całkowicie pozbawione inteligencji, lecz dobrze karmione utrzymują temperaturę ciała wynoszącą w przybliżeniu 39 stopni Celsjusza.





## RUUTSA

(*Ankylosauria: Euoplocephalus*)

To olbrzymie zwierzę jest, być może, najdramatyczniejszym >rzykładem „żywych skamielin”, tak starannie chronionych przez Yilane. Pokryte wielkimi płytami, nabitymi kolcami, broniące się >gromną gałką na końcu ogona, wygląda tak groźnie, iż trudno iwierzyć, że jest roślinożerne i zupełnie nieszkodliwe, poza obroną rfasną. Gatunek ten nie zmienił się od ponad stu milionów lat.



## SANDUU

(*Anuva: Rana catesbiana mutatus*)

Rozległe manipulacje genowe zmieniły to zwierzę pod niemal każdym względem; o jego pochodzeniu świadczy jedynie skóra. Powiększenie do 200 razy jest osiągalne dzięki odpowiedniemu wykorzystaniu promieni słonecznych przechodzących przez różne soczewki organiczne w głowie zwierzęcia.



## **SARNA**

*(Eutheria: Cervus mazama mazama)*

Mały gatunek jeleniowatych z różkami spiczastymi, bez odnóg. Występuje bardzo licznie w północnej strefie umiarkowanej, łanu cenią te zwierzęta ze względu na ich mięso i skóry, z których po wyprawieniu wykonywane są stroje i drobne przedmioty skórzane (np. mokasyny madrap i torby).





## TARAKAST

*(Omithischia: Segnosaurus shiungisaurus mutatus)*

Drapieżny dinozaur o pysku w kształcie ostrego dzioba, największe osobniki mają ponad 4 metry długości. Są trudne do wytresowania, kierowanie nimi wymaga wielkiej siły, lecz odpowiednio ujeżdżone stanowią cenne wierzchowce Yilane.

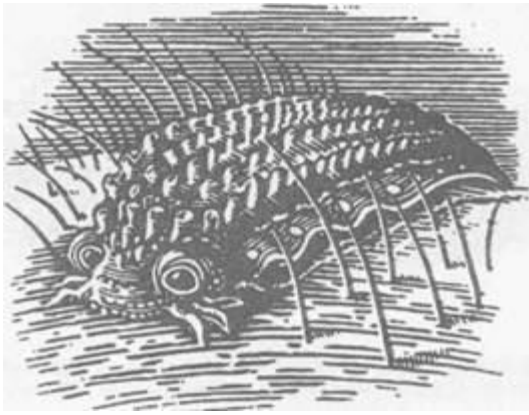


## UGUNKSHAA

*(Squamata: Phrynosoma fiemsyna mutatus)*

Ponieważ język Yilane uzależniony jest od barwy ich skóry i ruchów ciała, a nie tylko od dźwięków, niemożliwe jest tworzenie dokumentów pisanych. Pierwotna wiedza była przekazywana ustnie, a jej rejestrowanie stało się możliwe dopiero po rozwinięciu metody wyświetlania obrazów

na organicznych ciekłych kryształach, w połączeniu z zapisami dźwiękowymi.



## **UNUTAKH**

*(Cephalopoda: Deroceras agreste mutatus)*

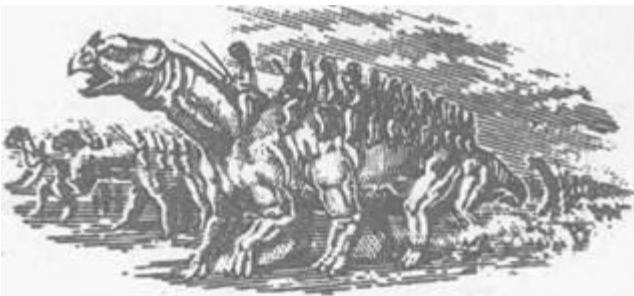
Jedno z wysoko przekształconych zwierząt używanych przez Yilane, len głowonóg trawi białko, zwłaszcza włosów i przekształcone łuski naskórka.



## URUKETO

*(Ichthyopterygia: Ichtyosaurus monstrosus mutatus)*

To największy z „jaszczuro-ryb”, rodziny ogromnych dinozaurów wodnych. Tysiąclecia chirurgii genowej i hodowli dały szczep ichtio-zaurów bardzo różniących się do form macierzystych. Mają wielką komorę mieszczącą się ponad kręgosłupem, pod płetwą grzbietową, używaną do przewozu załogi i ładunku.



## **URUKTOP**

*(Chelonia: Psittacosaurus montanoceratops mutatus)*

Jedno z najbardziej zmienionych przez Yilane zwierząt. Używane do transportu lądowego, może przenosić wielkie ładunki na ogromne odległości, ponieważ po zdublowaniu genów ma osiem nóg.